

KOMU MOŻNA ZAUFAC
W TYM NIEBEZPIECZNYM ŚWIECIE?

MEODY
BOOK!

R O Z D A R T A

T E R I T E R R Y

T E R I T E R R Y

— R O Z D A R T A —

Z języka angielskiego przełożyła
Patrycja Zarawska

**MEODY
BOOK!**

Tytuł oryginału:
FRACTURED

Text copyright © Teri Terry 2013

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Debit, Młody Book
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Debit, Młody Book

Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Marta Stasińska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

ISBN 978-83-8057-248-5

WYDAWNICTWO DEBIT Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
email: mlodybook@soniadruga.com.pl
www.mlodybook.com.pl
www.facebook.com/BookMlody
www.instagram.com/mlodybook

Skład i łamanie: Wydawnictwo Debit

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Dedykacja

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Rozdział dwudziesty ósmy](#)
[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
[Rozdział trzydziesty](#)
[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
[Rozdział trzydziesty drugi](#)
[Rozdział trzydziesty trzeci](#)
[Rozdział trzydziesty czwarty](#)
[Rozdział trzydziesty piąty](#)
[Rozdział trzydziesty szósty](#)
[Rozdział trzydziesty siódmy](#)
[Rozdział trzydziesty ósmy](#)
[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
[Rozdział czterdziesty](#)
[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
[Rozdział czterdziesty drugi](#)
[Rozdział czterdziesty trzeci](#)
[Rozdział czterdziesty czwarty](#)
[Rozdział czterdziesty piąty](#)
[Rozdział czterdziesty szósty](#)
[Rozdział czterdziesty siódmy](#)
[Rozdział czterdziesty ósmy](#)
[Rozdział czterdziesty dziewiąty](#)
[Teri Terry odpowiada na pytania czytelników](#)
[Przypisy](#)

Ku pamięci mojego taty

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Deszcz ma wiele zastosowań.

Ostrokrzew i buki, jak te rosnące wokół mnie, potrzebują go do życia i wzrostu.

Zmywa ślady, zaciera odciski stóp. Sprawia, że trudniej podążać czyimś tropem, a dziś to jest dobra wiadomość.

Lecz przede wszystkim spłukuje krew z mojej skóry, z ubrań. Stoję, drżąc, wystawiona na ulewę. Wyciągam ręce, pocieram je raz za razem w lodowatym deszczu. Szkarłatne smugi dawno zniknęły z mojej skóry, ale nie mogę przestać. Czerwień uparcie plami mój umysł. Usunięcie jej zajmie więcej czasu, ale teraz wiem, jak to zrobić. Wspomnienia można opakować, owinąć w strach i wyparcie, obudować murem. Ceglanym murem, takim jak te, które budował Wayne.

Nie żyje? Umiera? Trzęsę się, ale nie tylko z zimna. Czy zostawiłam go cierpiącego? Może powinnam wrócić, sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy. Bez względu na to, jaki z niego drań albo co zrobił, czy zasługuje na to, by leżeć tam w samotności i bólu?

Ale jeśli ktokolwiek się dowie, co zrobiłam, będę skończona. Z założenia nie powinnam być w stanie nikogo skrzywdzić. Mimo że Wayne mnie zaatakował, a ja się tylko broniłam. Zresetowani nie są zdolni do aktów przemocy, jednak ja jestem. Zresetowani nie mogą niczego pamiętać ze swojej przeszłości, jednak ja mogę. Lorderowie zaraz by mnie zabrali. Pewnie zechcieliby rozciąć mi mózg, żeby sprawdzić, co w nim poszło nie tak, dlaczego moje Levo nie przejęło kontroli. Może zrobiliby to nawet na żywym organizmie.

Nikt nie może się dowiedzieć o tym, co tu zaszło. Powinnam się była upewnić, że Wayne nie żyje, lecz teraz już za późno. Nie mogę ryzykować powrotu. „Nie udało ci się zrobić tego przedtem, a więc skąd myślisz, że dasz radę teraz?” – drwi we mnie jakiś głos.

Po skórze rozchodzi mi się odrętwienie, wnika do mięśni, kości. Tak zimno. Opieram się o drzewo, kolana się pode mną uginają, ciężą ku ziemi. Chcą się zatrzymać. Po prostu stać bez ruchu. Nie myśleć, nie czuć bólu, nigdy więcej.

Póki nie przyjdą po mnie Lorderowie.

„Pędź!”.

Wstaję. Moje stopy ruszają chwiejnym krokiem, potem przechodzą w lekki

trucht, a w końcu biegną, pędzą wśród drzew na polną ścieżkę. Na drogę, gdzie biały dostawczak znaczy miejsce, w którym zniknął Wayne; z boku widnieje napis „Buduj z nami”. Wpadam w panikę na myśl, że ktoś mnie zobaczy, jak wychodzę tutaj z lasu, koło jego wozu – w miejscu, do którego w końcu ktoś dotrze, gdy nieobecność Wayne’a zostanie zauważona. Teraz jednak droga jest pusta pod gniewnym niebem. Krople deszczu tak mocno bębnią o asfalt, że odbijają się, gdy biegnę po jezdni.

D e s z c z. Ma jeszcze jedno zastosowanie, jeszcze inne znaczenie, ale umyka ono strużkami z mojego umysłu, jak deszczówka spływa strumykami po ciele. Uciekło.

Drzwi otwierają się, zanim zdążę do nich dotrzeć. Mama, zdenerwowana, wciąga mnie do środka.

Nie może się dowiedzieć. Jeszcze kilka godzin temu nie byłabym w stanie ukryć swoich myśli. Teraz wiem, jak to zrobić. Wytresowałam własną twarz, wymazałam panikę z oczu. Patrzą tępo jak u każdej Zresetowanej.

– Kyla, jesteś przemoczona. – Ciepła dłoń na moim policzku. Pełne troski spojrzenie. – Jak twój poziom, w porządku? – pyta mama, chwytając mnie za nadgarstek.

Sama z zainteresowaniem patrzę na swoje Levo. Poziom powinien być niski, wręcz niebezpiecznie. Lecz wszystko się zmieniło.

6,3. Czujnik myśli, że jestem szczęśliwa. Ha!

W kąpielni, do której mnie wysłano, próbuję znów. Myśleć. Gorąca woda paruje, a ja wślizguję się do niej wciąż odrętwiała. Wciąż drżąca. W miarę jak ciepło rozlewa mi się po ciele, w głowie kłębi się zamęt.

Co się wydarzyło?

Wszystko przed Wayne’em wydaje się zamglone, jakbym patrzyła przez zamazaną szybę. Jak gdybym widziała jakąś inną osobę, która z zewnątrz wygląda tak samo: Kyla, metr pięćdziesiąt trzy, zielone oczy, blond włosy. Zresetowana. Może trochę inna niż większość, nieco bardziej świadoma i bardziej panująca nad sobą, ale zostałam Zresetowana – Lorderowie wymazali mi pamięć, żeby mnie ukarać za zbrodnie, których już nie pamiętam. Moje wspomnienia i przeszłość powinny były zniknąć na zawsze. Co się więc wydarzyło?

Dziś po południu poszłam na spacer. To pewne. Chciałam pomyśleć o Benie. Z jego imieniem napływają fale świeżego bólu, gorszego niż poprzednio, tak

silnego, że o mało nie krzyczę.

„Skup się”. Co się zdarzyło potem?

Ten zwyrodnialec Wayne poszedł za mną do lasu. Zmuszam się do myślenia o tym, co zrobił, co próbował zrobić. Przypominam sobie jego ręce na swoim ciele i znów ogarniają mnie strach i wściekłość. Przez niego dopadł mnie taki gniew, zalała taka dzika furia, że uwolniłam je z siebie bez zastanowienia. I coś się we mnie z m i e n i ło. Poruszyło, przestawiło, ułożyło na nowo. Przed oczyma błyska mi jego skrwawione ciało i wzdrygam się. Ja to zrobiłam? W jakiś sposób Zresetowana – ja – zdobyła się na akt przemocy. I nie tylko to: pamiętam zdarzenia, uczucia i obrazy ze swojej przeszłości. Z czasów, kiedy nie byłam Zresetowana. Niemożliwe!

Nie niemożliwe. Prawdziwe.

Teraz jestem nie tylko Kylą, bo takie imię nadano mi w szpitalu, kiedy zostałam Zresetowana niespełna rok temu. Jestem czymś – kimś – jeszcze. I nie mam pewności, czy mi się to podoba.

Rata-tata-ta!

Omal nie wyskakuję z wanny, wychlapując wodę na podłogę.

– Kylą, wszystko w porządku?

To drzwi. Ktoś (mama) właśnie do nich zapukał. I tyle. Siłą rozluźniam pięści.

„Uspokój się”.

– Tak, w porządku – udaje mi się wykrztusić.

– Będiesz pomarszczona jak śliwka, jeśli posiedzisz tam dłużej. Obiad na stole.

Na dole oprócz mamy są moja siostra Amy i jej chłopak Jazz. Amy – Zresetowana i przydzielona do tej rodziny podobnie jak ja, ale pod tyloma względami różna. Zawsze pogodna, pełna życia i rozszczebiotana, wysoka, ze skórą w ciepłym odcieniu czekolady, podczas gdy ja jestem niska, milcząca, blada. A Jazz nie ma nic wspólnego z resetem. Całkiem rozsądny z niego gość, jeżeli nie gapi się na olśniewającą Amy jak cielę na malowane wrota. Nie ma z nami taty, a to dla mnie prawdziwa ulga. Mogę się dziś wieczorem obejść bez jego czujnych oczu, nieustannie mierzących, taksujących, pilnujących, czy ktoś nie popełnia błędu.

Niedzielną pieczeń.

Rozmowa o praktykach mojej siostry, o nowej kamerze jej chłopaka. Amy papie w podekscytowaniu o tym, że zaproponowano jej pracę w miejscowym

gabinecie lekarskim, gdzie odbywa praktykę. Na razie tylko po południu, po szkole.

Mama zerka na mnie.

– Zobaczmy – mówi. A ja widzę coś jeszcze: nie chce, żebym po lekcjach zostawała sama.

– Nie potrzebuję opiekunki – odzywam się, chociaż nie jestem pewna, czy to prawda.

Wieczór stopniowo przechodzi w noc. Idę na górę. Przy myciu zębów patrzę w lustro. Zielone oczy odpowiadają tym samym spojrzeniem. Wyglądają znajomo, ale widzą rzeczy, których wcześniej nie dostrzegały.

Zwykłe rzeczy, tyle że nic nie jest już zwykłe.

Ostry ból w kostce odzywa się nagłaco i każe mi przestać biec. Pogoń jest gdzieś daleko w tyle, lecz wkrótce się zbliży. On nie pozwala odpoczywać.

Ukryj się!

Nurkuję między drzewa i biegnę z chlupotem w lodowato zimnym strumieniu, żeby zmylić trop. Potem czołgam się na brzuchu pod krzakami jeżyn, nie zważając na kolce zaczepiające się o włosy, o ubranie. Nagły ból, gdy ciernista gałąź łapie mnie za ramię.

Nie mogą mnie znaleźć. Nie tym razem.

Macam rękami wokół siebie, nagarniam sobie na ręce i nogi zimne, gnijące liście ze ściółki. Nade mną przez drzewa przebija się snop światła, omiata zarośla. Nieruchomieję. Światło opada niżej, tuż nad moją kryjówkę. Zaczynam oddychać dopiero wtedy, gdy oddala się bez zatrzymania.

Teraz czyjeś kroki. Zbliżają się, potem mijają mnie, słabną i oddalają się, aż wreszcie nikną w lesie.

Teraz trzeba czekać. Odliczam godzinę; zeszywniała, przemoczona, zziębnięta. Każde przemykające w mroku zwierzę, każda poruszająca się na wietrze gałąź sprawia, że wzdrygam się ze strachu. Ale im więcej minut przesuwam się w przeszłość, tym bardziej zaczynam wierzyć. Tym razem być może mi się udało.

Niebo już jaśnieje, kiedy wypęlam tyłem, ostrożnie cal po calu. Ptaki rozpoczynają swoje poranne trele, a mój duch śpiewa wraz z nimi, gdy się wynurzam spod krzaków. Czy nareszcie wygrałam w zabawie w chowanego w wersji podyktowanej przez Nica? Czy mogę być pierwsza?

Światło oślepia mi oczy.

– Tu jesteś!

Nico łapie mnie za ramię i szarpnięciem stawia na nogach. Kostka tak mi dokucza, że krzyczę z bólu, ale nic tak nie rani jak doznany zawód, palący i gorzki. Znów mi się nie udało.

Strzepuje liście z mojego ubrania. Otacza mnie ciepłą ręką w talii i pomaga mi wrócić do obozu, a jego bliskość, jego obecność odbijają się echem w całym moim ciele mimo strachu i bólu.

– Wiesz, że nigdy się nie wydostaniesz, prawda? – mówi. Jest jednocześnie rozradowany i rozczarowany moją postawą. – Zawsze cię znajdę.

Pochyla się i całuje mnie w czoło. Rzadki odruch czułości, który – wiem o tym aż za dobrze – w żaden sposób nie umniejsza kary, jaką Nico dla mnie szykuje.

Nigdy się nie wydostanę.

On zawsze mnie znajdzie...

ROZDZIAŁ DRUGI

Odległe „drrryń” odzywa się w głębokiej nicości. Wyciąga mnie skądś rozżaloną, na wpół obudzoną, na wpół oszołomioną, po czym z powrotem odpływam w sny.

Znów dźwięczy „drrryń”.

„Coś jest nie tak!”.

W jednej chwili otrząsam się ze snu, zrywam na równe nogi, lecz coś mnie trzyma, nie pozwala wstać. Szamoczę się z tym czymś, rzucam nim o ziemię i przyjmuję przyczajoną pozycję do walki. Gotowa na atak. Gotowa na cokolwiek...

Ale nic z tego. Obce, zagrażające mi sylwetki zamazują się i zmieniają, przybierają kształt zwykłych rzeczy. Łóżko. Stolik nocny. Na nim budzik, wciąż rozdzwoniony. To, co mnie trzymało, czyli pościel, w większości leży na podłodze. Dywan pod bosymi stopami. Białe światło wpadające przez otwarte okno. I senny, miauczący w proteście kot, zaplątany w zrzucaną pościel.

„Weź się w garść”.

Z rozmachem wciskam guzik budzika. Zmuszam oddech, by zwolnił – wdech, wydech, wdech, wydech – próbuję uspokoić dudniące serce, lecz nerwy wciąż mam napięte do granic.

Sebastian, cały zjeżony, gapi się na mnie z podłogi.

– Nie poznajesz mnie, kocie? – szepczę i wyciągam rękę, żeby ją sobie obwąchał, po czym gładzę mu futro na grzbiecie, szukając ukojenia zarówno dla niego, jak i dla siebie. Doprowadzam pościel do porządku i kot wskakuje z powrotem na łóżko, mości się, ale ciągle ma na mnie oko. Obserwuje.

Kiedy się obudziłam, myślałam, że jestem t a m. Jeszcze zaspana, pamiętałam każdy szczegół. Prowizoryczne schronienia, namioty. Wilgoć i zimno, dym palonego drewna, szelest liści drzew, świergot ptaków przed świtem. Ciche głosy. Ale im bardziej się wybudzam, tym słabsza staje się wizja. Szczegóły się rozmywają. Czy to sen, czy prawdziwe miejsce?

Mój czujnik Levo wskazuje umiarkowaną radość: 5,8, lecz serce wciąż bije szybko. Po tym, co się wydarzyło, poziom powinien mi spaść na łeb na szyję. Obracam Levo na nadgarstku, ciągnę mocno – nic. Powinno co najmniej wywołać ból. Zresetowani przestępcy nie mogą stosować przemocy ani wobec siebie, ani wobec innych, Levo strzeże każdego ich uczucia. Wyłącza człowieka

lub nawet powoduje śmierć, gdy właściciel za bardzo się zdenerwuje albo zezłości. Po tym, co zrobiłam wczoraj, powinnam już być martwa, potraktowana prądem przez chipa, którego wszczepiono mi do mózgu podczas resetu.

Mój umysł wypełniają echa ostatnich nocnych koszmarów: „Nigdy się nie wydostanę. On zawsze mnie znajdzie...”.

Nico. Tak właśnie ma na imię. Nie jest ulotnym snem. Jest prawdziwy. W mojej głowie płoną bladoniebieskie oczy – oczy, które potrafią jednocześnie pałać zimnym blaskiem i gorzeć. On będzie wiedział, co to wszystko znaczy. Żywa, chodząca po tym świecie część mojej przeszłości, która w jakiś sposób pojawiła się w tym życiu, w dodatku jako mój nauczyciel biologii. Przedziwna transformacja z... z... z czego właściwie? Niepewne wspomnienie wymyka mi się z zasięgu. Pięści zaciskają się z frustracji. Miałam go tam jak na tacy, widziałam, kim i czym jest, a teraz – nic.

Nico będzie wiedział. Ale czy powinnam pytać? Kimkolwiek był albo jest teraz, jedno wydaje się pewne: niebezpieczny z niego człowiek. Na samo brzmienie jego imienia żołądek mi się ściska, zarówno ze strachu, jak i z tęsknoty. Aby być blisko niego bez względu na cenę.

„On zawsze mnie znajdzie”.

Pukanie do drzwi.

– Kyla, jesteś tam? Spóźnisz się do szkoły.

– Wasz rydwan, moje damy – mówi Jazz z ukłonem. Zapiera się nogą o bok samochodu, żeby szarpnięciem otworzyć drzwi. Gramolę się na tylne siedzenie, Amy siada z przodu. I choć sprawia to już wrażenie powtarzanego co rano rytuału, jest mi tak o b c e. Bezpieczna, ale dręcząca monotonia.

Po drodze wyglądam przez okno. Gospodarstwa. Ścierniska. Krowy i owce gapią się tępo, przeżuając coś w błogim spokoju. A my dajemy się pędzić do szkoły, nie kwestionując sił, które nas kierują do narzuconego przez władzę życia. Co za różnica pomiędzy nami a nimi?

– Kyla? Ziemia do Kyli.

Amy odwróciła się do mnie na swoim siedzeniu.

– Przepraszam. Mówiłaś coś?

– Właśnie pytałam, czy nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym pracowała po szkole. Cztery razy w tygodniu, od poniedziałku do czwartku. Mama nie jest pewna, czy dasz sobie radę beze mnie. Kazała mi z tobą porozmawiać.

– Pewnie, że nie mam nic przeciwko. W porządku. Kiedy zaczynasz?

– Jutro – odpowiada z miną winowajcy.

– W takim razie już im powiedziałaś, że przyjdiesz – stwierdzam.

– Przyłapała cię! – odzywa się Jazz. – Ale co ze mną? Kiedy będziemy się spotykać?

I przez resztę drogi udają, że się kłócą.

Rano w szkole mam zamęt w głowie. Wczytuję legitymację przed każdą lekcją, siedzę grzecznie, udaję, że słucham. Staram się przybrać minę uważnej, chętnej do nauki uczennicy, by nikt nie miał powodu, żeby mi się bliżej przyglądać. Wczytuję kartę na końcu lekcji. Jem drugie śniadanie sama, jak zwykle ignorowana przez większość pozostałych uczniów, trzymających się z daleka od Zresetowanych. Choć większość z nich lubiła Bena, mnie już nie za bardzo. Zwłaszcza po tym jak zniknął.

„Gdzie jesteś, Ben?”. Jego uśmiech, poczucie pełnej ciepła pewności, kiedy mnie brał za rękę, sposób, w jaki jego oczy rozświeślały się od środka. Wszystko to działa jak wbity w brzuch i obracający się nóż – ból jest tak rzeczywisty, że oplątam się ciasno ramionami, próbując go jakoś uśmierzyć.

Jakaś część mnie jest świadoma, że nie mogę już dłużej tego powstrzymać. Że musi to ze mnie wypłynąć.

„Nie tutaj. Nie teraz”.

Wreszcie przychodzi czas na biologię. W drodze do pracowni biologicznej w żołądku narasta mi mdlący niepokój. A jeśli mi odbija i to wcale nie jest Nico? Czy on w ogóle istnieje?

„A jeżeli to on? Co wtedy?”.

Wczytuję legitymację, idę do ławki z tyłu sali i siadam na swoim miejscu. Wszystko to, zanim odważę się spojrzeć – nie ufam własnym nogom na tyle, by mieć pewność, że nie odmówią posłuszeństwa, kiedy oczy zobaczą to, co wciąż sobie wyobrażają.

I oto jest: pan Hatten, nauczyciel biologii. Patrę na niego uważnie, ale nic w tym dziwnego – wszystkie dziewczyny się gapią. Nie chodzi tylko o to, że jest za młody i za dobrze wygląda jak na nauczyciela – ma w sobie coś szczególnego. I nie chodzi też wyłącznie o te oczy, te sfalowane blond włosy z pasemkami, dłuższe, niż można by się spodziewać u nauczyciela, ani nawet o to, że jest taki wysoki i totalnie przystojny – wciąż jest coś więcej. Coś związanego z tym, jak się porusza – spokojnie, ale jakby był stale gotowy do ataku. Jak gepard wyczekujący sposobności, żeby się rzucić na ofiarę. Wszystko w nim ostrzega o n i e b e z p i e c z e ń s t w i e.

Nico. To rzeczywiście j e s t Nico, bez dwóch zdań. Nie ma co do tego wątpliwości. Jego oczy, niezapomniane bladoniebieskie tęczyówki z ciemniejszą obwódka, omiatają salę. Zatrzymują się na mnie. Patrząc w nie, czuję w środku ciepłe dotknięcie, rozpoznanie, niemal fizyczny wstrząs, który sprawia, że to się dzieje n a p r a w d ę. Kiedy on wreszcie odrywa wzrok, odbieram to jak wypuszczenie z objęć.

Nie jest wytworem mojej wyobraźni. Właśnie teraz po drugiej stronie klasy stoi Nico. Nieważne, że o tym wiedziałam ze wspomnień: dawnych i nowych, które porównywałam i układałam jak puzzle. Póki go nie ujrzałam na własne oczy – oczy rozumiejące teraz więcej, niż widać na wierzchu – nie przyjmowałam tego faktu do wiadomości.

Wtem przypominam sobie, że chociaż dziewczyny z klasy mogą się gapić do woli, ja nie powinnam. Przynajmniej nie tak jawnie. A więc przez całą lekcję staram się nie wpatrywać w niego, lecz to przegrana bitwa. Jego oczy raz po raz strzelają w moją stronę. Czy w tych spojrzeniach jest ciekawość? Pytania? Ilekroć jego wzrok mnie muska, mam wrażenie, że odbywa się jakiś taniec rozbawionego zainteresowania.

„Uważaj”. Dopóki nie rozgryzę, kim jest i czego chce, nie powinien wiedzieć, że coś się we mnie zmieniło. Siłą opuszczam wzrok na leżący przede mną zeszyt, na pióro, które błądzi po kartce, zostawiając bezładne granatowe zawijasy, na wpół uformowane szkice zamiast porządných notatek. Ręka pracująca na autopilocie.

Pióro, dłoń... l e w a d ł o ń. Bez zastanowienia wzięłam pióro do lewej ręki.

Lecz przecież jestem praworęczna. A może nie?

M u s z ę być praworęczna!

Oddech więźnie mi w gardle, wnętrzości napęlniają się strachem. Zaczynam się trząść.

Świat czernieje.

Ona wyciąga rękę. Prawą rękę. Po jej policzkach płyną łzy.

– Proszę, pomóż mi...

Jest taka młoda, to jeszcze dziecko. Ma w oczach tyle błagania i strachu, że zrobiłabym wszystko, by jej pomóc, ale nie mogę dosięgnąć. Im bliżej się przysuwam, im bardziej się staram, tym dalej ode mnie jest jej ręka. A ona za sprawą jakiegoś optycznego tricku zawsze wydaje się odwrócona w prawo. I zawsze jest za daleko, by ją złapać.

– Proszę, pomóż mi...

– Podaj mi drugą rękę! – mówię, lecz ona potrząsa głową. Oczy ma szeroko otwarte.

Powtarzam jednak prośbę tak długo, aż w końcu podnosi lewą rękę, wysuwając ją zza siebie, gdzie trzymała ukrytą przed moim wzrokiem. Palce są powykręcane, skrwawione. Połamane. Nagle przed moimi oczami przemyka wizja: cegła. Palce zmiążdżone cegłą. Wyrywa mi się stłumiony okrzyk.

Nie mogę jej chwycić za tak zmasakrowaną dłoń.

Jej ręce opadają. Dziewczynka potrząsa głową, niknie. Traci cielesność, aż widzę przez nią jak przez mgłę.

Rzucam się w jej stronę, lecz jest już za późno.

Zniknęła.

– Nic mi nie jest. Po prostu nie wyspałam się w nocy i tyle. Wszystko ze mną w porządku – upieram się. – Czy mogę pójść na ostatnią lekcję?

– Sama to ocenię – mówi szkolna pielęgniarka bez uśmiechu.

Skanuje moje Levo i marszczy brwi. Żołądek mi się ściska – boję się, co pokaże czujnik. Po tym, co się zdarzyło, poziom na pewno opadł. Gdy Levo działało jak trzeba, koszmary wywoływały u mnie nawet wyłączenie. Ale kto wie, co dzieje się teraz?

– Wygląda na to, że po prostu zemdlałaś. Poziomy są w porządku. A nawet dobre. Jadłaś drugie śniadanie?

„Daj jej powód”.

– Nie. Nie byłam głodna – kłamię.

Potrząsa głową.

– Kylo, musisz jeść. – Robi mi wykład na temat poziomu cukru we krwi, daje herbatę i ciasteczka. Potem każe mi siedzieć spokojnie w swoim gabinecie aż do ostatniego dzwonka i wychodzi.

Zostaję sama i nie mogę powstrzymać wirujących myśli. Dziewczynka z połamaną ręką w moim koszmarze czy wizji, czy co to tam było... Wiem, kim jest. Rozpoznaję ją jako wcześniejszą wersję siebie: moje oczy, moja budowa kości, wszystko. **L u c y C o n n o r**: zniknęła sześć lat temu ze swojej szkoły w Keswick, w wieku dziesięciu lat, według raportu na ZwA. Zaginieni w Akcji, nielegalna strona internetowa, na którą zajrzałam kilka tygodni temu w mieszkaniu kuzyna Jazza. Lucy była częścią mnie, zanim zostałam Zresetowana. Lecz nawet mając nowe wspomnienia, nie mogę sobie przypomnieć, żebym była nią, ani w ogóle nie pamiętam niczego z jej życia. Nie

potrafię nawet myśleć o niej jako o „mnie”. Jest kimś innym, odrębnym, oddzielnym.

Jak Lucy pasuje do zamętu, który mam w głowie? Sfrustrowana kopię biurko. Wszystko jest niby w zasięgu ręki, jednak tylko na wpół zrozumiałe. Czuję, że wiem, o co chodzi, ale kiedy się skupiam na szczegółach, wymykają mi się. Niewyraźne i niematerialne.

I to wszystko ściągnęłam na siebie, kiedy sobie uświadomiłam, że posługuję się lewą ręką. Czy Nico to widział? Jeżeli zobaczył, jak piszę lewą ręką, będzie wiedział, że coś się zmieniło. Powinam być praworęczna, i to jest ważne, bardzo ważne... Ale kiedy próbuję się skupić na tym, d l a c z e g o powinnam być praworęczna, dlaczego taka byłam jeszcze niedawno, a teraz już nie jestem, nie umiem tego ogarnąć. Pamięć jest zniekształcona, jak palce zmiażdżone cegłą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mama pojawia się w gabinecie pielęgniarki w momencie, gdy dzwonek oznajmia zakończenie lekcji.

- Witaj, Kyla.
- Cześć. Powiadomili cię?
- Oczywiście.
- Przepraszam. Zupełnie nic mi nie jest.
- To pewnie dlatego zesłaś w środku lekcji i wylądowałaś tutaj.
- No, w każdym razie teraz nic mi nie jest.

Mama namierza Amy i wiezie nas obie do domu. Wchodzimy i ruszam od razu na schody.

– Czekaj, Kyla. Chodź, porozmawiajmy chwilę. – Mama uśmiecha się, ale jej uśmiech obejmuje tylko usta, nie rozjaśnia twarzy. – Gorącej czekolady? – proponuje, więc idę za nią do kuchni.

Mama nie gawędzi podczas przygotowywania napoju. W ogóle zazwyczaj wiele nie mówi, jeśli nie ma nic ważnego do powiedzenia.

A teraz ma. Niepokój wykręca mi kiszki. Czy zauważyła, że się zmieniłam? Może, jeżeli jej powiem, co mnie dręczy, będzie mogła pomóc i...

„Nie ufaj jej”.

Kiedy mnie zresetowano, byłam jak niezapisana tablica. Nauka funkcjonowania zajęła mi w szpitalu aż dziewięć miesięcy – na nowo uczyłam się chodzić, mówić, dowiedziałam się, jak się posługiwać czujnikiem Levo. Potem przypisano mnie do tej rodziny. Z czasem zaczęłam postrzegać mamę jako osobę przyjazną, kogoś, na kim mogę polegać. Ale właściwie od jak dawna ją znam? Niecałe dwa miesiące. Wydaje się, że dłużej, ponieważ jest to całe moje życie poza szpitalem – wszystko, co mogę pamiętać. Teraz, kiedy mam szersze pole odniesienia, wiem, że do ludzi należy podchodzić podejrzliwie, nieufnie.

Mama stawia napoje przed nami na stole, a ja oplatom kubek palcami, rozgrzewając zziębnięte dłonie.

- Co się wydarzyło? – pyta.
- Chyba zemdlalam.
- Dlaczego? Pielęgniarka powiedziała, że nic nie jadłaś, ale twoja śniadaniówka z jakiegoś tajemniczego powodu jest pusta.

Milczę, sącząc czekoladę. Skupiam się na jej gorzkiej słodyczy. Nic, co mogłabym na ten temat powiedzieć, nie miałyby wiele sensu, nawet dla mnie. Zemdlalam, bo pisałam lewą ręką? I tamten sen czy cokolwiek to było. Od środka czuję ciarki.

– Kyla, rozumiem, jak ci teraz ciężko. Gdybyś chciała porozmawiać, wiesz, że możesz się do mnie zwrócić. O Benie czy o czymś innym. Jeżeli nie możesz zasnąć, nie szkodzi, że mnie obudzisz. Nie pogniewam się.

Na dźwięk imienia Bena moje oczy napełniają się łzami. Gdyby tylko wiedziała, jak n a p r a w d ę mi ciężko, gdyby знаła drugą połowę tej sprawy. Bardzo chciałabym się zwierzyć, ale jak by na mnie patrzyła, gdyby się dowiedziała, że mogłam kogoś zabić? Poza tym ona może nie miałaby nic przeciwko, gdybym ją zbudziła, ale tato tak.

– Kiedy wraca tato? – pytam, nagle uświadamiając sobie jego przedłużającą się nieobecność.

Zawsze podróżuje służbowo – instaluje i serwisuje rządowe komputery w całym kraju. Ale zazwyczaj wracał do domu co najmniej raz czy dwa razy w tygodniu.

– Cóż, pewnie nie będzie go w domu przez jakiś czas.

– Czemu? – Zadając pytanie, starannie ukrywam ulgę, jaką poczułam na tę wiadomość.

Mama wstaje, myje nasze kubki.

– Zdaje się, że brakuje ci snu, Kyla. Zdrzemnij się przed kolacją, co?

Koniec rozmowy.

Później, wieczorem, gubię się w pokręconych snach: biegnę, ścigam kogoś i sama jestem ścigana jednocześnie. Budzę się chyba po raz dziesiąty, walę pięścią w poduszkę i wzdycham. Nagle wychwytyję jakiś cichy dźwięk, jakby dobiegający z zewnątrz chrzęst. Może tym razem to nie koszmary wyrwały mnie ze snu?

Podchodzę do okna i przesuwam z jednej strony zasłonę. Zerwał się wiatr i teraz roznosi liście po ogrodzie. Drzewa nagle wydają się zupełnie nagie. Wczorajsza burza ogołociła je z resztek listowia, w powietrzu unoszą się pomarańczowe i czerwone wiry, przesłaniają częściowo ciemny samochód, który zatrzymał się przed domem.

Otwierają się drzwi wozu i wysiada jakaś kobieta. Długie, kręcone włosy opadają jej na twarz. Aż mi zapiera dech w piersi. Czy to możliwe? Kiedy odsuwa włosy, zamykając drzwi, jestem już pewna – to pani Nix. Mama Bena.

Chwytam się mocno parapetu. Dlaczego tu przyjechała?

Moje ciało zalewa fala podekscytowania: może ma wiadomości o Benie! Ale ta myśl, ledwie zaświtała mi w głowie, gaśnie. W blasku księżycy miga mi twarz kobiety – wymizerowana, blada. Jeśli pani Nix ma jakieś wieści, nie są dobre. Żwir na ścieżce chrzęści pod jej stopami, potem słychać ciche pukanie do drzwi.

Może przyjechała, żeby się domagać wyjaśnień – dowiedzieć się, co się przydarzyło Benowi, co zrobiłam. Może powie mamie, że byłam tam, zanim zabrali go Lorderowie. Przed oczyma staje mi bolesny obraz: Ben w udręce, łomotanie do drzwi, kiedy przyjechała jego mama. Powiedziałam jej, że go zastałam z przeciętą bransoletą czujnika i...

Ł o m o t a n i e d o d r z w i. Musiała je otworzyć kluczem, żeby się dostać do środka. Powiedziałam jej, że go znalazłam w tym stanie, ale pewnie się domyśliła, że kłamię. Bo inaczej jak drzwi mogłyby być zamknięte na klucz, gdybym dopiero przez nie weszła?

Na dole otwierają się drzwi wejściowe, cicho szepczą głosy.

„Muszę wiedzieć, o czym mówią”.

Wymykam się ukradkiem z pokoju, podchodzę do schodów, po czym ostrożnie stopień po stopniu sunę w ciemności na dół. Nasłuchuję.

Cicho gwizdże czajnik, głosy są przytłumione – rozmowa toczy się w kuchni.

Jeszcze jeden krok, i jeszcze. Kuchenne drzwi pozostawiono lekko uchylone.

Coś dotyka mojej nogi. Podskakuję i o mało nie krzyczę ze strachu. W porę uświadamiam sobie, że to Sebastian owija mi się wokół nogi z kocim pomrukiem.

„Proszę, nie hałasuj” – błagam go bezgłośnie. Pochylam się, żeby podrapać Sebastiana za uchem, i zahaczam przy tym łokciem o stolik. Stuk. Wstrzymuję oddech. Zbliżają się kroki! Nurkuję do ciemnego gabinetu naprzeciwko.

– To tylko kot – mówi mama.

Słuchać jakiś ruch, słabe „miau” i kroki wracają do kuchni. Drzwi zamykają się z kliknięciem. Zakradam się z powrotem do korytarza, by słuchać.

– Tak mi przykro z powodu Bena – odzywa się mama. Słyszę, że przesuwiają się krzesła. – Ale nie powinna pani tutaj przyjeżdżać.

– Proszę, musi mi pani pomóc.

– Nie rozumiem. Jak?

– Próbowaliśmy wszystkiego, żeby się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Wszystkiego. Nic nam nie chcą powiedzieć. Pomyślałam, że może pani mogłaby... – Głos milknie znacząco.

Mama ma znajomości. Polityczne: jej tato, zanim zginął w zamachu, był

premierem Centralnej Koalicji ze strony Lorderów. Czy mama może pomóc? Nadstawiam uszu.

– Ogromnie mi przykro. Już próbowałam, ze względu na Kylę. Ale natrafiam na pustą ścianę. Nic nie ma.

– Nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić. – Rozlega się ciche siąkanie i szloch. Pani Nix płacze. Mama Bena płacze.

– Niech pani posłucha. Dla własnego dobra powinna pani przestać wypytywać. Przynajmniej na razie.

I nie ma już logiki, żadnego rozsądku, żadnej kontroli – nie mogę się powstrzymać. Oczy wypełniają mi się łzami, gardło zaciska się mocno. Mama próbowała dowiadywać się o Bena. Ze względu na mnie. Nie powiedziała mi, ponieważ niczego się nie dowiedziała. Jak duże podjęła ryzyko! Zadawanie pytań tam, gdzie są zaangażowani Lorderowie, to ściąganie na siebie niebezpieczeństwa. Potencjalnie śmiertelnego.

I jakie ryzyko podejmuje mama Bena w tej chwili.

Gdy zaczyna się zbierać do wyjścia, przemykam z powrotem schodami na górę, do swojego pokoju. Odczuwam ulgę, bo mama Bena nie powiedziała mojej, że mnie zastała z Benem, ale ta ulga miesza się ze smutkiem. Jego mama tak samo jak ja cierpi z powodu straty. Ben był ich synem przez ponad trzy lata – od czasu, gdy został Zresetowany. Mówił mi, że są sobie bliscy. Tak bardzo chciałabym pobiec do niej i dzielić jej ból, ale nie mam śmiałości.

Otulam się ciasno ramionami. „Ben”. Szepczę jego imię, lecz on nie odpowiada. Ból atakuje mnie, jakbym była miażdżona. Deptana. Rozbijana na milion kawałków. Przedtem musiałam się powstrzymywać przed tymi uczuciami, bo inaczej czujnik zaraz by mnie wyłączył. Teraz, kiedy Levo nie działa, ból jest tak dotkliwy, że odbiera mi dech. Jak zabieg chirurgiczny bez znieczulenia. Nie tępy ból, tylko chłaiście ostrzem do głębi.

„Ben zniknął”. Mój mózg pracuje teraz lepiej, bez względu na kłębiące się w nim wspomnienia. Bena nie ma i nigdy już nie wróci. Nawet jeżeli przeżył mimo przecięcia czujnika, nie ma szans, by przetrzymał to, co mu zrobili Lorderowie. Ze wspomnieniami wraca wiedza: gdy Lorderowie kogoś wezmą, ten ktoś nie wraca.

Tak bardzo mnie to rani, chcę tę świadomość odepchnąć, ukryć się przed nią. Muszę jednak zatrzymać wspomnienia o Benie. Ból to wszystko, co mi po nim zostało.

Jego mama wychodzi z domu chwilę później. Wsiada do samochodu, lecz zanim ruszy, przez kilka minut siedzi zgarbiona nad kierownicą. Kiedy

odjeżdża, zaczyna kropić deszcz.

Gdy nie ma jej już w zasięgu wzroku, otwieram szeroko okno, wychylam się i wyciągam ręce w ciemność nocy. Zimne krople spadają na moją skórę i spływają wraz z gorącymi łzami.

D e s z c z. Wiąże się z nim coś ważnego, świta w moich wspomnieniach, ale wyślizguje się i zanika.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pochyliam się nad szkicownikiem, wściekle rysując liście i gałęzie. Pamiętam, żeby to robić prawą ręką. Nowy nauczyciel plastyki, który się w końcu pojawił, nie ma w sobie nic niebezpiecznego. Ani inspirującego. W ogóle ma w sobie niewiele czegokolwiek. Jest nędzną podróbką Gianellego, naszego dawnego nauczyciela. Ale dopóki mogę rysować, choćby tylko drzewa, jak nam kazano, nie obchodzi mnie, jak bardzo mdły jest pan od plastyki.

Chodzi po klasie, rzucając nijakie uwagi, aż zatrzymuje się przy moim ramieniu.

– Hmmm... cóż... interesujące – mówi i rusza dalej.

Patrzę na swoją kartkę. Narysowałam cały las rozgniewanych drzew, a w cieniu pod nimi ciemny kształt z oczami.

Co by na to powiedział Gianelli? Doradziłby, żebym zwolniła i bardziej się postarała – i miałby rację. Ale spodobałoby mu się dzikie ujęcie tematu.

Zaczynam od nowa, skrobanie węgla po papierze uspokaja mnie. Drzewa nie są już tak zagniewane jak poprzednio. Tym razem spoza cieni spogląda na mnie sam Gianelli. Tylko ja go rozpoznam w tym gąszczu. Wiem, co spotyka ludzi, którzy narysują zaginioną osobę, jak to zrobił on. Przedstawiam go więc tak, jak go sobie wyobrażam jako młodego człowieka zagubionego w lesie. Nie jako staruszka wywleczonego ze szkoły przez Lorderów.

Godzinę później wczytuję legitymację w wejściu do sali samodzielnej nauki i ruszam w stronę miejsca w głębi...

– Kyla?

Staję jak wryta. T e n głos tutaj? Czekam chwilę, po czym odwracam się za siebie. Nico opiera się o biurko z przodu sali. Z leniwym, zblazowanym uśmiechem na twarzy.

– Mam nadzieję, że dziś już się czujesz lepiej.

– Nic mi nie jest, proszę pana – odpowiadam. Jakoś udaje mi się odwrócić i podejść do siedzenia bez wypadku.

Jego obecność w charakterze znudzonego nauczyciela pilnującego, czy się uczymy w skupieniu, nie powinna mnie dziwić. Nauczyciele mają w tej sali dyżury, więc prędzej czy później musiała przyjść jego kolej. Nie spodziewałam się jednak, że spotkam się z nim tak szybko. Muszę przez chwilę trzymać ręce

splecione na kolanach, żeby je powstrzymać od drżenia.

Otwieram zadanie z algebry: coś, nad czym mogę udawać skupienie bez większego wysiłku. I próbuję się gapić na zeszyt, pamiętając, żeby ołówek trzymać w prawej ręce. Nico ma czerwony długopis, a na biurku przed sobą stos kartek do poprawienia. Widzę jednak, że udaje tak samo jak ja – raz po raz zerka na mnie.

Rzecz jasna, nie wiedziałabym tego, gdybym sama go nie obserwowała. Wzdycham, usiłując rozwiązać równanie. Liczby jednak pływają mi przed oczami, nie chcą być posłuszne, i z upływem czasu umysł też dryfuje. Bazgrzę po marginesach, spod ołówka wychodzą mi pnąca oplatające datę, którą jak zwykle napisałam u góry. Wtem skupiam wzrok na liczbach: 3.11. „Dzisiaj jest trzeci listopada”.

Kawałek układanki wskakuje na miejsce z niemal dosłyszalnym pstryknięciem.

Mam dzisiaj urodziny. Urodziłam się siedemnaście lat temu trzeciego listopada, ale tylko ja o tym wiem.

Na ramionach wyskakuje mi gęsia skórka. Znam datę swoich prawdziwych urodzin, nie tych, które mi przypisano w szpitalu, kiedy zmieniono moją tożsamość i ukradziono przeszłość.

Moje urodziny? Łamię sobie nad tym głowę, lecz nic mi do niej nie przychodzi. Nie przypominam sobie tortów, przyjęć ani prezentów, jest tylko sama data. Nie wiążą się z nią żadne typowe wspomnienia. Wyczuwam jednak, że kryje się we mnie coś więcej – więcej, niż potrafię znaleźć czy wywnioskować.

Część wspomnień, które odzyskuję, jest jak nagie fakty. Jakbym dostała do ręki własną kartotekę, przeczytała dane i zapamiętała tylko niektóre z nich. Nie łączą się z nimi żadne uczucia.

Ze strony internetowej zamieszczającej ogłoszenia o zaginionych dzieciach wiem, że miałam na imię Lucy, że zniknęłam w wieku dziesięciu lat, ale z tamtego życia nie pamiętam nic. Potem w jakiś sposób pojawia się jako nastolatka u boku Nica. Tylko z tego okresu udaje mi się odzyskać strzępy wspomnień, wcześniejsze życie to pusta karta.

Nico może znać odpowiedzi. Wystarczy mu się przyznać, że go pamiętam. Ale czy naprawdę chcę wiedzieć?

Kiedy rozbrzmiewa dzwonek, postanawiam, że jak najszybciej wypadnę z tej klasy, żeby nie dokonywać wyboru, czy chcę z nim rozmawiać, czy nie, póki nie dojdę z sobą do ładu. A mimo to zwlekam. Po plecach przebiega mi dreszcz...

czego? Podekscytowania? Strachu? Idę wolno na przód klasy, gdzie w drzwiach stoi Nico. Pozostali uczniowie już wyszli. Jesteśmy sami.

„Po prostu idź” – mówię sobie i zaczynam go mijać.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Rain – odzywa się Nico przyciszonym głosem.

Odwracam się. Krzyżujemy spojrzenia.

– Rain? – szepczę. Obmacuję w duchu i smakuję to imię, dostając je z powrotem. Rain. Jak d e s z c z. Pędzi ku mnie żywe, wyraźne wspomnienie: inny czas, inne miejsce. Wybrałam sobie to imię trzy lata temu, w czternaste urodziny. Pamiętam! To m o j e imię. Nie Lucy, jak mnie nazwali po urodzeniu rodzice. Nie Kyla, co wymyślono wiele lat później przy wypełnianiu w szpitalu formularza po tym, jak mnie zresetowano. „Rain” jest naprawdę m o j e. I jakby na dźwięk własnego imienia w końcu eksploduje ostatnia bariera oporu, jaką miałam w środku.

Jego oczy rozszerzają się i rozbłyskują. Nico mnie zna i co więcej, wie, że ja znam j e g o.

„Niebezpieczeństwo”.

Moje ciało zalewa fala adrenaliny, potężny zastrzyk energii: uciekać lub walczyć.

Ale jego szczególny wyraz twarzy znika, jakby go nigdy nie było. Nico cofa się o krok.

– Postaraj się pamiętać o zadaniu z biologii na jutro – mówi, rzucając okiem nad moim ramieniem.

Odwracam się i widzę panią Ali. Ogarnia mnie nienawiść, a potem strach, ale jest to strach Kyli. Ja nie boję się tej kobiety. Rain nie boi się niczego!

– Postaraj się pamiętać – powtarza Nico, tym razem darując sobie nic nieznaczącą wzmiankę o zadaniu domowym, przeznaczoną dla pani Ali. I zaraz oddala się korytarzem.

„Postaraj się pamiętać...”.

– Musimy sobie uciąć pogawędkę – stwierdza pani Ali z uśmiechem. Gdy się uśmiecha, jest najbardziej niebezpieczna.

Też tak potrafię. Uśmiecham się w odpowiedzi.

– Oczywiście – mówię i usiłuję utrzymać na wodzy rozpierającą mnie energię. Moje imię! Jestem R a i n.

– Od tej pory nie będę cię już odprowadzała z klasy do klasy. Widać, że umiesz się przemieszczać po szkole samodzielnie – oznajmia.

– Cóż, dziękuję pani za pomoc okazaną mi do tej pory – odpowiadam

najsłodszy tonem, na jaki mnie stać.

Oczy się jej zwężają.

– Słyszałam, że snułaś się półprzytomna, wyglądałaś jak siedem nieszczęść i nie uważałaś na lekcjach. A jednak dzisiaj wyglądasz kwitnąco.

– Przykro mi, że się źle poczułam. Dziś jest mi znacznie lepiej.

– Kylo, wiesz, że jeżeli coś cię trapi, możesz o tym ze mną porozmawiać. – Znów się uśmiecha, a po moich plecach przebiega dreszcz.

„Uważaj”. Oficjalnie niby jest asystentką nauczania, ale w rzeczywistości kimś znacznie więcej. Obserwowała mnie, wypatrywała najmniejszej oznaki, jakiegokolwiek odchylenia od sztywnych ram zachowania, jakiego się oczekuje od Zresetowanej. Wystarczy choćby podejrzenie, że wracają moje przestępcze skłonności, i zostanę skierowana z powrotem do Lorderów. A to oznacza terminację.

– Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

– Cóż, zobaczymy, czy tak się utrzyma. Musisz się przykładac z całych sił: w szkole, w domu, w społeczności, żeby...

– Wywiązać się z kontraktu. Skorzystać z drugiej szansy. Tak, wiem! Ale dziękuję, że mi pani przypomniała. Zrobię, co w mojej mocy. – Wysilam się na szeroki, pełen szczęścia uśmiech, którym mogłabym zarazić nawet szpiega Lorderów. Fakt, że pani Ali nie będzie już więcej moim ogonem w szkole, to niespodziewany bonus.

Na jej twarzy zakłopotanie walczy z rozdrażnieniem. Przesadziłam?

– Przekonamy się – cedzi lodowatym tonem. Uśmiech się ulotnił. Zdecydowanie woli, kiedy drzę w jej obecności.

Szkoda, że R a i n nie drży.

Czerwone, złociste, pomarańczowe plamy – dęb rosnący przed naszym domem przykrył trawę kolorowym dywanem. Idę do szopy po grabie.

Mam imię.

Atakuję liście grabiami, usypuję z nich sterty, a potem rozkopuję je nogą i grabię od nowa.

Mam imię! Takie, które wybrałam sobie sama – to właśnie tym kimś chciałam być. Lorderowie próbowali mi je odebrać, ale z jakiegoś powodu im się nie udało.

Po drugiej stronie drogi zatrzymuje się samochód, jakiego tu do tej pory nie widziałam. Wysiada chłopak w moim wieku albo nieco starszy. Workowate dzinsy i T-shirt tak wymięty, jakby jego właściciel kilka godzin spędził

za kierownicą albo spał – miejmy nadzieję, że nie jedno i drugie naraz – ale ogólny wygląd „zwisa mi, co mam na sobie” nawet mu pasuje. Chłopak otwiera bagażnik. Wyjmuje pudło i niesie je do domu. Wraca, widzi, że się przyglądam, i macha do mnie. Odmachuję. Kyla by tego nie zrobiła. Pewnie strzeliłaby buraka czy coś w tym stylu. Rain umie być pewna siebie. Chłopak bierze kolejne pudło.

Po drugiej stronie samochodu znika, opadając, jakby porwany niewidzialną wiatrą, po czym wysuwa głowę, żeby sprawdzić, czy patrzę. Udaję, że się wpatruję w niebo. Chłopak próbuje jeszcze kilku sztuczek, a ja tymczasem zgarniam liście, zabieram je za dom i wracam do środka.

– Dzięki, że je zagrabiłaś – mówi mama. – Bałaganiły na trawniku.

– Nie ma sprawy. Miałam ochotę coś zrobić.

– Czymś się zająć?

Kiwam głową, po czym przypominam sobie, że powinnam trochę spuścić z tonu, bo inaczej mama wpadnie na pomysł, żeby mnie zabrać do szpitala na badanie. Ta myśl wzbudza we mnie na tyle niepokoju, że mój uśmiech sam się rozwiewa.

Mama kładzie mi dłoń na ramieniu, ścisza lekko.

– Obiad zjemy, gdy tylko...

Drzwi się otwierają.

– Wróciłam! – wrzeszczy Amy.

Wkrótce siedzimy we trójkę przy stole, a Amy rozwodzi się szczegółowo nad swoim pierwszym dniem popołudniowej pracy w przychodni.

Okazuje się, że ta posada jest zdumiewającym źródłem plotek o miejscowej społeczności. Zostajemy poinformowane, kto się spodziewa dziecka, kto spadł ze schodów, bo za dużo wypił, oraz że nasz nowy sąsiad z naprzeciwka to Cameron z północy, który zamieszkał ze swoim wujostwem z nieznanych jeszcze powodów.

– Uwielbiam tę pracę. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę pielęgniarką – mówi Amy chyba po raz dziesiąty.

– A widziałaś jakąś porządną chorobę? – droczy się z nią mama.

– Albo rany? – dodaję od siebie.

– O! Właśnie mi się przypomniało. Nigdy nie zgadniecie.

– Co? – pytam.

– To było dzisiaj rano, więc nie widziałam na własne oczy, ale WSZYSTKO

o tym słyszałam.

– Więc nam opowiedz – zachęca mama.

– Przywieziono mężczyznę ze strasliwymi obrażeniami.

– Ojej – wzdycha mama. – Co mu się przydarzyło?

A ja zaczynam mieć złe przeczucie. Kiszki mi się skręcają z niepokoju, w żołądku narasta coś bardzo niedobrego.

– Nikt tego nie wie. Znalaziono go w lesie, za wsią, pobitego prawie na śmierć. Z ranami głowy i wychłodzonego, pewnie leżał tam kilka dni. Cud, że w ogóle przeżył.

– Powiedział, kto mu to zrobił? – bąkam, siląc się na spokojny wygląd i kontrolowany oddech.

– Nie, możliwe, że nigdy już nic nie powie. Był w śpiączce, kiedy zabrali go do szpitala.

– Kto to jest? – dopytuje się mama, ale ja wiem, zanim Amy zdąży się odezwać.

– Wayne Best. Wiecie, ten obmierzły budowlaniec, który stawiał ceglane murki na działkach.

Mama mówi, żebyśmy się trzymały z daleka od lasu, nie chodziły na ścieżkę. Martwi się, że grasuje tam jakiś szaleniec.

A tym szaleńcem jestem ja.

– Przepraszam was – mamroczę, nagle źle się czując.

Mama zwraca się do mnie.

– Pobladłaś. – Przykłada mi ciepłą rękę do czoła. – Chyba się spociłaś.

– Jestem trochę zmęczona.

– Idź wcześniej do łóżka. My pozmywamy.

Amy jęczy, a ja już idę na górę.

Gapię się na ścianę w ciemności. Sebastian, mile widziana smuga ciepła, rozciąga się wzdłuż moich pleców.

Ja to zrobiłam. Doprowadziłam człowieka do stanu śpiączki. Albo raczej zrobiła to Rain: wróciła dokładnie w tym samym czasie. Jak to zrozumieć? Jesteśmy tą samą osobą czy dwiema w jednym ciele? Czasami mam wrażenie, że jestem nią, jak gdyby jej wspomnienia albo to, kim była, brało nade mną górę. Niekiedy zaś, tak jak teraz, Rain odsuwa się na bok, wymyka, jakby jej nigdy nie było. Ale kim tak naprawdę jest Rain? I jak to możliwe, że Lucy wpasowuje się w jej przeszłość?

Łączy nas ta sama data urodzin: trzeci listopada. W głębi duszy tulę do siebie

tę wiedzę, ten sekret. Czy mieszczące się we mnie kawałki pasują do siebie, czy nie, pojawiłam się na świecie właśnie w tym dniu.

Mój umysł odpływa w senność. Lecz nagle daty zaczynają do mnie przemawiać i trzeźwo otwieram oczy.

Kończę dziś siedemnaście lat. Wyszłam ze szpitala we wrześniu, byłam tam przez dziewięć miesięcy. W takim razie zostałam Zresetowana niecałe jedenaście miesięcy temu. Miałam skończone szesnaście lat. Resetowanie człowieka po szesnastym roku życia jest nielegalne. Oczywiście Lorderowie, jeżeli mają powód, mogą łamać zasady, które sami ustanowili. Ale dlaczego mieliby to robić w moim przypadku?

W układance wciąż brakuje fragmentów. Czuję, że już prawie rozumiem, ale jeśli się przyjrzę bliżej, sens umyka. Jak coś, co widzi się tylko kątem oka, nigdy nie na wprost.

Niewykluczone, że Nico mógłby to wyjaśnić, gdyby chciał. Przynajmniej coś z przeszłości Rain. Lecz czego zażądałby w zamian?

Może lepiej zapomnieć o Rain i o wszystkim, czym była. Dziś, jutro, pojutrze pozostać sobą, zrobić ze swoją przyszłością, co mi pasuje. Trzymać się z dala od problemów i zostawić Nica za sobą. Unikać go, udawać, że to się nigdy nie zdarzyło.

Czy tak, czy siak, Wayne może to wszystko zepsuć.

„Powinnaś go była zabić”.

Ciii.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia na biologii czeka mnie niespodzianka. W drzwiach pojawia się nowy chłopak z przeciwka, Cameron.

Spostrzega mnie i zmierza prosto do pustego miejsca po lewej obok mojego. Siadając, uśmiecha się głupkowato.

To krzesło Bena. Krzyżuję ramiona na piersi, mrugam mocno i nie patrzę w lewo. Puste miejsce sprawiało mi ból, ale gdy ktoś je zajął, czuję się jeszcze gorzej.

Nico odwraca się w stronę tablicy. Dziewczyny nie spuszczaają z niego oczu. Gapią się na spodnie opinające jego pośladki, na jego plecy i ramiona, na ruch mięśni pod jedwabną koszulą, kiedy podnosi rękę, by pisać.

Zwraca się twarzą do nas, stojąc obok tablicy.

– Co to znaczy? – pyta i wskazuje ręką słowa, które właśnie napisał: „Selekcja naturalna”.

– Że przetrwają najsilniejsi – odpowiada jeden z uczniów.

– To jedna z możliwości – mówi Nico. – Żeby wygrać, nie trzeba być najsilniejszym, bo inaczej dinozaury pożarłyby naszych przodków na obiad. – Przesuwa spojrzeniem po klasie, aż jego wzrok pada na mnie. – Żeby przetrwać, trzeba być po prostu... najlepszym. – Wypowiada te słowa wolno, przeciąga je, nie spuszczaając ze mnie oczu.

W końcu kieruje wzrok w inną stronę. Zaczyna opowiadać o ewolucji i Darwinie, a ja próbuję robić notatki, udawać, że jestem gdzie indziej. Albo lepiej, że jestem kimś innym. Żeby tylko przetrwać tę lekcję, wydostać się stąd i...

Coś ląduje na moim zeszycie. Karteczka? Rozwijam ją. A na niej napisano: „I co, znowu się spotykamy!”.

Zerkam na Camerona. Mruga do mnie.

Wysilam się na wymuszony uśmiech. „Jeszcze się nie spotkaliśmy” – odpisuję pod spodem. Potem, udając, że się przeciągam, upuszczam liścik na jego książkę.

Chwilę później dostaję lotniczą pocztę. Spoglądam na Nica. Nie reaguje. Nawija o dinozaurach. Rozkładałam karteczkę.

„Tak, spotkaliśmy się. Ty jesteś Skacząca po Liściach. A ja Ten, Który Taszczy Ciężkie Pudła z Bagażnika. Znany też jako Cam”.

A więc Cam, nie Cameron, jak Amy dowiedziała się z plotek. I jest dokładnie tak zwariowany, jak się wydawał wczoraj.

Przez chwilę gryzę ołówek. Nie zwracać na niego uwagi czy...?

Coś mnie dźga w ramię. Zwariowany i niecierpliwy. Cóż, wiem, jak to jest być nowym i nikogo tu nie znać.

W porządku. Piszę więc na karteczce: „Dama Liściowa, znana też jako Kyla”. Składam papier i odsyłam do niego.

– Gratulacje! – Rozlega się po mojej prawej stronie. To Nico. Stoi tuż obok naszej ławki i patrzy prosto na mnie. Tak samo jak wszyscy inni w klasie.

– Ee...

– Szczęśliwa zwycięzcy dostaje w nagrodę zatrzymanie podczas przerwy śniadaniowej. A teraz postaraj się uważać do końca lekcji.

Czuję, jak na policzki wypełza mi gorący rumieniec. Ale nie z zawstydzienia, nie dlatego, że wszyscy na mnie patrzą. Nico mnie przyłapał. Gepard skoczył. I nic nie mogę na to poradzić.

Cam, trzeba przyznać, protestuje, twierdzi, że to jego wina. Lecz Nico go ignoruje. Lekcja toczy się dalej, a ja gapię się w odliczający minuty zegar, mając nadzieję, że ktoś inny da się na czymś przyłapać, że nie zostaniemy sami. Nie ma jednak na to szans. Nie, kiedy rządzi Nico.

Odzywa się dzwonek i wszyscy zaczynają się pakować. Cam stoi ze zmartwioną miną.

– Przepraszam – szepcze bezgłośnie i rusza za pozostałymi. Drzwi zamykają się za nimi.

Sami.

Nico wpatruje się we mnie z nieprzeniknioną twarzą. Sekundy ciągną się w nieskończoność, a ja jestem w środku... spanikowana? Nie, to jakieś inne uczucie. Jak strach powodowany czymś zarówno przerażającym, jak i ekscytującym: chodzeniem po kalenicy podczas burzy albo zjeżdżaniem po linie z klifu.

Ruch głową w geście oznaczającym: „Chodź za mną”. Wychodzimy z pracowni i idziemy korytarzem w stronę pokoi nauczycielskich.

Nico rozgląda się na boki, wyjmuje klucz i otwiera drzwi jednego z gabinetów.

– Wchodź – mówi. Żadnego uśmiechu, nic. Chłód.

Wchodzę więc za nim, powłócząc stopami. Nie mam wyboru, lecz w środku zaczynam się bać. Nico zamyka drzwi na klucz i nagłym ruchem chwyta mnie za ramię, wykręca mi je za plecami, przyciska mnie twarzą do ściany.

– Kim jesteś? – pyta cicho. – Kim jesteś?! – powtarza dobitniej, ale nie podnosi głosu. Nikt go nie usłyszy.

Ściska mi ramię mocniej. Ból jakby coś we mnie wyzwolił. P a m i ę t a m. I jestem gdzieś indziej. W innym czasie i miejscu. Gdzie niespodziewane testy Nica, takie jak ten, mogły kogoś nieostrożnego skrzywdzić. Ale wiem, jak się z tego wyrwać! Z błyskiem radości w pamięci podskakuję, rozluźniając uścisk, robię obrót i wbijam zaciśniętą pięść w twarde mięśnie jego brzucha.

Puszcza mnie i zaczyna się śmiać, rozcierając sobie brzuch.

– Przepraszam. Musiałem się upewnić. Jak twoje ramię, w porządku?

Uśmiech zwycięża na mojej twarzy. Kolistymi ruchami rozcieram sobie rękę.

– W porządku. Gdybyś naprawdę chciał mnie unieruchomić, podciągnąłbyś mi rękę wyżej. To był sprawdzian.

– Zgadza się. Manewr godny ciebie, Rain. – Znowu się śmieje. W jego oczach błyszczy zachwyty. – Rain! – powtarza i wyciąga ręce, a ja przysuwam się bliżej, aż wpadam w jego objęcia, ciepłe i mocne. Mam wrażenie, jakbym wracała dokądś, gdzie powinnam być, gdzie zawsze było moje miejsce. Gdzie wiem, kim i czym jestem, ponieważ wie to Nico.

Wtem odsuwa mnie na odległość ramion, badawczo spogląda mi w twarz.

– Nico? – pytam niepewnie.

Uśmiecha się.

– Pamiętasz mnie. To dobrze! Zawsze wiedziałem, że przetrwasz, moja wyjątkowa Rain. – Sadza mnie na krześle, a sam przysiada na biurku nade mną. Bierze mnie za rękę i ogląda moje Levo. – Zadziałało. Teraz to jest po prostu ozdóbka.

Okręca mi bransoletę na nadgarstku. Żadnego bólu, nic. Poziom umiarkowanego szczęścia. Zaczynam się uśmiechać, lecz uśmiech spełza mi z twarzy.

– Zadziałało? Nico, proszę, wyjaśnij mi. Pamiętam jakieś strzępy, ale mam straszny zamęt w głowie. Nie rozumiem, co mi się przydarzyło.

– Jak zawsze poważna. Powinniśmy się cieszyć! Świątować.

Jego uśmiech jest tak zaraźliwy, tak żywy, że idę w jego ślady.

– Musisz mi powiedzieć, co w końcu wyzwoliło twoją pamięć.

A ja się kulę, cofam przed tą myślą. Jeżeli Nico dowie się o Wayne, rozprawi się z nim, jak ze wszystkim, co zagraża jego ludziom. J e g o l u d z i o m. Tulę w sobie poczucie przynależności.

– Wcześniej kilka razy byłaś już blisko. Widziałem. Myślałem, że ta cała sprawa z Benem załatwi sprawę.

B e n. Jego imię znów przywołuje udrękę. Która zapewne maluje się na mojej twarzy.

– Zostaw ten ból, tylko cię osłabia. Pamiętasz jak, Rain? Odprowadzasz go do drzwi swojego umysłu, wypraszasz i porządnie za nim zamykasz.

Potrząsam głową. Nie chcę zapomnieć o Benie. Czyżby? Wracają przebłąski myśli z poprzedniej nocy: Nico ze swoimi sposobami działania jest niebezpieczny.

Wypowiadam na głos coś, co chodziło mi po głowie od dawna, tylko nie umiałam tego do siebie dopuścić:

– Trzymasz z ART, AntyRządowymi Terrorystami, prawda?

Unosi brew.

– Zapomniałaś! – Bierze mnie za rękę. – Nie nazywaj nas tak, jak mówią o nas Lorderowie, Rain. Jesteśmy Wolną Brytanią. Udziałem, jaki partia Wolność Brytanii miała mieć w Centralnej Koalicji, ale nigdy go nie dostała. Jesteśmy odłamkiem, drzazgą, która drażni władze. Ja nią jestem i ty. Lorderowie się nas boją. Wkrótce zostaną wyparci i ten wspaniały kraj znów będzie wolny. Z w y c i ę ż y m y!

W mojej głowie odzywa się echem melodyjny slogan: „Wolna Brytania już dziś! Wolna Brytania już dziś!”.

I przypominam sobie, jak Nico uzupełniał luki, które pozostały nam z lekcji historii. Po tym, jak Wielka Brytania wycofała się z Unii Europejskiej i zamknęła granice, po manifestacjach studenckich i zniszczeniach z lat dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku Lorderowie surowo rozprawili się z protestującymi, gangami i terrorystami, wszystkich wrzucając do jednego worka: bez względu na wiek winnych czekało więzienie lub śmierć. Ale potem, kiedy sytuacja się unormowała, zostali zmuszeni do przyjęcia kompromisu, zgodnie z którym Wolność Brytanii miała wejść do Centralnej Koalicji, a dla winnych poniżej szesnastego roku życia zniesiono surowe kary. Wprowadzono reset, żeby im dać drugą szansę, nowe życie. Ale Wolność Brytanii stała się marionetką Lorderów, którzy coraz bardziej nadużywali swojej władzy. W odpowiedzi powstała Wolna Brytania, stawiająca sobie za cel pozbycie się ucisku Lorderów za wszelką cenę.

Z a w s z e l k ą c e n ę.

A z tego zrodził się terror. Potrząsam głową, jakaś częśćka mnie nie przyjmuje prawdy, która nie pozostawia złudzeń.

– Nie jestem terrorystką. A może jestem?

Nico zaprzecza ruchem głowy.

– Żadne z nas nie jest terrorystą. Ale byłeś z nami w naszej walce o wolność i byłabyś nadal, gdyby Lorderowie cię nie złapali i nie zresetowali, kradnąc ci pamięć. Albo przynajmniej tak im się zdawało.

– Tak, jestem tutaj. I znam cię. Trochę pamiętam. Ale...

– Za dużo tego naraz, prawda? Posłuchaj, Rain. Nie musisz nic robić, jeśli nie chcesz. Nie jesteśmy jak Lorderowie. Nie z m u s z a m y ludzi do niczego.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Tak się cieszę, że u ciebie wszystko w porządku. Znow jesteś sobą. – I uśmiecha się, a ja ponownie ląduję w jego ramionach.

Z mroków wyłaniają się kolejne strzępy wspomnień. Nico nie słynie z przytulania ani z uśmiechów. Robi to bardzo rzadko, jakby wręczał nagrodę za to, że ktoś wyjątkowo zabłysnął w jego oczach i zasłużył na wyróżnienie. Walczyliśmy o jego uznanie. Byliśmy gotowi za nie zabić. Wszyscy. Zrobilibyśmy cokolwiek, by dostać chociaż półuśmiech.

– Posłuchaj. Jest jeszcze jedno. Chciałbym z tobą dłużej porozmawiać. Muszę się dowiedzieć, jak to u ciebie zadziało, żebyśmy umieli pomóc innym przetrwać reset. Chcesz tego, prawda?

– Oczywiście.

– Mam coś dla ciebie. – Sięga do szuflady biurka. Z tyłu jest fałszywa ścianka, a za nią schowek. Nico wyjmuje małe metalowe urządzenie, cienkie i giętkie. Pokazuje mi je. – Patrz, to komunikator, w skrócie kom. Widzisz, przyciskasz ten guzik tutaj i czekasz, aż się zgłoszę. Wtedy możemy rozmawiać. Dzwon, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Właśnie się zastanawiam, gdzie schowam ten wielce nielegalny gadżet, gdy Nico rozwiązuje problem. Wsuwa komunikator pod moje Levo, a urządzenie przylega idealnie, przypięte niewidocznym zatrzaskiem. Kontrolki też nie widać, ledwie je mogę wyczuć.

– W tym miejscu jest niewykrywalny. Nawet jeśli przejdiesz przez wykrywacz metalu, jego sygnał wykaże po prostu, że masz na ręce Levo.

Okręcam sobie czujnik na nadgarstku – komunikatora prawie nie czuję.

– A teraz idź. Zjedz drugie śniadanie. Porozmawiamy później, gdy będziesz gotowa. – Dotyka mojej twarzy. – Tak bardzo się cieszę, że znow jesteś z nami – mówi. Jego ciepła ręka na moim policzku wywołuje elektryczne iskrzenie w całym ciele.

Przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi.

– Idź – ponagla.

Ruszam więc korytarzem jak we mgle. Po kilku krokach oglądam się

za siebie. Nico uśmiecha się, zamyka drzwi. Znika.

Im dalej jestem od niego, tym szybciej opuszczają mnie ciepło i radość, a na ich miejsce wślizgują się chłód i samotność.

Przypływają kolejne fragmenty wspomnień. Tamten trening z mojego snu? To się działo naprawdę. Trening z Nikiem, z Wolną Brytanią. Ukrywanie się w lesie z innymi, podobnymi do mnie. Nauka walki. Broń. Uczyliśmy się wszystkiego, czym dałoby się uderzyć w Lorderów. Za wolność! I wszystkie dziewczyny kochały się w Nicu, a wszyscy chłopcy chcieli być tacy jak on.

Wystarczyło kilka minut spędzonych z nim sam na sam, żebym poczuła się tak jak wtedy. Patrząc na samą siebie jego oczami, nabrałam pewności co do tego, kim jestem. Stałam się tą Rain, którą znał. Jakaś częśćka mnie chce, żeby przejął kontrolę, żeby mi mówił, co mam myśleć, co robić. Żebym nie musiała próbować układać sobie wszystkiego w głowie sama.

Im bardziej się od niego oddalam, tym mocniej mnie to przeraża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Kyla! Masz gościa – woła mama od schodów.

Gościa? Schodzę na dół, a tam stoi Cam – ze zmieszaną miną i talerzem w rękach. Jego czupryna w kolorze piasku jest prawie uczesana. Dziś włożył koszulę z kołnierzykiem i wyraźnie wionie od niego zapach wody po goleniu.

– Cześć – mówi.

– A, cześć.

– Chciałem przeprosić. – Podaje mi talerz. Ciasto czekoladowe? Rozpaczliwie przekazuję mu w myślach: „Nic nie mów”, ale to nie działa. – Przeze mnie zatrzymali cię po lekcji. Totalnie z mojej winy.

– Zatrzymali po lekcji? – pyta mama.

Posyłam mu miażdżące spojrzenie.

– O, kurczę! Pewnie nie chciałaś, żeby się dowiedziała.

Dzięki, że mówisz to na głos, bystrzaku. Wzdycham.

– Kyla? – Znów mama.

– Tak. Nauczyciel zatrzymał mnie dziś na przerwie śniadaniowej. I tak, to była wina Cama. Teraz dobrze?

Mama się śmieje.

– Widzę, że mając takiego sąsiada, nie ukryjesz żadnych tajemnic.

– Naprawdę mi przykro – odzywa się znowu Cam z jeszcze bardziej skruszoną miną.

– W porządku. Naprawdę. Dzięki za ciasto – mówię i przyjmuję talerz, mając nadzieję, że on zrobi to samo z moją aluzją i pójdzie sobie.

– Wejdz – zachęca mama. – Myślę, że do ciasta pasuje herbata.

Co za pech.

Słowo „ciasto” wywabia sprzed telewizora Amy i siostra dołącza do nas. Apetyczny ciemnoczekoladowy wypiek ozdobiony białą polewą.

– Naprawdę dobre. – Daję się skusić na kawałek i humor mi się poprawia. Bo ciasto jest rzeczywiście pyszne, ciemna czekolada w środku rozpuszcza się w ustach, a jej gorzki smak odpowiednio równoważy dodatek słodczy. – Sam upiekłeś?

– Uwierz, gdybym to ja je upiekł, nie chciałabyś tego jeść. Mój wujek robi takie cuda.

– Dlaczego do nich przyjechałeś? Zostaniesz na dłużej? – pyta moja siostra.

– Amy! – napomina ją mama.

Cam się śmieje. Gdy się uśmiecha, na policzkach pojawiają mu się dołeczki.

– W porządku. Nie wiem, na jak długo. Moją mamę wysłali na platformę badawczą na Morze Północne. Więc pewnie na tak długo, aż znajdą tam coś ważnego.

– A twój tato? – wypytuje Amy.

– Rozeszli się w zeszłym roku – odpowiada Cam prosto z mostu, a jego mina podpowiada, że Amy zapuściła się na niedozwolony teren.

Mama szybko zmienia temat, pytając o wujka i ciocię.

W końcu obie wychodzą z kuchni, gdy Cam zagaduje, co do tej pory przerabialiśmy na biologii. Jakbym na to zwracała uwagę. Ale idę na górę po notatki.

– Przepraszam, pewnie wiele ci nie pomogą. – Podaję mu zeszyt.

Cam przegląda go i szybko się orientuje, że większość moich notatek to bezładne bzdury.

– Mam kłopot ze skupieniem się na tym przedmiocie – przyznaję.

– Dziś byłaś w krainie wrózek – mówi. – Posłałem ci karteczkę, żebyś oderwała wzrok od Boskiego Nauczyciela, Który Zstąpił na Nasz Ziemski Padół.

– To idiotyczne – zaprzeczam, zdenerwowana, że zauważył. Że w ogóle rzucało się to w oczy.

– O, daj spokój. Tak samo robi reszta dziewczyn: totalnie się rozplývacie, kiedy zaczyna roztaczać swoje uroki i wdzięki. Ja takie rzeczy zauważam. Ale Hatten to paskudna gnida, moim skromnym zdaniem.

– Jak to?

Wyciąga z kieszeni kartkę. Rozkłada ją, żeby pokazać komiksowy rysunek z podpisem: „Selekcja naturalna”. Śliczny puszysty króliczek, którego ściga lis, którego ściga lew, którego ściga dinozaur (tyranozaur?) i którego na końcu ściga Nico. Ubrany w skóry jak jaskiniowiec, ściskający w ręce maczugę, ze zdecydowanie złym, maniakałnym wejrzeniem.

Śmieję się.

– Naprawdę tak go widzisz?

– Taak. Jest zwierzakiem, to pewne. Jak w ogóle dostał kwalifikacje nauczyciela? Spodziewam się, że lada moment każe nam wejść do chłodni i przerobi nas na kiełbaski albo coś podobnego.

Jak dostał nauczycielskie kwalifikacje? Niewątpliwie wie o biologii więcej niż ja, ale na pewno nie jest autentycznym nauczycielem. Może gdzieś tam był

sobie prawdziwy pan Hatten, nauczyciel biologii, i już go nie ma. Mój uśmiech gaśnie.

Bezwiednie zaczynam rysować maszerujące kielbaski w mundurkach naszej Szkoły imienia Lorda Williamsa.

– Wow. Naprawdę umiesz rysować.

– Dzięki. Twój rysunek też jest dobry.

– Nieee. Ja skrobię tylko głupawe żarciki.

– Kiedy naprawdę jest dobry. Ale chyba będziesz potrzebował pomocy w nauce.

– O?

– Na początek: to... – stukam palcem w jego rysunek – nie jest selekcja naturalna, tylko raczej łańcuch pokarmowy.

– I?

– Takie dinozaury już dawno wypadły z istniejących łańcuchów pokarmowych.

Cam zostaje przez jakąś godzinę. Mógłby zagadać człowieka na śmierć, papie o wszystkim i o niczym. Rysuje karykatury kolejnych nauczycieli. Ciekawe, jak przedstawiłby panią Ali?

– Miło widzieć, że się uśmiechasz, Kyla – mówi mama, kiedy wieczorem wybieram się na górę.

A ja zastanawiam się, czy nie byłoby miło zostać tą dziewczyną na zawsze. Taką, której nie obchodzi nic więcej niż szkoła, podśmiewanie się z nauczycieli i przyjmowanie chłopaka przynoszącego ciasto. Cam jest miły, zabawny, nieskomplikowany i głupawy. Zupełnie inny niż Ben.

B e n. Porażona własnym porównaniem, zastanawiam się nad tym, co Ben pomyślałby o Camie. Że nie tylko przyjaźń mu w głowie. I miałby rację.

Co ja sobie myślałam? Nagle cały wieczór przygasa – znika wrażenie innego, spokojnego życia. Pozostają poczucie winy i ból. W ogóle nie pamiętałam o Benie. Mama ucieszyła się, widząc u mnie uśmiech. Ale jak mogę się uśmiechać, nawet z żartów Cama, kiedy Ben jest... jest... właściwie co z nim jest?

Wczorajszej nocy jego mamy nic nie było w stanie pocieszyć. Moja mama nie mogła jej pomóc, kobieta została ze swoją rozpaczą.

Może ja znajdę sposób, by jej okazać wsparcie. Podpowiem coś, co dałaby radę zrobić sama: zamieścić ogłoszenie o zaginięciu Bena na ZWA, obok raportów o innych zaginionych dzieciach. Coś takiego mogłoby przynieść jej

nadzieję, sprawić, że potrafiłaby dalej żyć.

Może jeżeli pozna prawdę, przestanie mnie nienawidzić.

Biegnę.

Piasek osypuje mi się spod stóp. Ciągąc od morza słone powietrze drapie w gardło, gdy walczę o oddech. Biegnę szybciej.

Poprzez strach słyszę nawoływania mew, widzę połyskujące na wodzie gwiazdy. Przede mną łódź wyciągnięta na brzeg.

Szybciej!

Taka jestem zmęczona. Jedna stopa, nieuniesiona wystarczająco, zahacza o piasek i padam. Lecę siłą rozpędu, ląduję twardo. Powietrze nie dopływa do płuc, które i tak nie miały go na tyle, bym mogła biec dalej. Wszystko dokoła wiruje...

...i zmienia się. Noc staje się łagodniejsza. Bardziej odległa. Nie czuję już desperackiej walki o oddech ani oszalałego bicia serca, lecz strach jest bliższy, bardziej kompletny.

– Nigdy nie zapomnij, kim jesteś! – krzyczy czyjś głos, po czym się wyłącza.

Odcina.

Wokół mnie rosną ceglane ściany. Skrob, pac. Skrob, pac. Jak szufla wsuwana w piasek.

I wszędzie dokoła ciemność.

Cisza.

Gęsta i absolutna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ciemna kurtka, dżinsy, ciepłe rękawiczki. Ciemna czapka – żeby nie „świecić” jasnymi włosami w blasku księżyca i żeby nie zmarznąć. Noc jest zimna.

Jak cień przemykam po schodach na dół, po czym ostrożnie, cicho otwieram boczne drzwi i wychodzę w noc. I dziwię się własnym bezdźwięcznym ruchom. Nie jest to już żadna zagadka, te ukryte umiejętności mają wyjaśnienie – wyuczyłam się ich na treningach Wolnej Brytanii. Wszystko to tkwiło głęboko schowane i ujawniło się, dopiero gdy zaszła potrzeba. Kto wie, co jeszcze potrafię?

Przejeżdża samochód, a ja wtapiam się w cienie. Dokąd ten ktoś jedzie o trzeciej nad ranem?

Ja idę się zobaczyć z mamą Bena.

Stare mapy turystyczne znalezione w domu na półce pokazują, że kanały za domem Bena mają połączenie ze ścieżką biegnącą ponad naszą wioską, wystarczy przejść kilkoma wiejskimi drózkami. Niecałe dziesięć kilometrów. Powinnam przebiec ten dystans w godzinę i rozpaczliwie pragnę biegu. By się otrząsnąć ze snu. Snu, który w różnych wariantach nawiedzał mnie, odkąd się obudziłam w szpitalu po resekcji.

Ruszam powoli przez wieś, trzymając się w cieniu, na wypadek gdyby jakiś nocny marek zerknął w okno. Przez pełną napięcia chwilę odczekuję, aż senny pies odszczeka swoje niezdecydowane „hau, hau”, ale nie otwierają się żadne drzwi, nie słychać ludzkich głosów i wkrótce szczekanie milknie. Gdy docieram do ścieżki na końcu wsi, zaczynam biec: wolniej, niż się spodziewałam, ponieważ muszę uważać, by się nie potknąć o korzenie drzew, słabo widoczne w nikłym świetle księżyca. Potem oczy mi się przyzwyczajają do mroku i przyśpieszam.

To ta sama ścieżka, którą Ben i ja szliśmy razem. Ten sam punkt widokowy, gdzie śmiał się z niewidocznego we mgle widoku i prawie mnie pocałował. Zanim przerwał nam Wayne.

Zanim Benowi spadł poziom i jego Levo o mało go nie wyłączyło. A zrobiłoby to, gdyby nie zażył nielegalnej Pigułki Radości. To od tych pigułek zaczął się cały problem. A wszystko z powodu Wayne’a: przyczepił się, Ben nie był w stanie nic zrobić. Zresetowani nie mogą stosować przemocy, nawet w samoobronie. Co by się wydarzyło, gdyby Amy i Jazz nie zjawili się w porę?

Czy moje wspomnienia wróciłyby już wtedy? Truchleję w duchu.

„Teraz nie ma się czego bać”.

Nie. Nie ma strachu, odkąd zaczęłam sobie przypominać to, czego nauczył mnie Nico. Wystarczy zapytać Wayne’a. Mój uśmiech blednie.

Po krótkim czasie ścieżka się rozwidła. Odgałęzienie odchodzące w lewo znam – prowadzi z powrotem na skraj naszej wioski. To odbiegające w prawo jest dla mnie nowe, wiedzie do mojego dzisiejszego celu.

Bieg, ciemność, noc: czuję się cudownie! Zbyt długo byłam zamknięta. Zimne powietrze, rytm stóp i biały oddech, tu i teraz, biorą mnie w posiadanie. Aż liczy się tylko to, że biegnę.

Lecz w miarę, jak się zbliżam do celu, pojawiają się myśli. Co będzie, gdy dotrę na miejsce? Co sobie o mnie pomyśli mama Bena, kiedy zapukam do jej tylnych drzwi o czwartej rano? Trudno przewidzieć. Co powinnam powiedzieć?

Jest tylko jeden sposób, w jaki mogę się do tego zabrać: muszę jej wyznać prawdę. Muszę jej opowiedzieć, co się wtedy faktycznie wydarzyło.

Na pewno wie, że kocham Bena. Nigdy bym go nie skrzywdziła, za nic w świecie.

„Ale to zrobiłaś”.

Nie! To nie tak. Sam zamierzał sobie przeciąć Levo. Próbowałam go powstrzymać.

„Powinnaś się była bardziej postarać”.

No właśnie, trzeba się z tym zmierzyć: powinnam się była bardziej postarać. Zawsze nam powtarzano, że jakiegokolwiek uszkodzenie czujnika spowoduje śmierć – czy to z bólu, czy z wyłączenia. I owszem, Ben był tak bardzo zdeterminowany, żeby spróbować się uwolnić, że nie chciał słuchać. Ale podczas gdy ból spowodowany jego nieobecnością jest dotkliwy, myśl, że powinnam była coś zrobić, cokolwiek, by go powstrzymać, okazuje się jeszcze gorsza.

Powody, dla których mu pomogłam, wydają się właściwe. Z moją pomocą miał większe szanse na przeżycie. Bez niej niemal na pewno nie dałby rady.

„Ale i tak mu się nie udało, prawda?”.

Czyżby? Bransoleta szybko ustąpiła pod ostrzem szlifierki w moich pewnych rękach, jego nadgarstek nieruchomo tkwił w imadle. Ben wtedy żył. Ale ten ból. Najmniejsze poruszenie działającego czujnika Levo boli jak walnięcie w głowę młotem kowalskim. Przecięcie musiało być porównywalne z amputacją kończyny bez znieczulenia.

Nie mogę wyrzucić z pamięci tego, co się działo potem, ostatnich chwil,

kiedy go widziałam. Nieoczekiwany powrót jego mamy, która zastała go zwijającego się z bólu, moje ramiona wokół niego, łzy spływające mi po twarzy. Levo przecięte, ciało w konwulsjach. Nie było czasu na pytania. Wezwała pogotowie i kazała mi się wynosić, uciekać, zanim przyjedzie. I tak zrobiłam. Zostawiłam go, żeby ratować siebie. Ben leżał tam w agonii. Jego ciałem wstrząsały spazmy, powieki na pięknych oczach były mocno zaciśnięte. Przynajmniej nie widział, jak odchodzę i go zostawiam.

A potem przyjechali Lorderowie i zabrali go.

Mrugam, bo do oczu napływają mi łzy. Muszę się skupić na ścieżce pod nogami, na ciemności, na biegu. Mama Bena zasługuje na prawdę.

Moje ciemne myśli i bieg tak mnie pochłaniają, że nawet nie zauważam, jak pokonuję kilka kilometrów. Jego dom jest już pewnie blisko. Coś jednak wydaje się nie tak. W powietrzu unosi się dziwny zapach. Najpierw wyczuwam go tylko trochę, potem mocniej.

Swąd?

Woń jest coraz wyraźniejsza, zwalniam do truchtu, potem idę. Teraz czuć bardzo mocno, powietrze jest gęste i nieprzejrzyste, nie przepuszcza księżycowego światła. Oczy zaczynają mnie piec, a od kaszlu powstrzymuje tylko świadomość, że mam być cicho.

„Uwaga. Zwolnij, nie hałasuj”.

Widać już drogę Bena. Domy mającą niewyraźnie za ogrodzeniami i żywopłotami po jednej stronie ścieżki nad kanałem. Nad jednym z nich leniwie unosi się dym, wije się na wietrze. Jest nierealnie srebrzysty i czerwony, podświetlony od góry przez księżyc, od dołu przez czerwoną łunę. Choć to już właściwie nie dom. Będąc blisko, widzę, że zdążył spłonąć doszczętnie. Pozostały zgliszcza. Zupełna ruina.

To nie może być dom Bena, niemożliwe. Przyglądam się sąsiednim budynkom. Żaden z nich nie wygląda jak jego dom, z warsztatem, gdzie mama Bena robiła metalowe rzeźby. To musi być tutaj.

Wzmaga się wiatr i naciągam sobie na twarz koszulkę, żeby przez nią oddychać. Duszę się w dymie, nie mogąc dłużej powstrzymać kaszlu. Nie ma strażaków, nikogo w zasięgu wzroku. Cokolwiek się tutaj zdarzyło, już jest właściwie po wszystkim – tylko zgliszcza, pałający popiół. Dym. Jak...?

„Trzymaj się z daleka. Zawróć. Będą gapie”.

Czy to naprawdę dom Bena? Jak to możliwe? Co się stało?

„Odpuść. Nic już tutaj nie da się zrobić”.

Nic nie da się zrobić. Jeżeli ktoś był w tym domu...

Gapię się na dymiące zgliszcza. Budynki dokoła są nietknięte, tylko ten jeden doszczętnie zniszczony. Żadnych szans dla kogoś, kto byłby w środku. Żadnych.

Czy byli w domu? Rodzice Bena? Przepelnia mnie zgroza. Nigdy nie poznałam jego taty, ale mama była tak pełna życia, swej artystycznej pasji. A potem tak przepelniona bólem po stracie syna.

Nic nie zostało.

„Spadaj stąd”.

Ponaglający głos i strach robią swoje. Moje stopy odwracają się, wolno stąpają ścieżką nad kanałem. Przemykam w cieniu drzew rosnących wzdłuż ścieżki. Tej nocy na pewno nie brakuje tu czujnych oczu.

Zatrzymuję się i odwracam. Ścieżka wznosi się lekko w tym miejscu, pozwala zobaczyć więcej.

„Usuń się z widoku!”.

Jeżeli ja widzę, co jest w dole, z dołu widać mnie. Kryję się w cieniu drzewa.

Instykt krzyczy, bym biegła, schowała się, nie patrzyła. Ale nie mogę oderwać wzroku od dymiących zgliszcz. Czy byli w środku? Spłonęli żywcem? Wzdrygam się. Nie mogę tego ogarnąć, nie mogę...

Wtem czyjeś ręce łapią mnie od tyłu za ramiona.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wbijam lewy łokieć w czyjeś ciało, aż tamta osoba traci oddech i leci do tyłu na drzewo. Obracam się błyskawicznie, kopię prawą stopą, prawa pięść już się wyciąga, by trzasnąć czaszką napastnika o pień, gdy...

Ręce mi opadają.

Przedemną zgiętą wpół dziewczyna z trudem łapie powietrze, trzymając się kurczowo za brzuch. Długie ciemne włosy zasłaniają jej twarz. Ledwie ją widać w tym świetle, ale poznaję te włosy. No przecież!

– Tori?

Podnosi wzrok. Znajome nieskazitelne rysy, piękne oczy. A jednak nie te same. Puste. Zalane łzami.

– Tori? – powtarzam.

Dziewczyna z trudem kiwa głową i osuwa się na ziemię.

– Co ty tu robisz? Jak...?

Potrząsa głową, nie może mówić, a ja nie potrafię tego ogarnąć. Jak Tori się tutaj znalazła? Jak w ogóle może być g d z i e k o l w i e k? Zwrócono ją Lorderom. Była przyjaciółką Bena, Zresetowaną jak my. Ledwie ją znałam, ale była też jego dziewczyną, zanim zostałam nią ja, tego jestem pewna. Choć mówił, że nigdy jej nie całował, tak do końca mu nie wierzyłam. Jak mógłby się jej oprzeć? Ale zabrali ją Lorderowie. Nikt od nich nie wraca.

– Suka – udaje się jej w końcu wykrztusić. – Czemu mi to zrobiłaś?

– Nie wiedziałam, że to ty – szepczę. – Mów ciszej. Jak ci się... – zaczynam mówić, ale głos więźnie mi w gardle. Nie wiem, jakie pytanie zadać najpierw.

– Uciekłam i przyszłam zobaczyć się z Benem. Ale on... – Głos jej się łamie, po policzkach toczą się łzy.

„Spadaj stąd! Nie jest bezpiecznie”.

– Tori, musimy się ruszyć. Nie możemy tu zostać. Zaraz nas złapią.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Bez Bena... ja... – Potrząsa głową. – Wszyscy zginęli w pożarze. Nikogo nie ratowano. Wszystko widziałam!

„Wynoście się stąd!”.

Zaraz, po prostu muszę się dowiedzieć.

– Powiedz mi, co się wydarzyło.

– Przyszłam tu parę godzin temu. Dom był cały w ogniu. Przyjechali strażacy na sygnale, więc się cofnęłam. Ale nic nie robili.

– Co?

– Na miejscu byli już Lorderowie. Kazali im patrzeć, jak się pali. Pozwolili im tylko pilnować, żeby pożar nie przeszedł na inne domy. Kyla, słyszałam, jak oni tam w środku krzyczą. I nic nie zrobiłam. Słyszałam, jak tam w domu krzyczeli. A kiedy jeden strażak kłócił się z Lorderami, zastrzelili go.

– Naprawdę?

– Zwyczajnie go zastrzelili. – Szlocha jeszcze mocniej. – Ben nie żyje, a ja nic nie zrobiłam.

Wiem, jakie to uczucie – przygniatające wyrzuty sumienia. Ona nie musi tego znosić.

– Tori, Bena nie było w domu. Nie było go tam. – Ramiona jej się trzęsą, nie słyszy mnie. – Posłuchaj, Tori, Bena tam nie było. Rozumiesz?

Słowa zaczynają do niej docierać. Podnosi wzrok.

– Nie było go? To gdzie był?

– Wszystko ci opowiem. Ale najpierw musimy się stąd zabierać.

– Nie mam dokąd iść. Nie mogę wrócić do domu, tam od razu będą mnie szukać. Nie mam innego miejsca.

– Chodź.

Podciągam ją, żeby wstała. Jest w kiepskim stanie. Na nogach ma głupie lekkie buty, drży w poszarpanym ubraniu, utyka. Jej nagie ramiona lśnią w świetle księżyca, zaraz ją ktoś zobaczy. Biorę ją za rękę, żeby ponaglić do marszu, potem pod ramię. Skórę ma zimną jak lód. W końcu obejmuję ją w pasie i pomagam iść.

– Co ci się przydarzyło?

– Wszystko było dobrze, dopóki nie porachowałam mi kiszek.

– Kłamiesz.

– Przeszłam kawał drogi. Nie mam siły iść dalej.

Głos ma słaby, a jej ciało, choć lekkie, zaczyna mi ciążyć na ramieniu.

– Czekał, muszę odpocząć – bardziej bełkocze, niż mówi.

– Nie możemy się zatrzymać. Chodź, Tori – próbuję ją przekonać, lecz ona osuwa się bezwładnie. Ledwie udaje mi się ją złapać i złagodzić zetknięcie z ziemią.

Boże. I co mam teraz zrobić? Uciekła Lorderom. Każdy przyłapany na tym, że jej pomaga, jest skazany jak ona. Nawet przebywanie obok niej to ryzyko.

„Zostaw ją. Selekcja naturalna!”.

Nie. Nie mogę. Nie zrobię tego!

Przypomina mi się rysunek Cama z Nikiem jako jaskiniowcem. Nie mam

innego wyboru, prawda? Choćby i miała tyle sił, by dojść do mojego domu, nie mogę jej tam zabrać. Nie mogę tego zrobić mamie. Nawet gdyby mama jej pomogła, Amy na pewno nie dotrzyma sekretu, a przecież nie ukryjemy przed nią Tori. No i do domu kiedyś wróci tato... Wzdrygam się. Był tak podejrzliwy, gdy się martwiłam zniknięciem Bena; groził, że mnie zwróci Lorderom, jeśli się znów wychylę. To dałoby mu pretekst, żeby się mnie wreszcie pozbyć. Może Jazz i jego kuzyn Mac mogliby pomóc. Ale nie mam sposobu, żeby się z nimi skontaktować albo ich tu sprowadzić. A ona nigdzie nie dojdzie w tym stanie. Zostaje tylko Nico.

„Będzie wściekły”.

Wściekłość Nica to nie jest coś, co można by zlekceważyć. Ale powiedział, żebym się odezwała, gdy będę w potrzebie. Co mogłoby być poważniejszym powodem?

Gmeram przy bransolecie w ciemności, aż wreszcie udaje mi się namacać przycisk komunikatora. Naciskam. Żeby tylko nie spał!

Zgłasza się po kilku sekundach, ani trochę niezaspany.

– Oby to było coś ważnego – mówi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Głupie posunięcie, Rain. – Nico podciąga Tori, żeby ją wsadzić do samochodu. – Co mam z nią zrobić?

Nie odpowiadam, wzbraniając się od myślenia o tym, co mógłby zaproponować. Siadam na miejscu pasażera obok kierowcy, wyczerpana po wysiłku, jakim było ni to wleczenie, ni to zachęcanie półprzytomnej Tori, by jakoś dotarła w ciemności do pierwszego skrzyżowania ścieżki z drogą. Do naprędce wyznaczonego miejsca spotkania.

– Dziękuję, Nico – mówię i jestem przy tym jak najbardziej szczerza. Kiedy się zjawił, poczułam na jego widok taką ulgę, że w pierwszym odruchu chciałam mu się rzucić na szyję. Ale nie był w nastroju do przytulania.

Samochód cicho mruczy, tocząc się drogą. Wygląda przeciętnie, ale silnik ma podrasowany. Nico czujnie rzuca spojrzenia na boki, gdy wyjeżdżamy na główną drogę. Gdyby nas ktoś zauważył, jak się wytłumaczymy, mając na tylnym siedzeniu teraz już całkiem nieprzytomną dziewczynę? Musielibyśmy uciekać.

– Śmierdzisz dymem.

– Naprawdę? Która godzina?

– Prawie piąta.

– Muszę szybko wrócić do domu, inaczej mnie przyłapią. Mama wstaje wcześniej.

– Nie w oparach spalenizny.

Jedziemy szybko. Tori jęczy, potem znów milknie. Docieramy do ciemnego domu z podjazdem prowadzącym na tył. Budynek stoi na wzgórzu, nie ma sąsiadów.

Nico przerzuca sobie Tori przez ramię i niesie ją do domu. Idę za nim. Mały, nowoczesny, porządny budynek. Nie wygląda jak typowa kryjówka Wolnej Brytanii.

– Twoje mieszkanie? – pytam zaskoczona.

Gromi mnie wzrokiem.

– Nie ma czasu, żeby ją zabrać gdzieś indziej.

Kładzie Tori na kanapie. Zaciąga ciężkie zasłony w oknach, po czym włącza lampę.

Dopiero teraz tak naprawdę widzę, w jakim Tori jest stanie. Cienkie kolorowe

ubrania w strzępach, jakby się wybierała na imprezę, a nie na późnojesienną wędrówkę. Podrapana, posiniaczona. Jedną kostkę ma strasznie spuchniętą, aż dziw, że w ogóle mogła iść.

Porusza się lekko, z trudem na wpół otwiera oczy, potem spostrzega Nica. I zaraz siada wyprostowana ze spanikowaną miną.

Biorę ją za rękę.

– Tori, już w porządku. To jest... – Urywam, nie mając pewności, pod jakim imieniem chciałby występować. – Mój przyjaciel. Zaopiekuje się tobą.

Nico podchodzi z uśmiechem.

– Cześć. Tori, tak? Jestem John Hatten. Muszę ci zadać kilka pytań.

– Czy to nie może poczekać? – pytam przyciszonym głosem.

– Obawiam się, że nie. Przykro mi, Tori. Widzisz jednak, jakie ryzyko podejmuję z twojego powodu. Muszę na tyle poznać twoją historię, żeby wiedzieć, co z tobą zrobić.

Krew mi się ścina w żyłach. Jedno niewłaściwe słowo i to, co z nią zrobi, będzie trwałym unieszkodliwieniem.

– No, Tori? – zachęca łagodnym tonem.

Dziewczyna przygląda się swoim ręką, obraca je z boku na bok, jakby były jej obce, nie należały do niej.

– Zabiłam go – mówi cicho. – Nożem.

– Kogo?

– Lordera. Zabiłam go i uciekłam. – Zamyka oczy.

– Tu jesteś bezpieczna. Odpoczywaj, Tori – mówi Nico.

Jej głowa opada na bok. Znów zemdlą.

Nico patrzy na mnie, unosi brew. Tori nie mogłaby powiedzieć nic bardziej o d p o w i e d n i e g o, gdybym ją pouczyła. Nico pewnie się zastanawia, czy to moja sprawa.

– Idź, weź szybki prysznic. Zajmę się nią. Ale jesteś mi winna przysługę, Rain. I to dużą. To ogromne ryzyko, niepotrzebna komplikacja, która może zaburzyć nasze plany. Idź już.

Pędzę do łazienki, łapię po drodze ręcznik i nieokreśloną czarną koszulkę oraz szorty rowerowe, które mi rzuca Nico.

N a s z e plany? Ma na myśli plany Wolnej Brytanii? Czy w jakiś sposób dotyczą mnie? Myję się i osuszam włosy jak najszybciej, ale jakąś część świadomości rejestruję rzeczy związane z Nikiem. Nigdy dotąd nie otarłam się o jego osobistą przestrzeń. Najwyraźniej lubi przyjemny żel pod prysznic, mydło – pachnie jak on sam i nie mogę się powstrzymać, muszę głęboko wciągać ten

zapach. Ma suszarkę do włosów? Jego fryzura zawsze wygląda dobrze, ale to i tak dziwne. Powstrzymuję uśmiech, nagle przerażona tym, że podczas gdy ja się zachwycam designerską łazienką Nica, jego wersja zaopiekowania się dziewczyną może oznaczać bezbolesne pozabawienie jej życia.

Ale kiedy wychodzę, widzę, że przykrył ją kocem, którego łagodne unoszenie się i opadanie świadczy o spokojnym oddechu. Tori śpi głęboko.

– Chodź – mówi Nico. – Podrzucę cię z powrotem.

– A jeśli się obudzi, kiedy nas nie będzie?

– Nie obudzi się.

Dopiero kiedy jesteśmy już w drodze, ośmielam się zapytać:

– Skąd wiesz, że się nie obudzi?

– Bo dostała szprycę. Będzie spać.

– Szprycę?

– Nie rób takiej miny. Środek uspokajający i przeciwbólowy, oba jej pomogą.

– Klnie pod nosem. – Jeżeli to się źle potoczy, pójdzcie na twoje konto, Rain.

– Przepraszam – bąkam. Ledwie śmiem oddychać, przygnębiona tym, że mu sprawiłam przykrość, i jednocześnie przerażona sytuacją.

– Tak przy okazji, mówiłaś chyba, że była Zresetowana.

– Bo była.

– Ale nie ma Levo.

Aż mnie zatyka z wrażenia, przebiegam myślami wstecz. Trzymałam ją za rękę, pomagałam iść. Nawet nie zauważyłam. Miałam na głowie inne zmartwienia. Tak się przyzwyczałam do ignorowania poziomu u siebie, że nie pomyślałam, żeby go sprawdzić u niej. Ale gdyby miała czujnik, wszystko to, co przeszła dziś w nocy i jeszcze wcześniej, wystarczyłoby, żeby ją wyłączyć.

– Co się z nim mogło stać? – zastanawiam się na głos.

– Jedno z wielu pytań, na które wkrótce będzie musiała odpowiedzieć. A z tobą mam sprawy do omówienia. Najpierw jednak opowiedz mi o tym pożarze.

Mrugam, nagle czując łzy pod powiekami.

– Dom Bena, właściwie dom jego rodziców. Spalił się. Tori to widziała. Powiedziała, że byli w środku, krzyczeli, ale Lorderowie nie dopuścili, żeby im ktoś pomógł.

Nico potrząsa głową.

– Pomyśl, Rain, którego dziś mamy?

– Piątego listopada.

– Właśnie. Dzień Guya Fawkesa¹ – mówi z goryczą. – To nie był jedyny pożar tej nocy. Kiedy zadzwoniłaś, napływały raporty. Lorderowie przejęli

dzień, który należał do nas. Zapamiętaj, Rain. Zaznacz sobie w pamięci tę datę.

Wspomnienie na chwilę zapiera mi dech w piersi. Sztuczne ognie. Łapanki. Ogniska! Guy Fawkes: ponad czterysta lat temu zamachowcy ze spisku prochowego zamierzali wysadzić Parlament. Wykorzystywaliśmy ten dzień, żeby przypominać Lorderom, że ich władza nie jest absolutna. Żeby przypomnieć ludziom, że wciąż mają głos.

Teraz Lorderowie wykorzystują go, żeby przypomnieć nam, że Guy Fawkes za swoje spiskowanie zginął na szubienicy.

– Pomyśleć, że mają czelność tak otwarcie występować przeciwko ludziom, którym powinni służyć! Sprawy się pogarszają, Kyla. Lorderowie zaciskają kleszcze coraz mocniej. Jeszcze trochę, a nikt nie ośmieli się stanąć z nami do walki przeciwko nim. Czas wyrównania rachunków jest coraz bliżej. – Zatrzymuje auto u wylotu naszej ulicy. – Musisz mieć jak najszerszy ogląd sytuacji, Rain. Pogadamy o tym dzisiaj po szkole. Teraz już idź.

Wysiadam i ostrożnie przemykam się w cieniu wzdłuż domów. Jest jeszcze ciemno, ale dochodzi szósta, ludzie na pewno już wstają. Ktoś, kto by mnie zauważył na ulicy w takim stroju, na pewno miałby prawo do zdziwienia. Ale nikogo nie dostrzegam. Kiedy docieram do naszego ogrodu, wyłapuję wzrokiem jakiś ruch po drugiej stronie ulicy. Przywieram do bocznej ściany domu i ostrożnie wyglądam za róg, ale niczego nie widzę. Jestem jednak pewna, że coś się tam poruszyło.

Wślizguję się do środka bocznymi drzwiami, po czym cicho, ostrożnie idę po schodach do swojego pokoju. Nareszcie bezpieczna.

„Na razie”.

Sebastian, zwinięty na moim łóżku, szeroko otwiera oczy. Szybko zdejmuję ciuchy Nica, wskakuję w piżamę, a jego rzeczy wciskam do szkolnego plecaka, by się ich pozbyć później. Została mi jeszcze godzina, mogę się przespać, a snu potrzebuję rozpaczliwie. Nie mam jednak szans na zaśnięcie, gdy w głowie huczą mi pożary.

Noc jest pełna pytań. Jak Tori wydostała się od Lorderów? Wcześniej została im zwrócona, Ben dowiedział się tego od jej mamy. Dlaczego ją oddano, tego nie wiedzieliśmy. Jednego dnia była, drugiego już nie. Kolejna zaginiona. Co się stało z jej Levo?

Nie muszę się głowić nad tym, co stało się z rodzicami Bena – znam odpowiedź. Zadawali za dużo niewygodnych pytań. Lorderowie uciszyli ich po swojemu. Rodzice Bena zginęli akurat następnego dnia po tym, jak jego mama zwróciła się do mojej o pomoc. Krew mi się ścina na wspomnienie o tym,

co moja mama jej powiedziała: „Nie powinna pani tutaj przyjeżdżać”. Czy mama wydała ją Lorderom? Jej ojciec był premierem, który to wszystko zaczął.

Nie umiem wymazać z pamięci widoku ich spalonego domu. Stał się stosem, na którym zginęli, ich grobowcem. Czy ktoś wyniesie ciała? Właściwie są skremowane.

Nico twierdzi, że taki obraz tej nocy powtórzył się w wielu miejscach. Jest wiele ofiar.

Chciałabym opłakiwać ich śmierć, ale nie mogę. Czuję w środku jedynie zimną, ślepią furję, która odpycha na bok wszelki ból.

„I chce znaleźć upust”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Kyla, czekaj!

Zatrzymuję się w drzwiach biblioteki, odwracam. W moją stronę pędzi Cam.

– Zjesz ze mną drugie śniadanie? – Rozgląda się na boki, po czym zniża głos.

– Mam ciasto.

– Hmm, n-nie wiem. Czekoladowe?

Zerka do plecaka.

– Biszkopt z galaretką. Mój wujek to niewyżyty kucharz, uwielbia robić wypieki.

– No dobra – zgadzam się. Cukier i oderwanie myśli mogą mi pomóc przetrwać resztę długiego dnia. Przez cały czas rozmyślam o rodzicach Bena, o tym, co im zrobili Lorderowie, i o innych, których spotkał ten sam los. I jeszcze o Nicu, z którym mam się spotkać po szkole: musimy c o ś z r o b i ć.

Wychodzimy na zewnątrz i namierzamy wolną ławkę. Na sąsiedniej siedzi grupka chłopaków. Na nasz widok szybko się rozdziela i pośpiesznie zajmują swoimi rzeczami obie ławki.

– Miło – zauważa Cam.

– Jestem przyzwyczajona. Na pewno chcesz ryzykować i pokazywać się ze mną?

– Żartujesz? Z taką laską?

Śmieję się.

– Zresetowaną laską, nie zapominaj.

– O to im chodziło? – Ogląda się za nimi. – Chcesz, żebym ich nauczył szacunku? – I staję w pozycji bokerskiej z uniesionymi pięściami.

– Wszystkich trzech? Co byś zrobił, gdybym powiedziała „tak”?

Rozgląda się.

– Schowałbym się. Ale wiesz, mam swoje sposoby na to, żeby wrócić, kiedy ludzie najmniej się tego spodziewają. – I śmieje się diabolicznie.

– Jaasne.

– Nie przeszkadza ci ich zachowanie?

– Kiedyś przeszkadzało. Ale... – Urywam.

– Ale co?

– Ludziom z mojego otoczenia zdarza się zniknąć. Możliwe, że tamci o tym wiedzą, a skoro tak, raczej nie można im mieć tego za złe.

– Znikać? – Twarz mu poważnieje. A więc nie zawsze się wygłupia. – To się zdarza wszędzie – mówi z taką goryczą, że się zastanawiam, co się za tym kryje.

– Patrz, tam jest wolne. – Pokazuję samotną ławkę za budynkiem administracji. – Jeśli się nie boisz.

– No, niech pomyślę. Czy masz przy sobie przenośny trójkąt bermudzki? Rzucam okiem na prawo i lewo.

– Pewnie akurat dziś został w domu.

– Nasączysz moje kanapki eliksirem niewidzialności, kiedy nie będę patrzył?

– Nie!

– No to zaryzykuję.

Nie mówię mu, dlaczego takie zachowanie jak u tych chłopaków już mi więcej nie przeszkadza. Tak naprawdę u szczytu listy zmartwień pojawiło się tyle nowych rzeczy, że wygłupy jakichś uczniaków przestały mnie niepokoić.

Żujemy kanapki w milczeniu, po czym Cam wyciąga ciasto.

– Są dwa kawałki – zauważam. – Zaplanowałaś to?

– Kto, ja? Nie. Jestem dorastającym chłopakiem. Zawsze jem dwa kawałki ciasta. Ale chętnie się podzielę.

Podaje mi biszkopt i odgryzam spory kęs. Lekki, słodki. Pyszny!

– Szkoda, że moja mama nie lubi piec.

– Od jak dawna tu mieszkasz?

Patrzę na niego z ukosa.

– Niedługo. Prawie dwa miesiące.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad swoimi innymi rodzicami?

– Innymi rodzicami? – Udaję zaskoczenie, choć wiem, co ma na myśli. Rozmowa wkracza na niedozwolony teren. Nie powinnam o tym nawet myśleć, a co dopiero rozmawiać. Zresetowani nie mają przeszłości, zaczynają od zera. Nie wolno im patrzeć wstecz.

– Wiesz, zanim zostałam Zresetowana.

– Czasami – przyznaję.

– Chciałabyś ich namierzyć, gdybyś mogła?

Zakłopotana kierunkiem, w jakim zmierza rozmowa, skupiam się na jedzeniu. Namierzanie swojej przeszłości w przypadku Zresetowanych jest w pełnym tego słowa znaczeniu nielegalne. Wystarczy, że ktoś podsłucha naszą rozmowę, a będziemy w niebezpieczeństwie. Kto wie zresztą, może ktoś podsłuchuje. Nie zdziwiłabym się, gdyby Lorderowie zapluskwili każdą ławkę na terenie szkoły, w końcu mają tu wszędzie swoich szpiegów, takich jak pani Ali.

– A co z tobą? – pytam, kiedy z ciasta zostają już tylko okruchy.

– Co niby?

– Powiedziałeś, że twój tato się wyniósł. Widujesz go czasem?

Jego twarz znów poważnieje, a przerwa w rozmowie jest długa.

– Posłuchaj, Kyla – odpowiada Cam o pół tonu ciszej. – Pamiętasz, co powiedziałem wcześniej, że ludzie znikają wszędzie?

Przytakuję skinieniem.

– Mój tato nas nie zostawił. Zabrali go Lorderowie. Wdarli się do naszego domu w środku nocy i wywlekli go. Od tamtej pory go nie widziałem ani o nim nie słyszałem.

– O, Cam. – Wpatruję się w niego zszokowana. Wydaje się taki beztroski, tak nieskomplikowany. A jednak wie, jak to jest, gdy ktoś, na kim nam zależy, zaginie. Jak Ben.

– Taak. Zaangażował się w coś, co im się nie podobało. Coś związanego z szukaniem zaginionych ludzi. Nielegalne strony internetowe i takie tam.

ZWA?

Zerkam nerwowo na boki. W pobliżu nie ma nikogo, kto by nas usłyszał, ale jakaś cząstka mnie traktuje tę rozmowę nieufnie. Nie mogę się jednak powstrzymać i pytam:

– A twoja mama?

– Gdyby nie jej praca badawcza, pewnie by też zaginęła, i ja tak samo. Nie wiem o tym wiele, ale chcieli, żeby ciągnęła to dalej. Odsunęli mnie od niej, żeby została po ich stronie.

– Okropne. Przykro mi, nie powinnam była pytać.

– To nie twoja wina. Nie było cię w okolicy, więc to nie ty magicznie spowodowałaś ich zniknięcie! Chyba że twoje moce sięgają kilkaset kilometrów na północ, co?

Cam znów żartuje. Ale już mnie więcej nie zwiedzie. Ten chłopak kryje w sobie więcej, niż sobie wyobrażałam.

– Posłuchaj – mówi. – Wybrałabyś się później na przejażdżkę? Naprawdę muszę pogadać. A tu za bardzo nie można rozmawiać.

Ciekawość walczy we mnie z ostrożnością. Ale nie ma potrzeby, żebym zdecydowała już teraz.

– Dzisiaj nie mogę. Zostaję w szkole po lekcjach.

– Czemu?

– Mam coś do załatwienia.

– Co?

– Takie tam.

- Jakie tam?
- Słuchaj, panie Ciekawski. Jestem zajęta i już.
Zastanawia się.
- No to zaczekam. Podrzucić cię potem do domu?
- Nie wiem, ile mi to zajmie.
- Nie szkodzi. I tak nie mam nic innego do roboty.

Próbuję mu to wybić z głowy. Ostatnie, czego chcę, to aby moje magiczne zdolności doprowadzania do znikania ludzi ujawniły się na nim, jeśli wpadnę w kłopoty. Jego mama i tak ma już dość zmartwień. Lecz on upiera się, że zaczeka przy swoim wozie, aż się pojawię, więc jeśli nie chcę, żeby tam kwitł do jutra rana, lepiej, żebym przysłała na parking.

Korytarz jest pusty. Pukam raz. Drzwi gabinetu Nica otwierają się. Wchodzę, a on zamyka je za mną na klucz.

- Jak tam Tori? – pytam.
- Wylize się – odpowiada. – Kilka ciepłych posiłków i oszczędzanie skreślonej kostki to wszystko, czego jej trzeba. Fizycznie.
- Nie sprawia kłopotów?
- Nie. Jeszcze nie. Gdyby sprawiała, już byś się o tym dowiedziała. Mam miejsce, do którego niedługo ją przeniosę, jeszcze uzgadniam szczegóły. Choć mówi, że umie gotować. Może ją zatrzymam.

Wylize się; umie gotować. Przebłysk zazdrości pokazuje mi ich zasiadających dziś do miłej kolacyjki we dwoje. Przy świecach, które zauważyłam na jego stole, i winie, które widziałam na kuchennym blacie.

Nico uśmiecha się, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę. A uśmiech ten mówi: „Jeśli ci się nie podoba, sama jesteś sobie winna”.

Płonę rumieńcem. Nico wskazuje mi krzesło obok swego biurka, siadam.

– Ostatniej nocy coś sobie uświadomiłem – mówi.

Sadowi się na drugim krześle i przysuwa je, tak że siedzimy blisko siebie, twarzą w twarz. Nie spuszczam wzroku z jego oczu. Długie rzęsy, które wydają się za ciemne dla bladoniebieskich tęczywek. Niesforny lok na czole – muszę się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie odgarnąć go na bok. Przełykam ślinę.

– Co takiego?

Nachyla się bliżej.

– Wróciła Rain – szepcze mi do ucha, a jego słowa, jego oddech są szokiem dla mojej skóry. Uśmiecha się i prostuje na krześle, małym szkolnym krzeselku,

które wygląda pod nim niedorzecznie. – Naprawdę wróciła. Nie byłem pewien, ile masz jej w sobie. Ale to, co zrobiłaś w nocy, było typowe dla niej, prawda? Wykradłaś się w nocy. Kyla by tego nie zrobiła.

– Nie. Nie zrobiłaby tego – przyznaję i uświadamiam sobie, że ma rację. Zmieniłam się, i to bardzo. Wciąż się zmieniam. W głowie mi wiruje. Pokój jest jak kalejdoskop, wszystko się w nim przesuwa, porusza od środka. Mrugam i świat, z Nikiem w samym centrum, nagle odzyskuje ostrość.

– Jednak coś jest niezupełnie w porządku.

– Co jest nie tak? – pytam. – Naprawię to.

– Czyżby? – Uśmiecha się. – Ta cała sprawa z Tori. Rain, którą znałem, nie narażałaby ujawnienia Wolnej Brytanii dla jakiejś dziewczyny. Sama by się tym zajęła i nie byłoby żadnej Tori, żadnego problemu.

Bezpieczeństwo grupy jest najważniejsze: jakiekolwiek ryzyko ściągnięcia uwagi Lorderów należy wyeliminować wszelkimi możliwymi sposobami. Ale czy ona (ja) naprawdę po prostu ukręciłaby Tori kark? Przed oczami staje mi widok Tori z głową roztrzaskaną o pień drzewa. Wzdrygam się. Nie. Nigdy bym się na to nie zdobyła. A może? Bo prawie to zrobiłam; zatrzymałam się, kiedy ją rozpoznałam. Gdy się tak zastanawiam, wspomnienia przepływają mi strumieniem przez głowę – strzały, krzyki, krew – i mówią „tak”, Rain była zdolna do w s z y s t k i e g o. Poza tym nigdy nawet nie lubiłam Tori. Dlaczego jej pomogłam?

– Powiedz mi, o czym myślisz – dopomina się Nico tonem niedopuszczającym wykrętów.

Próbuję:

– Moje myśli kłócą się ze sobą. Jakbym miała w głowie dwa głosy i każdy z nich widział sprawy inaczej.

Kiwa głową w zamyśleniu.

– Proszę, wyjaśnij, co się ze mną dzieje – błagam. – Nie rozumiem tego.

Nico się waha. Uśmiecha.

– To ja mam do c i e b i e kilka pytań. Ale trochę wyjaśnię. Raz jesteś bardziej Kyla, a raz bardziej Rain. To ma sens. Wszystko się jeszcze przestawia. Z czasem Rain zwycięży, jest silniejsza.

Wtem nieproszona pojawia się wizja: Lucy z zakrwawionymi palcami. I Nico... z cegłą w ręce.

Aż mnie zatyka, ze zdumieniem wyciągam przed siebie lewą rękę. Obracam ją z boku na bok.

– Czy to ty? Zrobiłeś ze mnie praworęczną?

– Co zrobiłem?

– Połamałeś mi palce. – Waham się. – Palce Lucy.

Odwraca wzrok. Następuje pauza: jedno uderzenie serca, dwa. Nico znów na mnie patrzy.

– Pamiętasz, jak byłaś Lucy?

– Nie. Niezupełnie, tylko jakieś urywki snów, które nie mają sensu. Proszę, Nico, mam taki zamęt w głowie. Co się stało z Lucy?

Co się stało z e m n ą, gdy miałam dziesięć lat?

Nie odpowiada od razu, zastanawia się, potem kiwa głową.

– W porządku. Byłaś dla mnie kimś szczególnym, Rain. Ale jeśli się jest po stronie wolności, zawsze istnieje ryzyko, że cię złapią. Wiedziałem, że muszę znaleźć sposób na to, żeby cię chronić na wypadek, gdyby Lorderowie dostali cię w swoje łapy.

– Jak?

– Rozdzieliłem cię na dwie części, w środku, tak żeby jedna część przetrwała, gdyby cię zresetowali. Rain była silniejsza niż Lucy, dlatego to ona przeżyła.

Gdy wypowiada te słowa, znam je. Zawsze je znałam. Byłam jedną osobą, która stała się dwiema: Lucy, z jej dziecięcymi wspomnieniami, i Rain, powiązaną z Nikiem i Wolną Brytanią. Kawałki układanki wskazują na miejsce. Lucy miała się przerzucić na praworęczność. Nie chciała współpracować, więc Nico ją zmusił. Rain była leworęczna. Sposób przeprowadzenia resetu zależy od tego, którą ręką człowiek się posługuje: dostęp do pamięci daje dominująca półkula mózgu, a to wiąże się z tym, która ręka jest sprawniejsza. Ale kim byłam, kiedy mnie zresetowano?

– Wciąż nie rozumiem. Jeśli Rain była silniejsza i miała kontrolę, dlaczego Lorderowie nie zresetowali mnie jako Rain, jakbym była leworęczna?

– To właśnie jest najpiękniejsze. Gdy cię złapali, Rain ukryła się w środku, tak jak cię wyszkoliłem. Dlatego w tamtym momencie dominowała Lucy.

– A więc Lorderowie, gdy mnie resetowali w zeszłym roku, myśleli, że jestem praworęczna. I nie wiedzieli o Rain. Kiedy mi odebrali wspomnienia, wzięli tylko część z nich.

– Właśnie tak. Lucy odeszła, była słaba. Ale ty, moja wyjątkowa Rain, przetrwałaś reset ukryta w środku. Czekaaś na odpowiednią chwilę, żeby się przebić na zewnątrz.

– A to – mówię, kręcąc swoim Levo – już nie działa, ponieważ znów jestem Rain, leworęczną. Czujnik jest związany z niewłaściwą połową mózgu.

– W rzeczy samej. – Bierze mnie za lewą rękę i delikatnie całuje czubki

moich palców. – Przepraszam, że cię krzywdziłem przez wszystkie te lata. To był jedyny sposób, żeby cię ochronić.

Lucy odeszła na zawsze. To dlatego nie pamiętam jej życia. Wzbiera we mnie ból straty, wypełnia pustkę, którą miałam w środku. Tak duża część życia zniszczona, zapomniana. Lecz częśćka mnie wciąż tu jest, Nico ją uratował. Gdyby nie on, zniknęłabym zupełnie. Nie wiedziałabym nawet, co straciłam.

– Dziękuję – szepczę. I zastanawiam się: czy fakt, że Rain jest silniejsza, oznacza, że Kyla też zniknie? A z nią wszystkie jej nadzieje, wszystko, co jest jej drogie? Na przykład Ben. Łzy szczypią mnie w oczy i mrugam wściekle. Nie płacz. Nie przy nim. Dość! I zaraz strach walczy z bólem – Nico nie lubi słabości.

Lecz on zamiast okazać gniew, bierze mnie za rękę.

– O co chodzi? – pyta łagodnym tonem.

Chwytam kurczowo jego dłoń. Jest znacznie większa, silniejsza od mojej. Mogłaby ją zgnieść w jednej chwili.

– Ben – szepczę.

– Powiedz mi. Wiem tylko trochę, powiedz mi. Co się z nim naprawdę stało?

– Naciska, jakby miał świadomość, że oficjalna wersja to jedynie przykrywka.

– To wszystko moja wina. Ja to zrobiłam – wreszcie wypowiadam na głos to, co mnie prześladowało, dręczyło od środka.

– Co zrobiłaś? Powiedz mi.

– Przecięłam jego Levo. Szlifierką kątową.

I opowiadam mu, jak było. Same fakty. Nico przestawia swoje krzesło obok mojego i otacza mnie ciepłym ramieniem. Przed oczami stają mi znane obrazy. Ben w agonii. A ja uciekam, zostawiam go własnemu losowi. I co to właściwie było? Co się z nim stało? Czy umarł z powodu tego, co zrobiłam, czy zginął później z ręki Lorderów?

– Co się z nim stało? – pytam, błagając wzrokiem o nadzieję, o szansę.

– Znasz ostateczną odpowiedź na to pytanie – mówi Nico. – Wiesz, co zrobili Lorderowie, jeśli kołatało się w nim jeszcze życie.

Kiwam głową przez łzy.

– I wiesz, co zrobili jego rodzicom.

– Tak.

– Czujesz to, Rain? W środku. Gniew.

Strzela w górę jak ogień, jakby Nico dorzucił do zarzewia zapalną. W moim umyśle płonie ognisko, bardziej gorejące i gniewne niż pożar, który strawił ich dom. Niż wszystkie pożary, jakie Lorderowie wzniecili tamtej nocy.

– Teraz posłuchaj, Rain. Nie chodzi o to, żebyś zapomniała o Benie, o tym, co dla ciebie znaczył, ani o tym, co Lorderowie zrobili z jego rodzicami. Nic z tych rzeczy. Po prostu wykorzystaj to, posłuż się tym we właściwy sposób.

„Posłuż się gniewem”.

I gniew przewala się we mnie jak fala – potężna paląca fala, która przypieka każdy mięsień, każdą kość. Każda kropla krwi płonie w moich żyłach.

Zaciskam ręce na podłokietnikach krzesła.

– Lorderowie muszą zapłacić za to, co zrobili. Trzeba ich powstrzymać!

Nico otacza moją twarz dłońmi, przechyla ją. Przygląda mi się badawczo, ocenia, szacuje. W końcu kiwa głową. W jego spojrzeniu migoczą ciepłe iskry. Czuję, jak po skórze całego ciała wędruje mi mrowienie.

– Tak, Rain. – Uśmiecha się, pochyla. Jego usta delikatnie muskają moje czoło. – Ale na jedno pytanie jeszcze mi nie odpowiedziałaś. Kiedy odzyskałaś wspomnienia?

Napaść w lesie. Wayne. Już mam mu opowiedzieć, słowa cisną mi się na usta, ale je powstrzymuję. Rozprawi się z Wayne’em, gdy się dowie. Ale dlaczego chronię Wayne’a? Czy nie zasłużył na najgorsze?

– Powinno się to było wydarzyć, gdy zostawiłaś Bena i zabrali go Lorderowie. Tak to powinno zadziałać: akurat ten rodzaj traumy, który miał przełamać blokadę. Więc czemu nie stało się wtedy? – Brzmi to prawie tak, jak gdyby Nico mówił sam do siebie i zapomniał, że siedzę obok.

Czuję się zakłopotana jego analizą, tym, że gmera w mojej „traumie”, by ocenić jej skutki. Ale jeśli wspomnienia nie wróciły tamtego dnia, czemu nie wyłączyłam się i nie zeszłam? Patrzę na swoje bezużyteczne Levo. I wtedy sobie przypominam.

– Wiem – mówię. – To przez te pigułki.

– Jakie pigułki?

– Pigułki Radości. Ben skądś je wytrzasnął. – Nie bardzo wiem czemu, ale zatajam, skąd je miał. Dostał od Aideny, tego prowadzącego stronę internetową Zaginionych w Akcji. Poznałam go u kuzyna Jazza.

Nico kiwa głową.

– To ma sens. Zablockowały całe przeżycie. Potem, kiedy już nie działały, Rain się przebiła. – Uśmiecha się szeroko, śmieje. – Rain! – Przytula mnie. – Zawsze byłaś moją ulubienicą, wiesz o tym.

Serce mi śpiewa z radości. Nico nigdy nie miał dziewczyny na obozach treningowych, w każdym razie nigdy tego nie widziałam. Jego władza była absolutna, a my wszystkie chciałyśmy go, lecz na tym się kończyło.

Odsuwa się.

– Teraz posłuchaj. Jest coś, co możesz dla mnie zrobić. Wciąż jeździsz na wizyty kontrolne do szpitala w Londynie, prawda?

– Co sobota – potakuję. Nowy Londyński Szpital, gdzie mnie zresetowali, to symbol kontroli Lorderów i częsty cel ataków Wolnej Brytanii. To do tego szpitala mnie zabrali, a także niezliczonych podobnie winnych nastolatków, i celowo wymazali nam pamięć.

– Chcę planów. Tak dokładnych, jak to tylko możliwe, każdego znanego ci zakamarka w tym szpitalu. Wewnątrz i na zewnątrz. Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście – odpowiadam, chętna, by pomóc w ataku na Lorderów, by się przyczynić choć w niewielkim stopniu. Rozkład pomieszczeń rysuje się w mojej głowie automatycznie, a umiejętność mapowania jest tak mocno wyryta w moim umyśle, że...

I tu wraca wspomnienie. Długiego i zmudnego szkolenia.

– To ty mnie tego nauczyłeś – mówię wolno. – Jak zapamiętywać rozmieszczenie i miejsca, jak rysować mapy.

Jeśli się pomyliliśmy, konsekwencje były straszne. Przypominam je sobie i aż truchleję. Ale już nie popełniam błędów.

Nico uśmiecha się.

– Tak. To była część waszego treningu. Zrobisz to.

– Zrobię.

– A więc do dzieła.

Wstaję, Nico otwiera drzwi, rozgląda się.

– Nikogo nie ma. Idź.

Biegam na szkolnej bieżni, bo nie chcę się spotkać z Camem, póki się nie uspokoję. Chwile spędzone z Nikiem niosę w sercu jak skarb.

Byłam jego ulubienicą!

Przytulił mnie. Czoło wciąż mrowi w miejscu, które musnął ustami.

Uratował mnie.

Miał tyle powodów, żeby się zezłościć, ale tego nie zrobił!

A przede wszystkim: w i e m, k i m j e s t e m. Wiem, skąd się wzięłam i gdzie przynależę. Co muszę zrobić. Lorderom się nie udało. M a m p a m i ę ć.

Radość przepelnia mnie od środka. Pędzę coraz szybciej i szybciej, aż nagle w moje upojenie wdziera się głośny gwizd podziwu. Odwracam się gwałtownie.

Cam.

Klaszcze w dłonie, a ja zwalniam, robię jeszcze jedno okrążenie, żeby ostudzić mięśnie, po czym podchodzę do niego.

– Matko, ależ ty biegasz. To tym musiałaś się tak pilnie zająć po lekcjach?

Jeszcze zasapana, wzruszam ramionami.

– Czasami naprawdę muszę pobiegać – mówię, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie.

I to prawda. Jeszcze niedawno biegałam, żeby sobie podnieść poziom. Zaciekawiona spoglądam na Levo. Wskazuje wynik w okolicy szóstki. Swego czasu bieg podnosił poziom do ósemki, teraz czujnik jest całkiem bezużyteczny.

– Czas do domu?

Kiwam głową.

– Przepraszam, jestem złana potem. – Uśmiecham się szeroko, po czym przypominam sobie, żeby się tak nie szczerzyć. Przynajmniej mam bieganie na wytłumaczenie tego rozanielenia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Jesteś gotowa? – pyta mama.

Podnoszę głowę znad zeszytu. Od dłuższej chwili udaję, że odrabiam lekcje przy kuchennym stole.

– Na co? – pytam niezbyt przytomnie.

Mama się śmieje.

– Jaki dziś mamy dzień?

Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to rocznica spisku prochowego. Trudno uwierzyć, że ciągle jest ten sam dzień, który się zaczął przed wschodem słońca spalaniem domu i spotkaniem Tori.

– Czwartek – podpowiada mama.

– Czwartek? – Wciąż nie wiem, o co chodzi.

– Zajęcia w Grupie, tak?

– O. Rzeczywiście. – Zrywam się, żeby przyczesać włosy. Wkładam buty. Jak mogłam zapomnieć? Zbyt wiele innych rzeczy płącze mi się po głowie. Spotkania Grupy są co czwartek. Wszyscy Zresetowani z okolicy zbierają się pod okiem pielęgniarki Penny, żeby się wspierać w przechodzeniu z rzeczywistości szpitalnej do realu. Ha. Bardziej to przypomina szpiegowanie nas i wypatrywanie odchyłeń, z którymi trzeba by się rozprawić. Choć w sumie nie do końca. Może to i prawda, ale sama Penny jest w porządku.

„To wciąż jest sprawdzian”.

Tak. Muszę się zachowywać jak pozostali Zresetowani. Penny ani żadne ukryte podsłuchujące ucho nie może wychwycić u mnie różnicy czy niewłaściwej zmiany. Przypominam sobie ostatnie spotkanie. Byłam tak zdenerwowana stratą Bena, że ledwie mi się udawało utrzymać poziom na krawędzi świadomości. Dziś Penny będzie się spodziewała czegoś podobnego.

Skupiam się na poprzednim czwartku i na osobie, którą wtedy byłam, a Rain i jej wspomnienia spycham na bok.

„Kyla, jesteś na wizji”.

Penny ma na sobie jaskrawocytrynowy sweter z fioletowym obrąbkiem, a jej twarz promienieje tak samo jak ubranie. Rozmawia z kobietą i dziewczyną, których nie znam. Dziewczyna ma około czternastu lat i uśmiecha się jak

nienormalna – kolejna Zresetowana. Wszyscy są tacy na początku. Tryskają radością, bo Lorderowie ukradli im wspomnienia, przeszłość. Bez względu na to, jakie popełnili przestępstwo, oto dostają drugą szansę i nowe życie. Też taka byłam, choć mniej uradowana niż większość. Czy to ukryte we mnie wspomnienia Rain sprawiały, że zawsze byłam inna?

Pozostała dziewiątka jest w komplecie jak zwykle. Nie ma już Tori ani Bena. I nie muszę sobie przypominać, żeby się zachowywać i wyglądać jak Kyla. Tu, na spotkaniu Grupy, j e s t e m nią. Rain nie pasuje do tego miejsca.

Ustawiamy krzesła w kręgu i zaczynają się zajęcia. Penny występuje naprzód.

– Dobry wieczór wszystkim!

Zresetowani spoglądają jeden na drugiego, wahają się.

– Dobry wieczór – odpowiada jej kilka głosów, potem dołącza reszta.

– Dziś chciałabym, żebyście powitali Angelę. Dołącza do nas. I co teraz powinniście zrobić?

Rozgląda się, a ja jęcę w duchu, przypominając sobie swój pierwszy dzień w Grupie. Tori przewróciła wtedy oczami i podpowiedziała pozostałym, że się powinni przedstawić, wszystko sarkastycznym tonem. Potem przyszedł spóźniony Ben.

Wspomnienie nie chce się odzepić. Poskakuje niczym puszczony po wodzie płaski kamień. Widzę Bena, jak wpada przez drzwi. Krótkie spodenki i T-shirt z długim rękawem przylegają mu do ciała po biegu. Zawsze był w biegu. Wzdycham.

– Kyla?

Penny podchodzi z zatroskanym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku, moja droga? – pyta.

– Przepraszam, odpłynęłam na chwilę.

Pielęgniarka sprawdza mi poziom i unosi brew, widząc idealne 5,8. Wraca do środka kręgu.

Potrząsam sobą w duchu. Ani nie uśmiechać się zbyt szeroko, ani nie wpadać w doły. Utrzymywać bezpieczny poziom. Wszyscy Zresetowani muszą to robić, choć dla mnie oznacza to już zupełnie co innego.

Penny uśmiecha się do nowej dziewczyny, a uśmiech tej drugiej staje się jeszcze szerszy. Wygląda na tak szczęśliwą, że raczej nie grozi jej wyłączenie z powodu zbyt niskiego poziomu, jak się zdarzało u mnie. Reszta zresztą tak samo – wszyscy wyglądają na z b y t szczęśliwych. Cieszą się, że wpadli w ręce Lorderów, że przestali mówić i robić rzeczy, które nie podobają się władzy, cokolwiek to było. Zerkam na szczere, rozanielone twarze. Czy byli wśród nich

p r a w d z i w i przestępcy, jak się twierdzi? Mordercy lub terroryści. Jak ja. Są tacy szczęśliwi, czy w ogóle obchodzi ich to, kim kiedyś byli? Gdyby mój reset zadziałał jak należy, uśmiechałabym się tak samo jak oni.

Też byłabym szczęśliwa.

Podskakuję, czując na ramieniu uścisk ciepłej dłoni. To Penny.

– Możesz odpowiedzieć na moje pytanie? – napomina mnie karcącym tonem.

– Aa...

– Dlaczego tutaj jesteśmy?

– Bo to nasza druga szansa?

– Właśnie tak, Kylo.

Ja rzeczywiście mam drugą szansę – nie taką, o jakiej ona myśli. Nie wie, że wróciłam, że Lorderom się nie udało. Mój reset nie zadziałał. Trzymam tę wiedzę mocno zaciśniętą w środku, jak mały węzełek satysfakcji ukryty głęboko w brzuchu.

Pielęgniarka znów zwraca się do całej Grupy – mówi, że dziś spędzimy czas przy grach. Otwiera skrzynkę, wyjmuje warcaby, karty i gry planszowe. Ponieważ jest nas dziewięcioro, a więc nie do pary, postanawia, że zagram z nią. Żeby mnie wciąż mieć na oku?

– Grałaś już kiedyś w którąś z tych gier? – pyta.

Zaglądam do skrzyni, żeby sprawdzić, co jeszcze tam ma.

– Znam większość. Lubię szachy. Grywałam w nie po nocach w szpitalu, nauczył mnie jeden Obserwator.

Penny wyjmuje pudełko i wręcza mi je, żebym rozstawiła figury, podczas gdy sama idzie sprawdzić pozostałe pary. Drewniane pudełko jest zarazem szachownicą. W środku mieszczą się dwa zestawy bierek: jeden z jasnego, drugi z ciemnego drewna. Wyjmuję je i ustawiam na właściwych polach. Wieże w rogach, potem skoczki, gońce, król i królowa. Przed nimi rząd pionków – karny szereg na pozór zbędnych żołnierzy. Ale przy odpowiedniej strategii gry jeden pionek może zrobić dużą różnicę.

Penny wraca, przysuwa sobie krzesło i możemy zaczynać.

Ręka sama mi się wyciąga do jednej z moich wież – podnoszę ją. „Zamek” – odzywa się jakiś wewnętrzny głos. Nazywałaś to kiedyś zamkiem.

Nie. Marszczę brwi. Nauczył mnie grać Obserwator – znudzony, skazany na pilnowanie mnie po nocach, gdy miewałam koszmary. To on mi powiedział, jak się nazywają figury, pokazał ich ruchy i dziwiło go, że się tak szybko uczę. Zanim wyszłam ze szpitala, zaczęłam już nawet wygrywać.

– Kyła? – Pielęgniarka patrzy na mnie z zaciekawieniem.

Znów się otrząsam wewnętrznie, odstawiam figurę na narożne pole. Zaczynamy.

– Dobrze spędziłaś wieczór? – pyta mama.

– W porządku.

Patrzy na mnie, pewnie chce więcej informacji.

– Grałyśmy w szachy, Penny i ja.

– Kto wygrał?

– Ona.

Nie starałam się jakoś szczególnie. Wciąż odnosiłam to dziwne wrażenie, gdy dotykałam bierok. Jakoś wyjątkowo d o b r z e pasowały mi do ręki. Nieustannie miałam ochotę brać je w dłonie, wodzić palcami po kantach i zaokrągleniach, rozpoznawać figury samym dotykiem.

Udaję ziewnięcie.

– Jestem zmęczona. Położę się spać.

Ale gdy jestem już w swoim pokoju, mózg mi podskakuje.

Moja druga szansa, tylko że nie taka, jaką wymyślili Lorderowie. Moja druga szansa z Wolną Brytanią. Aby uderzyć w Lorderów.

Jednak... co właściwie robiłam poprzednio z Wolną Brytanią? Ile razy p r ó b u j ę sobie przypomnieć tamto życie, z Nikiem, wspomnienia uciekają spłoszone. Napływają z powrotem, gdy ich nie szukam, nie drążę. Staram się zrelaksować, pozwolić umysłowi płynąć. Owszem, widzę obóz treningowy. Ale niewiele więcej. Czy brałam udział w misjach, w atakach? W końcu Lorderowie jakoś mnie złapali, więc pewnie brałam. Tyle że nic z tego nie pamiętam.

Przed oczami staje mi twarz Nica i nie chce się dać odpędzić. Podczas dzisiejszej rozmowy z nim trudno mi było myśleć, nie wiedziałam, co zrobić czy powiedzieć. Byłam tym, czym chciałam.

Skołowana potrząsam głową. Nie. To nie tak. Ja też przecież tego chciałam.

Jednak wieczorem, grając w szachy, czułam się bardziej sobą, kimkolwiek jestem. We własnej skórze. Jakby to, że wzięłam do ręki wieżę, uruchomiło we mnie jakiś mechanizm porządkujący i wszystko zaczęło się uspokajać, stabilizować.

Skupiam się na szachownicy, na drewnianych bierkach zajmujących czarne i białe pola. Przygryzam wargę. Każdy ruch, jaki widzę, skończy się zbiciem jednej z moich bierok. Nie zostało mi ich już wiele. Wyciągam rękę, lecz zaraz ją cofam.

– Nie wiem, co zrobić – przyznaję w końcu.

– Chcesz podpowiedzi?

Dotykam jednej bierki, potem drugiej. Patrzę mu w oczy.

Mruga, kiedy przykładam palce do zamku stojącego na jednej linii z królem. Ale nie ma tu możliwości użytecznego ruchu, jest tylko kilka wolnych pól między zamkiem a królem. Król stoi na niebronionej pozycji i niedługo zostanie zagrożony. Chyba że...

– Jaki jest ten specjalny ruch, który może zrobić zamek? – pytam.

– To się nazywa wieża, Lucy.

– Wygląda jak zamek!

– To prawda. – Mój przeciwnik uśmiecha się. – Wieża może się przysunąć do króla, a wtedy on przeskakuje za nią.

– Pamiętam! – Robię, jak podpowiedział, i mój król jest bezpieczny.

Gra toczy się dalej, ostatecznie wygrywam.

Wiem, że dał mi wygrać. Trzymam zamek w swej małej dłoni, biorę go z sobą do pokoju, kiedy idę spać. Figura szachowa stoi na moim stoliku nocnym, gdy tato całuje mnie na dobranoc.

Budzę się powoli, z poczuciem ciepła, szczęścia, bezpieczeństwa. Otwieram oczy. Wieży przy łóżku nie ma. Siadam na posłaniu zszokowana. Pokój kurczy się, zwija, zmienia i z powrotem staje się sypialnią Kyli. Nie Lucy.

Jak to możliwe, że zachowałam to wspomnienie? Powinno zostać usunięte wraz z resztą mojego pierwszego „ja”, jak powiedział Nico. W moje myśli znów wdziera się zamęt. Miewałam już wcześniej sny o Lucy, lecz nigdy tak realne.

I nigdy nie były to sceny w domu, w atmosferze szczęścia i bezpieczeństwa. Czepiam się tego snu, ale już staje się nierealny, wymyka mi się. Idę chwiejnie przez pokój, włączam światło. Biorę szkicownik i ołówki i próbuję, raz za razem, narysować jego twarz. Trzymać się go.

Ale on zniknął. Nie umiem. A to, co zostało, jest zamazane i niepewne, zaledwie poczucie wielkości i proporcji. Żadnych szczegółów, żadnych rysów twarzy, które dałoby się rozpoznać.

Poddaję się i porzucam rozpaczliwe próby sportretowania ojca Lucy. Mojego ojca. Zamiast tego skupiam się na Benie. Teraz, gdy jego rodzice zginęli, nie ma już nikogo, kto by o nim pamiętał. Będę codziennie patrzyła na jego portret. Dzięki temu nigdy go nie zapomnę – spojrzę na jego twarz i znów będę pamiętać.

I mogę zrobić coś jeszcze. Lucy mi o tym przypomniała.

Jest jedna, ostatnia szansa.

Jedyny możliwy sposób, w jaki mogę się próbować dowiedzieć, co się naprawdę stało z Benem: ZWA.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Nie chcesz pojechać z Cameronem? – pyta Amy, a jej uśmiech to właściwie złośliwy uśmieszek. – Jest przecież uroczy, nie uważasz?

– Nie! To znaczy, nie chcę jechać z Cameronem.

– A więc przyznajesz, że jest uroczy.

Przewracam oczami i wciskam się na tylne siedzenie wozu Jazza.

Wczoraj powiedziałam im, żeby na mnie nie czekali, bo wrócę do domu z Camem. Mama o tym nie wiedziała i pewnie by się nie zgodziła. Niekoniecznie ze względu na niego, tylko dlatego, żeby Amy i Jazz nie byli ze sobą sam na sam – jestem ich przyzwoitką. Ha! Już to wyjaśniłam Camowi, żeby sobie nie myślał, że zostanie moim codziennym szoferem. Zwłaszcza nie trzeba mi go dzisiaj, kiedy mam swoje plany, a on nie jest w nich przewidziany.

Wyskakujemy na drogę, jeszcze zanim zdążę zapytać:

– Jazz, jak myślisz, moglibyśmy dzisiaj po szkole wpaść na chwilę do Maca?

– Jasne – odpowiada i o to mi chodzi.

Mac jest kuzynem Jazza. To u niego w domu po raz pierwszy zobaczyłam na nielegalnym komputerze stronę ZwA, a na niej ogłoszenie o zaginięciu Lucy. Czy mogliby znaleźć Bena?

Amy zaczyna paplać o tym, co wczoraj usłyszała w przychodni. Wyłączam się, lecz nagle coś zwraca moją uwagę.

– Amy, możesz powtórzyć? – proszę, niepewna, czy dobrze usłyszałam. Niepewna, czy chcę to usłyszeć.

– Wiesz, chodzi o tego mężczyznę, o którym opowiadałam wcześniej, tego, co go pobito i był w śpiączce. Wybudził się w szpitalu.

Serce we mnie zamiera, w głębi klatki piersiowej czuję trzepotanie.

„Staraj się mówić zwykłym tonem”.

– Coś powiedział? O tym, co mu się przydarzyło?

– Bredził, przynajmniej według pielęgniarki, której przyjaciółka pracuje w szpitalu. Pewnie ma amnezję z powodu obrażeń głowy. Lorderowie przyjechali, żeby z nim porozmawiać, ale dali spokój, bo nie gadał z sensem.

„Powiedz Nicowi!”.

Ale co będzie potem? Jak już się skończy wściekać – co na pewno nastąpi, gdy tylko się dowie. Jak już naskoczy na mnie za to, że mu nie powiedziałam o napaści Wayne’a wcześniej, gdy pytał, co mi przywróciło wspomnienia.

Wayne stanowi ryzyko. Jeśli wyśpiewa, co mu zrobiłam, zaraz przyjadą po mnie Lorderowie. Nico by się z nim rozprawił w taki czy inny sposób. „Rozprawił” znaczy: zlikwidował. A potem rozprawiłby się ze mną.

Nie zrobię tego.

Mój instynkt protestuje przeciw podjęciu takiego ryzyka. Lepiej poczekam i zobaczę: może Wayne nic nie będzie pamiętał.

„A może wręcz przeciwnie”.

Tego popołudnia mamy w auli apel dla klas jedenastych. Wszyscy zajmują swoje miejsca bez najmniejszego zamieszania, w absolutnej ciszy. Powód stoi przed nami: Lorderowie.

Zimny dreszcz wędruje mi po plecach, gdy zerkam w ich kierunku.

„Nie gap się”.

Siłą kieruję wzrok w inną stronę. Tych Lorderów akurat znam: agent Coulson i jego podkomendny. Chłodne oczy Coulsona omiatają salę i choć walczę ze sobą, by odwrócić wzrok, krzyżujemy spojrzenia. Co on tutaj robi?

Coulson nie jest zwykłym funkcjonariuszem, jest kimś więcej. To było oczywiste, gdy przyszli przesłuchać mnie po zniknięciu Bena. Przede wszystkim ze względu na mamę na pewno nie wysłano byle kogo. Ci Lorderowie musieli się umieć zachować w obecności córki bohatera, Człowieka Pięści, premiera, który wraz z żoną zginął w zamachu z ręki Wolnej Brytanii. Mama może się nie miesza w politykę ani nie wykorzystuje swoich znajomości, ale i tak nie mogli zrobić ani powiedzieć nic, z czego musieliby się tłumaczyć. Jestem pewna, że tylko z jej powodu nie wywlekli mnie z domu na mniej łagodne przesłuchanie.

Coulson jednak roztacza aurę uważnie sprawowanej władzy. Nie jest jakimś gburowatym osiłkiem, choć pewnie popisałby się siłą, gdyby było trzeba. Wydaje się przepełniony chłodną kalkulacją.

Jego spojrzenie spoczywa na mnie. Na czoło występuje mi pot.

„Odwróć wzrok!”.

By się nie gapić, spuszczam oczy. Zwalczam impuls, który każe mi sprawdzić, czy on patrzy dalej.

„Jest tylko człowiekiem. Paskudnym.

Krwawiłby na czerwono jak każdy inny. Na pewno!”.

Zaczyna się apel. Dyrektor nudzi o osiągnięciach uczniów, potem nadaje swoje typowe ostrzeżenia. Przypomina, żebyśmy wykorzystywali swój potencjał, bo inaczej...

Ale ja jestem gdzieś indziej.

W mojej głowie to Coulson wydziera udręczone ciało Bena jego matce.

To Coulson rzuca płonąca zapalną na dom Bena.

Coulson odbiera Lucy jej rodzicom.

Od środka wypełnia mnie wściekłość: rozpedzona, gorąca furia. Na zewnątrz twarz mam spokojną, uważną, wewnątrz odczuwam coś przeciwnego.

Gdybym miała teraz w rękach rewolwer, uniosłabym go. Zastrzełił Coulsona. Zasłużył na to. Wszyscy zasłużyli.

Twarde siedzenie pode mną, nudny głos dyrektora i aula pełna słuchających uczniów odpływają w dal. Moje ręce trzymają zimny metal, oczy skupiają się na celu, starannie wymierzam. Palec wskazujący pociąga spust. Huk strzału, siła odrzutu odczuwana w rękach. Kula leci przez salę za szybko, żeby podążała za nią oczy, ale ja śledzę jej lot do celu.

Trafia go w pierś. Jego serce eksploduje, czerwona fala rozchodzi się na wszystkie strony, jak wtedy, kiedy się wrzuci kamień do spokojnej wody. Coulson pada.

Uśmiecham się i wtem dociera do mnie, że apel się skończył – wszyscy wychodzą. Wstałam i bezwiednie ruszyłam za pozostałymi. Cam został nieco w tyle za swoją klasą i idzie obok mnie. Pewnie myśli, że jestem totalną wariatką, skoro uśmiecham się teraz, tutaj.

Bo jestem.

Czar – o ile w ogóle jakiś był – prysnął. Zbliżyliśmy się do drzwi auli. Stoją tu inni Lorderowie, przyglądają się wychodzącym uczniom, każdemu po kolei. Coulson znajduje się z przodu, ci przy drzwiach są jego podwładnymi. Czuję ulgę. Nagle śniadanie przewraca mi się w żołądku, gdy przed oczami przewijają się wizje skrwawionego ciała agenta.

– Nic ci nie jest? – pyta szeptem Cam, gdy wychodzimy z sali. – Bardzo zbladłaś.

Kręcę przecząco głową, biegnę do najbliższej toalety i wymiotuję, i jeszcze, i znów. Kiedy nareszcie jestem pewna, że nic już nie zostało, odświeżam sobie twarz wodą i gapię się w lustro.

Co się tam, u licha, stało?

Ręce mi się trzęsą. Nie jestem tą osobą. Nie mogłabym tego zrobić. A może jednak? Nie płakałabym, gdyby zginął, ale nie z mojej ręki.

Więc po co był cały ten trening?

I znów w mojej głowie przewijają się wizje, jak film puszczony w przyspieszonym tempie. Ćwiczenia ze strzelania. Cele. Noże i ich zastosowanie. Strzał z obrotu. Byłam dobrym strzelcem, najlepszym w naszej

komórce. Komórce, która z kolei była najlepsza.

Nie!

„Tak. Po co zostaje się terrorystą? Żeby prowadzić polityczne dyskusje przy herbatce? Lorderowie są źli. On zasługuje na śmierć. Wszyscy zasługują”.

Patrzę na swoje ręce. Czuję w nich zimny ciężar broni. Wiem, co z nią zrobić. On zasługuje na śmierć. Czemu nie?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Zdradzę ci sekret – oznajmia Jazz z uśmiechem, więc się domyślam, że to nie będą złe wieści.

– Jaki?

– Zanim zapytałaś dziś rano, i tak miałem z wami pojechać po szkole do Maca. Ma dla ciebie niespodziankę.

Żołądek mi podskakuje. Jazz wciąż się uśmiecha, pewnie wie, o co chodzi, i musi to być coś dobrego.

– To nie jest Ben, co? – szepczę cicho. Wiem, że to niemożliwe, ale nie umiem powstrzymać pytania.

Uśmiech Jazza gaśnie.

– Przykro mi, Kyla. Jeśli się czegoś o nim dowiem, ciebie zawiadomię pierwszą.

Opieram się o jego samochód, nie mogąc odeprzeć fali rozczarowania, mimo że jest ono zupełnie niedorzeczne. Aiden obiecał, że jeśli się dowie czegoś o Benie, prześle mi wiadomości przez Maca, dlatego mój mózg natychmiast skoczył w tę stronę. „Błąd”.

Na parkingu pojawia się Amy. Podchodzi do nas i otacza Jazza ramieniem. On odwraca się i całuje ją, a ja staram się nie patrzeć.

– W porządku u ciebie? – pyta mnie siostra.

– Tak.

– Moja koleżanka widziała, jak pędzisz do ubikacji. Nie wyglądałaś za dobrze.

– O. Coś mi siadło na żołądku, nic wielkiego. Już przeszło.

– Na pewno nie chcesz jechać prosto do domu?

– Na pewno!

– Nie rób takiej zacieklej miny. Przecież tylko pytałam.

– Wsiadajcie, drogie damy. – Jazz trzyma dla nas otwarte drzwi.

Toczymy się polnymi drogami przez rżyska. W drodze do Maca mijamy gospodarstwa i zagajniki. Jego dom stoi daleko od innych, prowadzi do niego wąska dróżka. Ogromny ogród na tyłach przypomina złomowisko, ponieważ Mac zbiera kawałki samochodów i buduje z nich nowe auta. Takie jak to, które zrobił dla Jazza. Ale nie jest zwykłym mechanikiem.

Co to może być za niespodzianka?

Niespodzianka o mało mnie nie przewraca, kiedy wchodzimy frontowymi drzwiami.

Skye! Suczka Bena, wspaniały golden retriever, podskakuje z ekscytacją i obsypuje mi twarz mokrymi psimi pocałunkami. Przyklękam i otaczam ją ramionami, zanurzam twarz w jej futrze. Futrze, które czuć dymem.

Jazz jak zwykle zabiera Amy na spacer we dwoje. Mac patrzy na mnie i Skye, jej ogon dudni o podłogę, przednie łapy opierają się na moich kolanach. W uważnym spojrzeniu Maca coś się kryje.

– Jak...? – pytam. To jedno słowo zawiera tak wiele niewiadomych. Jak jej się udało przeżyć? Jak się dostała do Maca?

Mac siada obok nas na podłodze. Drapie suczkę za uszami, a ona rozwała się między nami z głową na moich kolanach.

– Nie widziałem jej tak szczęśliwej, odkąd się tu pojawiła zeszłej nocy.

– Czy wiesz, co się stało?

– Trochę wiem. Reszty się mogę domyślić. Nie rozumiem jednak, czemu nie jesteś zaskoczona, widząc ją u mnie, i dlaczego to ty pytasz mnie, czy wiem, co się stało.

– Coś słyszałam – mówię ostrożnie.

Mac podnosi rękę.

– Nie musisz mi mówić, skąd wiesz o rodzicach Bena. W każdym razie wiesz.

Kiwam głową i znów kryję twarz w psim futrze.

– Skye miała szczęście.

– Ładne mi szczęście. Najpierw straciła chłopaka, którego kochała, a potem całą rodzinę.

– Ale przeżyła. Nie wiem, czy nie było jej wtedy w domu, czy się jakoś wydostała, czy co. Kumpel Jazza znalazł ją następnego dnia, a Jazz przywiózł tutaj. Nikt z sąsiadów nie chciał być widziany z tym psem, w razie gdyby jakiś funkcjonariusz poczuł się obrażony jej ucieczką. – Sposób, w jaki wypowiada te słowa, świadczy o tym, że myśli o tej sprawie tak samo jak ja.

– Zostań tu – mówi. Wstaje i idzie do kuchni. Po chwili wraca z miską w ręce. – Zobaczmy, może ci się uda nakłonić ją do jedzenia.

Siedzę więc na podłodze z suczką opierającą się o moje kolana i karmię ją kawałkami mięsa. Zjada odrobinę, po czym zamyka oczy i zasypia.

Jej przyjemne ciepło i psi zapach, chociaż z nutką swądu, dają miłe wrażenie stabilności i nie chcę tego zburzyć nieostrożnym ruchem. Ale mam sprawę do Maca. Zsuwam więc suczkę ze swoich nóg i znajduję go w kuchni.

Aż mi zapiera dech w piersi, gdy widzę metalową sowę na szafce – rzeźbę, którą mama Bena zrobiła na podstawie rysunku, a którą on podarował mnie. Tak piękny i tak zabójczy ptak. Ta kobieta miała tyle talentu i oto jak niewiele z niego pozostało. Przesuwam palcami po metalowych skrzydłach, a w moim wnętrzu wzbiera ból i szuka sobie ujścia.

Z całych sił staram się go powstrzymać, nie wypuszczać. Jestem tu z ważnego powodu.

– Czy mogę zajrzeć na ZWA? – pytam.

Mac przygląda mi się uważnie, po czym kiwa głową. Idę za nim do pokoju na tyłach, gdzie wyciąga z ukrycia swój nielegalny, niezarejestrowany przez władze komputer. Ten sprzęt, w przeciwieństwie do legalnych komputerów, nie blokuje stron, których Lorderowie zabraniają oglądać. Wkrótce na ekranie pojawiają się ZWA, Zaginieni w Akcji. Lista zaginionych dzieci.

Mac swego czasu pokazał mi ten komputer i tę stronę, ponieważ zapytałam go o Roberta. Rodzony syn mamy, Robert, jest wymieniony na pamiątkowym obelisku w szkole jako jedna z około trzydziestu ofiar, które zginęły w szkolnym autobusie, gdy dostał się na linię ataku terrorystycznego ART. Ale Mac też tam był. Wiedział, że Robert nie zginął w tym autobusie, i przypuszczał, że został zresetowany. Dlatego pokazał mi na stronie ZWA, ile dzieci w kraju ginie bez wyjaśnienia. I wtedy natknęliśmy się na Lucy. Na mnie.

Z jakiegoś powodu muszę to zrobić, znów sprawdzić. Wchodzę do wyszukiwarki: dziewczyna, blond włosy, zielone oczy, siedemnaście lat. Klikam „szukaj”.

Wyskakują całe strony trafień, lecz szybko ją dostrzegam i klikam jej zdjęcie, żeby powiększyć obraz. Jej twarz – moja twarz – wypełnia ekran. Lucy Connor, dziesięciolatka, zginęła ze szkoły w Keswick. Siedem lat temu, ale wciąż widać, że to ja. Wygląda na nedorzeczenie szczęśliwą, uśmiecha się do zdjęcia, trzymając szarego kotka.

Prezent urodzinowy.

Aż mnie zatyka, gdy to do mnie dociera. Ten kotek był jej – moim – prezentem na dziesiąte urodziny.

– W porządku, Kyla? – pyta Mac.

Łzy napływają mi do oczu. Nigdy dotąd nie miałam na jawie wspomnienia z życia Lucy. Nigdy. Tylko jakieś urywki w snach. I w większości były to koszmary, straszne rzeczy, dopiero ostatni sen, ten wczorajszy, z grą w szachy, okazał się inny. Ale sny to przebłyśki nieświadomości. Tym razem nie spałam. Lucy powinna być wymazana, zupełnie wymazana, tak powiedział

Nico. Więc co to znaczy?

Mac kładzie rękę na mojej dłoni.

– O co chodzi?

– Przez sekundę myślałam, że może coś pamiętam. Tego kotka. – Wzdycham.
– Pewnie mi już odbija.

– Zmieniłaś zdanie o ZWA? – dopytuje. Patrzy na ekran, a ja podążam za jego wzrokiem. Jest tam przycisk „znaleziony/-a”. Jedno kliknięcie i mogłabym się dowiedzieć. Kto zgłosił zaginięcie Lucy? Może mój tato. Może znów moglibyśmy zagrać w szachy.

Potrząsam głową. Nie. Mam w życiu wystarczająco dużo bałaganu, a oprócz kilku strzępów snów zupełnie nie znam swojej prawdziwej rodziny. Tak czy inaczej, nie mogę ryzykować, że doprowadzę do niej ludzi z Wolnej Brytanii albo Lorderów – lepiej niech krewni dalej uważają mnie za zaginioną.

Czas przejść do rzeczy.

– Jesteś jakoś powiązany z ZWA?

– Bardziej jako... przekaźnik niż co innego. Czemu pytasz?

– Zastanawiałam się nad czymś. Czy mógłbyś zamieścić Bena na tej stronie?

Wlepia we mnie wzrok. Zna historię Bena, mniej więcej. Choć nie ma pojęcia o mojej roli w tej sprawie. Wie, że zabrali go Lorderowie. Pewnie uważa, że to będzie strata czasu, że z Bena nic nie zostało. I przypuszczalnie ma rację. Ale kiwa głową.

– Oczywiście. Masz jego zdjęcie?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie. Ale mam to. – Wyciągam z kieszeni portret Bena. Spędziłam nad tym rysunkiem długie godziny, żeby był jak najwierniejszy. – Będzie dobre?

Mac gwizdże z podziwem.

– Więcej niż dobre. To on, idealny portret. Ale trzeba go zeskanować, a ja nie mam tutaj skanera. Przekażę rysunek Aidenowi, dobrze?

Z całych sił staram się, żeby moja twarz nie zdradziła niepokoju.

– Dzięki – mówię tylko.

Aiden jest przyjacielem Maca. To jego opowieści o Zresetowanych przecinających sobie Levo sprawiły, że Ben postanowił spróbować. To jego Pigułki Radości umożliwiły dokonanie próby. To również Aiden chciał, żebym się zgłosiła na ZWA jako odnaleziona, choć takie naruszenie zasad resetu oznaczałoby nieunikniony wyrok śmierci, gdyby Lorderowie się dowiedzieli. Sam o sobie mówił, że nie jest terrorystą, tylko działaczem – stara się zmienić stan rzeczy w inny sposób.

„Naiwniak”.

Może, ale przynajmniej nie zabija ludzi. Wcześniejsza myśl o Robercie przypomniła mi o wszystkich tych uczniach, którzy zginęli w zamachu. Zabici przez bomby ART przeznaczone dla Lorderów. Kiedy się o tym dowiedziałam, miałam koszmary związane z tamtym atakiem na autobus, choć przecież nie mogło mnie tam być! Miałam wtedy dopiero dziesięć lat.

Ale mógł być Nico.

„Nie”. Nico nigdy by tego nie zrobił, nie wysadziłby autobusu pełnego niewinnych dzieciaków. Nie zrobiłby tego. On walczy z Lorderami. „I ja też”.

Przekonuję Maca, że nic mi nie jest, żeby mnie zostawił, aż się pozbięram, i zostaję, patrząc na zdjęcie Lucy. Co się jej przydarzyło? Nie umiem tego wydedukować. W jednej chwili jest szczęśliwym dzieckiem z kotkiem na ręce, z tatą, który pozwala jej wygrać w szachy. A w następnej? Potrząsam głową. Znika w wieku dziesięciu lat, po czym w jakiś sposób dokonuje się potężny przeskok w czasie, dziura w pamięci. Wspomnienia Rain zaczynają się dopiero około czternastu lat: treningi z Nikiem i innymi nastolatkami, jakiś obóz dla rekrutów w lesie. Nauka strzelania z broni palnej i podkładania ładunków wybuchowych.

Co się z nią działo przez cztery lata, zanim trafiła w to miejsce?

Amy i Jazz wracają ze spaceru. Gdy się zbieramy do odjazdu, dotykam sowy, którą zrobiła dla mnie mama Bena. Rzeźba skrywa sekret. Karteczkę od Bena, wciąż ukrytą wśród piór. Wiedząc, gdzie należy patrzeć, widzę maciupką białą kropkę, rożek kartki, który można pociągnąć i wyjąć liścik z pożegnalnymi słowami Bena do mnie. Dziś jednak nie dałabym rady na nie patrzeć.

Mac przytrzyma Skye, gdy suczka próbuje biec za nami. Odwracam się za nią. Jej pełen smutku wzrok odprowadza nas, aż znikniemy z pola widzenia.

Zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki, zielone drzewa, błękitne niebo, białe obłoki...

Ale inaczej.

Pola wysokiej trawy. Stokrotki. Żywy obraz, pełen szczegółów, ruchu i dźwięku, jak nigdy dotąd. Drzewa, ale widziane nie z dołu: najwyższe gałęzie śmigają obok mnie, gdy nurkuję. Słyszać szelest oznaczający mysz, lecz kiedy tam docieram, już jej nie ma.

Nieważne.

Uderzam skrzydłami i wznoszę się wyżej, czując ciepło słońca na piórach. Powinam się ukryć, zaczekać na ciemność i lepsze warunki do polowania. Ale

chcę latać w słońcu. Zostawić ziemię za sobą. Jak wysoko mogę się dostać? Zwracam się ku otwartemu niebu. Szybuję z ciepłym prądem wznoszącym, potem uderzam skrzydłami, by złapać następny. Prawie bez wysiłku, wyżej i wyżej. Mogę tak latać bez końca.

Drzewa przechodzą w otwartą przestrzeń, daleko w dole widać zieleń, gdy mnie to spotyka. Najpierw stopniowe wrażenie sztywnienia, przez które coraz trudniej mi uderzać skrzydłami. Potem pułapka. Jakby moje ciało znalazło się w pudełku o kształcie sowy, a ono kurczyło się, coraz ciaśniej i cięższe, choćbym nie wiedzieć jak walczyła. Aż w końcu w pułapce nie ma już ciała ani piór. Ściągną, krew i mięśnie gęstnieją, zwalniają, sztywnieją. Stają się metalowe. Pułapka nie znajduje się wokół mnie. Jest mną.

Niebo przestaje być moim przyjacielem. Powietrze przelatuje z gwizdem, drzewa zbliżają się w pędzie. Pikuję w dół, w dół, w dół...

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Następnego dnia rano mama wiezie mnie przez londyńskie ulice, na które teraz patrzę innymi oczami.

Widzę zagrożenie. W drodze do szpitala na każdym rogu zwracają na siebie uwagę Lorderowie w czarnym operacyjnym stroju. Stoją dwójkami i trójkami, jest ich więcej niż ostatnim razem, gdy tędy przejeżdżałyśmy. Mają karabiny maszynowe. Widzę oznaki konfliktu: zabite deskami okna, uszkodzone i opuszczone budynki wśród innych, pełnych życia. A przede wszystkim dostrzegam prawdziwą krzywdę uczynioną ludziom – smutne spojrzenia pokonanych. Porażka przebija z ich sposobu poruszania się, z tego, gdzie patrzą, a gdzie nie. W Londynie jest znacznie gorzej niż na wsi.

– W porządku? – pyta mama, a ja kiwam głową. – Kiedy wrócimy, w domu będzie tato. Dzwonił, że przyjeżdża. – Mówi to zwykłym tonem, niemal zbyt zwykłym, aż się samo narzuca, że to udawana swoboda.

– Coś jest nie tak? – Pytanie wyrywa mi się, zanim je zdążę ocenzurować.

– Dlaczego pytasz?

– Trochę dziwne, że o tym wspominasz, po prostu. – I przypominam sobie, jak zmieniła temat ostatnim razem, gdy padła o nim wzmianka.

Nie odzywa się, oczy ma utkwione w drodze, aż przestaję się już spodziewać odpowiedzi. Wzdycha.

– Nasze dorosłe sprawy. To skomplikowane, Kyla. – Tylko tyle od niej słyszę.

Jedziemy dalej w milczeniu, aż przed nami pojawia się szpital: ogromny brzydki wrzód w krajobrazie wśród starych domów i krętych uliczek, nowoczesna potworność. Ten szpital jest symbolem władzy Lorderów i oczywistym celem, skoro odbywa się w nim resetowanie.

Przyglądam się rozmieszczeniu wież strażniczych na obrzeżu szpitalnego terenu. Obiecałam Nicowi dokładne plany wnętrza i otoczenia budynków. Zamierzam się z tego wywiązać. Właściwie każdy widzi, jak kompleks wygląda z zewnątrz. Jestem pewna, że już go zmapowano. Podobnie zresztą z wnętrzem. Na pewno dało się przekupić kogoś z licznego personelu medycznego i innego. Nico zapewne chce potwierdzenia od osoby, którą sam wyszkolił – od zaufanych oczu. Moich.

Zmierzamy do głównej bramy i ustawiamy się w kolejce. Lorderowie przy

wjeździe sprawdzają samochody. Kierowca i pasażerowie muszą wysiąść i przejść przez wykrywacz, zanim wsiądą z powrotem i odprowadzą swoje pojazdy na podziemny parking.

Niepokój skręca mi wnętrzności. A jeśli Nico się myli i komunikator ukryty pod bransoletą Levo nie jest niewykrywalny? Może powinnam go była zdjąć, zanim tu przyjechałam. Czy w ogóle da się go odpiąć? Nie próbowałam.

Suniemy do przodu. W końcu nadchodzi nasza kolej. Strażnik po tej stronie bramy podnosi rękę, żeby nas zatrzymać. Gestem szacunku pozdrawia mamę, jako córkę bohatera Lorderów – dłoń dotyka serca – ale każe nam stanąć. Przeprasza miną za to, że musimy się podporządkować jak wszyscy inni.

Wysiadamy. Kiedy podchodzę do wykrywacza metalu, nogi mam jak z ołowiu. Przechodzę, rozlega się alarm i o mało nie wpadam w panikę, ale na szczęście uświadamiam sobie, że wykryty metal to moje Levo. Lorder z ręcznym wykrywaczem każe mi rozłożyć ręce i przesuwają urządzenie wzdłuż mojego ciała. Skaner wykrywa Levo, strażnik kiwa głową i przepuszcza mnie.

I tyle? W duchu prychem z pogardą. Jakże to oczywiste, że jedynym miejscem ukrycia metalu na Zresetowanej osobie jest jej Levo. A gdybym przemyślała ładunek wybuchowy?

Jednak komunikator jest dobrze ukryty. Gdybym nie wiedziała, że tam tkwi, pewnie nawet bym go nie wymacała. I przypuszczam, że u większości Zresetowanych nie dałoby się założyć czegoś takiego. Jeżeli czujnik działa właściwie, dołączenie czegoś spowodowałoby ból i spadek poziomu.

Wsiadamy z powrotem do wozu i zjeżdżamy spiralnie na podziemny parking. W brzuchu skręcają mi się nerwy. Czy tym razem zdam egzamin przed doktor Lysander? Widuję się z nią co sobota – doktor drąży i grzebie w moim umyśle. Bada mnie, szuka szczelin czy zgrzytów. Chce odkryć, dlaczego jestem inna niż pozostali Zresetowani.

A teraz jestem jeszcze bardziej inna. Jak przez to przejdę? Doktor Lysander to najbystrzejsza, najbardziej spostrzegawcza osoba, jaką znam. Widzi przez człowieka na wskroś.

„Spokojnie. Niczego nie ukrywaj. Opowiedz jej o swojej wewnętrznej terroryście”.

Taaak, jasne.

Muszę być Kyla, dziewczyną, którą zna, i tylko nią. Nikim innym. Skupiam myśli na Kyli.

– Kyla? – Doktor Lysander stoi w drzwiach swego gabinetu. – Wejdz.

Siadam na krześle naprzeciw jej biurka, zadowolona, że drzwi się za mną zamknęły. W poczekalni znów stoi na straży Lorder. Pewnie muszą zachować czujność na wypadek kolejnego ataku.

Kiedy wydarzył się ostatni – kilka tygodni temu – strażnicy błyskawicznie zabrali doktor w bezpieczne miejsce. Zniknęła, zanim na piętro dotarli terroryści w swoim morderczym szale. Jeden wymierzył we mnie z karabinu, a nie strzelił tylko dlatego, że jego kumpel powiedział, żeby nie marnować kuli na Zresetowaną. Dokąd ochroniarze zabrali panią doktor i jak zdążyli ją tak szybko ukryć?

Doktor Lysander przez chwilę stuka palcami w swój ekran. Podnosi wzrok.

– Masz bardzo zamyśloną minę. Może dzisiaj zaczniemy od tego, że mi opowiesz, co cię trapi.

„Mów prawdę, ale nie za dużo. Kłamiąc przy niej, ściągasz na siebie ryzyko”.

– Myślałam o tych wszystkich zabezpieczeniach, przez które musiałyśmy dzisiaj przejść.

– A, rozumiem. Czy to cię niepokoi?

Dziś zdecydowanie tak. Przytakuję.

– Jak myślisz: dlaczego?

– Mam wrażenie, jakby mnie mieli zaraz powlec i gdzieś zamknąć.

– Nieczyste sumienie? – Śmieje się; pewnie uważa, że to żart. Zresetowani nigdy nie robią nic złego. Rzecz w tym, że p r a w i e nigdy, bo co z Benem? Tak czy inaczej, jeśli fakt, że jest się Zresetowanym, oznacza, że nie stanowisz zagrożenia dla siebie ani nikogo innego, to dlaczego jesteśmy wszyscy tak mocno pilnowani i monitorowani?

A ja jestem inna. Szczególnie teraz, ale zawsze byłam. Czy to dlatego właśnie ona została moim lekarzem prowadzącym? Doktor Lysander jest sławna – to ona wynalazła resetowanie. Za każdym razem, kiedy do niej przychodziłam na umówioną wizytę, w jej poczekalni nie było żadnego innego pacjenta. A skoro pani doktor nie umie określić, na czym polega moja inność, uznaje, że coś jest ze mną nie tak, i próbuje się dowiedzieć co i dlaczego. Jednak nawet ona nie ma pojęcia o rozmiarze tej mojej inności ani o implikacjach. O tym, że byłam i jestem tykającą bombą.

Bombą nastawioną przez terrorystów, taką jak ta, która wysadziła autobus z Robertem.

Żołądek mi się skręca.

– O co chodzi, Kyla? Powiedz mi: co cię niepokoi?

– Atak terrorystyczny tutaj.

Przechyliła głowę na bok, rozważa moje słowa.

– Wciąż myślisz o tamtym dniu, tak? Nie bój się. Teraz jesteś tu całkiem bezpieczna. Daję słowo. Wprowadzono nowe, zaostrome środki ostrożności. – Wypowiada to w taki sposób, jakby jej zdaniem posuwano się za daleko, podchodzono do sprawy zbyt ostrożnie. Jest w błędzie.

„Dowiedz się, co wprowadzono”.

– Ma pani na myśli te nowe zabezpieczenia przy bramie?

Kiwa głową.

– To i jeszcze inne rzeczy. Technologiczne. Cały szpital jest mocniej chroniony.

„Jak?”.

Ale nie mogę pytać. Nadmierna ciekawość nie jest cechą Zresetowanych.

Za to zacznę dostrzegać różnice. Telefon i interkom na biurku zmieniły się – nie ma już bezprzewodowych urządzeń, wszystko jest okablowane. Jej komputer też, wychodzi z niego kłębowisko kabli i ciągnie się przez pokój do otworu w ścianie. Ale czy to nie jest przestarzała technologia?

Pani doktor stuka w swój ekran. Podnosi wzrok.

– Mam sprzeczne raporty z twojej szkoły.

– O.

– Najwyraźniej jesteś nieobecna duchem i przygnębiona oraz radosna i tryskająca energią, czasami jedno i drugie tego samego dnia. – Uśmiecha się półgębkiem. – Umiesz to wyjaśnić?

– Nie zawsze jestem tą samą osobą. – Najprawdziwsza rzecz, jaką dziś powiedziałam.

– Niekiedy ciężko jest być nastolatką. Mimo to chciałabym zlecić kilka badań, żeby zobaczyć, jak się sprawy mają. Może następnym razem.

„Badania mogą wykazać, że zmieniły się ścieżki pamięci. Trzeba ich unikać!”.

Ale jak?

Doktor Lysander zamyka swój komputer, krzyżuje ręce na piersi i patrzy mi w oczy.

– Kyla, czy zastanawiałaś się nad tym, o czym rozmawialiśmy podczas ostatnich wizyt?

– Co pani ma na myśli? – pytam wymijająco.

Unosi brew.

– Rozmawialiśmy o inności. O odchyleniach. Co się dzieje w twoim wnętrzu, co sprawia, że jesteś inna. Powiedziałaś, że to przemyślisz i podzielisz się

ze mną.

„Daj jej coś”.

Przełykam ślinę.

– Czasami... Wydaje mi się, że coś pamiętam. Czego nie powinnam.

Rozważa to.

– To nie jest niezwykle u Zresetowanych. Ludzie nie cierpią pustki, boją się, jeżeli nie mają niczego w pamięci. Wypełniają próżnię, zmyślając wspomnienia. Jednak... – Urywa, zamyśla się. – Powiedz mi, co pamiętasz.

Bezwiednie, nie zastanawiając się nad tym, czy mam coś zmyślić, czy wybrać coś prawdziwego, przechodzę prosto do wspomnienia, które chciałabym zatrzymać dla siebie i z nikim go nie dzielić. Doktor Lysander ma właśnie taki wpływ.

– Pamiętam, jak gram w szachy z tatą. Moim prawdziwym tatą. To było dawno temu, miałam małe ręce. Byłam znacznie młodsza.

– Opowiedz mi o tym – zachęca.

Więc opowiadam. Wszystko. O tym, jaka w dotyku jest wieża. O wrażeniu ciepła i bezpieczeństwa po przebudzeniu.

– Najprawdopodobniej to tylko sen – stwierdza.

– Może. Ale był tak szczegółowy, taki realistyczny.

– Sny czasem takie bywają. Tak czy inaczej, cieszę się, że koszmary masz już za sobą. – Uśmiecha się, patrzy na zegar. – Już prawie pora kończyć. Czy jest coś jeszcze, co chciałabyś mi powiedzieć?

„Podtrzymaj w niej ciekawość”.

Waham się. Potem kręcę głową.

– Widzę, że coś jest. Powiedz.

– Tylko tyle, że wieczorem przed tym snem grałam w szachy. I wciąż brałam do ręki wieżę, dotykałam jej.

Pani doktor pochyla się w moją stronę.

– Odczuwałaś nieprzepartą chęć dotykania i trzymania tej figury? – Przytakuję. – Interesujące. Może zachowała się jakaś pamięć fizyczna? Niewykluczone, że pobudziła sen, który mógł być wytworem podświadomości, lecz to i tak bardzo interesujące.

– Nie rozumiem. Jeśli pamięć jest wymazana, to jej nie ma, prawda?

Wiem, że powinnam dać spokój, nie pozwalać, żeby doktor skupiła się na tym bardziej, ale nie mogę odpuścić. C h c ę s i ę d o w i e d z i e ć.

– To popularne rozumienie tego, co się dzieje podczas resetu. Ale nie całkiem dokładne. – Prostuje się na krześle. – W rzeczywistości reset bardziej polega

na tym, że zostaje zniszczony świadomy d o s t ę p do pamięci. Wspomnienia wciąż tam są, tylko nie możesz ich odnaleźć.

Wciąż tam są? Uwięzione jak Rain, za murem. Czy to oznacza, że Lucy też wciąż kryje się gdzieś tam we mnie i krzyczy, żeby ją wypuścić? Wzdrygam się.

– Czy to dlatego rzeczy wychodzą w snach? Mój świadomy umysł nie może do nich sięgnąć, ale kiedy zasypiam... – Urywam, bo nie podoba mi się, dokąd ta rozmowa zmierza; nie podoba mi się, co ona o tym pomyśli. Zresetowani nie mają wspomnień, czy śpią, czy czuwają. A może jednak?

– To rzadkie, ale może się zdarzyć. Znacznie bardziej prawdopodobne, że te sny karmią się wytworami twojej nazbyt wybujałej wyobraźni. – Przez chwilę stuka palcami w blat biurka. – Na razie darujemy sobie badania. Kończymy rozmowę.

Dopiero kiedy z powrotem siedzę z mamą w samochodzie i wyjeżdżamy ze szpitala, ufam sobie na tyle, by pomyśleć. Co się stało? Doktor Lysander najpierw chce badań, a zaraz potem już nie.

Jeżeli sięgam do starych wspomnień i to wyjdzie w badaniach, nie będzie miała innego wyboru, jak donieść o tym komisji. A to oznacza dla mnie terminację.

Ale jeśli doktor Lysander zdaje sobie sprawę z tego, że z moim resetem coś poszło nie tak, to właśnie tak powinna postąpić, prawda? Rozmyślam o naszej rozmowie, o tym, co zostało wypowiedziane na głos i co zatajone, o jej wyrazie twarzy. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie: kieruje nią ciekawość.

Nie będzie mogła badać mojego przypadku, gdy umrę. Chce wiedzieć, co we mnie tyka.

Tyka jak bomba.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Gdy docieramy do domu, na podjeździe stoi samochód taty. A kiedy wchodzimy, tato i Amy siedzą obok siebie na sofie, każde z kubkiem herbaty w ręce.

– A oto moje dwie pozostałe dziewczyny! – Tato uśmiecha się i wyciąga rękę. Podchodzę do niego. – Pocałuj tatę na powitanie. – Nadstawia policzek, a ja, nie mając ucieczki, spełniam polecenie.

Wyraźnie jest dziś w dobrym humorze.

– Siadaj, Kyla. Zrobię nam coś do picia – mówi mama i znika w kuchni. Z jej strony żadnego buziaka na powitanie.

I zaczyna się magiel.

– Jak tam w szkole?

– Dobrze.

– Kim jest ten nowy chłopak, o którym słyszałem? – pyta tato i mruga do mnie.

Zerkam na Amy. „Wielkie dzięki” – przekazuję jej wzrokiem. Lecz ona się tylko uśmiecha, nie łapie sensu mojego spojrzenia.

Moja siostra najwyraźniej nie pojmuję, że jedne rzeczy można powiedzieć, a innych nie. Kiedy się pojawiłam w rodzinie, zdawało się, że to ja mam ten problem w związku z nią i Jazzem, zanim oficjalnie pozwolono im się spotykać. Ale im więcej rozumiem, tym mniej sobie uświadamiam, co właściwie dociera do Amy.

– Jaki nowy chłopak? – dziwię się.

Amy uśmiecha się znacząco.

– Cameron, oczywiście.

– Jest tylko znajomym z przeciwka, to nic wielkiego. Jego wujek piecze fantastyczne ciasta.

– A może ty byś nam czasem coś upiekła? – woła tato w stronę kuchni. Mama nie odpowiada, ale kubki głośno stukają o blat kuchenny.

– Gdzie byłeś? – pytam, nie dając tacie okazji do rzucenia kolejnego pytania.

– O, tu i tam. Wiesz, taka praca. – Znów się uśmiecha i widzę, że jest bardzo zadowolony, a to, co może być powodem tego zadowolenia, działa mi na nerwy.

Mama akurat przynosi nam herbatę, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Odstawia kubki i rusza do korytarza, lecz tato zrywa się na równe nogi.

– Ja otworzę – mówi.

Mama opada na fotel z dłońmi zaciśniętymi na kubku. Wygląda na TAK bardzo nieszczęśliwą.

Sebastian śpi na oparciu sofy. Biorę go i kładę mamie na kolanach. Kot protestuje sennie, potem mości się, a mama krzyżuje ze mną wzrok. Uśmiecha się lekko. Kocia terapia.

– Zobaczcie, kto przyszedł. – Tato wraca do pokoju, a za nim wchodzi Cam.

Jęczę w duchu. Zjawił się mistrz doskonałego timingu. Przez rękę ma przewieszony na pasku kask rowerowy.

– Jest piękny dzień. Wybierzesz się ze mną na rower? Możesz pożyczyć ten od mojej ciotki, jeżeli nie masz swojego.

Ucieczka?

„Zachowaj neutralną minę”.

– Może lepiej zostanę w domu. Właśnie przyjechał tato.

– Nie, nie, jedź – zachęca mnie tato. – I baw się dobrze. – Uśmiecha się i wydaje taki przyjazny, szczery, troskliwy. Czy to ten sam tato, który groził, że mnie zwróci Lorderom, gdy Ben zniknął?

– Możesz wziąć mój rower z szopy – proponuje mama. – Nie zapomnij kasku. Tato odprowadza nas do drzwi.

– Możesz wyjąć rower dla Kyli? – pyta Cama i wskazuje szopę z boku domu. – Kyła zaraz wyjdzie.

Cam idzie do wskazanych drzwi, a tato i ja zostajemy we dwoje w korytarzu. Teraz zasunie mi ostrzeżenie? Lecz on się uśmiecha.

– Kyła, myślę, że poprzednio nie najlepiej nam wyszło. Jeśli wydałem ci się surowy, to dlatego, że się martwiłem, nie chciałem, abyś wpadła w kłopoty. Wiesz, że cię wspieram, że pomogę, gdy będziesz tego potrzebowała, prawda?

– Jasne – odpowiadam zaskoczona. Teraz bardziej przypomina tego tatę, którego poznałam na samym początku. Może żałuje swoich twardych słów?

– Jedź. Dobrej zabawy – życzy mi i otwiera dla mnie drzwi.

– Nie jestem pewna, czy umiem jeździć na rowerze – zastrzegam się przed Camem, ale kiedy chwytam kierownicę i pcham rower przez ogród, czuję, że już to kiedyś robiłam.

Na ulicy Cam kładzie swój rower na trawie i przytrzymuje mój prosto. Pomaga mi wsiąść i podpowiada, jak pedałowac, po czym biegnie obok mnie po chodniku z ręką na mojej kierownicy. Ze śmiechem mocniej naciskam pedały, aż Cam zostaje w tyle. Zeskakuję na rowerze z krawężnika i rozpędzam

się na jezdni.

„Szybciej!”.

Zwalniam jednak, żeby Cam mnie dogonił.

– Błyskawicznie się uczysz!

Śmieję się.

– Sprawdźmy, ile wyciśniemy – proponuję i ruszam pędem.

Dzień jest rześki, pogodny. Powiew listopadowego powietrza chłodzi twarz i ciało, ale pedałuje na tyle ostro, że jest mi ciepło. Wolność!

Zwalniam nieco, żeby Cam mógł nadążyć. W końcu, gdy się wtaczamy na wzgórze, Cam woła, że prosi o przerwę. Zjeżdżam na ścieżkę z boku drogi i zatrzymuję się. Cam dołącza do mnie zadyszany.

– Kyla, jesteś nie tylko sprawna, ale też strasznie SPRAWNA! – sapie.

Śmieję się. Kładziemy rowery na trawie i siadamy na kruszącym się kamiennym murku. Z tego wysokiego punktu we wszystkich kierunkach roztacza się widok na wiejską okolicę Chiltern – obszar o wyjątkowym pięknie krajobrazu, jak twierdzą przewodniki turystyczne.

Lucy mieszkała na północy, w Krainie Jezior. Miała tam wokół siebie góry, nie takie niskie pagórki jak tu. Kiedyś, nie zwracając zbytniej uwagi na to, co robię, narysowałam ją z górą w tle. Ale kiedy próbuję celowo myśleć o tamtym krajobrazie, nie znajduję nic. Czy to kolejne wspomnienie uwięzione we mnie w środku?

– Wszystko w porządku? – Cam spogląda na mnie z zaciekawieniem, a ja zastanawiam się, jak długo już gapię się w przestrzeń.

– Tak, w porządku. Przepraszam.

Patrzę na niego i uświadamiam sobie parę rzeczy. Wpatruje się w moje oczy; siedzi bardzo blisko. I podoba mi się to. A potem nagle przestaje się podobać.

Odsuwam się nieco. Znowu kieruję wzrok na wzgórze.

– Posłuchaj, Kyla. Myślę, że musimy pogadać.

– O czym?

– O Benie.

Jego imię wydziera mi w sercu dziurę.

– Co o nim wiesz?

– Że zniknął. I słyszałem plotki, że miałaś z tym coś wspólnego. Co się wydarzyło? Możesz mi powiedzieć. Nikt nas tu nie usłyszy.

Zaciskam mocno powieki. Jest we mnie cząstka, która bardzo chce o tym porozmawiać, opowiedzieć wszystko. Cam mnie zrozumie. Jego ojca zabrali Lorderowie, prawda?

Ale jest inna cząstka – należąca do Rain – która mówi „nie”. Nie ufaj mu. Nigdy nikomu nie ufaj.

Potrząsam głową i znowu na niego patrzę. W oczach ma rozczarowanie.

– No, gdybyś kiedyś chciała pogadać, to jestem do dyspozycji. I rozumiem coś jeszcze.

– Co takiego?

– Jesteśmy tylko znajomymi. Nie martw się o te sprawy. To oczywiste, że wciąż cierpisz po stracie tamtego gościa. Niczego nie będę próbował. Okej?

Znowu mu się przyglądam i widzę jedynie przyjacielską troskę.

„Taak, jasne”.

Ale biorę jego słowa za dobrą monetę. Przynajmniej na razie.

– Przyjaciele? – mówię z uśmiechem i wyciągam rękę.

Późną nocą w domu jest cicho. Tato pojechał. Został na kolację, a wieczorem, kiedy Amy i ja poszliśmy do swoich pokojów, on i mama kłócili się w kuchni. Przyciszonymi głosami, ale tonu nie dało się z niczym pomylić. Potem zadzwonił telefon i tato wyjechał.

Łapie mnie przemożna chęć, by rysować: szpital, wieże strażnicze, nowe zabezpieczenia przy bramie – wszystko zaczyna nabierać kształtu na papierze. Zastanawiam się nad okablowaniem komputerów i telefonów. Mama powiedziała, że jej komórka nie działała tam dzisiaj, a kiedy spytałam, czy poprzednim razem też, odparła, że zazwyczaj nie było z tym problemu.

Moje Levo ma własne sekrety: czy komunikator zadziałałby, gdybym go tam wypróbowała? Okręcam sobie bransoletę na rękę i nie czuję nic. Levo jest martwe, odkąd wróciły wspomnienia.

Dokładniej: niektóre wspomnienia. Chociaż pamiętałam urodzinowego kotka. Nie byłoby po nim śladu w pamięci, gdyby Lucy naprawdę zniknęła, jak powiedział Nico, prawda? Wpatruję się w swoją lewą rękę, poruszam palcami – tymi, które były połamane, zdruzgotane jak ja w środku. Ręka to jedno, ale co trzeba było zrobić, żeby rozdwoić w środku osobę? Wzdrygam się na wizję cegły i trzymam palce mocno złączone.

Może gdybym nie zobaczyła Lucy na stronie ZwA, jej wspomnienia pozostałyby ukryte. Nico na pewno wie więcej, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiada, że bym nie pytała. Zachował się trochę dziwnie, kiedy go zagadnęłam o Lucy: jakby zaskoczenie, że wiem, kim była, mieszało się z czymś jeszcze.

Mówił, że zrobił to wszystko, by mnie chronić, ponieważ jestem kimś

szczególnym – obchodził się ze mną szorstko, żeby mi okazać życzliwość. Ale dlaczego jestem szczególna? Jak mnie namierzył w moim nowym życiu? Nie mogę sobie wyobrazić niczego, co mogłabym zrobić dla Wolnej Brytanii i co byłoby warte takiego zachodu. Pewnie jest coś jeszcze. Muszę się tego dowiedzieć.

Waham się. Czemu nie? Wyślizguję się z łóżka i zamykam drzwi sypialni. Naciskam przycisk pod czujnikiem. Mijają sekundy. Rozlega się ciche pstryknięcie.

– Tak? – zgłasza się Nico.

Przebiega mnie dreszcz na dźwięk jego głosu, kiedy mi mówi, gdzie mamy się jutro spotkać. Jestem podekscytowana, że się z nim zobaczę. To aż niedorzeczne. W ogóle nie jest już na mnie zły o to, że mu sprowadziłam na kark Tori. W jego głosie słychać radość, wyluzowanie, odczuwam więc wielką ulgę. A potem słyszę gdzieś w tle śmiech Tori.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Na pewno nie masz nic przeciwko? – Mama stoi niezdecydowana w drzwiach, z parasolem w ręce. Na zewnątrz leje jak z cebra.

– Na pewno. Jedź.

Mama wybiera się do ciotki Stacey na dłuższy sobotni obiad. Wzięła wino, ktoś ma ją podrzucić. Nie wróci prędko. A Amy spędza dzień z Jazzem i jego rodziną. Pusty dom, nie będę się musiała wymykać.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Nica, żeby się umówić na spotkanie gdzieś bliżej, ale odrzucam tę myśl. To tylko deszcz, a Nico raczej nie odniesie się do takiej propozycji z entuzjazmem.

Jestem na górze i szukam przeciwdeszczowych okryć, kiedy rozlega się pukanie do frontowych drzwi.

Staję z boku okna, żeby mnie nie było widać z zewnątrz, i ostrożnie wyglądam. Mogę się tylko domyślić, że pod tym parasolem kryje się Cam.

Pewnie trudno będzie się go pozbyć, a w domu jest cicho i ciemno. Niech myśli, że mnie nie ma. Czekam po cichu. W końcu daje sobie spokój i wraca do domu naprzeciwno.

Składałam rysunki, które zrobiłam zeszłej nocy dla Nica, plany szpitala. Żeby nie zamokły, owijam je folią i wkładam do wewnętrznej kieszeni.

Przez chwilę gryzę długopis, po czym zostawiam krótką wiadomość: „Poszłam na spacer”. Na wypadek, gdyby mama czy Amy wróciły wcześniej do domu, żeby nie wpadły w panikę ani nie robiły zamieszania.

Uświadamiam sobie, że najlepiej będzie wyjść tylnymi drzwiami, w razie gdyby Cam obserwował nasz dom i chciał wiedzieć, czemu go nie wpuściłam. Tyłne wyjście nie wygląda zachęcająco w taką pogodę. Wzdycham. Maszeruję w ulewie przez długi, zabłocony w tej chwili ogród, potem przeciskam się przez drapiący żywopłot i z trudem brnę przez jeżyny do ścieżki, która wyprowadza mnie na drogę daleko od domu.

– Jesteś przemoczona – stwierdza Nico i każe mi czekać na deszczu, podczas gdy sam sięga do tyłu po ręcznik i rozpościera go na siedzeniu.

Jedziemy w milczeniu, słychać jedynie muzykę puszczoną z samochodowego odtwarzacza. Klasyczną. Nie pomyślałabym, że Nico taką lubi, lecz w końcu co ja o nim wiem jako o osobie?

– Wszystko w porządku, Rain? – pyta.

– Tak. – Kiwam głową. – Tylko jestem wykończona. Mam za sobą kilka ciężkich tygodni.

Śmieje się.

– Miękniesz. Przydałby ci się porządny kilkudniowy kurs wytrzymałościowy w lesie.

– W porządku, jeżeli tam będziesz.

Potrząsa głową.

– Już nie te czasy. To były piękne dni, prawda, Rain? Z Sowami.

Oczy otwierają mi się szeroko. Z S o w a m i. Właśnie tak się nazywaliśmy, to była nazwa naszej komórki. Czy to dlatego tak mnie fascynują sowy? Rysuję je, idę za nimi bez względu na to, dokąd mnie prowadzą? W głowie przesuwają mi się obrazy.

„Sowy były najlepsze!”.

Była nas siódemka. No, ósemka, ale jedna dziewczyna zginęła wcześniej w wypadku z materiałami wybuchowymi i odpędzam od siebie myśl o niej. Trzy dziewczyny i czterech chłopaków. Ja byłam najmłodsza – kiedy dołączyłam, miałam niecałe czternaście lat. Najstarszy miał piętnaście. Byliśmy mocno ze sobą związani: najlepsi przyjaciele, najzacieklejsi współzawodnicy. Straciliśmy nasze stare tożsamości i wybraliśmy sobie nowe imiona prosto z lasu. Ja chciałam się nazywać Rain – „deszcz”. Przed oczami miga mi czyjaś twarz, potem znika. Kto to był? Najlepszy kumpel, dopóki... dopóki... coś poszło nie tak. Potem był najgorszym wrogiem. Co się wydarzyło? Wspomnienia znikają.

– Co się z nimi stało?

Nico rzuca spojrzenie na boki.

– Niektórych złapano, jak ciebie, i uznaliśmy ich za Zresetowanych. Inni zginęli podczas misji. Czy chcesz wiedzieć, kto...

– Nie – przerywam mu. – Nie mów mi.

Nie chcę wiedzieć, kto umarł, przypominać sobie ich imiona tylko po to, by odnotować, że odeszli.

– Walczyli za to, w co wierzyliśmy – mówi Nico. – To dobra śmierć.

Łatwo ci mówić, skoro żyjesz.

Pędzimy z samochodu do domu Nica w strugach deszczu. Ruszam od drzwi w głąb mieszkania, ale on zatrzymuje mnie w wejściu.

– Uważaj, bo wszystko zalejesz.

Ściągam więc kurtkę i buty, ale resztę ciuchów mam i tak na wpół

przemoczoną, drzę z zimna.

Tori leży zwinięta w kłębek na sofie. Czyta sobie w ciepłku, z dala od deszczu. Zadrapania i sińce są mniej widoczne, ciemne włosy połyskują w świetle.

– Cześć – wita się i wraca do książki.

Właściwie nie wiem, czego się spodziewałam po tej dziewczynie. Nigdy nie byliśmy sobie bliskie. Nie lubiła mnie zbytnio i przypuszczalnie miało to coś wspólnego z Benem. Jednak nadstawiałam karku, żeby ją uratować, więc oczekiwałam czegoś więcej niż „cześć”.

– Muszę zatelefonować – oznajmia Nico. – Porozmawiajcie sobie przez chwilę, odnowicie znajomość. – I znika.

Przysiadam na skraju sofy.

– A więc jak leci?

Tori wzrusza ramionami.

Próbuję jeszcze kilka razy, ale do niczego to nie prowadzi. Chcę w jakiś sposób sprawdzić, co ukrywa. Chcę się dowiedzieć, jak się pozbyła czujnika. Po tym, co się wydarzyło, kiedy przecięłam Levo Bena... Wzdrygam się. Może Tori wie, jak to przeżyć. Może wie, czy są dla niego jakieś szanse.

Ben – to tędy do niej dotrę.

– Skye żyje.

Oczy się jej rozszerzają.

– Suczka Bena? Gdzie ona jest?

– Jest... – zaczynam, ale waham się, niepewna, czy powinnam podać imię Maca. – Jest u kuzyna mojego znajomego.

– Ben kochał tego psa – mówi, spuszcżając oczy. Znowu podnosi wzrok. – Ben kochał mnie – rzuca wyzywającym tonem.

Sprzecżając się, twierdżąc: „Tak naprawdę kochał mnie, nie ciebie”, nic nie zyskam, prawda? Tori cierpi. Niech sobie zachowa takie wspomnienia, jakie woli.

– Wiesz, co się stało z Benem? – pytam.

Spuszcza głowę. Potakuje skinieniem.

– Nico mi powiedział, że Ben przeciął sobie Levo i zabrali go Lorderowie. Ale nie rozumiem. Dlaczego miałyby to zrobić? Nie był z tych, którzy się sprzeciwiają, pakują w kłopoty. Czemu? Gdybym tu była, mogłabym go powstrzymać.

Nie odzywam się – z zakłopotania, ale także z obawy o jej reakcję, jeżeli wyznam, że ja przy tym byłam. Nie pyta o to, więc pewnie Nico nie zdradził jej

tej części historii. Tori nie wie, co mnie łączyło z Benem.

– Co Ben powiedział, gdy zniknęłam? – pyta.

Przypominam sobie, że początkowo jej zniknięcie w ogóle go nie obeszło. Dopiero kiedy go zapytałam, gdzie się podziała, spróbował się czegoś dowiedzieć. Ale ona nie musi znać tego od tej strony.

– Poszedł zobaczyć się z twoją mamą.

– Naprawdę? Mówił ci, co się wydarzyło?

Waham się.

– Powiedz, jeżeli coś wiesz. Proszę. Muszę wiedzieć. – Chwyta mnie za rękę. Moja dłoń jest zimna, więc Tori otula nas obie swoim kocem.

– Dobra – zgadzam się i opadam na oparcie sofy. Znam udrękę, gdy człowiek chce się czegoś dowiedzieć, ale nie ma na to sposobu. – Ben mówił, że ją zapytał, gdzie jesteś, a ona odpowiedziała, że już tam nie mieszkasz. On, zdaje się, zrozumiał, że się przeniosłaś do swojego taty w Londynie.

Tori prychnęła.

– Akurat. Nie pozwoliłaby mi się do niego zbliżyć. I co potem?

– Powiedziała, że zostałam zwrócona.

– Zwrócona? Dziwne słowo... – Zwiesza głowę.

– Co się wydarzyło, Tori?

– Cóż. Nie nakleili mi na czole etykietyki „Zwrócić do nadawcy” i nie wpakowali mnie do skrzynki pocztowej. Jednej nocy, kiedy mamy nie było w domu, wpadli i mnie zabrali. Spałam, aż tu nagle do sypialni wdzierają się dwaj Lorderowie i wywlekają mnie.

Chcę ją objąć, ale odtrąca moje ramię.

– Tak powiedziała? Że zostałam zwrócona? – Jej oczy napełniają się łzami.

– Przepraszam, nie powinnam była nic mówić. Tak mi przykro.

Tori garbi się, opiera czoło o kolana.

– Byłyśmy sobie takie bliskie. Mama i ja. Kiedy z nią zamieszkałam, stroiła mnie tak jak siebie, zabierała na przyjęcia u przyjaciół. Potem, w ostatnim roku, wszystko to się skończyło. Jakbym przyciągała za dużo uwagi zamiast niej i już mnie więcej nie chciała.

Jakby była lalką, którą ktoś nie chce się już bawić.

Tori kręci głową z boku na bok. W jej głos wkrada się szloch.

– A ja lubiłam być w centrum uwagi. Wdzięczyłam się do jej przyjaciół. Moja wina, nie powinnam była tego robić. Ale i tak... łudziłam się... To znaczy nigdy bym nie pomyślała, że mi to zrobi. Zastanawiałam się, czy w ogóle wie, co się ze mną stało, rozumiesz? Miałam nadzieję, że płacze, tęskni za mną i... – Rzuca

książką przez pokój. – Suka – syczy.

Odsuwa koc i kuśtyka do kuchni.

– Herbaty? – pyta.

– Em, tak.

W kuchni trzaska kubkami. Korytarzem nadchodzi Nico. Z łagodną miną. Ciekawostka.

– Wszystko w porządku?

Ale nie mówi tego do mnie. Podchodzi do Tori, kładzie jej dłoń na plecach. I widzę to w jej oczach: już go uwielbia. Kiwa głową.

– W porządku. Dzięki, Nico. Chcesz herbaty?

– Później. – Zwraca się do mnie: – Jak się napijesz, przyjdź porozmawiać ze mną w moim biurze.

Znika z powrotem gdzieś w korytarzu.

Nazwała go „Nico”. Pewnie już jej powiedział, że tak naprawdę nie nazywa się John Hatten. Jak jej się to udało? Nico nie ufa ludziom. Zasłużyłam na jego zaufanie dopiero po miesiącach spędzonych w lesie w męczarni na morderczym treningu. A on z jakiegoś powodu od razu zdradził jej swoje prawdziwe imię.

Kręcę głową.

– Cukru? – pyta Tori.

– Słuchaj, właściwie nie chce mi się pić.

– Jak sobie chcesz. – Wrzuca mój kubek z zawartością do zlewu.

Idzie do pokoju, podnosi z podłogi książkę i siada do czytania z herbatą w ręce.

Chciałam jej zadać tyle innych pytań. Jak się wydostała od Lorderów? Co się stało z jej Levo?

Lecz ona znów się zamknęła. Czas na rozmowę minął.

Pukam do drzwi gabinetu Nica.

– Wejść.

Otwieram drzwi. W środku jest sofa i biurko z komputerem wmontowanym w blat. Domyślam się, że sprzęt po złożeniu sprytnie zniknie w środku, jakby w ogóle nie istniał. Półki pełne książek. Biologicznych? Najwyraźniej przykrywka dla nauczycielskiej profesji.

I oczywiście Nico. Uśmiecha się.

– Pokaż mi, co masz.

Wyciągam z wewnętrznej kieszeni rysunki. Nico rozkłada je na niskim stole przed sofą, gestem zaprasza, żebym usiadła obok niego. Wypytuje o posterunki

i zabezpieczenia obronne oraz o środki ostrożności na bramie.

– Pewnie i tak już o tym wszystkim wiesz.

– O większości. Chociaż przy wjeździe jest teraz więcej utrudnień. Coś jeszcze?

– Myślę, że wprowadzili coś nowego. Ktoś to określił jako środki technologiczne.

– Jakież szczegóły?

– Nie znam. Ale zmieniły się telefony i komputery. Mają teraz kable, które ciągną się od nich do ściany. I komórka mamy nie działała w szpitalu. Mama mówiła, że zazwyczaj nie miała z tym problemu.

– Interesujące. Zainstalowano blokadę sygnałów. Może w całym szpitalu? Komórki stają się bezużyteczne.

– A zdalne sterowanie?

Patrzy na mnie.

– Jak zdalne detonatory?

Uśmiecha się lekko.

– Sprytnie, Rain. Racja. Choć tak czy inaczej, nie możemy niczego rozmieścić, to pewne.

– Jest coś jeszcze.

– Tak?

– Musi być jakaś tajna droga. Podczas ostatniego ataku Lorderowie szybko wyprowadzili lekarzy. Za szybko. Jakby się zapadli pod ziemię.

– Interesujące. Musisz patrzeć, obserwować. Dowiedz się, ile możesz.

– Tak.

– Może zaplanujemy atak pozorowany, akurat kiedy tam będziesz, żebyś miała okazję zobaczyć jak najwięcej.

Staje mi przed oczami ostatni atak na szpital. Widzę niewyraźnie, potrząsam głową. Bomby. Kule. Śmierć. Śliska podłoga, lepka od zastygającej krwi. Żołądek mi się skręca, walczę o oddech, żeby się uspokoić, powstrzymać mdłości.

– Rain! – woła Nico i chwyta mnie za ramiona. – Weź się w garść!

Pod silnym naciskiem jego rąk przez wilgotne ubranie do skóry przesącza się ciepło, zamazane krawędzie wyostrajają się. Znowu widzę wyraźnie.

– Tak. Zrobię, czego chcesz. Wszystko, czego chcesz. Obiecuję.

– Dobrze. Moja wyjątkowa Rain!

Wyciąga ręce i w jego objęciach wypełnia mnie ciepło. Pytania, które chciałam zadać, odpływają. Rozluźnia uścisk.

– A teraz o Tori.

– Tak?

– Może się nam przydać. Zobaczymy. Ma w sobie dużo gniewu. Nie wiem, czy nauczy się go kontrolować, kanalizować. Ale pamiętaj: ciągle stanowi zagrożenie, i to ty ją sprowadziłaś. Jeżeli coś pójdzie nie tak, spadnie to na twoją śliczną główkę. – Całuje mnie w czoło. – A teraz pewnie już czas, żeby cię odwieźć do domu.

Tej nocy odtwarzam sobie w głowie, co usłyszałam i widziałam. Ale wszystko jest wciąż zagmatwane.

Dlaczego jestem taka szczególna dla Nica i jego planów? Czemu nie zadałam mu pytań, z którymi przyszłam? Odczuwam to tak, jakbym w jego obecności traciła własną wolę.

A kiedy pomyślałam o ataku na szpital, którego byłam świadkiem, o mało nie ześwirowałam. Nawet teraz nie mogę o tym myśleć bez mdłości, znowu narasta we mnie panika. K r e w. Kiedy Nico mnie dotknął i w dodatku zawołał po imieniu – R a i n – wrażenie ustąpiło. Wróciło opanowanie.

Wiem, że ten szpital to złe miejsce. To, co tam robią, kradnąc umysły i wspomnienia, jest złe. Lorderowie są źli. Trzeba ich powstrzymać.

„I będą powstrzymani”.

Ale co ja robiłam wcześniej z Nikiem? I z Sowami? Wspomnienie krwi krzepnącej na szpitalnej podłodze podczas ataku w zeszłym miesiącu jest żywe, wyraźne. Podobnie jak groza, którą wywołuje. Jednak z poprzednich spraw... mam tylko słabe przebłyski.

Jego ścieżka jest właściwa. Moja ścieżka. To prawda, Nico potrafi być okrutny. Nie ceni niczyjego życia. Nie tylko życia Lorderów czy niewinnych przechodniów, lecz także życia swoich ludzi. Jak to powiedział wcześniej? Że jeżeli umarli za sprawę, to była dobra śmierć.

Co z Benem? Czy umarł dobrą śmiercią, próbując wyłamać się z zasad podyktowanych przez Lorderów? Wzdrygam się, jakaś część mnie wciąż odrzuca tę możliwość, podczas gdy resztę mojej świadomości pustoszy ból.

Na moim nocnym stoliku stoi wieża szachowa. Kiedy wróciłam dziś po południu do domu, nikogo jeszcze nie było. Nie mogąc się uspokoić, przeszukałam na dole półki i znalazłam zakurzony komplet szachów. Nie takich ładnych jak tamte, którymi grałam z Penny. Bierki są plastikowe, nie drewniane. Ale i tak wzięłam jedną wieżę i trzymałam ją w ręce. Jakoś mnie to uspokajało. Schowałam ją do kieszeni, kiedy mama i Amy wróciły, a potem przy kolacji raz

po raz gładziłam figurę, by się upewnić, że wciąż tam jest.

Teraz biorę ją ze stolika i zaciskam w dłoni.

Biegnę. Z każdym krokiem piasek osypuje mi się spod stóp, ale pędzę tak szybko, jak umiem. Strach dodaje mi sił, których normalnie nie mam. Biegnę, jednak są jakieś granice. Siły się wyczerpują.

– Szybciej!

Potykam się, padam jak długa, z trudem walczę o tlen. Zapadam się w sobie.

On próbuje postawić mnie z powrotem na nogach. Kręcę głową.

– Nie mogę. Leć. Ratuuj się – sapię.

– Nie. Nigdy cię nie zostawię. – Otacza mnie ramionami. W jego objęciach po raz pierwszy od tak dawna czuję ciepło i bezpieczeństwo. Ale tylko przez kilka sekund.

Zbliża się groza.

Coś go ode mnie odrywa. Tam, gdzie było ciepło, jest tylko chłód.

Krzyczę.

Otwieram szeroko oczy. Jest ciemno, cicho. Żadnego dźwięku, jeżeli nie liczyć szaleńczego bicia mojego serca. Żadnego ruchu, niczyich kroków, nikt nie przychodzi, żeby powiedzieć, że krzyczałam przez sen, jak to już bywało. Nikt nie przybywa, aby mnie pocieszyć.

W lewej ręce czuję ból. Palce mam mocno zaciśnięte i nie potrafię ich rozluźnić. Gdy bicie serca zwalnia, odginam je siłą jeden po drugim.

Trzymam w dłoni szachową wieżę. Ściskałam ją tak mocno, że ostro zakończone blanki przecięły mi skórę. Idealny okrąg sześciu wgłębień, a w każdym kropelka krwi.

Miałam już ten koszmary sen wiele razy. Ale dziś wyglądał inaczej.

Na początku, gdy przerażona biegnę po piasku, szczegóły zawsze są tak ostre jak krawędzie kryształu. Czuję piach wyslizgujący mi się spod stóp. Pędząc, z trudem łapię powietrze. Strach, który każe mi uciekać, przekracza granice wytrzymałości. Ale kiedy upadam, sen się z m i e n i a.

W przeszłości zawsze stawał się mglisty, niewyraźny. Wciąż jestem przerażona, ale szczegóły odpływają, odrealniają się. Krawędzie się zamazują. Ktoś krzyczy, żebym nigdy nie zapomniała i budowała mur, ceglany mur. Konkretne wyobrażenie tego, co ukryło Rain w moim wnętrzu. Czy to wtedy zabrali mnie Lorderowie i zresetowali? Co innego mogło być aż tak przerażające?

Dziś jednak sen wyglądał inaczej. Pozostał wyraźny do samego końca. Człowiek obok mnie też był inny. Nie wrzeszczał, podtrzymywał mnie, a ja przywierałam do niego, aż go ode mnie oderwano. Powieki miałam zaciśnięte, lecz czułam ziarna piasku i zimną, słoną bryzę. Słyszałam dudnienie własnego serca i szum fal. Miałam wrażenie r e a l n o ś c i.

Kim był mężczyzna, który ze mną biegł, który mówił, że nigdy mnie nie zostawi? „Nigdy” skurczyło się do kilku sekund – oderwano go ode mnie niemal natychmiast, gdy tylko to powiedział. I co się z nim stało, ze mną? Co było potem?

Strach nadal czający się po tym śnie zamienia się we frustrację, w gniew. Walę pięścią w materac. Czemu nie mogę sobie przypomnieć, co się n a p r a w d ę zdarzyło – teraz, kiedy odzyskałam tamte wspomnienia? Czemu?

Tylu kawałków układanki wciąż brakuje. W środku czuję się pusta, wypalona. Ogarnia mnie nagle osłabienie, opadam z powrotem na łóżko, łzy płyną mi po twarzy, a ja nawet nie mam ochoty ich otrzeć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

„Bzzzz!”.

Ze snu wyrywa mnie stłumiona wibracja na nadgarstku. Budzę się zdezorientowana. Moje Levo...? Ale już przecież nie działa. Mrużę oczy w ciemności. Na wyświetlaczu 5,6. Nawet gdyby działało, na tak wysokim poziomie i tak nie powinno wibrować.

„Bzzzz!”.

To pewnie komunikator pod czujnikiem. Telefon od Nica? W żołądku czuję trzepotanie. Gmeram przy Levo, żeby nacisnąć ukryty guzik.

– Halo? – szepczę.

– Długo to trwało. – W głosie Nica słychać napięcie.

– Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że dzwonisz.

Jakie to sprytne, że dźwięk komunikatora brzmi jak wibracja Levo. Nikt nie będzie niczego podejrzewał, chyba że sprawdzi liczby na wyświetlaczu.

– Możesz rozmawiać?

– Tak.

W domu jest cicho i ciemno. Wszyscy śpią oprócz mnie i Sebastiana. Kot podchodzi po posłaniu i wpatruje się w mój nadgarstek, zachowując bezpieczną odległość, jakby czaiło się tam jakieś niebezpieczeństwo.

– Mamy kłopoty.

– O co chodzi?

– Tori zniknęła.

– Co?

– Byłem na spotkaniu. Właśnie wróciłem, a jej nie ma. Czują się już zupełnie dobrze, zanim się wczoraj pojawiłaś. O czym rozmawiałyście? Jak myślisz, dokąd mogła pójść?

Nico jest opanowany, lecz w jego głosie wyraźnie pobrzmiwa gniew. Cokolwiek Tori zrobi, będzie to moja wina. Cokolwiek zezna pod presją o tym, gdzie była i z kim. Moja wina, że w ogóle się tam znalazła.

– Nie wiem. Rozmawiałyśmy o Benie i jego psie. I tyle.

Przeklina.

– Jeżeli coś wymyślisz, zadzwoń.

Ostre pstryknięcie, potem cisza.

Leżę na plecach i gapię się w sufit. Gdzie ona może być? Przewijam

w myślach nasze wczorajsze spotkanie, krótką rozmowę. Tori prawie przez cały czas była powściągliwa, zamknięta w sobie. Jedyne ślady załamania pojawiły się tylko wtedy, kiedy mówiła o tym, jak ją zabrali Lorderowie, no i o matce.

Podnoszę się raptownie, siadam na łóżku. Powiedziałam jej, że Ben poszedł się zobaczyć z jej mamą, a ona go poinformowała, że córka została zwrócona. Tori była na nią wściekła. Bo jak inaczej?

„Poszła się rozmówić z matką. Dzwon do Nica!”.

Powinnam do niego zadzwonić. Ale już wstałam, wyjęłam z szuflady ciuchy, ubieram się w ciemności.

To mój bałagan i posprzątam go po swojemu.

Ostrożnie i cicho sunę po schodach na dół, wymykam się z domu. Nie ma czasu na nic innego. Wyciągam z szopy rower mamy. Drzwi zamykają się z łupnięciem i serce mi podskakuje ze strachu, w żołądku coś trzepocze. Ale nie zapalają się światła, nie odsuwają zasłony.

Nie pora na skradanie się w cieniu. Wsiadam na rower i pędzę ulicą na łeb, na szyję, mając nadzieję, że nikt nie patrzy.

Ben pokazał mi kiedyś ulicę Tori, gdy biegaliśmy razem: po przeciwnej stronie sali spotkań Grupy. Nie wiem, który to dom, ale pamiętam, jak Ben mówił, że duży na końcu ulicy. Oby to wystarczyło, żeby go rozpoznać.

„Jeżeli Nico ma jej adres, to będzie jedno z pierwszych miejsc, gdzie pojedzie”.

A jeśli jeszcze nie zna adresu, to szybko go zdobędzie. Pedaluję mocniej.

Nocna sceneria śmiga po bokach. Jeżeli Tori tam jest, mogę zrozumieć dlaczego. Miała nadzieję, że matka za nią tęskni, że nie wie, co się z nią stało, a ja tę nadzieję stłamsiłam. Głupia! Tori chciała się dowiedzieć, jak Ben zareagował na jej zniknięcie. Dlaczego jej nie powiedziałam, że wciąż o niej gadał, czemu wyrwałam się z tym, że poszedł do jej matki? Przecież mówił o Tori dość często. Na tyle, że byłam o nią zazdrosna. Czy to dlatego jej o tym nie wspomniałam?

Docieram do jej ulicy i zwalniam, starając się zapanować nad oddechem po tak szaleńczym pędzie. Jest po północy, ale w dużym domu na końcu palą się światła. Dokoła zaparkowano liczne samochody, w tle brzdąka melodia wygrywana na pianinie. Niektórzy goście wyszli przed dom, słysząc rozmowy, śmiech. Wciskam rower w krzaki i sunąc w cieniu, podkradam się bliżej. Zbyt wiele oczu patrzy dookoła, lecz to przynajmniej powinno było zatrzymać Tori. Nie mogła aż tak bardzo oszaleć, by wtargnąć przy wszystkich tych ludziach.

A może?

Za dużym domem droga się kończy, a zaczynają zarośla, widać znak szlaku turystycznego. Tam mogła się ukryć.

Skradam się przeciwną stroną ulicy za frontowymi żywopłotami, mając nadzieję, że sąsiedzi śpią mimo hałaśliwego przyjęcia i nie wyglądają przez okna.

Łatwo odnajduję Tori pod ciemnymi drzewami koło jej dawnego domu – jasnoniebieska bluza z kapturem prawie świeci w mroku. Przysuwam się do niej i dotykam jej ręki. Podskakuje, odwraca się i rozpoznaje mnie. Obraca się z powrotem, by obserwować dom.

– Musisz się nauczyć odpowiednio ubierać do takich podchodów – mówię.

Nie odpowiada, oczy ma w czymś utkwione. Podążam za jej wzrokiem. Dostrzegam grupkę kilku osób, rozmawiają, śmieją się. Jedna kobieta, a reszta to mężczyźni w smokingach. Kobieta pewnie zamarza w cieniutkiej czarnej sukni z gołymi ramionami. Śmieje się z czegoś, co powiedział któryś z nich, odrzuca głowę do tyłu.

– To ona? – pytam szeptem.

Tori potakuje skinieniem głowy.

Jest piękna, tak jak Tori. Obie mają długie ciemne włosy. Poprosiła o Zresetowaną podobną do niej samej? Słyszałam, że niektórzy tak robią, życzą sobie syna czy córki skrojonych na żądanie. Może gdy Tori podrosła, zbyt wiele oczu zwracało się na nią zamiast na matkę – woleli młodszą, ładniejszą wersję.

– Dlaczego tu jesteś, Tori?

Nie odpowiada. Biorę ją rękę, jest lodowato zimna.

– Chodźmy stąd. Chodź ze mną – mówię. – Nic tu po tobie.

Żadnej reakcji. Oczy wpatrzone w matkę, prosto przed siebie. Wtem błyska w nich łza i toczy się po policzku.

– Tori?

– Po prostu musiałam ją zobaczyć. Chciałam, żeby mi powiedziała, dlaczego zostałam zwrócona, usłyszeć, jak ona to mówi. Dowiedzieć się, jak to usprawiedliwi.

– Dużo tu dzisiaj ludzi.

– Tak. Może nawet tak byłoby lepiej. Przy wszystkich jej znajomych. Wyobraź sobie ten wstyd!

– Znowu zabraliby cię Lorderowie.

Wzdryga się.

– To mogłoby być tego warte.

Pociągam ją za rękę.

– Chodź. Zanim nas zauważą.

Odrywa wzrok od kobiety, która kiedyś była jej matką.

– Co zrobiłam źle? – pyta i kolejna łza spływa jej z oka, goni tamtą poprzednią po policzku.

Potrząsam głową.

– Nic. Zupełnie nic.

Pozwala się prowadzić, posłusznie wykonuje polecenia, kiedy każe się jej pochylić i przemykać wzdłuż żywopłotów. Docieramy do miejsca, gdzie zostawiłam rower.

– Wsiadaj, podrzucę cię – mówię i Tori zajmuje siodełko, a ja pedałuje na stojąco. Nogi protestują, zmęczone niedawnym sprintem.

– Dokąd pojedziemy? – pyta mnie cichutko.

– Do Nica. Gdzie indziej?

– Wścieknie się.

– Tak. Na pewno.

Nica nie ma w domu, gdy dojeżdżamy na miejsce. Dom jest zamknięty, ale Tori zna kod dostępu do drzwi i wkrótce wchodzimy do środka.

Cała się trzęsie. Znajduję jego whisky, nalewam jej szklaneczkę. Po chwili sama pociągam łyk.

Dopiero potem dzwonię do Nica i mówię mu, gdzie jesteśmy.

Tori śpi twardo na sofie.

– Co jej podałeś?

– Środek uspokajający. Powali ją na mniej więcej dzień, zanim załatwię następne rzeczy – odpowiada zimnym tonem. – Za blisko otarło się to o katastrofę. Powinnaś mi była powiedzieć, gdzie jest.

– Nie wiedziałam, domyślałam się tylko.

– Twoje domysły są trafne, Rain. Powinnaś mi była powiedzieć. – Podchodzi bliżej. Jest ode mnie znacznie wyższy, patrzy na mnie z góry i mam ochotę się od niego odsunąć.

Zwalczam tę pokusę, nie ruszam się z miejsca.

– Jestem za nią odpowiedzialna. Powinnam była załatwić to sama. Co z nią teraz zrobisz?

Wpatruje się we mnie przez kilka uderzeń serca, potem kiwa głową, jakby sam do siebie.

– Nadal uważam, że może być z niej pożytek. Tymczasem muszę umieścić ją w bezpieczniejszym miejscu. – Wzdycha. – A co mam zrobić z tobą? – Jego usta wykrzywiają się w czymś na kształt uśmiechu, ale wciąż bije od niego lodowaty chłód.

– Przepraszam, Nico. Chciałam to tylko naprawić. To była moja wina.

Patrzy na mnie przez jedno uderzenie serca, dwa. Jego spojrzenie mięknie. Kładzie mi ręce na ramionach, przyciąga mnie do siebie, a ja przytulam się do niego. Boję się poruszyć, odetchnąć, boję się, że cokolwiek może zepsuć ten moment.

– Tak szybko bije ci serce – zauważa w końcu. Odsuwa mnie, spogląda mi w oczy. – Nie jestem na ciebie zły, Rain. Przynajmniej nie tak, jak sobie myślisz.

Wzbiera we mnie poczucie ulgi.

– Nie jesteś zły?

– Nie. Byłem przerażony.

– Ty p r z e r a ż o n y? – Nawet wypowiedzenie tego słowa wydaje się niewłaściwe. Nico nie boi się niczego.

Uśmiecha się półgębkiem.

– Tak. Nawet ja miewam lęki. Bałem się, że coś ci się przytrafi. A gdyby cię złapali? Powinnaś mi była powiedzieć, gdzie ona jest, żebym to załatwił. Ty musisz być bezpieczna, Rain. Twoje bezpieczeństwo jest dla mnie ważne.

Gapię się na niego w zdumieniu.

– Przepraszam – bąkam.

– Nie przepraszaj. Zachowałaś się bardzo dzielnie. Ale coś mi obiecaj: nie pędź więcej nikomu na ratunek, zanim się ze mną nie skontaktujesz. Umowa?

– Umowa.

– Jeszcze jedno, zanim sobie pójdziesz. Plany szpitala, które dla mnie zrobiłaś, są wspaniałe. Ale potrzebuję też ludzi. Twarzy. Wiem, że umiesz je narysować. Wszystkich twarzy ze szpitala. Pielęgniarek, lekarzy, ochroniarzy. Każdego, z kim masz styczność albo miałaś w przeszłości.

– Co z nimi zrobisz?

Nie odpowiada, a ja myślę w tej chwili o tej pielęgniarce, która zginęła podczas ostatniego ataku Wolnej Brytanii na szpital. Jej krew rozlała się po podłodze. Żołądek mi się skręca, z trudem powstrzymuję mdłości. Jeśli zidentyfikują tych ludzi poza szpitalem, będą łatwiejszym celem.

– Wiesz, Rain. Ale nie marnuj współczucia na sługusów Lorderów. Pamiętaj, po czyjej jesteś stronie. Pomyśl o tym. Jeśli nie jesteś z nami, to trzymasz z Lorderami i popierasz wszystkie ich cele. Równie dobrze mogłabyś osobiście

przekazać Tori Lorderom. Porwać Bena i zakończyć jego życie. Wzniecić pożar, w którym spalili się żywcem jego rodzice. Pomyśl o tym, Rain. A teraz idź.

Ruszam w stronę drzwi, przede mną długa droga na rowerze do domu. Chcę jak najszybciej uciec w noc. Zmuszam się jednak do spojrzenia za siebie. Pierś Tori podnosi się i opada. Jej twarz tchnie we śnie spokojem, który tak mocno kontrastuje z niedawnym bólem.

– Nic jej nie będzie? – Nie mogę powstrzymać pytania.

– Na razie nie.

Po powrocie do domu czuję, że moje stopy mają dość, jakby się ześlizgiwały z długiego piaszczystego zbocza. Nico chce twarzy. Ale jeżeli mu je dam, będzie to jak wydanie wyroku śmierci na pielęgniarki i lekarzy.

„Nie są niewinni!”

Nie. Zresetowali mnie i niezliczonych innych młodych ludzi. Wina za to, co zrobił Ben, spoczywa na ich barkach.

Wypełniają polecenia i rozkazy. Wiem, że to słabe wytłumaczenie. Jednak niektórzy z nich są mili, nawet bardziej niż mili. Ale co mogę zrobić? Nico ma rację. Wszyscy są częścią systemu.

Nie mogę spać. Rozkładałam wokół siebie papier do szkicowania. Za każdym razem, gdy ołówek dotyka nowej kartki, wkrótce spogląda na mnie czyjaś prawdziwa twarz. Jak zmierzwiłone siwe włosy pielęgniarki Sally, tej z dziesiątego piętra. Mojego piętra. Sally była jedną z tych, którzy opiekowali się mną na samym początku. Zawsze się śmiała, opowiadała o swoim nowo narodzonym wnuku. Pokazała mi jego zdjęcie.

Pewnego dnia on też może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Jej wnuk – ma na imię Brian, Ryan czy jakoś tak? – może powiedzieć coś, co nie spodoba się władzom, a potem zaginie i sam zostanie Zresetowany. Później, jeśli coś pójdzie nie tak, ktoś go zwróci i spotka go terminacja. Jak Tori, której życie – nie łudzę się słabymi zapewnieniami Nica – waży się teraz na szali.

Czy Sally poświęci się dla swojego wnuka? Czy ja mogę podjąć tę decyzję za nią? Za jej wnuka i wszystkie inne dzieci oraz wnuki, których życie jest ograniczone, kontrolowane i zagrożone przez Lorderów.

Rysuję, czując przymus. Nie mogę przestać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Kyla? I co o tym myślisz? Kyla? Kyla...

– Przepraszam. O co chodziło? – zwracam się do Cama, uświadamiając sobie, że od jakiegoś czasu słyszę powtarzane własne imię. Jedząc kanapkę, zatonełam w myślach, a brzmienie jego głosu działało pokrzepiająco, jednak w ogóle nie łąpałam, o czym mówi.

Cam udaje, że mnie gromi wzrokiem.

– Wystarczy zwykle „tak” albo „nie”.

– Hmm, pomyślmy. Może proponujesz mi ciasto, a wtedy powinnam powiedzieć „tak”. Z drugiej strony, mogłeś mówić o czymś zupełnie innym.

– Zaryzykuj.

– Eem... tak!

– Dobra. Wpadnę po ciebie koło dziesiątej.

– Po co?

– Żeby się razem wybrać na spacer.

– A co ze szkołą?

Macha mi ręką przed oczami.

– Poważnie coś jest nie tak z twoją pamięcią. – Wtem twarz mu się wydłuża, kiedy dociera do niego, co właśnie powiedział. – Przepraszam. Strasznie to zabrzmiało. Nie chciałem.

– Spokojnie. Rzeczywiście, coś JEST poważnie nie tak z moją pamięcią. Tak jakby skutek resetu. – Nie mówiąc o całej reszcie.

– Ale to dotyczy tylko rzeczy sprzed resetu, tak?

– Zgadza się. – Choć w moim przypadku niezupełnie. – Poza tym, jeżeli akurat słucham, moja pamięć krótkoterminowa działa bez zarzutu.

– Jak to jest?

– Co?

Waha się.

– Przepraszam. Zapomnij.

– Znowu zaczynasz!

– O, sorry, nie...

Ma tak strasznie zakłopotaną minę, że mu odpuszczam.

– Żartuję. Dawaj, pytaj, o co chcesz. Nie mam nic przeciwko.

– Jak to jest nie mieć żadnych wspomnień?

– Cóż. Na początku świetnie. Nie widzisz różnic. Wszyscy w szpitalu są tacy sami jak ty.

– A potem?

Marszczę brwi.

– Dla mnie zrobiło się gorzej, kiedy wyszłam. Chciałam poznać rzeczy, których znać nie mogłam. I wtedy napychasz sobie głowę, czym się da, żeby nie była taka pusta. W końcu nie możesz już rozróżnić, co jest prawdziwe, a co nie.

– Większość Zresetowanych wygląda przy tym na całkiem szczęśliwych.

Śmieję się.

– To prawda. Majstrują przy naszych ustawieniach radości, nie wiedziałeś? Poza tym musisz się nauczyć być szczęśliwym, żeby Levo nie bzycało i nie wyłączało cię przy każdej okazji.

– Brzmi całkiem nieźle: być szczęśliwym i zapomnieć o przykrych rzeczach – mówi Cam cicho. Czy myśli o swoim tacie?

Opadam plecami na oparcie ławki i zastanawiam się. Byłabym szczęśliwsza, gdybym nie pamiętała rzeczy z przeszłości. Gdyby mnie nie dręczyły myśli o Lucy i jej połamanych palcach. Gdyby nigdy nie pojawiły się wspomnienia Rain. Lecz wtedy wygraliby Lorderowie.

– Sęk w tym, że kiedy się zmuszasz do udawania radości, żeby utrzymać przyzwoity poziom, nie wiesz już w końcu, co naprawdę czujesz. Nic nie wydaje się prawdziwe. Może niektóre rzeczy dobrze jest zapomnieć. Ale to wkurzające, że brakuje mi wiedzy o sobie, którą chciałabym mieć!

Jak na kogoś, kto tyle mówi, Cam ma minę dobrego słuchacza. Jest w nim coś takiego, co sprawia, że chcę mu powiedzieć wszystko.

– Miło jednak mieć dzień wolny od szkoły ku czci twojej przypadłości – odzywa się Cam.

– O czym ty mówisz?

– Nabijasz się czy naprawdę nie pamiętasz?

Chcę mu dać kuksańca w ramię, ale odskakuje.

– Powiesz w końcu czy nie?

– Jutro nie ma szkoły. Jest Dzień Pamięci².

Po południu poświęcona jest temu specjalna godzina wychowawcza.

Wczytujemy swoje legitymacje, zajmujemy miejsca. Wychowawca wodzi wzrokiem po naszych twarzach.

– Czy ktoś nam powie, dlaczego jutro nie ma lekcji?

– Jest Dzień Pamięci – odzywa się kilka głosów.

– Ale co mamy pamiętać? Ktoś wie?

Nauczyciel poświęca kilka minut pierwotnemu znaczeniu tego święta: upamiętnienie tych, którzy walczyli i zginęli dla tego kraju w różnych wojnach, tak dawno temu, że prawie nikt z obecnie żyjących tego nie pamięta. Liczby są oszałamiające. W Wielkiej Brytanii jest teraz mniej ludności niż wtedy, ale i tak opowieść robi wrażenie.

– Co jeszcze mamy pamiętać? – pyta wychowawca. Jednak tym razem nie czeka na odpowiedź. Wyłącza światła i rozpoczyna się film. Na ekranie pojawiają się przerażające obrazy. Rozwścieczony, nieokiełznany tłum niszczy wszystko na swojej drodze. Studenckie zamieszki w latach dwudziestych.

Porozbijane okna, spustoszone sklepy, pożary. Grupa zakapturzonych młodych ludzi wywleka skądś młodszą ode mnie dziewczynę i choć nie widać już nic więcej, sens pozostaje jasny. Popychają, depczą staruszka. Wyrrywają matce małe dziecko.

Zamykam oczy, żeby się odciąć. Przebłysk pamięci: Nico. Pokazywał nam ten sam film! Pamiętam. A potem pokazał drugi.

„Zwycięzcy zmieniają historię, żeby im pasowała”.

Tak właśnie powiedział. Lorderowie zgromadzili każdy dostępny dowód na to, że demonstracje wymknęły się spod kontroli i przerodziły w zamieszki i zniszczenie, po czym posklejali to wszystko razem i obowiązkowo puszczały ludziom do oglądania. Nie pokazali wersji Nica. Jak Lorderowie – wtedy jeszcze nazywani policjantami – biją studentów. Jak sami zadają pokazywane w filmie rany i zabijają, a potem ich udział zostaje wycięty, tak żeby wyglądało, że za wszystko odpowiadają uczestnicy zamieszek.

Ale studenci nie byli bez winy. Spowodowali szkody i rany. Wielu zasługiwało na karę za swoje czyny. A kiedy dołączyli do nich przestępcy i gangi, mieli swój udział w rabunkach i morderstwach.

Wina nie leżała jednak tylko po jednej stronie. I zastanawiam się: jeśli zwycięży Wolna Brytania, a Lorderowie zostaną pokonani, jak będzie wyglądała na nowo napisana historia? Przede wszystkim zniknie określenie ART, obowiązkowo będzie się mówiło: Wolna Brytania. To przyjemniejsza nazwa, omijająca czynnik terrorystyczny.

Przez zamknięte powieki czuję, że zapalono światło. Otwieram oczy. Wszyscy w sali milczą, zadumani nad obejrzanymi scenami przemocy, choć pewnie oglądają ten film co roku.

Za kilkanaście dni, 26 listopada, będzie Dzień Upamiętnienia Armstrongów – w tym roku przypadnie dwudziesta piąta rocznica śmierci pierwszego premiera

i jego żony. Rodziców mamy. Zginęli w zamachu, kiedy jechali do wiejskiej rezydencji premierów, Chequers, na obchody pięciolecia władzy. Więc Lorderowie rządzą już od trzydziestu lat. Nauczyciel mówi nam o zaplanowanych uroczystościach.

Uroczystościach ku czci Lorderów, wypaczających i niszczących umysły.

Kiedy wychodzę, idąc na spotkanie Jazza i Amy, nie opuszcza mnie poczucie ironii. Lorderowie każą nam pamiętać tych, którzy zginęli, broniąc kraju przed nim samym prawie trzydzieści lat temu.

A jednocześnie sprawiają, że ludzie giną. Potrafią dopilnować, by zaginieni zostali zapomniani, żeby nikt nie zadawał kłopotliwych pytań. Kradną wspomnienia, jak moje.

„W razie gdybyśmy zapomnieli”.

– Markotna jesteś dzisiaj – zauważa Jazz, spoglądając na mnie we wstecznym lusterku, kiedy skręcamy do naszej wsi.

– Nic mi nie jest.

Podczas gdy Jazz i Amy całują się na pożegnanie, wchodzę do domu.

Amy pędzi na górę, żeby się szybko przebrać, a ja idę do kuchni i robię jej tymczasem herbatę. Wręczam jej filiżankę, gdy schodzi.

– Dzięki, Kyla. Na pewno u ciebie w porządku?

– Tak, świetnie. Idź.

I wypada na zewnątrz, śpiesząc się do pracy.

Lecz w domu jest tak cicho, a w mojej głowie tak mroczno, że trudno mi znieść samotność. Snuję się z pokoju do pokoju, w końcu siadam ze swoim szkicownikiem. Nikogo nie będzie w domu przez prawie dwie godziny. Chcę rysować, ale nie mogę. Wyciągam ukryte rysunki z ostatniej nocy: pielęgniarka Sally i przyjaciele. Wzdycham.

Co to o mnie mówi, o tym, gdzie się znalazłam? Czy jestem tak słaba, że nie potrafię zrobić tego, co uważam za słuszne, tylko dlatego że jest ciężko? Nicowi zawdzięczam wszystko. Po tym, co dla mnie zrobił, żeby mnie uratować i chronić, nie mogę go zawieść.

Ale jeżeli dam mu swoje rysunki, co się stanie z tymi ludźmi?

Nie będę dziś portretować twarzy. Narysuję szpital. Zrobiłam już dla Nica plany, ale wciąż coś mi nie daje spokoju. Doktor Lysander tak szybko zniknęła, gdy rozpoczął się atak. Musi być jakieś tajne przejście, tylko gdzie? Zaczynam rysować korytarz przed jej gabinetem.

Skupiam się na tym tak mocno, że prawie nie słyszę pukania do frontowych

drzwi. Odkładam ołówek, odsuwam zasłony i wyglądam na ulicę. Dostawca? Z wielkim bukietem kwiatów. Może tato próbuje przejednać mamę.

Zbiegam na dół, otwieram drzwi.

– Pani O'Reilly? – pyta dostawca.

– To pewnie pomyłka. Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

Zagląda do jakichś papierów, czyta uważnie.

– Janet O'Reilly?

– Nie. Przykro mi.

Przewraca oczami.

– Przepraszam za kłopot. Nie wie pani, która godzina?

Patrę na zegarek, a on przysuwa się bliżej, żeby też zerknąć. Wciska mi w dłoń karteczkę. Mruga porozumiewawczo i znika.

Wracam do środka, zamykam drzwi i rozkładam kartkę. „Spotkajmy się w punkcie widokowym na ścieżce za waszą wsią. Jak najszybciej. Bardzo ważne. Zniszcz tę wiadomość. A.”.

A... Aiden? Stopy wrastają mi w ziemię. Czytam jeszcze raz, ledwie mogąc oddychać. Mac miał dać Aidenowi narysowany portret Bena do zeskanowania, żeby go zamieścić na stronie ZwA. Teraz Aiden chce się ze mną zobaczyć.

Ben! Pewnie mają wiadomości o Benie!

Z trudem przełykam ślinę. Wiadomości mogą być dobre lub złe. Bardziej prawdopodobne te drugie. Ale Aiden mógłby je wtedy przesłać przez Maca. Prawda? A jednak jest t u t a j.

Pędzę na górę, zmieniam szkolny mundurek na dżinsy, wkładam buty i lecę do drzwi. Ośmielam się m i e ć n a d z i e j ę.

Idąc przez wieś, zmuszam się do normalnego kroku, tak aby wyglądało, że po prostu wyszłam na spacer. Walczę z chęcią ponaglącą mnie do biegu.

Gdy wchodzę na ścieżkę, w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Waham się, w uszach wciąż mi brzmi ostrzeżenia mamy, żeby unikać tych miejsc. Ale odkąd wróciły wspomnienia, już się nie boję. Jestem dobra w samoobronie.

Biegnę ścieżką pod górę, mijając pola, żywopłoty i drzewa. Powietrze jest mroźne, czyste, popołudniowe słońce wisi nisko na niebie. Zbliżając się do punktu widokowego, zwalniam do marszu. Boję się teraz usłyszeć, co Aiden ma do powiedzenia. Dopóki się tego nie dowiem, mogę sobie wyobrazić, że to dobre wieści. Ale kiedy go już zobaczę i zacznie mówić, będzie po wszystkim. Idę coraz wolniej, zatrzymuję się i zmuszam do oddychania, do uspokojenia gwałtownego dudnienia serca, które nie ma nic wspólnego z biegiem.

Pokonując ostatni zakręt ścieżki, przemieszczam się wolno i cicho w cieniu drzew. Siedzi z głową odwróconą w inną stronę, ale jego ruda czupryna prawie płonie w świetle zachodzącego słońca. Aiden. Idę w jego kierunku, a on się odwraca. Uśmiecha.

„Uśmiecha się”.

– Jak się masz, Kyla?

Szukam w jego spojrzeniu odpowiedzi. Niebieskie oczy, ale w zupełnie innym odcieniu niż u Nica. Aiden ma intensywnie niebieskie tęczęwki, jak głęboka woda. Dodające otuchy spojrzenie. A więc to nie złe wieści?

Nie mogę już dłużej ustać na nogach i prawie się osuwam obok niego na kłodę.

– Powiedz, proszę. Czego się dowiedziałeś?

– Możliwe, że widziano Bena.

– Widziano? – szepczę, nie mając odwagi myśleć, co to oznacza.

– Tak, Kyla, to prawda. Nie mogę uwierzyć, naprawdę nie mogę. Myślałem, że szkoda nawet próbować, ale wrzuciłem twój portret Bena na ZWA i okazuje się, że widziano, kilka razy, kogoś, kto wygląda jak on. Nie mogę powiedzieć na pewno, że to będzie Ben. Ale osoba, która złożyła raport, jest bardzo wiarygodna.

– Naprawdę?

Potwierdza skinieniem głowy.

– Naprawdę. A przy okazji, na ogół tak nie działamy. Normalnie mówimy, że ktoś został znaleziony, dopiero za zgodą tej osoby. Ale ponieważ czuję się trochę odpowiedzialny za to, co się wydarzyło, zrobiłem wyjątek.

Nie mogę się ruszyć ani odezwać, nie umiem nawet tego ogarnąć. Czy to może być prawda?

– Powiedz coś – zachęca.

Potrząsam głową.

– Po prostu... naprawdę? – I uśmiecham się szeroko.

Aiden odpowiada uśmiechem, a ja bez zastanowienia rzucam mu się na szyję. Jego ramiona otaczają mnie w ciepłym uścisku. I nagle jest tego dla mnie za dużo, o wiele za dużo. Emocje wydostają się ze mnie i trzęsę się, a potem wybucham płaczem.

– To nie może być on. Nie wierzę. A jeśli to pomyłka?

– Nie za dobrze znosisz takie wiadomości, co? Jak twój poziom?

– W porządku. Biegłam tu, więc podskoczyłam. – Zakłopotana odsuwam się i chowam rękę do kieszeni, żeby nie widział Levo.

– Ale masz rację, trzeba być ostrożnym. Jak powiedziałem, identyfikacja może się okazać błędna.

– Co teraz?

– Postaramy się zrobić mu zdjęcie, żeby ci je pokazać. Potem, jeżeli potwierdzisz jego wygląd na podstawie zdjęcia, weźmiemy cię, żebyś go zobaczyła na żywo. W porządku?

– Gdzie on jest? Gdzie go widziano? Kiedy mogę...?

– Zwolnij trochę. Powiem ci, co wiem. Widziano go niedaleko stąd, jakieś trzydzieści kilometrów. O ile to on. Odległość była spora, trenował na bieżni. Więc...

– To Ben! Uwielbia biegać. Na pewno on. Kiedy go mogę zobaczyć?

– To wymaga zaplanowania. Siedz cicho. Nikomu ani słowa. Dobrze? – Kiwam głową. – Będziemy w kontakcie.

– Znowu dostawa kwiatów?

Śmieje się.

– Tym razem byłem w okolicy, a znajomy wisiał mi przysługę. Lepiej jednak nie stosować tej samej sztuczki dwa razy. Jeśli coś się wydarzy, Mac zostanie poinformowany, okej? Będę u niego w piątek wieczorem. Mogę mu wtedy przekazać ewentualne nowiny. – Aiden wstaje. – Muszę już iść. Naprawdę miło było się z tobą zobaczyć, Kyla. – Jego uśmiech jest ciepły, podobnie jak dotyk dłoni. – Uważaj na siebie.

Rusza w stronę ścieżki. Nie widziałam Aideną od czasu, kiedy oskarżyłam go o to, że zabrał mi Bena. Ale to było niesprawiedliwe. Nie zmuszał go do niczego, Ben sam się do tego zapalił, a teraz Aiden próbuje pomóc.

– Aiden, zaczekaj. – Staje, odwraca się. – Słuchaj, przepraszam za to, co powiedziałam ostatnio.

– Nic się nie stało. Rozumiem, że byłaś zdenerwowana. To naturalne, że wyrzuciłaś z siebie emocje. – Patrzy na mnie spokojnie, bez złości. A potem znika, idąc ścieżką w przeciwną stronę niż ja.

Wracam po własnych śladach. W głowie mam mętlik. Czy to może być prawda? Czy to naprawdę Ben? Zaledwie trzydzieści kilometrów, tak blisko. A jeżeli on, co to oznacza?

Lorderowie nie wypuściliby go tak po prostu. To musi być podpucha.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy wracam do domu, coś jest nie tak.

Przed wszystkim frontowe drzwi nie są zamknięte na klucz. Przed domem nie ma samochodu taty, mama i Amy są w pracy. Czy naprawdę wyszłam, zostawiając niezabezpieczone drzwi? Cofam się pamięcią i nie jestem pewna. Kiedy pędziłam na spotkanie z Aidenem, bałam się, że zanim tam dotrę, jego już nie będzie. Ale mogłam przekręcić klucz automatycznie, bezwiednie. Prawda?

Mój instynkt krzyczy: „Niebezpieczeństwo”.

Otwieram drzwi i popycham je, ale nie wchodzę do środka. Korytarz jest pusty. Nasłuchuję w bezruchu, wstrzymując oddech.

Aha! Kroki, na górze. Coś mnie ściska za gardło: moje rysunki! Nie schowałam ich przed wyjściem, prawda? Głupia!

Ostrożnie, cicho, powoli. Sunę schodami na górę. Moje drzwi są otwarte. Obrzucam pokój wzrokiem. Rysunki rozłożone po całym łóżku. Ten, który zaczęłam ostatnio, leży odwrócony do dołu. Niezupełnie tak go zostawiłam, tego jestem pewna. Żołądek mi się zaciska.

Kroki za mną! Odwracam się jednym susem, gotowa na... no, cokolwiek.

Amy podskakuje z wrażenia.

– O mój Boże, Kyla! Przestraszyłaś mnie. Czemu nie powiesz „cześć” czy coś takiego, kiedy wchodzisz?

Potrząsam głową.

– Przestraszyłaś cię? To ty mnie przestraszyłaś! O tej porze nie miałaś jeszcze być w domu.

– Byłaś dziś po południu taka nie w sosie, że poprosiłam, żeby mnie wypuścili wcześniej, żebym mogła posiedzieć z tobą, ty cielątko. Ale gdy przyszłam, ani śladu. Gdzie się podziewałaś?

– Ja... przepraszam. Wyszłam na spacer, żeby odświeżyć myśli.

Amy robi współczującą minę.

– Dobrze się czujesz? Na pewno? Jesteś w tym tygodniu taka dziwna. A odkąd Ben... – I odwraca wzrok, nie kończąc zdania.

– Chodźmy na dół napić się herbaty – proponuję.

– Nie tak szybko. – Mija mnie, popycha drzwi, które zostawiłam niedomknięte. Idzie prosto do mojego łóżka i rysunku przedstawiającego wnętrze szpitala. – Wyjaśnij mi najpierw, co to jest – mówi.

Wzruszam ramionami, żołądek mam poskręcany w węzły.

– Jak zwykle. Znasz mnie, rysuję wszystko. A tak w ogóle to czemu się kręciłaś po moim pokoju?

– Nie otworzyłaś mi, gdy pukałam. Myślałam, że coś ci się stało, może poziom ci spadł i nie możesz dojść do drzwi. – Wzdycha i siada na łóżku. – Martwiłam się o ciebie.

Wyciąga do mnie rękę i ujmuje jej dłoń, siadam obok.

„Jest niebezpieczna”.

Nie, to Amy. Nie jest wrogiem.

Bierze mój rysunek przedstawiający piętro z gabinetem doktor Lysander.

– Wyjaśnij mi to – domaga się i nie potrafię się wymigać, naprawdę, więc się przyznaję. Opowiadam o ataku i o tym, jak lekarze zniknęli, a ja się zastanawiałam, co się z nimi stało. To dla mnie zagadka, zaciekała mnie, dlatego wzięłam się do rysowania.

Amy potrząsa głową.

– Kyla, jesteś TAK głupia. Pomyśl o kłopotach, jakie mogłabyś na siebie ściągnąć, gdyby zobaczyła to niewłaściwa osoba! Tak czy inaczej, po co marnować czas na rysowanie takich nudziarstw, skoro tak dobrze ci wychodzi z twarzami i w ogóle ludźmi? – I patrzy na pielęgniarkę Sally. – Niesamowity portret. Taka ciepła, pełna życia osoba. Kto to jest?

– Nikt. Wymyślona twarz.

– Naprawdę? Zabawne, wydaje mi się znajoma. Ale nie mogę jej skojarzyć.

Czy Sally była w szpitalu, gdy Amy została Zresetowana? Kiedy to było? Pięć lat temu. Mogła już tam pracować.

– Ale to – mówi Amy i znów bierze rysunek ze szpitalnym korytarzem – musi zniknąć. I nie rób więcej nic podobnego. Przyrzekasz?

Przyrzekam i razem drzemy papier na pół, a potem znowu na pół i znów, aż zostają tylko małe prostokąciki. Amy splukuje je w ubikacji.

– I taki jest tego koniec – stwierdza. – A teraz herbaty?

Na dole nastawiam w kuchni czajnik.

– Gdzie spacerowałaś? – pyta Amy.

– O, no wiesz, po wsi – kłamię, bo ścieżka zaczyna się za wsią i nie powinnam tam chodzić bez opieki.

– Mama dostałaby szału, gdyby się dowiedziała, że łąziłaś sama. Zwłaszcza po tym, jak znaleziono Wayne’a Besta.

– Słyszałaś o nim coś jeszcze?

– O, nie opowiadałam? Już mówi i przypomina sobie coś niecoś.

Odwracam się, żeby wyjąć kubki z szafki – nie jestem pewna, czy potrafię zachować neutralną minę. Przypomina sobie coś niecoś? O, Boże. Kuchnia wydaje się ciemnieć i obracać w moich oczach, zamienia się w czarną dziurę, która mnie zaraz wessie. Potrząsam głową i wraca wyraźne widzenie.

„Powiedz Nicowi”.

Żołądek mi się zwija. Nico będzie wściekły, że dowiaduje się o tym dopiero teraz. Nie mogę mu powiedzieć. Już na to za późno.

– Ale ma coś w rodzaju amnezji pourazowej – dodaje Amy.

– Co to jest?

– Pamięta wszystko oprócz tego, jak znalazł się tego dnia w lesie i co mu się tam przydarzyło.

– O?

– Lekarz mówi, że może sobie w końcu przypomni. Słyszałam, że Lorderowie złościli się na Wayne’a, bo nie odpowiadał na pytania. – Wzdryga się. – To pewnie wystarczy, żeby człowiekowi szybko przywrócić pamięć.

Kiedy nalewam herbatę, dzwoni telefon i Amy idzie odebrać. Pędzę na górę, ostrożnie zbieram pozostałe rysunki i chowam je do teczki z innymi.

Amy o mało nie rozpoznała pielęgniarki Sally. Nie powinnam była kłamać, mówić, że to zmyślona twarz. A co, jeżeli moja siostra przypomni sobie, że ta kobieta pracuje w szpitalu, i doda dwa do dwóch?

„Czy Amy obiecała, że nie powie nikomu o rysunkach?”.

Myślę intensywnie. Właściwie nie ujęła tego w słowach, ale kazała mi zniszczyć ten ze szpitalnym korytarzem. Jaki byłby w tym sens, gdyby to nie miało pozostać sekretem?

Wzruszam ramionami. Niepokoi mnie to, ale moment, żeby wymóc na siostrze obietnicę, już minął. Jeżeli teraz z tym wyskoczę, będzie się zastanawiała czemu. Najlepiej milczeć.

Późną nocą przekradam się ze swojego pokoju do ciemnego gabinetu na dole. Zamykam drzwi i zapalam lampę na biurku.

Mama jest miłośniczką lokalnej historii. Półki są tutaj wypchane książkami o okolicznych wsiach i miasteczkach, a także mapami – zwykłymi drogowymi oraz szczegółowymi turystycznymi, na których zaznaczono wszystkie szlaki piesze i kanał.

Nie mogę czekać na wynik ostrożnego śledztwa Aideny. Czy to naprawdę Ben? „Na pewno on”. Nie umiem przyjąć żadnej innej możliwości. Moje myśli obracają się wokół każdej z nich, przeskakują od bąbelków radości

i niecierpliwego wyczekiwania do strachu, że to wszystko okaże się kłamstwem. Że nadzieja doprowadzi do rozczarowania.

Bieżnia, trzydzieści kilometrów stąd. Wyobrażam sobie krąg i starannie analizuję każdą wieś i miasteczko pasujące do odległości. Sprawdzam ścieżki i dróżki prowadzące tam od nas.

„Znajdę cię, Ben”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Następny dzień jest rześki i zimny, z kilkoma obłokami wiszącymi tak wysoko, że nie powinny sprawić kłopotu. Zapinam sobie pod brodą pasek kasku rowerowego.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żeby się dziś przerzucić na rowery?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odpowiada Cam z ukłonem. – Dokąd chcesz jechać?

– Jedź za mną!

Wyruszamy. Na drogach jest spokojnie, w końcu to święto, jeżeli można myśleć o Dniu Pamięci w ten sposób. Nauczyłam się mapy na pamięć. Powinniśmy dzisiaj sprawdzić co najmniej trzy możliwe lokalizacje bieźni Bena. Odrzucam głos zwątpienia, który podpowiada, że nawet jeśli znajdę właściwą miejscowość i właściwą bieźnię, nie dowiem się o tym, o ile Ben akurat w tym momencie nie będzie po niej biegał. Przynajmniej coś r o b i ę.

Amy była TAK bardzo zadowolona, słysząc, że Cam i ja wybieramy się na przejażdżkę. Mama spędza dziś dzień u ciotki Stacey i myśli, że będziemy dla siebie nawzajem przyzwoitkami. Ciekawe, co Amy i Jazz kombinują. Amy uśmiechnęła się chytrze, widząc, jak wychodzę z Camem. Ma co do nas mylne przypuszczenia.

Ale ja tańczę w środku ze szczęścia, bo widziano Bena. Nie mam innego powodu. Po prostu wybraliśmy się na rower. Cam powiedział, że rozumie moje uczucia do Bena. Jesteśmy tylko p r z y j a c i ó ł m i.

Przy kładce skręcam z drogi na ścieżkę biegnącą wzdłuż kanału. Zerkam za siebie, by się upewnić, że Cam jedzie za mną. Coś za nim zbliża się szybko wąską wiejską dróżką. Słońce mnie razi, nie widzę dobrze, mrużę oczy. Czarny furgon?

Toczymy się brzegiem kanału i otrząsam się z niepokoju. Jeśli to nawet byli Lorderowie, i tak wszędzie ich pełno. Zwykły zbieg okoliczności.

Kilka kilometrów dalej znowu jesteśmy na wiejskiej drodze, jedziemy obok siebie. Blisko jest już do pierwszej wioski, którą chciałam sprawdzić. Słychać pracujący silnik, z tyłu nadjeżdża samochód i Cam na swoim rowerze wsuwa się przede mnie. Nie ma zbyt wiele miejsca dla wymijających nas aut, dlatego oboje zjeżdżamy jak najdalej na lewo. Samochód zbliża się i Cam spogląda za siebie.

Oczy mu się rozszerzają. Odwracam się akurat na czas, żeby zobaczyć zamazany ruch. Otwierają się czarne przesuwne drzwi, wystrzela z nich czyjaś ręka, trafiając mnie prosto w ramię. I lecę w powietrzu jak w zwolnionym tempie, po czym ląduję twardo, zaplątana w rower, w połowie na drodze, w połowie wciśnięta w żywopłot.

Podnoszę wzrok. Wizja mi pływa, ale nie mogę się mylić co do tego, kto wysiada z furgonu i staje nade mną. Wielki i ubrany na czarno – Lorder.

– Wstawaj – mówi.

Próbuję się podnieść, ale nogi uwięzły mi pod rowerem. Kopie mnie w bok.

Jęczę.

Kolejny zamazany ruch i obok nas staje Cam, łapie tamtego za rękę.

– Zostaw ją! Popęlniacie duży błąd! – woła.

„Nie, Cam, nie”. Strach dodaje mi siły, odpycham rower, stoję na nogach.

Coś, czego nie widuje się na co dzień: uśmiechnięty Lorder.

– Cóż, chłopcze, zaraz się przekonasz, że sam popełniasz błąd. To nie ma z tobą nic wspólnego. – Odwraca się, popycha Cama, bez trudu posyłając go na ziemię.

– Ty do środka. – Wskazuje na mnie.

Nie ruszam się, więc się pochyla, łapie i wykręca mi rękę, po czym wpycha mnie do wozu. Cam zbiera się z ziemi.

– Zostawcie ją! – krzyczy.

Lorder wzdycha, jakby koło twarzy bzycała mu uprzykrzona mucha. Puszczam go i z obrotu wymierza cios w twarz Cama. Okropny dźwięk. Chłopak wolno osuwa się z powrotem. Coś w środku każe mi uciekać, korzystać z chwili nieuwagi przeciwnika, „teraz, już”, ale nie mogę zostawić Cama. Ogarnia mnie gniew, dłonie zaciskają się w pięści.

„Jest za duży. Czeka!”

I okazja do ucieczki mija. Teraz do furgonu wrzucają nie tylko mnie, ale też Cama.

Dwoje Lorderów. Facet Góra siedzi z nami z tyłu, a za kierownicą widzę kobietę o bardziej normalnych gabarytach.

Jedziemy wyboistą drogą. Cam leży na podłodze, jęczy z zamkniętymi oczami. Trzymam jego głowę na kolanach. Policzek mu krwawi. Chłopak kaszle, próbuje coś powiedzieć.

– Cisza! – ucina Góra.

Dokąd nas wiozą? Dlaczego?

Zawsze się zastanawiałam, co tak naprawdę dzieje się z ludźmi porwanymi

przez Lorderów. Zdaje się, że zaraz zaspokoję ciekawość.

Odliczam czas. Przejechaliśmy wyboistymi drózkami może ze trzy kilometry, potem jakieś piętnaście gładką, szybką szosą, po czym furgon znów skręcił w wiejską drogę. Z tyłu nie ma okien, możemy być gdziekolwiek w promieniu do dwudziestu kilometrów.

Cam ma teraz otwarte powieki, ocenia wzrokiem Lordera. Spogląda na mnie. Spodziewałabym się, że oczy będzie miał puste z przerażenia, lecz są spokojne. W środku skręca mnie ból: Cam z mojego powodu postawił się tej ścianie mięśni i oto co go za to spotkało.

– Proszę pana – zagaduję i Góra odwraca się do mnie z zaskoczeniem malującym się na tępej twarzy.

– Co.

– Proszę, czy mógłby pan go wypuścić?

– Jak słodko. Zamknij się.

– Ale...

W stronę mojej twarzy wystrzela pięść i zatrzymuje się ostrzegawczo w ostatnim ułamku sekundy. Czuję, jak Cam napina się do skoku. „Nie, Cam!”. Nie bądź aż takim idiotą.

– Cisza!

Zatrzymujemy się. Drzwi się otwierają od zewnątrz, widać kolejnych Lorderów w czarnych operacyjnych ubraniach. Góra wysiada i zamienia z nimi kilka słów, po czym znika za jakimiś drzwiami. Jeden z funkcjonariuszy sięga po mnie, drugi po Cama, wyciągają nas z furgonetki. W środku kotłuje mi się gniew. Góra sobie poszedł, a ci wyglądają na łatwiejszych przeciwników.

Z półobrotu kopię jednego z nich w głowę. Wali się na ziemię. Cam mocuje się z drugim. Obracam się i grzmocę jego przeciwnika kantem dłoni w tył głowy. Ale już rozlegają się kroki, nadbiegają inni, zbyt wielu. Chwytają mnie czyjeś ręce. Wyrывam się, lecz coś dziabie mnie w ramię. Świat ciemnieje. Walczę, żeby utrzymać otwarte oczy. Cam, bezwolny, daje się ciągnąć dokądś po podłodze. Czterech – nie, więcej – Lorderów. Ich twarze zamazują mi się, aż w końcu wszyscy wyglądają jak grupa szturmowców o identycznych, pozbawionych wyrazu rysach. Osuwam się na ziemię.

Budzę się wolno, chociaż wcale nie chcę. I zaczynam sobie przypominać. Byłam w samochodzie, czułam, jak podskakuje na wybojach, ale nic nie widziałam, nie mogłam się ruszyć. Głowa mi wciąż cięży. To po tym, co mi dali

do picia, tak?

W duchu marszczę brwi. Ale jak się dostałam do tego samochodu?

Napływają wspomnienia i wpadam w panikę. Miałam się spotkać z tatusiem, ale to nie był on. Ktoś inny, kogo nie znam, powiedział, że mnie do niego zabiorą, że to taka zabawa. Tatuś jest tajnym agentem. Ma wyswobodzić świat, tak powiedział ten człowiek. I żeby nie mówić mamie, jak wtedy, kiedy rysowałam dla niego te znaki. Dostała szału.

W głowie mi dudni, wszystko się miesza, nic nie pasuje. Mam sucho w ustach, próbuję przełknąć ślinę.

– Odzyskuje przytomność. – Męski głos. Kto to jest?

Otwieram oczy.

– O, jesteś, Lucy. Witaj w swoim nowym domu.

Siadam raptownie i wszystko wokół mnie wiruje.

– Gdzie jest tatuś? Kim pan jest?

– Twoim lekarzem. Doktor Craig.

– Nie jestem chora!

– Nie. Ale będziesz. – Uśmiecha się, lecz nie jest to miły uśmiech.

Zaczynam krzyczeć, podchodzi jakaś kobieta, pielęgniarka. Pociesza mnie, mówi, że będzie dobrze, że mam znów zasnąć.

Zaraz potem drzwi zamykają się z kliknięciem. Słysząc przekręcający się klucz w zamku. Kroki oddalające się za drzwiami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Obudź się! – wrzeszczy ktoś i zalewa mnie zimna fala szoku. Mokra. Kubeł wody?

Wyczołguję się powoli z czerni przez szarość, stopniowo wraca czucie w ciele, chociaż wolałabym go nie czuć. Wszystko mnie boli. Ręce mam za plecami. Pociągam je – nic. Związane. Głowa opadła mi do przodu. Siedzę... na krześle? Ktoś podrywa mi głowę, szarpiąc za włosy.

Udawać martwą?

Co za sens przeciągać sprawę? Otwieram oczy.

– O, jesteś. Kyla, prawda? Odpowiadaj!

– Nie – mówię chrapliwym, nieswoim głosem.

Mam sucho w ustach. Kto to jest Kyla? Marszczę brwi, skupiam się. Lucy, dziewczynka – to był tylko sen z przeszłości. Teraz jestem Rain. Prawda?

– To zdecydowanie ona. – Drugi, cichszy głos. – Ale nie powinna być w stanie kłamać po tym, co jej podaliśmy.

– Kim jesteś? – wrzeszczy pierwszy głos.

A. Można przewyciężyć działanie serum prawdy, jeśli się wierzy w to, co się mówi. Jestem Rain. Ale jestem też Kyla.

– Kyla – odpowiadam. – Tak, jestem Kyla.

– Grzeczna dziewczynka.

Wrzeszczący głos przesuwają się za mnie, tak że nie widzę jego źródła, a cichszy przemieszcza się do przodu. Ktoś stawia krzesło naprzeciw mojemu.

– Teraz, Kyla, zadam ci kilka pytań, dobrze?

– Jasne – mówię. – Proszę bardzo, dawaj.

– Słyszałem, że lubisz rysować.

Gapię się na niego.

– Więc?

Robię zdezorientowaną minę.

– Czy to pytanie?

– O, przepraszam. Masz całkowitą rację. Czy lubisz rysować?

– Tak.

– Słyszeliśmy, że lubisz przedstawiać na rysunkach Nowy Londyński Szpital. Ten, w którym zostałaś Zresetowana. Czy to prawda?

Marszczę czoło, skupiam się. Nie l u b i ę rysować szpitala. Czuję taki

przymus.

– Nie – odpowiadam.

Lorder spogląda na kogoś z boku, kogo nie widzę.

– Pytaj precyzyjniej – odzywa się trzeci głos.

– Czy narysowałaś wczoraj szpital?

Nie wiem, jak się wymigać z odpowiedzi. „Myśl”.

Właściwie nie narysowałam szpitala. Tylko kawałek korytarza. Twarz mi się rozjaśnia.

– Nie – mówię.

– Dać jej więcej?

– Jeszcze trochę i zejdzie.

– Spróbujmy czegoś bardziej... bolesnego. – Inny głos.

Przedemną pojawia się twarz. Jedno oko zamknięte, spuchnięte. Ktoś dotyka mojej brwi.

– Chciałbym ci zrobić to, co ty zrobiłaś mnie. Ciekawe, gdzie Zresetowana nauczyła się tak kopać.

Wodzi palcem wokół mojego oka, jakby sobie rysował cel do kopniaka. Niedobrze mi się robi.

Wtem gdzieś z tyłu otwierają się drzwi, czuję powiew powietrza. Lorder obok mnie staje na baczność.

Słuchać szmer kilku głosów, ale w głowie za bardzo mi brzęczy, żebym je podchwyciła. Nie mogę się skupić, chcę spać. Nowy głos brzmi zimno. Jest w nim coś znajomego. Wiem, kto to jest, a jednak nie wiem. Mówi im, żeby mnie zostawili, puścili, rozmawiali. Kroki się wycofują. Cisza. Oczy mi się zamykają.

Gdy znowu się budzę, leżę. Moja głowa jest jak futbolówka w środku meczu.

„Nie ruszaj się. Słuchaj”.

Lecz nie ma czego słuchać. Tykanie zegara, to wszystko. Otwieram ostrożnie oczy.

Gabinet. Biurko. Leżę na sofie przy ścianie naprzeciwko biurka. Za biurkiem siedzi Lorder w szarym garniturze, robi coś na netbooku. Podnosi wzrok, widzi, że mam otwarte oczy.

– Ocknęłaś się.

Tej twarzy nie zapomnę. Cienkie wargi, prawie jakby skóra została przecięta nożem, żeby powstały usta. To Coulson.

A więc to jego głos rozpoznałam wcześniej.

Podnoszę się z trudem, by usiąść naprzeciwko niego. Czuję ból w całym ciele, ale wszystko wydaje się działać. Nie ma trwałych uszkodzeń. Dotykam sobie twarzy, macam wokół oka – wciąż całe.

– Pożałowania godny incydent. – Agent potrząsa głową. – Nie tak powinno się to było odbyć. – Wzdycha. – Nie martw się, zostanie wszczęte śledztwo. Winnych trzeba ukarać.

– Nie rozumiem.

– Cóż, Kylo, wytłumaczę ci to. Od jakiegoś czasu mam na ciebie oko. Coś jest z tobą nie tak. Bierzesz się do rzeczy, których nie powinnaś robić. Jak na Zresetowaną to naprawdę bardzo niepokojące. – Znow wzdycha. – Wiesz, chcielibyśmy, żeby się wam wszystkim powiodło. Dostaliście drugą szansę. Oczywiście zacząłem się tobą interesować w związku ze sprawą Bena Nixa. I jego Pigulek Radości. Rzecz jasna, też je bierzesz, inaczej nie wytrzymałabyś tego, co ci się dziś przydarzyło. Już dawno byś się wyłączyła.

Nic nie mówię. Staram się ukryć to, co czuję na wspomnienie Bena.

– Biedna Kyla. Wiem, że jesteś pionkiem. Marionetką wykorzystaną przez ART, żeby rysowała szpital, w którym bezpiecznie przebywa oddany sprawie personel medyczny z pacjentami. Widzisz, chcieliśmy cię śledzić. Dzięki tobie dotrzeć do ART i poznać ich plany. Dlatego byłem bardzo zły, kiedy się dowiedziałem, że cię dziś zgarnęli. Nie była jeszcze na to właściwa pora, a teraz sytuacja się zmieniła.

Przerywa, pociąga łyk kawy z filizanki, a ja gapię się na niego z otępiąłym umysłem. „Wie o rysunku”. Tylko Amy go widziała... Nie. Nie zrobiłaby tego. A może?

Cienkie usta wykrzywiają się w czymś, co można by wziąć za uśmiech, lecz byłaby to pomyłka.

– Postarajmy się tę zmianę wykorzystać jak najlepiej, dobrze? Oto co moim zdaniem powinniśmy zrobić. Wypuścić cię. Utrzymuj swoje kontakty z ART. Dowiedz się, jakie mają plany, i powiedz nam o nich. Co o tym myślisz?

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie mam nic wspólnego z terrorystami.

Smutno potrząsa głową.

– Wiemy o wszystkim, Kylo. Nie ma sensu kłamać. A co z tą sprawą ma wspólnego ten chłopak, Cameron? Co mamy z nim zrobić?

Ogarnia mnie panika.

– Nic! On nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu wybraliśmy się na rower.

– Pragnienie ochrony przyjaciela dobrze o tobie świadczy, Kylo. Ale dlaczego miałbym ci uwierzyć?

- Bo to prawda.
- A co z Benem?
- Co z nim?
- Nie chciałabyś się dowiedzieć, gdzie jest?

A więc to prawda: Ben żyje! Coś we mnie śpiewa z radości, inną część chwytają strach. Jeżeli Coulson wie, gdzie jest Ben, to nie może być dobrze.

- Gdzie on jest?

Agent potrząsa głową.

– Niczego ci nie dam za darmo, na informacje trzeba zasłużyć. Jednak jeżeli będziesz kłamać w jednych sprawach, skąd mogę wiedzieć, kiedy mówisz prawdę, a kiedy nie w innych? Teraz powiedz mi o terrorystach.

Po co kłamać, skoro i tak wie, prawda?

- Nie znam ich planów. Nie znam! Po prostu rysuję. I tyle.

Kiwa głową.

– Jestem skłonny uwierzyć, że nie powierzyliby ci żadnych poważnych informacji, ale mam też świadomość, że jesteś pomysłodawcą dziewczyną, Kylo. Jeżeli się postarasz, dowiesz się o nich więcej. I mimo tego, w co się do tej pory wplątałaś, jestem skłonny do pobłażliwości. Stawiamy przed tobą niełatwe zadanie.

Poprawia się na krześle.

– Oto co proponuję. Dziś puścimy ciebie i Camerona do domu. Na razie będzie bezpieczny. Tak jak będzie bezpieczny twój stary przyjaciel Ben. Na razie. Dowiesz się, co planują ART i kto jest w to zamieszany. Podzielisz się z nami tą wiedzą. Jeśli ci się uda, jeżeli udowodnisz swoją lojalność wobec nas, weźmiemy cię do Bena. Zacznesz na nowo. Wiesz co, zdejmemy ci nawet Levo, tak jak zrobił Ben.

Patrzy na mnie, czeka spokojnie. Zegar tyka, odlicza sekundy, a ja zastygam. Sparaliżowana.

- Co powiesz? Zrobisz to?

Jest tylko jedna odpowiedź i bijące z jego oczu samozadowolenie podpowiada, że on o tym wie. Tylko jeden sposób, żeby ratować Bena. Jeden sposób, żeby ratować Cama. I samą siebie.

- Tak.

Krótko potem Cam i ja lądujemy z boku drogi koło naszych rowerów.

– Strasznie cię urządzili – mówię. Dotykam jego policzka, pociętego i spuchniętego.

– Zagoi się.

Nasze spojrzenia spotykają się. Cam, który skoczył mnie bronić, choć było oczywiste, że nie ma szans. Poraniony i zagrożony z mojego powodu.

– Tak mi przykro – odzywam się znowu, lecz słowa więzną mi w gardle. Teraz, gdy jest po wszystkim i Lorderowie odjechali, zalewa mnie strach, dociera do mnie groza. Trzęsę się.

Cam bierze mnie za rękę, przyciąga bliżej. Stoimy tak na poboczu, nie poruszając się, nie odzywając. Staram się oddychać wolno, wziąć się w garść, nie płakać. Ale będąc tak blisko niego, w jego ciepłych objęciach, czuję, że mi jeszcze trudniej. Odsuwam się.

– Powiesz mi teraz, o co chodzi z tobą i Lorderami? – pyta.

Zasłużył na prawdę. Owszem, lecz ja jej nie mogę zdradzić. Naraziłabym go na jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdyby się dowiedział o układzie z Coulsonem. O mnie i Wolnej Brytanii.

Potrząsam głową.

– Nie ma wiele do powiedzenia. Lorderowie myśleli, że sprawiam problemy. Ale połapali się, że to pomyłka, i wypuścili nas.

– I ja mam w to uwierzyć? Nie okłamuj mnie. – W jego oczach widać urazę.

Odczuwam w środku drgnienie bólu, ale już nic nie mówię. Wiedza jest tak niebezpieczna. Im mniej Cam wie, tym lepiej dla niego.

– Gdybym mogła ci coś powiedzieć, to bym to zrobiła. Przykro mi.

Cam sprawdza, czy mój rower przetrwał zderzenie z żywopłotem, ale nie patrzy mi w oczy. Tak bardzo chcę mu się ze wszystkiego zwierzyć, żeby zmienić to wycofane spojrzenie. Żeby mieć kogoś, kto wiedziałby to, co ja. Przytulił mnie i podniósł na duchu, przynajmniej na chwilę.

„Żadnego podnoszenia na duchu. Nie ufaj mu”.

To szaleństwo! Powlekli Cama, bo był ze mną. Jedyne jego zbrodnie polegała na tym, że się postawił Lorderowi, który mnie strącił z roweru. Czy nie udowodnił, że można mu ufać?

„Nie. Póki się nie upewnisz, kto cię zdradził, nie ufaj nikomu”.

To właśnie kłębi się w mojej głowie podczas długiego powrotu do domu. Słońce wisi nisko na niebie, jest późne popołudnie. Od dawna powinniśmy już być w domu.

Kto doniósł Lorderom o moim rysunku ze szpitalnym korytarzem? Widziała go jedynie Amy. Ale ona by tego nie zrobiła. Nigdy! A w każdym razie nie widać w tym sensu. Gdyby zamierzała na mnie donieść, po co kazałaby niszczyć rysunek czy w ogóle przyznała się przede mną, że go widziała?

Ale... gdyby tak powiedziała komuś nieumyślnie, nie wiedząc, że mnie wpędzi w kłopoty, a ten ktoś powiedziałby jeszcze komuś?

To możliwe. Ale widziała go zaledwie wczoraj. Dzisiaj nie było szkoły, a jedyni ludzie, z którymi się od tamtej pory spotkała, to mama i Jazz.

„Na pewno jedno z nich”.

Nie! Nie wierzę. Ale kto inny?

I nie mam na to odpowiedzi. Czy nieumyślnie, czy celowo któreś z nich – Amy, Jazz albo mama – wydało mnie Lorderom.

Tak niewielu osobom na tym świecie ufam i na tak niewielu mi zależy, a jedna z nich mnie zdradziła. Nie wiem która i nie mogę uwierzyć, żeby ktoś z tej trójki był do tego zdolny. Zwłaszcza mama.

„Mama, którą masz od niecałych dwóch miesięcy”.

Taak.

„Której rodzice zginęli w zamachu terrorystycznym. I jej syn też, na ile jej wiadomo. Nie sądzisz, że by na ciebie doniosła, gdyby się dowiedziała, że jesteś terrorystką?”.

Wierzę się w duchu. Może, ale... Nie. Nie wierzę.

Tymczasem coś innego we mnie śpiewa: Ben żyje! Naprawdę. Teraz potwierdza to nie tylko meldunek od Aiden. Coulson powiedział to samo.

Mógł kłamać, ale po co? Groźby przeciwko mnie i Camowi wystarczyłyby w zupełności. A Coulson nie wie, że nawet jeśli nie dam rady namierzyć Bena sama, może to zrobić dla mnie Aiden. Muszę tylko odnaleźć Bena i ostrzec go o groźbach Coulsona. Może udałoby się nam zniknąć gdzieś razem – gdzieś, gdzie Lorderowie nas nie znajdą.

„Na przykład na księżycu?”.

Odpycham od siebie głos zwątpienia, puszczam go mimo uszu. Tulę w sobie iskierkę nadziei i trzymam ją mocno, mocno.

Bez niej nie miałabym nic.

Gdy docieramy na naszą ulicę, Cam zsiada z roweru przed domem. Bez słowa rusza na swoje podwórko.

– Czekał – mówię. Zatrzymuje się, odwraca. – Jak będziesz tłumaczył to, co się wydarzyło?

– Spadłem z roweru. A ty?

– Ja nic nie powiem.

Odwraca się.

Pod powiekami pieką mnie łzy. Cam jest teraz moim jedynym przyjacielem, jeśli nie liczyć Amy, mamy i Jazza. A co najmniej jedno z tej trójki trudno

zaliczyć do prawdziwych przyjaciół.

–

Cam, przykro mi! – wołam miękko.

Znów się odwraca.

– Wiem – mówi i kiwa głową. Po czym wchodzi do środka.

Wdech, wydech – staram się uspokoić, dopiero potem wprowadzam rower do szopy. Otwieram frontowe drzwi.

– Hej! – wołam. Nikt nie odpowiada. Dom jest cichy.

Biegnę pod prysznic. Przynajmniej, zanim ktoś wróci, będę normalnie wyglądać. Zobaczą, kto na mój widok zrobi zaskoczoną minę.

Przyglądam im się uważnie podczas kolacji. Jazz je ją z nami, więc mam przed sobą komplet podejrzanych. Lecz wszyscy zachowują się jak zawsze. Albo któreś z nich jest tak dobrym aktorem, albo coś pomyliłam. Ale jaka może być inna odpowiedź? To musi być któreś z nich.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Następnego dnia rano jest ponury, pada szara mżawka. Nie pomaga, że wszystko mnie boli, od czubka głowy do pięt. Sponiewierana i wleczona przez Lorderów, mam prawo czuć się fatalnie. Nie wspominając już o walce. Częstka mnie szczerzy się radośnie na wspomnienie spuchniętej twarzy Lordera, którego kopnęłam; inna częstka wzdryga się ze wstrętem.

Wiszę smętnie nad śniadaniem, mieszając płatki wte i wewte, ale niewiele jem.

– Co jest dziś z tobą? – pyta mama.

– Może za dużo nocnych westchnień do Camerona, co? – zagaduje Amy z uśmiechem.

Krzywię się.

– Źle to rozumiesz. Jesteśmy przyjaciółmi.

Przynajmniej byliśmy. Wzdycham. Ciekawe, czy Cam jeszcze się do mnie odezwie?

– Widzisz? – Amy się śmieje.

A mama się uśmiecha, jakby się zgadzała z jej wnioskiem. Jak mogą myśleć coś takiego – tak szybko po zniknięciu Bena? Na wspomnienie jego imienia w brzuchu znów tańczą mi motyle. „Ben, czy cię niedługo zobaczę?”

Jakie to zresztą ma znaczenie, co one myślą. Tak jest nawet lepiej, niż gdyby wiedziały, co mnie naprawdę trapi. Rzecz jasna, jedna z nich albo obie wiedzą, skoro zawiadomiły Lorderów.

Jednak kiedy im się przyglądam i słucham ich przy śniadaniu, wydaje mi się niemożliwe, żeby miały cokolwiek wspólnego z tym, co się wydarzyło wczoraj.

A co z Nikiem? Jeśli mu powiem o Coulsonie, będzie wiedział, co zrobić. Ale co sobie pomyśli o mnie, jeżeli przyznam, że zostawiłam rysunki na wierzchu, tak aby każdy mógł je sobie obejrzeć? Coulson mówił, że już wcześniej miał na mnie oko. Może dzięki mojemu potknięciu dostaliśmy ostrzeżenie, stanęliśmy na mocniejszej pozycji – teraz przynajmniej w i e m, że jestem śledzona. Jakoś wątpię jednak, żeby Nico widział w tym dobre strony.

Kiedy dziś rano w szkole przechodzę z klasy do klasy, Nico idzie korytarzem. Przechyla lekko głowę, po czym zmierza w stronę swojego gabinetu. Chce, żebym poszła za nim.

Czy w jakiś sposób już się dowiedział, co było wczoraj? Sztywnieję z niezdecydowania i strachu.

„Lepiej wiedzieć”.

Sprawdzam, czy nikt mnie nie obserwuje, i pukam raz do jego drzwi. Otwierają się, Nico wciąga mnie do środka, zamyka za mną.

– Rain! Jak się masz? – Uśmiecha się szeroko.

– Em, świetnie.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Nie rób takiej przerażonej miny! Spodoba ci się – mówi.

I chociaż jego wzrok nie zapowiada nic strasznego, i tak się boję.

– Co to takiego?

Potrząsa głową.

– Nie tak szybko. Najpierw na dużej przerwie urządzimy sobie wycieczkę.

– Dokąd?

– Czekaj, a zobaczysz, niecierpliwa Rain. Czekaj, a zobaczysz.

Mówi, dokąd podczas dużej przerwy mam pójść, skąd weźmie mnie samochodem.

– A co z moimi popołudniowymi lekcjami?

– Dasz mi swoją legitymację, a ja to załatwię. Nikt nie zauważy.

Gdy dzwonek obwieszcza początek dużej przerwy, wymykam się boczną furtką z terenu szkolnego i śpieszę na wskazane miejsce. Pędząc drogą, zastanawiam się, c z e m u właściwie to robię. Jeżeli on wie, pakuję się w niebezpieczeństwo. Jeśli nie wie, powinnam powiedzieć. Tak czy siak, wpadłam w poważne kłopoty. A jednak choć coś podpowiada, żeby zawrócić, stopy same niosą mnie do punktu spotkania. Z jakiegoś powodu n i e umiem go nie posłuchać.

Docieram do zakrętu, który mi opisał, i ledwie mam czas odetchnąć, kiedy podjeżdża jego samochód. Zatrzymuje się, otwierają się drzwi od strony pasażera, wsiadam.

Wkrótce skręcamy z głównej szosy, toczymy się wąskimi krętymi drogami, zarośniętymi i nieznanymi. Nico się nie odzywa. Żołądek mi się skręca. Może chodzi o to, żeby mnie zabrać gdzieś na ubocze i rozprawić się ze mną.

– Prawie jesteśmy na miejscu – oznajmia, ale ja widzę tylko drzewa i drzewa.

Droga zwęża się tak, że auto ledwie się na niej mieści. Nico zatrzymuje wóz. Niczego w zasięgu wzroku. Wskazuje niemal niewidoczną w gąszczu ścieżkę.

– Odpowiedź na to, czemu cię tu przywiozłem, znajdziesz w odległości dziesięciominutowego spaceru. Ja przyjdę później.

Sięga po legitymację wiszącą na mojej szyi i ściąga mi ją przez głowę. Jego ciepłe palce muskają mi twarz.

– Idź. I uważaj na siebie – mówi.

Wysiadam i auto zaczyna się cofać. Im bardziej się oddala, tym łatwiej mi się oddycha.

Waham się, ale chyba nie ma powodu do strachu. A może jednak?

Ruszam słabo widoczną ścieżką wśród drzew. Ostrożnie, cicho, wolno. Niepewna, co mnie tam czeka. Muszę się skupiać, żeby nie zgubić dróżki.

Dawno temu z Nikiem przechodziliśmy najróżniejsze leśne szkolenia, na przykład jak się poruszać bezgłośnie w zaroślach. Jak zaznaczać ścieżkę albo iść taką, której nikt inny nie dojrzy. Tutaj jedynie lekko przygięta roślinność znaczy drogę, i to w nieregularnych odstępach. Jeżeli zgubię szlak, będę musiała zawrócić.

„Wypadłam z formy”.

Zgadza się. I zastanawiam się, czy nie idę prosto w jedną z pułapek Nica. Powiedział: „Uważaj na siebie”. Co miał na myśli? Kiedyś często poddawał nas próbom, wprowadzał nieoczekiwane niebezpieczeństwa. Może chce teraz sprawdzić, czy wciąż się nadaję?

Gdy zbliża się koniec dziesięciminutowego spaceru, raz po raz schodzę ze ścieżki i zataczam pętle. Czaję się i wypatruję, co mam przed sobą.

Podczas jednego takiego obejścia dostrzegam małą polanę. Po jednej stronie, pod zwieszającymi się gałęziami drzew zielona plandeka i luźno rzucone gałązki skrywają coś dużego. Po przeciwnej ktoś siedzi na pniaku i czeka, wpatrzony w ścieżkę, którą powinnam nadejść. Spogląda na zegarek. Zastanawia się, gdzie jestem?

Mrugam raz i drugi. Coś mam nie tak z oczami. Jakbym jednocześnie spała głębokim snem i miała szeroko otwarte powieki. Stoję tu i jestem pogrążona we śnie – czy raczej w koszmarze. Po plecach i ramionach przechodzą mi ciarki. Tył jego głowy wygląda znajomo, tak bardzo znajomo. Ciemne włosy ma teraz długie, barki szersze. Serce bije mi szybko. Zastanawiam się, czy to na pewno on, i równocześnie nie wiem, kto to jest. Z wahaniem robię krok, nie patrząc pod nogi. Trzaska gałązka.

Tamten odwraca się błyskawicznie. Oczy szeroko otwarte; gapi się przez jedno czy dwa uderzenia serca. Przez jego twarz przebiega emocja – zbyt szybko, żeby ją zidentyfikować. Otrząsa się.

– No, do cholery, nie wierzę. Rain? – Nieprzyjemny grymas na twarzy, którą już niemal zapomniałam, lecz teraz rysuje się żywo w pamięci. Poszarpana

szrama na prawym policzku trochę przyblakła od czasu, gdy go ostatnio widziałam, ale właśnie ona natychmiast podszeptuje mi imię, które dla siebie wybrała.

– Cześć, Katran.

– Nigdy bym nie pomyślał, że cię jeszcze zobaczę. – Zaciska szczęki, z boku twarzy drga mały mięsień.

– To jest nas dwoje. Nico mi nie powiedział, że tu będziesz.

– Mnie też nie. Mówił, że mam się z kimś spotkać. Pod jakim kamieniem cię znalazł? Myślałem, że cię zresetowali.

Unoszę rękę, podciągam rękaw. Levo jest na miejscu.

– Nie powinnaś się wyłączyć na sam widok mojej przystojnej buźki? – Uśmiecha się.

– Przykro mi cię rozczarować, ale nie jesteś aż taki straszny. Poza tym ten gadżet nie działa. – Obracam bransoletę na nadgarstku.

– Bo przecież jesteś wyjątkowa.

Patrzę na niego gniewnie. Pali mnie w uszy echo dawnych drwin. „Rain jest zbyt wyjątkowa, żeby z nami iść”. „Rain jest na to zbyt wyjątkowa”. „Rain jest zbyt wyjątkowa, żeby to zrobić”. Wracają wspomnienia: Nico wiele razy nie pozwalał mi wychodzić z moją komórką na akcje. Do czasu aż... Marszczę brwi. Wspomnienie znika.

– Chodź. Lepiej jedźmy.

– Dokąd?

Nie odpowiada. Ściąga plandekę. Pod spodem są motocykle terenowe.

– Pamiętasz, jak się to prowadzi? – pyta z wyzwaniem w głosie.

– Spróbuj mnie dogonić – mówię i ruszam przed nim zarośniętą ścieżką. Po wczorajszym nie najlepiej znoszę wyboje i nierówności, ale nie dbam o to. Jakbym leciała! Szybciej niż Katran, tylko to się liczy.

Wkrótce docieram do rozwidlenia i czekam na niego, żeby mi wskazał kierunek. Mija mnie i odbija w lewo. Po krótkim czasie zwalnia, przeprawia się przez kamienisty potok. Zsiadamy i prowadzimy motory przez gąszcz. Stoi tu jakiś budynek. Z zewnątrz wygląda jak ruina i pewnie tak samo z góry: brzydki, walący się kawał betonu sprzed kilkudziesięciu lat. Sprzed okresu zamieszek, ale nie bardzo stary. A obok niego biegnie bita droga.

– Bezpieczny dom? – pytam.

Wolna Brytania ma je w całym kraju, w nieoczekiwanych miejscach. Ukrywa się w nich i ludzi, i broń.

Katran potwierdza skinieniem.

– Dlaczego tu jestem?

– Nico wie – odpowiada. To jego stare powiedzenie, znam je, lecz zapomniałam, teraz dopiero je odświeżył. – Ale powiedział mi, żebym cię na chwilę zostawił sam na sam z naszym nowym rekrutem.

– Kim?

Przewraca oczami.

– Księżniczką Groszek.

Chowamy motocykle pod drzewami.

– Uważaj, dokoła jest rozciągnięty potykacz. – Katran pokazuje mi niemal niewidoczny wśród roślin drut, który ma ostrzegać mieszkańców o wizycie nieproszonych gości.

Przekraczamy drut i idziemy w stronę domu. A tam na leżaku w późnopopołudniowym słońcu wyleguje się Tori.

Tori rekrutem? Czuję, jak mi szczeka opada. Siłą zamykam usta. Kiedy Nico mówił, że ma ją gdzieś umieścić, nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ma na myśli właśnie to. Że Tori zostanie jedną z nas.

Katran idzie sobie, bąkając, że znajdzie swoją grupę. Zostawia nas same. Z jego rzutu oka przez ramię i jej lodowatego spojrzenia wnoszę, że nie przepadają za sobą.

– Jak ci leci? – przerywam w końcu ciszę.

– W porządku. – Wlepia we mnie wzrok. Z jej oczu nie da się nic wyczytać, ale gapi się na tyle długo, żebym się poczuła niekomfortowo. W końcu wstaje i bierze pudełko z nożami do rzucania. – Chodź – mówi. – Tam jest tarcza. Słyszałam, że jesteś w tym dobra.

Idziemy na tył budynku. Jedno z drzew ma lekko zaznaczone kręgi. Wyciągam nóż z pudełka, ważę go w dłoni i czuję się z nim tak pewnie, tak dobrze pasuje do ręki. Nóż nagle przywołuje wspomnienie z wygrania zawodów w rzucaniu. Pokonałam Katrana. Uśmiecham się.

– Noże to moja specjalność – mówię.

– Zawsze wiedziałam, Kyla, że jest w tobie coś więcej, niż widać na oko. Ale nie rozumiem, kim jesteś.

– Ja też nie! – Śmieję się. – Ale nie jestem Kyla, nie tutaj. Jestem Rain. A ty?

Przewraca oczami.

– Kazali mi wybrać sobie imię z otoczenia, ale nie zrobiłam tego szybko i ten dupek zaczął na mnie mówić Księżniczka Groszek. – Wykrzywia się. – I chyba się przyjęło.

Rzucamy nożami do celu.

– Jak się tutaj czujesz? – pytam, obserwując ją uważnie jednym okiem, podczas gdy niby to skupiam się na celowaniu.

– Świetnie! – Znów się krzywi. – Jeśli nie liczyć imienia.

– Księżniczka, rozumiem. Ale Groszek?

– Kiedy tu przyjechałam kilka dni temu, narzekałam trochę – przyznaje zmieszana. – Katran powiedział, że jestem jak księżniczka, marudzę na ziarnko groszku pod materacem.

– Ale już jest w porządku?

Uśmiecha się.

– Tu, w środku głuszy, można mówić i robić, co się chce. Wrzeszczeć, jeśli się ma ochotę! Nikogo to nie obchodzi, nie ma Lorderów. – Waży nóż w dłoni. – Mogę patrzeć na cel i widzieć, kogo chcę. Mamę. – Rzuca nożem. Łup. Perfekcyjne trafienie. – Albo Lordera. – Rzuca kolejnym, ale nie w sam środek. Rozdrażniona klika językiem.

Podchodzimy do drzewa, wyjmujemy noże i idziemy z powrotem.

– Stańmy może trochę dalej – proponuję i cofamy się nieco. – Jakiegoś konkretnego Lordera? Planujesz zemstę?

– Za późno na to, ten już nie żyje.

Rzuca, ale ponieważ się rozproszyła, nóż chwieje się i chybia. Tori przeklina. Próbuje jeszcze raz i trafia idealnie.

– Nigdy mi nie mówiłaś, co się stało.

Podchodzimy do drzewa, wyciągamy noże. Zamiast wrócić, Tori siada, opiera się o pień i zamyka oczy.

Robię to samo. Milczy.

– Tori?

– Nie używaj tu tego imienia. Nie jestem już nią. Przydarzyło się jej zbyt wiele złych rzeczy. Zostawiam je za sobą.

Pochyla się, zrywa źdźbło trawy i rozdziela je na kawałeczki.

– Początek znasz. Zabrali mnie. W nocy, prosto z łóżka. Wywlekli. Nie powiedzieli czemu. – Wzdycha. – Zawieźli do jakiegoś miejsca z innymi Zresetowanymi. Było nas kilkoro. Wszyscy przerażeni. Nigdy nie słyszałam tylu Levo brzęczących naraz. Jeden z Lorderów odczytał na głos coś o tym, że pogwałciliśmy warunki kontraktu, ale nie pozwolili nam nic powiedzieć. A potem... – Urywa. Twarz jej się wykrzywia.

– Nie mów, jeżeli nie chcesz.

– Zabili ich – szepcze.

– Co?

– Terminacja. Zastrzykiem. I wrzucili do dziury w ziemi, jak śmieci. Oczywiście, zanim jeden umarł, reszta się wyłączyła, dlatego i tak nie wiedzieli, co się z nimi dzieje.

Domyślamy się tego, co może spotkać znikających ludzi. Ale usłyszeć o tym od kogoś, kto wie, kto to zobaczył? Niedobrze mi.

– Ale co z tobą?

– Byłam ostatnia. Nie wyłączyłam się. Potem tego żałowałam. – Uśmiecha się słabo. – Też dostałam zastrzyk. Kopałam i wrywałam się, ale i tak mi go dali. Jednak okazało się, że dostałam co innego. Sok Radości.

– Co? Nie rozumiem.

– Też nie rozumiałam. Potem jeden Lorder przemycił mnie do swojego samochodu.

Uratowana przez Lordera? Nie do wiary. Ale gdy o tym mówi, oczy się jej zwężają.

– Dlaczego?

– Początkowo myślałam, że ma sumienie. Chciał mnie uratować, ale nie wiedziałam, czemu akurat mnie, a nie kogoś z pozostałych. Ukrył mnie w swoim domu i wezwał lekarza, żeby mi zdjął Levo. To było zdumiewające! Dawał mi różne rzeczy. Ubrania, błyskotki. Traktował jak córkę. – Odwraca twarz. – Ale to wszystko było kłamstwo. Był totalnym świrem. To, co robił... Najpierw niewiele, potem coraz gorsze i gorsze rzeczy. Nie powiem ci co, nie mogę.

O, Tori. Jej twarz, nawet z wymalowaną nienawiścią, jak teraz, jest nieskazitelna. Ta sama uroda, która być może sprawiła, że matka ją zwróciła, zadała jej tyle cierpień, że dziewczyna nie umie o tym mówić, a ja nie mogę znieść nawet myśli o tym. Wyciągam do niej rękę, Tori ją chwyta. Ścisła mocno.

– A potem pewnego dnia skorzystałam z szansy. Przestałam walczyć. Udawałam, że się na to zgadzam, na to, co chciał ode mnie. Później, gdy był... zajęty, zabiłam go.

Puszczam moją dłoń i bierze jeden z noży, lekko przesuwam palcem po ostrzu.

– Nie był tak ostry jak ten. Obiadowy. Ciął powoli, niechlujnie. Facet cierpiał, a ja się cieszyłam. – Podnosi wzrok. – Potem uciekłam. Nie myślałam, że zajdę daleko. Nie zależało mi. Chciałam się zabić, żeby mnie nie zabili oni, gdy zostaną złapani. Wiesz, żeby im to odebrać. Ale uświadomiłam sobie, że przed śmiercią chcę zobaczyć Bena. – Jej oczy napęniają się łzami.

Wnętrznosci mi się zaciskają. Gdyby знаła mój wkład w zniknięcie Bena, ten nóż zaraz by znalazł cel.

Zaciska dłoń na rączce tak mocno, że jej bieleją kłykcie.

– Nie chciałam o tym mówić. Wiesz, czemu ci powiedziałam?

W ustach mam sucho, ciało przygotowało się na reakcję, na obronę w razie konieczności.

– Czemu?

– Nico mnie o to prosił.

Rozluźniam się, tylko odrobinę. Czy to właśnie dlatego mnie tu przywiózł? Dlaczego miałby to zrobić?

– Musiałam mu powiedzieć – ciągnie Tori. – Upierał się, że musi wiedzieć, żeby mi pozwolić zostać. Wyciągnął ze mnie więcej, niż mi się zdawało, że kiedykolwiek powiem na głos.

– Ma na to swoje sposoby.

Tori potakuje skinieniem, a na wspomnienie o Nicu i jego sposobach na jej ustach pojawia się półuśmiech. We mnie skręca się zazdrość. Jej uśmiech zaraz gaśnie.

– A w zamian powiedział mi, że Ben przeciął sobie Levo i zabrali go Lorderowie. Przyszłam za późno. Pewnie leży gdzieś w dziurze, jak tamci Zresetowani.

Głowa opada jej na kolana, ręce ciasno oplatają nogi. Ciałem wstrząsa szloch. Otaczam ją ramieniem. Powinnam jej powiedzieć, że widziano Bena. Ale tego nie robię. Czy przez to, że nie ma pewności, że może to nie on? Żeby chronić Aidenę? Albo z jakiegoś mrocznego powodu? Nie jestem pewna.

Tori podnosi głowę, ociera twarz rękawem. Spogląda w górę i uśmiecha się.

– Ale teraz jestem w Wolnej Brytanii i zabiję więcej Lorderów. Dlatego mi się tu podoba. – Zrywa się na równe nogi. – Chodź. Muszę poćwiczyć.

I ćwicz. Ma dobre oko, a ono widzi krew Lorderów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tori trzyma pistolet w obu rękach. Mierzy starannie, naciska spust. Butelka eksploduje, a jej ręka odskakuje pod wpływem siły odrzutu. Dziewczyna triumfalnie unosi pięść.

– Wreszcie!

Szalony z niej strzelec, nie ma do tego naturalnego drygu jak do noży, dlatego ta sesja była długa, frustrująca i niekiedy niebezpieczna. Obie wybuchamy śmiechem, kiedy się odwracamy i widzimy, że patrzy na nas Nico.

– Brawo! – mówi i Tori kraśnieje z radości.

A ja zastanawiam się w rozdrażnieniu, czy widział któryś z kilkunastu nieudanych strzałów.

Nico rzuca mi moją legitymację, łapie ją w locie.

– Udało się z tym? – pytam, zakładając smycz od identyfikatora na szyję.

– Oczywiście. Byłaś na wszystkich lekcjach jak należy, przynajmniej szkolny komputer będzie tak twierdził, gdyby się ktoś interesował. Chodź – mówi, wskazując na mnie, i rusza do budynku.

Idę za nim. W środku spartańskie kwatery sypialne, na podłodze zwinięte pośłania. Skrzynie, pudła. Broń? Z tego, co widać, nie ma bieżącej wody. Tori pewnie się to nie podobało; nic dziwnego, że Katran zaczął ją nazywać Księżniczką. Ale po tym, co ją spotkało, tu pewnie się czuje jak w raj.

– Siadaj. – Nico wskazuje skrzynię i przysiada na sąsiedniej. – Musimy pogadać. Czy Tori opowiedziała ci swoją historię?

– Tak.

– Ale rozumiesz, dlaczego prosiłem, żeby ci opowiedziała? Rain, wiesz, że musimy pracować w grupie: totalnie uczciwie. Chciałem, żeby Tori ci przekazała swoją smutną opowieść, bo powinnaś wiedzieć. Poznać jej silne i słabe strony, jej motyw. Żeby z nią pracować.

Wsadza Tori i mnie do tej samej kategorii, stawia na tym samym poziomie. Jakbyśmy były w jednej drużynie. Ledwie ją zna! A ja czuję się w duchu dotknięta i nie potrafię dociec, czy to właśnie jest powód, czy może coś jeszcze innego. To nie jest totalna uczciwość. Gdyby Tori poznała moją historię – wszystko, co się zdarzyło z Benem – nigdy by mnie nie zaakceptowała. Wzdycham.

– Biedna Rain. Wiesz, że jestem po twojej stronie, prawda?

Bierze mnie za rękę, trzyma, a ja mocno zaciskam dłoń, przygnieciona poczuciem osamotnienia, wyobcowania. Nie mogę ufać mamie ani Amy, Cam ze mną nie rozmawia, a jeśli już, sama powinnam go unikać dla jego własnego dobra. Wcześniej zdawało mi się, że między Tori a mną zawiązuje się jakaś krucha przyjaźń, ale wiem, że to pryśnie w momencie, gdy ona pozna prawdę o Benie.

Jest tylko Nico. Podnoszę wzrok i napotykam jego spojrzenie. Intensywne, znaczące. Zawsze takie samo. T o t a l n a u c z c i w o ś ć: muszę mu wszystko powiedzieć.

– A teraz: jak ci idzie rysowanie? – pyta.

– Mam kilka rysunków. Wzięłabym je dzisiaj ze sobą, gdybym wiedziała, że tu będę. W sobotę znów jadę do szpitala. Muszę sprawdzić kilka szczegółów, narysować więcej. Powinny być dokładne.

– Racja. Ale pośpiesz się, Rain. Pośpiesz się.

Biorę głęboki wdech.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Ja...

– Czeka.

Z zewnątrz dobiega odgłos kroków, pomruk głosów.

– Wyjdź najpierw i poznaj nowych przyjaciół.

Wychodzę z budynku i widzę, że wrócił Katran, a z nim dziewięcioro wyczerpanych rekrutów. Po wyglądzie poznać, że to nowicjusze, wszyscy około czternastu, piętnastu lat. Niektórych jakby rozpoznałem ze szkoły i jeśli jestem zaskoczona ich widokiem, oni są jeszcze bardziej zdumieni, widząc mnie. Spojrzenia skupiają się na moim nadgarstku, na czujniku.

Gdy Nico wychodzi przede mnie, wszystkie szepty cichną. Ludzie prostują się jeszcze bardziej. Nico spogląda na Katrana.

– Raportuj.

Katran potrząsa głową.

– Bezużyteczna banda, mięso armatnie i tyle. Obijali się, gdy mnie wysłałeś na w y c i e c z k ę. – Posyła mi miazdzące spojrzenie.

Strach wokół mnie jest namacalny – oślizły, duszący, daje się go niemal dotknąć i poczuć tę lepkość. Wszyscy tak zaczynaliśmy, bojąc się Nica. Zmieniało się to stopniowo, w miarę jak robiliśmy postępy i zyskiwaliśmy jego aprobatę. Strach pozostał, ale doszły do niego inne odczucia. Zaczęliśmy rozumieć, że wszystko, co robi Nico, robi dla nas. Żebyśmy się stali silniejsi. A przez to bezpieczni.

Ale Nico tylko unosi brew.

– To twoja grupa, Katran. Jak myślisz, co powinieneś z tym zrobić?

Katran uśmiecha się.

– Dziś jeszcze jeden nocny trening. – Unosi rękę, żeby pozwolić im się rozejść, i kilku rusza już niepewnie w swoją stronę.

– Czekaście – wtrąca Nico. – Jest jeszcze jeden problem.

Zatrzymują się, nieruchomieją, wpatrują w Nica.

– Mieliśmy poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa. Jedno z was wymknęło się i naopowiadało komuś o nas. Kto z was?

Jego głos brzmi lodowato i chociaż wiem, że to nie ja, że to ktoś z grupy, strach jest tak zaraźliwy, że chwytą mnie tak samo jak ich. Ogarnia mnie przerażenie na myśl, co teraz będzie.

Nico patrzy kolejno w poblaskie twarze, zatrzymuje spojrzenie na ich oczach. Dostrzegam winną, zanim do niej dotrze – ciemnowłosa dziewczyna, zdaje się, że była w szkole w dziesiątej klasie. Trzęsie się, nie umie mu spojrzeć w oczy.

Nico wzdycha. Daje znak Katranowi, ten chwytą ją, wywleka przed szereg. Trzyma przed Nikiem.

– Holly, tak? – odzywa się Nico. Wyciąga rękę. Dziewczyna odsuwa się z drgnieniem, ale on tylko dotyka jej policzka. Uśmiecha się. – Powiedz nam, co zrobiłaś – zachęca łagodnie.

Holly podnosi wzrok, w oczach ma desperacką nadzieję. Nie zna go tak dobrze jak ja. Lepiej by było, gdyby się wściekł.

– Przepraszam, Nico. Musiałam się z nim zobaczyć, pożegnać się.

– Z kim? Z chłopakiem? – Nico zerka na Katrana, który przewraca oczami.

– Nie. Z bratem.

– Holly, chyba muszę ci przypomnieć, jak z wielką pasją mówiłaś mi, że nienawidzisz Lorderów, że zrobiłabyś wszystko, żeby ich obalić. Że jesteśmy twoją nową rodziną.

– Bo jesteście. Właśnie to chcę robić. Uwierz mi. Zrobię wszystko.

– Wszystko? – Sam do siebie kiwa głową. – Zobaczymy. Ale naraziłaś nas na ryzyko.

– On nikomu nie powie!

– W takim razie skąd o tym wiem? – Jego słowa docierają do niej. Jej twarz, o ile to możliwe, blednie jeszcze bardziej. – Nie lekceważymy tu zasad, Holly. Trzymanie się dawnych więzi wypacza lojalność. Naraża was, osłabia.

Nico spogląda ponad ich głowami. Macha ręką. Grupa bez dyskusji rozdziela się na pół. Spomiędzy drzew wychodzi dwóch mężczyzn, prowadzą chłopca. Ma najwyżej trzynaście lat, tamci trzymają go pod ręce. Wyrwa się.

Nico przygląda się twarzom.

– Poznajcie brata Holly. – Zwraca się do dziewczyny: – A teraz mój dylemat. Mówiłaś mi różne rzeczy, składałaś obietnice, po czym złamałaś zasady. – Uśmiecha się. – A jednak twierdzisz, że dla naszej sprawy zrobisz w s z y s t k o.

Skinieniem daje sygnał Katranowi, a ten ją puszcza. Dziewczyna drży.

– Stworzyłaś potencjalne zagrożenie. Musisz je wyeliminować. – Nico sięga pod kurtkę. Wyjmuje rewolwer. Sprawdza. Wręcza go Holly.

„Nie”. Ona tego nie robi. On jej nie zmusi. Nie!

Brat uświadamia to sobie wcześniej niż ona. Przestaje się wyrywać. Wielkimi brązowymi oczyma patrzy na swoją starszą siostrę, która trzyma w rękach rewolwer. I spogląda na broń, jakby nie rozumiała, skąd to się wzięło w jej dłoniach.

Nico kładzie jej rękę na ramieniu, odsuwa włosy za ucho i mówi łagodnie:

– Wiesz, że ty mu to zrobiłaś. Nie ma znaczenia, czy sama naciśniesz spust, czy ktoś zrobi to za ciebie. Ty to zrobiłaś. Dokończ, co zaczęłaś.

Rewolwer trzęsie się na wszystkie strony w jej rękach, a ja z trudem się powstrzymuję, by nie doskoczyć do niej i nie wyrwać jej broni z ręki. A potem sama znalazłabym się między tymi dwoma facetami, jak teraz ten chłopiec.

Dziewczyna wreszcie podnosi wzrok. Na Nica, patrzy mu w oczy. On potwierdza skinieniem głowy. Jej twarz nie wyraża emocji. Holly trzyma broń w obu rękach, próbuje opanować drżenie, wymierzyć.

– Bang! – dopinguje głośno Katran. Reszta się wzdryga. Katran śmieje się, wyjmuje rewolwer z rąk dziewczyny, otwiera magazynek i pokazuje wszystkim – komora jest pusta.

Holly osuwa się na ziemię. Nico przyklęka obok niej.

– Nigdy nie kazałbym ci zabić własnego brata, głupia dziewczyno. Za bardzo mi na was wszystkich zależy. Ale dostałaś nauczkę. Wszyscy dostaliście. – Wstaje i kolejno patrzy rekrutom w oczy. Daje znak dwóm mężczyznom, żeby puścili chłopaka.

Ten uśmiecha się teraz. Podbiega do siostry i przytulają się mocno.

– Przepraszam – mówi brat. – Musiałem udawać, żeby móc tu przyjść. Żeby mnie przyjęli do Wolnej Brytanii.

Nico wyciąga rękę, pomaga dziewczynie wstać. Otrząsam się z ulgą. Oczywiście powinnam była wiedzieć, bardziej ufać Nicowi. Uwierzyłam w przedstawienie. Nie powinnam się dać nabrać jak ci nowi rekruci. Katran od początku był wtajemniczony albo się w porę domyślił. Ja też powinnam była

zrozumieć.

Holly czepia się ręki Nica, w jej oczach błyszczy wdzięczność.

– Dziękuję, Nico, tak bardzo ci dziękuję. Nie pożałujesz, że dajesz mi drugą szansę.

– Nie pożałuję – mówi Nico ze spokojną pewnością siebie.

Holly może nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że stąpa po cienkim lodzie, ale ja tak. Nikomu nie uchodzi na sucho, jeśli zasłuży na gniew Nica. Żołądek mi się kurczy. To, co zrobiła Holly, zwierając się bratu, to nic w porównaniu z moją przewiną. Jeżeli Nico się dowie, że przez swoją lekkomyślność ściągnęłam sobie na kark Lorderów, to... Cóż. W tym wypadku rewolwer będzie naładowany.

Nie mogę mu powiedzieć.

Ale co z Benem?

Nico zwraca się do grupy:

– Skoro wszyscy jesteście razem, mam dla was specjalne wiadomości. Wielki zaszczyt dla was wszystkich. Dzięki informacjom od obecnej tutaj Księżniczki – wskazuje gestem Tori, a przy wymawianiu jej ksywki unosi mu się kącik ust – udało się nam namierzyć lokalizację OZiT. Ośrodka Zwrotów i Terminacji, dokąd Lorderowie zabierają Zresetowanych, którzy rzekomo nie wywiązali się z kontraktu, i mordują ich. Wasz cel ataku za kilka dni.

Ośrodek, do którego zabrano Tori? Gdzie zabija się Zresetowanych i wrzuca do zbiorowych mogił. Pięści mi się zaciskają, wypełnia mnie ból na myśl o tym, co spotkało tych nieszczęśników. Co spotkałoby ją, gdyby nie to, że los miał dla niej coś bodaj jeszcze gorszego.

Wszyscy uśmiechają się nerwowo, potem wiwatują. Ich pierwsza akcja? Czy są gotowi? Zerkam na Katrana, który nieznacznie unosi brew. Też nie jest tego pewny.

Lecz ja jestem gotowa. Może uda mi się uciec od tego bałaganu z Coulsonem, jeśli zostawię to za sobą.

– Nico, czy mogę...

– Zaczekaj. – Kładzie mi dłoń na ramieniu. – Chodź, wejdźmy do środka, moja wyjątkowa. Możemy teraz dokończyć naszą rozmowę.

Idę za nim z powrotem do domu, czując na plecach spojrzenia. W y j ą t k o w a – przypiął mi tę etykietkę przy wszystkich. W uszach znów dzwoni mi drwina Katrana: „Zbyt wyjątkowa, żeby iść na misje”. Jeszcze się przekonamy.

– Dobrze. O czym chciałaś rozmawiać?

– Pozwól mi pomóc. Chcę tutaj zostać, być częścią wydarzeń.

Nico uśmiecha się.

– Miło mi słyszeć to, co i tak wiem, Rain. – Pochyliła się i całuje mnie w czoło.
– Jednak nie możesz tu zostać.

– Ale...

Unosi dłoń.

– Na razie nie. Jeszcze nie możesz tu zostać. Są rzeczy, które możesz dla nas zrobić, jeżeli zostaniesz w tamtym swoim życiu nieco dłużej. Przed nami wielkie plany, Rain. Wkrótce ci o nich opowiem. W tej chwili musi ci wystarczyć tyle: Lorderowie zostaną osaczeni, zaatakowani jednocześnie na wielu frontach. A ty odegrasz w tym kluczową rolę. Do tej pory musisz być bezpieczna.

– Proszę, pozwól mi iść na misję do OZiT. Proszę! Zrobię wszystko. – Słyszę w swoich słowach echo tego, co Holly mówiła wcześniej, i w duchu, gdzieś tam w głębi coś się we mnie zastanawia: czy naprawdę wszystko? Ona to prawie zrobiła.

Patrzy na mnie badawczo, rozważa. Przeciąga tę chwilę tak długo, że o mało nie przerywam ciszy dalszym błaganiem. Potem kiwa głową.

– Mogę iść?

– Tak, Rain. Możesz iść – odpowiada z uśmiechem, a ja upajam się jego zgodą. – Chciałaś rozmawiać o czymś jeszcze?

Ben. Pomóż mi go odnaleźć. Sprawić, by go nie dorwał Coulson. I żeby Coulson nie miał na mnie haka. Lecz stojąc tutaj przed Nikiem, nie umiem tego zrobić. Nie mogę mu powiedzieć o Coulsonie. Tak się wścieknie. A ja chcę być częścią ich sprawy. Naszej sprawy. Chcę, żeby Nico patrzył na mnie tak jak teraz, z ciepłym uznaniem. Będę się trzymać z daleka od Coulsona i nic mu nie powiem. Sama zdobędę wiadomości o Benie.

– Nie, Nico. To już wszystko.

– W takim razie chodź. Czas na ciebie.

Na zewnątrz nie ma ani śladu Tori czy pozostałych. Przed drzwiami czeka tylko Katran.

– Odstaw ją do domu – rzuca polecenie Nico.

Katran kiwa głową i idę za nim do naszych motorów. Bez słowa odjeżdża szybko ścieżką, więc jadę jego śladem. Podążamy tą samą drogą, co poprzednio, aż docieramy do rozwidlenia za potokiem, gdzie skręcamy w drugą stronę.

Ta ścieżka wyprowadza nas na dróżkę biegnącą wzdłuż kanału, niezbyt uczęszczaną, sądząc po jej stanie. Dwa razy musimy przenosić motocykle nad pniami zwalonych drzew.

Po kolejnym rozwidleniu dróżka zaczyna się rozszerzać i wygląda znajomo –

w przeciwną stronę łączy się ze ścieżką wiodącą do domu Bena. Tego jestem pewna. Albo raczej do miejsca, gdzie stał jego dom. Co oznacza, że w tę stronę dotrę do szlaku nad naszą wioską.

Katran wkrótce się zatrzymuje.

– Urządziliśmy tu kryjówkę na motor – mówi.

Zbaczamy ze ścieżki, przepychamy się przez jeżyny wśród drzew.

– Możesz zostawić swój, żeby do nas dotrzeć, gdy będziesz potrzebowała.

– Dzięki.

– Nico mi to kazał załatwić. – Wprowadza mój motor do kryjówki, wskazuje skrzynkę pomalowaną tak, żeby wyglądała jak liście. – Typowy schowek z zapasami. Woda, prowiant, paliwo – wyjaśnia, po czym ukrywa całość pod plandeką i gałęziami. – Nie wiedziałem, że to dla ciebie, bo może bym się rozmyślił.

Krzywię się, słysząc kwas w jego głosie.

– Co do mnie masz? Jakiś problem? – pytam.

Wsiada na swój motocykl.

– Ja i problem? Ja nie mam problemów. Za to ty jesteś jednym wielkim problemem, wyjątkowa dziewczyno.

Zapuszcza silnik i zaraz znika.

Świetnie. Jedyne człowiek z mojej przeszłości, bez którego znakomicie mogłabym się obejść, i jak na złość właśnie on się objawia.

Słońce wisi nisko na niebie, kiedy forsownym marszem docieram do domu, śpiesząc się, żeby uniknąć pytań o to, czemu jestem tak późno. Ostatnie kilka kilometrów schodzi mi na rozmyślanie.

„Stchórzyłam”.

Tak, postawmy sprawę jasno: bałam się powiedzieć Nicowi prawdę.

Spójrzmy na to, co się przydarzyło Holly. Jeżeli Nico w ten sposób karze kogoś, kto zawinił jedynie tym, że powiedział bratu, dlaczego znika, to co pomyśli o mnie? Jeśli Nico dowie się o Coulsonie, nie będę już tak wyjątkowa. Zwłaszcza jeżeli nie powiedziałam mu o tym przy pierwszej okazji. Może nie będę już nawet żywa.

„Jesteśmy teraz twoją rodziną”. Nico nie miałby w tym żadnego interesu, żeby mi pomóc w odnalezieniu Bena. Jego zdaniem Ben będzie kolejnym zagrożeniem bezpieczeństwa. Przez Bena stanę się nieostrożna. „Trzymanie się dawnych więzi wypacza lojalność”.

Jestem rozdarta między Nikiem a Benem.

Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć, co robić. Muszę się zobaczyć

z Benem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Tak, moja droga?

Ciocia Cama okazuje się starsza, niż się spodziewałam. Siwe włosy ma upięte na czubku głowy. Niespokojne oczy spoglądają przez cienkie druciane okulary.

Staję na stopniu przed frontowym wejściem.

– Czy Cam jest w domu?

– Tak, myślę, że tak. Wejdz, moja droga.

Idę za nią przez tandetnie urządzone przedpokój do saloniku. Wszędzie pełno jest kiczowatych domków, bibelotów i porcelanowych zwierzątek.

– Cameron? Masz gościa! – woła.

Cam idzie na dół po schodach, a mnie zatyka na jego widok. Dzień po przygodzie z Lorderami wygląda gorzej, znacznie gorzej – połowa twarzy posiniaczona, fioletowa, spuchnięta. Olbrzymie limo na oku, a to wszystko przeze mnie.

– Dzięki – mówi i patrzy na swoją ciocię.

Kobieta wydaje się nieco spłoszona. Znika w kuchni i zamyka za sobą drzwi.

– Ee... miłe miejsce.

– Nie chrzań. Do bani.

– Chciałbyś stąd wyjść, przespacerować się trochę?

– Jasne. – Uśmiecha się tą połową twarzy, która się do tego nadaje.

Ruszamy i przychodzi mi do głowy, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sobie uświadamiałam. Atmosfera w tym domu jest dziwna. Jakby śledziły cię czyjeś oczy. Cam utknął tutaj z krewnymi, których tak naprawdę nie zna, w obcym miejscu. Bardzo to podobne do mojej sytuacji sprzed kilku miesięcy, kiedy wylądowałam w domu naprzeciwko. Przynajmniej mama ma lepszy gust w kwestii urządzania wnętrza.

Ale dlaczego przyszłam i zapukałam do jego drzwi akurat dziś? Po popołudniu spędzonym z Tori, Katranem i Nikiem czułam przemożną chęć, by zrobić coś zwykłego: spotkać się z przyjacielem. O ile on wciąż chce być moim przyjacielem po tym, co się zdarzyło. A może nie chciałam zostać sama ze swoimi myślami?

Cam odzywa się dopiero, gdy wioska jest już za nami.

– Nie widziałem cię dzisiaj w szkole.

– Przykro mi.

– Brakowało mi cię przy drugim śniadaniu. Gdzie byłaś?

– W okolicy.

– Czekałem na ciebie pod twoją ostatnią salą na końcu lekcji. Nie było cię.

– Chyba wolałabym, żebyś się na mnie obraził i urządził ciche dni – mówię, ale natychmiast tego żałuję. Po jego minie widać, że go zraniłam pod niejednym względem. – Przepraszam.

– Słuchaj. Gdybyś mi powiedziała, o co chodzi, może mógłbym pomóc.

Jesteśmy już kawałek poza wsią i odwracam się, by ruszyć z powrotem, ale on ciągnie mnie za rękę w stronę ciemnej ścieżki biegnącej skrajem pola.

– Chodź – mówi, a ja czuję się tu nieswojo.

Ta ścieżka prowadzi do lasu, gdzie znaleziono Wayne’a – do miejsca, w którym nie chciałabym się znaleźć na nowo. Ale kiedy nie widać już nas z drogi, Cam zatrzymuje się i opiera o płot.

– Kyla, posłuchaj. Rozumiem, że w tej chwili czujesz, że mi nie możesz nic powiedzieć. Tylko mi nie mów, że nie ma nic do powiedzenia. Nie wierzę ci.

– W porządku.

– Ale jeżeli jest coś, co mogę zrobić, żeby ci pomóc, cokolwiek, po prostu daj znać, a ja to zrobię.

Patrzę na niego. Gardło mi się zaciska, jakbym się miała rozplakać. To wzruszające, że Cam proponuje mi pomoc, która może go wciągnąć w najróżniejsze kłopoty. Nie jest na tyle głupi, żeby o tym nie wiedzieć, nie po wczorajszym. A jednocześnie zastanawiam się czemu. Dlaczego jest taki chętny, by ryzykować dla kogoś, kogo ledwie zna? Czy to tylko przyjaźń, czy coś innego? Wyciągam rękę i lekko dotykam jego pokierszowanego policzka.

– Przecież już oberwałeś, prawda?

– Noo, gdybym miał jeszcze sekundę, urządziłbym tego drania. Ledwie już stał na nogach, no nie?

Uśmiecham się.

– Jasne. Nie dawał tego po sobie poznać, ale się słaniał.

– Nie odważy się więcej nas zaczepiać. – Cam staje w pozycji boksera.

Śmieję się.

– Taak. Na pewno masz rację. Jeszcze raz dzięki, że mnie broniłeś. Choć to było kompletne wariactwo.

– Zrobiłbym wszystko, żeby się zemścić na Lorderach – mówi z poważną miną. Oczy przez chwilę ma nieobecne, skupiają się na czymś w innym czasie i myślę, że nie mówi już o wczorajszym dniu. Potrząsa głową. – A co z tobą? – Jego spojrzenie wraca do tu i teraz, krzyżuje się z moim.

Waham się.

– Mam coś do załatwienia. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Tajemnicza Kyla – stwierdza. – Chodź, bo się spóźnimy na kolację.

Wyciąga do mnie rękę, a ja chwytam ją i ściskam trochę za mocno przez całą drogę do domu. Jak linę ratunkową holującą mnie do innego życia. Wyślizgującą się linę.

Wieczorem podczas spotkania Grupy Penny znów sięga po gry. Przyniosła więcej szachownic, najwyraźniej doszła do wniosku, że skoro jedna Zresetowana może grać w szachy, reszta też jakoś sobie poradzi.

Dzieli nas na dwie grupy, sama jest w jednej, ja w drugiej, objaśniamy nazwy, pozycje i ruchy poszczególnych bierek. Zaczynamy rozgrywki, lecz wszystko to jest tak odległe, tak mało ważne, że nie umiem się skupić. Jakby przesuwanie figur i pionków po szachownicy – raz kolej jednego gracza, raz drugiego, na przemian – miało coś wspólnego z realnym życiem.

Moje myśli zataczają kręgi i znów wracają. Nico zawsze wydaje się tkwić w samym centrum, kieruje akcją i kontroluje ją. Mistrz szachowy zna tak wiele ruchów do przodu, zawsze może przewidzieć pozycje i cele przeciwnika. Ale nawet on nie wie o mnie i o Coulsonie.

Kto wygra? Czy to tylko rozgrywka ich dwóch?

W nocy skupiam się na twarzy Bena, próbuję ją zatrzymać w pamięci, jednak spotyka mnie frustracja. Jego rysy mi się wymykają.

Ben jest dla mnie wszystkim, ale to tylko jeden człowiek. Jedna ofiara spośród tak wielu, którym Lorderowie niszczą życie każdego dnia, dopóki są u władzy. Czym jest jednostka wobec postawionego na szali losu licznych innych ludzi? Nico powiedział, że mam odegrać kluczową rolę w planach Wolnej Brytanii. Ta myśl napętnia mnie zarówno dumą, jak i nerwowym strachem. Co ta rola może oznaczać? Jeżeli Nico ma rację – jeśli Lorderowie rzeczywiście będą zagrożeni – jak mogę się narażać, nawet dla ratowania Bena?

Jak mogę nic nie robić?

Gardzę swoją słabością, tym, że mam taki mętlik w emocjach. Zawsze jednak dochodzę do jednej odpowiedzi: muszę zobaczyć Bena. Muszę go przestrzec przed Coulsonem.

Biegnę najszybciej, jak umiem.

Ale niewystarczająco szybko.

Czasami wciąż biegnę, gdy się budzę, ścigana nienazwanymi, niedostrzegalnymi lękami. Niekiedy jest gorzej i padam, a on mnie nie chce zostawić.

Nawet kiedy w tym jestem, teraz wiem, że to tylko sen. Przychodzi tak często. Ale ta wiedza nie umniejsza grozy.

Padam. A on mnie nie chce zostawić. Oczy mam mocno zaciśnięte, nie mogę patrzeć, nie widzę, co się dzieje potem. Nie mogę...

I krzyczę, ale na moich ustach mocno zaciska się czyjaś dłoń, tłumiąc dźwięk. Wrywam się, lecz silne, ciepłe ramiona trzymają mnie pewnie, kołyszą z boku na bok. Czyjś głos mruczy kojące dźwięki w moje włosy:

– Ciii, Rain. Już dobrze. Trzymam cię.

Otwieram oczy i kiedy przychodzę do siebie, on zabiera dłoń z moich ust. Katran jest tutaj. To był tylko sen.

– Znowu ten sam? – pyta.

Kiwam głową, rozedrgana, wciąż nie mogąc wykrztusić słowa, ogarnięta kolejnym strachem. Lękam o to, że tracę kawałki siebie, że odrywają się, rozsypują i gubią.

Gwałtownie otwieram oczy w ciemności. Strach z mojego snu szybko ustępuje miejsca szokowi. Mój powracający sen – ten, o którym zawsze myślałam, że pochodzi z czasów tuż po resecie. Musi być starszy. O ile dzisiejsza jego wersja zawiera choć ziarno prawdy. Jeśli miewałam już ten koszmar, gdy Katran był tuż obok, to znaczy, że sen mnie nawiedzał, jeszcze gdy trenowałam z Sowami. Zanim złapali mnie Lorderowie. Zanim mnie zresetowali.

Lecz Katran mnie pocieszał, trzymał – to pewnie wytwór mojego nieświadomego umysłu. Tak być nie mogło. Ale nawet jeśli odrzucę troskliwego Katrana, bo nie znam go od tej strony, i zastanawiam się, czy reszta snu też nie jest fikcją, wiem, że to niemożliwe. Wrażenie było bardziej realne, bardziej prawdziwe aniżeli cokolwiek do tej pory.

I jest coś jeszcze, coś kryje się w tym śnie. Znajduje się tak blisko, prawie w zasięgu ręki, jakbym to mogła musnąć palcami. Wciąż się jednak odsuwa.

Nawet jeśli zacisnę pięści, nawet jeśli chcę krzyczeć z frustracji na te dziury w pamięci, jest tam gdzieś w środku zimny samorodek prawdy.

Nie chcę wiedzieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Chodź.

Jedno wypowiedziane cicho słowo, nic więcej. Tego Lordera nie rozpoznaję; idzie przodem i nie ogląda się za siebie. Nie wątpi, że wypełnię polecenie. Rozważam możliwość ucieczki, ale co by mi ona dała? Zostaję tylko w tyle, nie spuszczaając go z oczu w tłumie zmieniających sale uczniów. Trudno by go było zresztą zgubić, skoro rozstępują się przed nim na boki – po prostu idę za przemieszczającym się wolnym punktem w zatłoczonym korytarzu.

Order otwiera drzwi gabinetu w budynku administracyjnym, wchodzi do środka i zostawia je uchylone. Rozglądam się szybko. Nico, co prawda, powinien się znajdować w bloku nauk przyrodniczych, ale nigdy nic nie wiadomo. Nie dostrzegam jednak ani jego, ani nikogo znajomego.

Kiedy docieram do drzwi, okazują się inne niż pozostałe mijane po drodze. Nie ma na nich tabliczki z nazwiskiem ani numerem.

Pukam raz i wchodzę.

Order, za którym szłam, stoi na baczność z boku biurka. Przy biurku siedzi Coulson.

– Siadaj – mówi.

Jest tylko jedno krzesło – po tej stronie małego biurka, naprzeciw Coulsona. Zbyt blisko, żeby było wygodnie, ale siadam.

– Mów.

Przełykam ślinę, nagle zasycha mi w gardle.

– Ładny gabinet – zauważam.

Nie odpowiada, ale chłód w pomieszczeniu robi się jeszcze bardziej przenikliwy – wystarczająco, bym wiedziała, że wpadłam w kłopoty. Cisza jest krucha.

„Najlepszy sposób na kłamstwo to trzymać się prawdy, na ile to możliwe”.

– Mogą być jakieś plany, ale nie wiem na kiedy ani nie znam szczegółów.

Pochyla lekko głowę z jak zawsze nieodgadnioną miną. Rozważa moje słowa.

– To nie wystarczy – kwituje w końcu. – Jakiego rodzaju plany?

Mój mózg nie współpracuje, zupełnie zastygł ze strachu. To, co powinnam i czego nie powinnam powiedzieć, to improwizowana zagadka, a im dłużej jego oczy spoczywają na mnie, tym bardziej mój mózg odmawia współpracy. Dopóki nie znajdę Bena, dopóki go nie ostrzeżę, żeby się ukrył, tak aby nie mogli

go dorwać, dopóty Coulson musi myśleć, że trzymam się umowy. Musi. Trzeba mu coś powiedzieć.

– Mogą być zaplanowane równoczesne ataki. Ale to wszystko, co wiem. Nie mam pojęcia gdzie ani kiedy – wyrzucam z siebie w pośpiechu, a potem wzdrygam się w duchu. Nico jest częścią tych planów. Nie mogę zdradzić nic, co doprowadzi Lorderów do niego albo do pozostałych.

Coulson wpatruje się we mnie. Zegar na ścianie za mną tyka głośno i wydaje się chodzić zbyt wolno, jakby sekundy wydłużały się poza swoje normalne granice. Oczy agenta wwiercają się we mnie, widzą luki w tym, co powiedziałam, rzeczy, które pominęłam.

– Chodziły o tym pogłoski. Kilka... zeznań, które sugerują coś podobnego. Co jeszcze?

– To wszystko, co wiem – powtarzam, a słowa o mało nie więzną mi w gardle.

Dzwoni dzwonek na lekcję, aż podskakuję na ten dźwięk.

Coulson ma w oczach ostrzeżenie. Wie, że coś zataiłam, że nie powiedziałam wszystkiego. Krew odpływa mi z twarzy. Agent uśmiecha się, ale nie czuję się od tego lepiej.

– Idź już. Nie możesz się spóźnić na matematykę.

Zrywam się z krzesła i niemal rzucam się do drzwi. Wie nawet, jaką mam teraz lekcję?

– O, Kyla?

Zatrzymuję się.

– Uznaj, że dziś miałaś szczęście. Nie jestem cierpliwym człowiekiem. Kiedy będziemy rozmawiać następnym razem, chcę usłyszeć więcej. Chcę całej historii. Idź! – warczy.

Wypadam przez drzwi.

Pędzę korytarzem, zadowolona, że jest po dzwonku, że mam powód do biegu.

W drzwiach sali matematycznej wczytuję się, potem siadam, wyciągam zeszyt. Udaję, że słucham nauczyciela wyjaśniającego statystyki, ale w głowie kłębią mi się własne rachunki prawdopodobieństwa.

Minęły zaledwie dwa dni, a Coulson już się niecierpliwi? Najwyraźniej jakoś się c z e g o ś dowiedział. Tego, że wczoraj po południu nie było mnie tam, gdzie powinnam być. Jak? Obserwował mnie albo ktoś mnie szpieguje.

Po południu, jak w każdy piątek, zbieramy się w auli na apel, ale dziś jest inaczej niż zwykle. Znowu stawił się Coulson ze swoimi Lorderami i tym razem

wiem, że nie ponosi mnie wyobraźnia. Jego oczy naprawdę spoczywają na mojej głowie, wyróżniają mnie. Jak neonowy stempel odciśnięty na moim czole: Oto Szpieg Lorderów. Czuję się jak motyl przyszpilony żywcem pod szkłem powiększającym, z gorącą lampą przypiekającą mi skrzydła.

Czy oprócz mnie ktoś widzi, że jestem obserwowana? Zerkam na boki i wtem z drgnieniem spostrzegam Nica – siedzi ze swoją klasą, po lewej ode mnie, kilka rzędów z tyłu. Jego wzrok przeskakuje na mnie i zaraz się przesuwa. Czy Coulson to widział?

„Niebezpieczne gierki”.

Starannie oczyszczam twarz z emocji i skupiam się na dyrektorze, który rozwodzi się o wizytacjach szkolnych. W głowie mam straszny zamęt: ci dwaj razem, oddychający tym samym powietrzem w jednym pomieszczeniu. Może powinnam wskazać jednego drugiemu i niech sobie radzą sami.

Nie. To nie fair, żebym myślała o nich jednocześnie w ten sposób. Lorderowie są źli. Myśl o tym, co spotkało Tori w ich rękach, wywraca mi żołądek. A oprócz niej tak wielu innych zginęło bez wyjaśnienia. Nico słusznie chce położyć kres ich rządóm i ich sposobóm sprawowania władzy.

Lecz to, co Nico znaczy dla mnie, jest... skomplikowane.

Powinnam mu była powiedzieć. Od razu na samym początku, gdy tylko to się zdarzyło, powinnam mu była powiedzieć o Coulsonie i jego umowie. Pozwolić, żeby Nico rozwiązał to po swojemu. Stara Rain tak by zrobiła.

Ale ja nie zrobiłam. Nie mogłam zaryzykować życia Bena i tak samo Cama. Ale Wolna Brytania tak nie postępuje. Ratuje swoich ludzi tylko wtedy, jeśli może to zrobić bez nadmiernego ryzyka. W innym wypadku starania są zbędne, wiemy o tym. To część układu. Bezpieczeństwo grupy – sprawy – jest ważniejsze od bezpieczeństwa jednostki, czy to należącej do grupy, czy spoza niej.

Czuję, jak mi niedobrze. Jest za późno, żeby powiedzieć Nicowi o czymkolwiek. Zwlekając, wydałam na siebie wyrok. Zobaczyłby, że jestem rozdarta. Słaba.

Cokolwiek wybiorę, będzie źle.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jazz mruga do mnie i wsuwa mi w dłoń kopertę, kiedy wracamy po szkole do domu. Pędzę do swojego pokoju i zamykam za sobą drzwi. Dopilnował, żeby Amy nie widziała. Co to może być? Ręce mi się trzęsą tak mocno, że otwieranie trwa dłużej, niż powinno – o mało nie drę koperty.

W środku jest fotka. Biegacz. Zdjęcie trochę nieostre, zrobione na bieżni ze sporej odległości. Jego włosy, budowa ciała, nieobecna mina podczas biegu.

To Ben.

Na odwrocie trzy krótkie słowa ledwie widocznie napisane ołówkiem: „Czy to on?”.

Zaglądam do koperty jeszcze raz – nic więcej, żadnych instrukcji, wyjaśnień.

Przygryzam sobie język, mocno, żeby nie wydać terapeutycznego wrzasku. Nie. Dobrze. Dość. To nie może czekać.

Kiedy ostatnio widziałam się z Aidenem, powiedział, że będzie u Maca w piątek. Czyli dziś. Może wciąż tam jest? Jeżeli nie, może Mac wie coś o Benie.

Chwilę później wsiałam na rower.

Pukam do frontowych drzwi Maca. Nikt do nich nie podchodzi, jednak mogłabym przysiąc, że kogoś słyszałam w środku, gdy się zbliżałam do domu. Próbuję otworzyć, lecz jest zamknięte na klucz. Przełazę przez wysoką bramę z boku domu. Po drugiej stronie stoi zaparkowany biały dostawczak firmy łącznościowej. Wóz Aidena? Wtem doskakuje do mnie Skye i o mało mnie nie przewraca, liżąc mi twarz.

– Gdzie są wszyscy? – pytam ją. Macha ogonem. Wałę w tylne drzwi. – To ja, Kyla. Wpuście mnie! – wołam. – Wiem, że tam jesteście.

Wewnątrz słycać kroki, obrót zamka, drzwi się otwierają: Aiden.

Wyjmuję z kieszeni zdjęcie Bena, pokazuję mu.

– Gdzie on jest? – pytam.

– Wejdz. – Aiden bierze mnie za rękę i wciąga do kuchni Maca. – Przepraszam, że nie otworzyłem. Nie wiedziałem, że to ty. Maca nie ma, a mnie nie powinno tutaj być. Skye nie za dobrze się sprawdza jako pies stróżujący, prawda?

– Faktycznie.

Suczka tak mocno napiera na moje kolana, że znów o mało nie zwała mnie z nóg. Wściekle grzmoci ogonem o podłogę.

– Właśnie robiłem herbatę.

Aiden wyciąga drugi kubek, unosi go z pytającym spojrzeniem. Kiwam głową. Nastawia czajnik, potem odwraca się i opiera o blat.

– A więc. Po twojej minie domyślam się, że według ciebie na zdjęciu jest Ben.

– Tak, to on.

– Ostrożnie. Jesteś pewna? Czy nie jest po prostu tak, że podsuwa ci to nadzieja, dlatego go widzisz? Przyjrzyj się dokładnie jeszcze raz.

Biorę fotkę. Patrę uważnie, ale to on. Widać to nawet po charakterystycznej sylwetce podczas biegu.

– Jestem pewna – odpowiadam. – Gdzie on jest? Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

– Nie tak prędko. To może być... skomplikowane.

– Co masz na myśli?

Waha się.

– Chodzi do szkoły z internatem. Okolica jest opanowana.

– Opanowana? Jak to?

– Przez Lorderów.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Nie wiem dlaczego. Ale w miejscowości, w której znajduje się szkoła, obserwujemy wzmożoną obecność Lorderów. Próbujemy to rozpracować.

– Muszę się z nim zobaczyć.

– Musisz poczekać.

– Nie. Powiedz mi, gdzie on jest.

– Kyla, póki się nie dowiemy, co się tam dzieje, to zbyt ryzykowne. Zdobądź się na cierpliwość.

Wpatruję się w Aiden. Jest rozsądny, rozważny, ale nie zna stawek.

– Jeśli mi nie pomożesz, znajdę go sama.

– Naprawdę? – Sceptycznie unosi brew.

– Tak. Powiedziałaś bieżnia, około trzydziestu kilometrów stąd. Poszukałam. Jest dokładnie dziewięć możliwości. Trzy już sprawdziłam. – Przesadzam, ale to byłaby prawda, gdyby nie przeszkodzili mi Lorderowie. Mogę to zrobić.

Oczy mu się rozszerzają.

– C o zrobiłaś?

– Słyszałaś.

Potrząsa głową.

– Jesteś szalona – mówi, ale w jego oczach widzę niechętnie przyznany szacunek. Może nawet Aiden jest pod wrażeniem. Zaczynam wierzyć, że dam radę go przekonać.

– Zrobię to z tobą czy bez ciebie. Pomożesz mi więc?

Waha się, zastanawia, a mnie udaje się siedzieć cicho i pozostawić mu decyzję. Patrzę uparcie w jego niebieskie oczy. Tak strasznie, tak mocno mam nadzieję. Mimo wszystkiego, co powiedziałam, to trochę jak szukanie igły w stogu siana, oboje to wiemy. Mogłam przeoczyć jakąś bieżnię na mapach; bieżnia Bena może być nowa i jeszcze nie zaznaczona. Mogę dotrzeć we właściwe miejsce, ale nie natknąć się na niego. Mogą mnie przy tym złapać.

– Lepiej byłoby poczekać – odzywa się w końcu Aiden. – Aż zdobędziemy więcej informacji.

– Ale...?

– Jestem tak samo szalony jak ty. – Uśmiecha się szeroko.

Rzucam mu się na szyję.

– Dzięki, Aiden. Kiedy?

– W niedzielę? Może być niebezpiecznie.

– Nie szkodzi.

– Ale może zaszkodzić. Musisz obiecać, że tego dnia będziesz robić, co każę. Kyla, poważnie, to nie zabawa. Posłuszeństwo albo nic z tego.

Patrzę na niego. Waham się przed złożeniem obietnicy, z której pewnie trudno mi się będzie wywiązać. Ale on też tutaj ryzykuje.

– Obiecuję.

Aiden podaje mi fotkę.

– Zdjęcie zrobiono w niedzielę: trening na publicznej bieżni. Możemy więc mieć nadzieję, że znajdzie się o tej samej porze w tym samym miejscu. Będziesz mogła przynajmniej potwierdzić, że to on. Co o tym myślisz?

– Zrobię to – mówię znowu.

Aiden ustala ze mną miejsce i godzinę spotkania, a ja notuję szczegóły, ale bez przerwy patrzę na fotografię Bena, którą mam w ręce.

To on. Nie wiem, jak ani dlaczego przeżył w rękach Lorderów. Ale to naprawdę mój Ben.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Następnego dnia rano czekam zdenerwowana przed gabinetem doktor Lysander. Jest teraz tyle rzeczy, które muszę przed nią ukryć. Próbuję sobie przypomnieć, jakie to uczucie być po prostu Kylą, sprzed odzyskania wspomnień, ale tamta dziewczyna mi się wymyka. Nie mogę pozwolić, by doktor zauważyła, jak bardzo się zmieniłam. Jeśli zleci badania, będę w poważnym kłopotcie.

Przed gabinetem znowu stoi Lorder. Z pokoju naprzeciwko wychodzi pielęgniarka, której twarzy nie rozpoznaję. Zachowuję ją jednak w pamięci, mój mózg pilnie kolekcjonuje pracujących w szpitalu ludzi, żeby ich sportretować dla Nica. I nagle przychodzi mi do głowy: a co z twarzami Lorderów?

Zmuszam się, by zarejestrować rysy strażnika. Niezręcznie się czuję, bo muszę pokonać automatyczną chęć odwrócenia oczu, unikania kontaktu wzrokowego, i to tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Z wyjątkiem Coulsona, którego twarz mam wyrytą w pamięci, a także tamtych, którzy porwali Cama i mnie, nie mogę powiedzieć, żebym dokładnie pamiętała wygląd jakiegoś Lordera. Mężczyźni i kobiety, wszyscy w takich samych ubraniach, prawie zawsze ubrani identycznie, w szare garnitury. Albo w czarny operacyjny strój, tak jak ten stojący teraz na straży, z czarną kamizelką i bronią na biodrze. Te kamizelki są kuloodporne, to wiem od Nica. Sposób, w jaki Lorderowie się noszą, ostrzega, żeby im schodzić z drogi. Twarze na ogół niczego nie wyrażają, włosy są albo krótkie, albo związane z tyłu. Nic, co by ich wyróżniało jako jednostki. Jeżeli się natknę na kogoś z nich poza służbą, ubranego w dżinsy, czy będzie wyglądał jak zwykły człowiek?

Ten jest młody, co mnie zaskakuje. Dlaczego? Chyba strój i aura władzy sprawiły, że brałam go za starszego. Twarz ma bez wyrazu, patrzy prosto przed siebie, nie zauważa pomniejszych istot, takich jak ja. Ale nie wygląda na starszego niż Mac czy Aiden, a więc ma niewiele ponad dwadzieścia lat. Przeciętnego wzrostu i budowy ciała. Smukłe, zwięzające się ku końcowi palce pasują bardziej do muzyka niż do faceta z bronią. Otrząsam się w duchu: przestań wymyślać. Orzechowe oczy, krótkie, jasnobrązowe włosy. Przeciętne rysy przeciętnej twarzy, którą trudno byłoby rozróżnić na rysunku, lecz zachowuję ją w pamięci, żeby odtworzyć później, i...

Strażnik przewraca oczami. Przesuwa się odrobinę, wciąż z pozbawioną wyrazu twarzą.

O mało nie spadam z krzesła.

W drzwiach gabinetu pojawia się doktor Lysander.

– Kyla? Możesz już wejść.

Uratowana. Przemykam pośpiesznie obok Lordera i wchodzę do środka. Doktor Lysander uśmiecha się; jest dziś w dobrym humorze.

– Dzień dobry, Kyla. Co ci chodzi po głowie?

– Czy Lorderowie to ludzie?

Jestem zażenowana tym, co powiedziałam. Tak pilnie przyglądałam się strażnikowi, że nie przygotowałam się na rozmowę.

– Co? – Pani doktor śmieje się. – O, Kyla, naprawdę bardzo lubię nasze rozmowy. Oczywiście, że ludzie.

– No przecież wiem, że nie maszyny. Nie całkiem to miałam na myśli.

– Wyjaśnij, proszę.

– Czy są zwyczajni: mają zwierzęta domowe, hobby. Czy grają na instrumentach muzycznych, czy chodzą na proszone obiady. Czy może tylko maszerują z tą swoją złą miną?

Doktor uśmiecha się lekko.

– Podejrzewam, że mają życie poza tym, co widać. Ale skoro o tym wspomniałaś, nigdy z żadnym z nich nie jadłam obiadu, jeżeli nie liczyć tego, który pilnuje drzwi.

– Pilnują panią podczas obiadu?

– Ostatnio pilnują mnie prawie zawsze. Ale nie rozmawiamy o mnie.

– No, mnie tam nie pilnują. Tylko ignorują albo patrzą na mnie z góry.

„Porywają i proponują niemożliwe układy”. Ukrywam tę myśl głęboko, zanim się odbije na mojej twarzy, ale pani doktor najwyraźniej nie zauważa tego i zwraca się do swojego ekranu. Stuka w niego przez chwilę, po czym podnosi wzrok. Przygląda mi się uważnie.

– Czy pojawiły się jakieś kolejne wspomnienia? Albo sny, które wydają ci się realne.

– Chyba tak.

– Opowiedz.

Nie da się jej okłamywać, a nawet gdybym umiała, nie powinnam. Doktor musi mi uwierzyć, bo inaczej mogłaby zlecić badania.

– Śniło mi się, że mam koszmar i... – Waham się.

– Tak, Kyla?

– Kiedy się budzę, trzyma mnie jakiś chłopak. Ale się nie obudziłam. To była część snu. – Czuję, że policzki mi płoną.

– O, rozumiem. – Rozbawiło ją to. – Ten rodzaj snu jest bardzo częstym wytworem umysłu w twoim wieku.

Choć miałyby to sens, żeby zostawić sprawę w tym miejscu, czuję, że cała się jeżę w środku. To prawdziwe wspomnienie. Co prawda myślę, że raczej nie z Katranem, ale wiem, że to się zdarzyło naprawdę.

Znowu patrzy na ekran.

– W domu wszystko w porządku?

– Tak.

– Naprawdę?

Odwraca się, a ja znów czuję się przyszpilona jej oczami. Coś słyszała. Czuję w środku ukłucie: mama. To pewnie ona, musi składać raporty. To naprawdę ona. Taty nie było w domu, a kto inny mógłby donosić?

Co mam jej powiedzieć?

– Noo...

– Śmiało.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że mama i tato nie dogadują się ostatnio za dobrze.

– Rozumiem. Czy to cię martwi?

– Nie. Nie przeszkadza mi, że tato rzadziej bywa w domu.

Przechyla głowę. Rozmyśla.

– Kontrakt wymaga, żeby było dwoje rodziców, aby czuwali nad twoim przejściem do domu i społeczności.

Oczy mi się szeroko otwierają z niepokoju.

– Ale zależy mi na tacie, tylko że nie ma go za często!

– Nie martw się, Kyla. O ile tylko sytuacja w domu jest stabilna dla ciebie i twojej siostry, myślę, że na razie nie ma potrzeby umieszczać tego w raporcie.

– Zerka na zegar. – Czas nam się kończy. Czy chciałabyś jeszcze o czymś porozmawiać?

Jej oczy znowu mnie przyszpilają. Jest tyle rzeczy, które chciałyby ze mnie wyskoczyć, gdy spogląda w ten sposób. Udaje mi się przecząco pokręcić głową i wstać. Idę do drzwi.

– O, Kyla? – Odwracam się. – O tym, co ci chodzi po głowie, porozmawiamy następnym razem – zapowiada.

Opuszczam pośpiesznie gabinet, ratując się ucieczką.

Lorder dalej pilnuje drzwi. Stoi na baczność i patrzy przed siebie. Nie mogę się powstrzymać i zerkam jeszcze na niego, zanim pójdę.

Mruga do mnie.

O mało się nie potykam z wrażenia.

No nie! Jestem pewna, że mruganie do Zresetowanej mogłoby go wpędzić w kłopoty.

– Wczoraj wieczorem dzwonił tato – oznajmia mama w drodze do domu, jednym okiem zerkając przed siebie na jezdnię, a drugim na mnie.

Ruch drogowy w pobliżu szpitala jak zwykle jest tak powolny, że nie wymaga wielkiej uwagi.

– Dzwonił? Co u niego?

– Świetnie. Pytał o ciebie, jak ci idzie.

– Naprawdę? – dziwię się. – Co powiedziałaś? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– Tylko tyle, ile wiem od ciebie: że w szkole wszystko w porządku. Cam jest jedynie przyjacielem, nie dzieje się nic złego. – Wzdycha. – Wolałabym...

– Co?

– Wolałabym jednak, żebyś nie wciskała tych głodnych kawałków mnie. Kiedyś rozmawialiśmy ze sobą, naprawdę rozmawialiśmy, prawda, Kyla? Co się z tobą ostatnio dzieje?

Przygryzam sobie od środka policzek. „Skup się”.

– Nic, naprawdę nic. – Uśmiecham się i mimo że nauczyłam się dobrze udawać, ona z jakiegoś powodu nie wygląda na przekonaną.

– Gdybyś miała potrzebę, możemy pogadać. Tak tylko między nami, okej?

– Oczywiście – mówię. – Wiem.

Nie wiem jednak, kto mnie wydał Lorderom. A nawet gdybym mogła być pewna, że to nie ona, od czego miałabym zacząć? Może od tego, że jestem w Wolnej Brytanii. Tej samej organizacji, która zorganizowała zamach na jej rodziców. Albo lepiej nie; powiem, że jestem szpiegiem Lorderów i przeniknęłam w szeregi Wolnej Brytanii. Tak czy inaczej, nie sądzę, żeby była tym zachwycona.

Przyglądam się jej, jak kieruje. Córka pierwszego premiera Lorderów. Czy jest jedną z nich, czy nie? Ale odsuwając to wszystko na bok, przyznaję, że jedna rzecz najbardziej nie daje mi spokoju.

– Nie rozumiem was – mówię w końcu, przerywając ciszę.

– Czego takiego?

– Dlaczego wzięliście Amy i mnie? Mogłyśmy być kimkolwiek, nawet nie wiecie. Terrorystkami albo morderczyniami.

– Nie wyglądasz mi na spragnioną krwi zbrodniarkę.

„Pozory mylą”.

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Nie mogę. Ale wiem, kim jesteś teraz. I ty, i Amy.

Odwracam się do okna. Wie, kim naprawdę jestem? Czy to ona wydała mnie Lorderom, ponieważ odkryła prawdę?

– Ale co z twoimi rodzicami? I z twoim synem. Wyszadzili ich ci z ART. – Potykam się, wymawiając te słowa, o mało nie powiedziałam „ci z Wolnej Brytanii”.

„Uważaj”.

Nic nie mówi. Skupia się na prowadzeniu wozu. Ruch zwalnia do zera.

– Kyla, co wiesz o Robercie? Moim synu.

Obracam głowę, patrzę na nią. Spłoszona, dostrzegam łzy w jej oczach.

– Jego imię i nazwisko są w szkole na tablicy pamiątkowej. Zginął, kiedy szkolny autobus został zbombardowany. – Tak mówię, choć Mac był przy tym i ma inną wersję wydarzeń.

Mama potrząsa głową.

– Nie. Przez długi czas tak właśnie myślałam, ale to nieprawda. Dowiedziałam się, że przeżył bombardowanie, ale nigdy go już więcej nie widziałam. Myślę, że został Zresetowany, ale nie udało mi się tego udowodnić. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by go znaleźć. Na próżno.

Gapię się na nią zszokowana. „Wie”.

Ktoś trąbi za nami, pojazdy już ruszyły. Mama kieruje dalej.

– Właśnie dlatego, Kyla. Rozumiesz? Dlatego, że mam nadzieję, że ktoś tam zaopiekował się Robertem. Ktoś go pokochał. Dlatego robię to dla ciebie i Amy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Otwierają się boczne drzwi dostawczaka.

– Szybko – ponagla Aiden i wskakuję do środka. – Przepraszam, tu z tyłu nie ma komfortu. – Przesuwa skrzynkę z narzędziami. – Usiądziesz?

Przysiadam na skrzynce. Aiden puka w ściankę oddzielającą nas od szoferki i wóz rusza z kłopotem. Pełno w nim technicznych maneli, jakichś części, narzędzi. Różne rzeczy zwisają z sufitu, są poupychane na półkach przy ścianach. W tym wszystkim ledwie znalazło się miejsce dla nas dwojga.

– Czy to jest druga połowa twojego podwójnego życia? – pytam. – Za dnia facet od naprawiania telefonów, w nocy superbohater?

Aiden śmieje się – swobodnie, naturalnie, jak zawsze on.

– Coś w tym stylu – przyznaje z uśmiechem.

I nagle dociera do mnie, jakie podejmuje ryzyko, żeby znaleźć Bena. Takie samo jak za każdym razem, gdy szuka zaginionych osób.

– Dziękuję, że to robisz – mówię.

– Jeszcze nie dziękuj. Widziałem to zdjęcie i nadal nie jestem przekonany, że to na pewno Ben. Ale to sprawdzimy. Zorganizowałem nagłą awarię do usunięcia w domu naprzeciwko bieżni.

– Naprawdę?

– No, okaże się, że to nic poważnego, ale może zająć tyle czasu, ile będziemy potrzebowali. Sama naprawa nie potrwa długo, ponieważ wiem dokładnie, co się zepsuło. Tak się składa, że wpadłem tam nad ranem i zrobiłem maleńki superbohaterski sabotaż.

– Nieładnie!

– Nie daj się ponieść nadziei. Zawsze jest możliwe, że go akurat dzisiaj nie będzie, chociaż w ostatnie dwie niedziele był.

– Ben nigdy by nie przepuścił treningu.

– O ile to na pewno on – ostrzega znowu Aiden z powagą w oczach.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

Bierze z półki książkowe wydanie map okolicy i pokazuje mi nasz cel: około trzydziestu kilometrów wiejskimi drogami. Szybko zapisuję trasę w pamięci. Samochód przechyla się na wyboju, podskakuję boleśnie na skrzynce.

Po czymś, co wydaje się wiecznością, choć minęło zaledwie może pół godziny, wytaczamy się na równiejszą jezdnię i pomykamy szybciej. Z boku jest

okienko, ale widok przesłaniają mi Aiden i mnóstwo różności, tak że zaledwie dostrzegam czasami drzewa czy skrawek nieba.

Zwalniamy, skręcamy kilka razy.

– Chyba dojeżdżamy na miejsce – mówi cicho Aiden.

Dostawczak zatrzymuje się. Chwilę później rozlega się pukanie, boczne drzwi się przesuwają. Kierowca wita się skinieniem, mówię mu „cześć”. Aiden nie przedstawia nas sobie, a kierowca odwraca się tak szybko, że ledwie zdążyłam rzucić na niego okiem.

– Chodź – rzuca Aiden.

Oślonięci samochodem obchodzimy dom, a kierowca zostaje przy wozie, rozładowując sprzęt. Zaczyna robić przedstawienie: sprawdza przewody na zewnątrz, podczas gdy my podchodzimy do tylnych drzwi budynku. Aiden zagląda pod doniczkę i wyjmuje stamtąd klucz.

– Nikogo nie ma w domu?

– Właśnie. Należy do przyjaciółki przyjaciół, ale postanowiła, że się dokądś wybierze. Powiedziała, że jeśli pójdziemy na górę do sypialni od frontu, to będzie najlepsze miejsce do obserwowania. Stamtąd zrobiła zdjęcie.

Okno sypialni na piętrze wychodzi na zielone boisko i otaczającą je bieżnię. Na przeciwległym krańcu stoi duży budynek. Hala sportowa? Grupa kilkunastu chłopaków, trener, kilku gapiów. Chłopcy rozciągają się, rozgrzewają.

– Nie możemy podejść bliżej, żeby lepiej widzieć?

– Czekał. Pobiegną dookoła – odpowiada. – Zaraz będziesz go miała bliżej. Teraz wypróbuj to.

Podaje mi lornetkę, a ja skwapliwie spoglądam przez nią, starając się dostrzec twarze, ale biegacze wciąż są w ruchu, odwracają głowy, aż...

„Jest”.

– Chyba go widzę. Po drugiej stronie grupy.

Podaję lornetkę Aidenowi. Patrzy, zastanawia się.

– Możliwe – mówi chwilę później.

Oddaje mi lornetkę i przyglądam się znowu. „Czy to naprawdę ty, Ben?”.

Po jakimś czasie ruszają biegiem. Im są bliżej, tym jestem pewniejsza. To jego ciało, jego twarz – na ile mogę rozpoznać – i jego sposób biegania: swobodne, długie susy, dzięki którym szybko zostawia innych z tyłu.

– To on!

Szeroko uśmiechnięta, już się odwracam do drzwi. Wystarczył jeden rzut oka z oddali i serce mi się tłucze w piersi, krew z szumem pędzi w żyłach. Chcę do niego biec, zarzucić mu ramiona na szyję i...

- Czekaaj. – Aiden kładzie mi dłoń na ramieniu.
- Ale muszę się z nim zobaczyć.
- Nie tak prędko. Tak byłaś zajęta patrzeniem na Bena, że nie zauważyłaś.
- Czego?
- Czarnego furgonu. Nastaw na tył budynku, po drugiej stronie bieżni.

Co widzisz?

Ze złym przeczuciem ponownie podnoszę lornetkę do oczu i skupiam wzrok na przeciwnym krańcu terenu sportowego. Kilka postaci. Mężczyźni. W czerni. Stoją, przyglądają się biegaczom, którzy już zatoczyli pętlę i zbliżają się do nich. Po plecach przemyka mi zimny dreszcz i bezwiednie odsuwam się od okna. Nie zobaczyliby nas z tak daleka, chyba żeby sami mieli lornetkę. Na pewno ją zresztą wyjmą, jeśli znajdzie się powód. Coś podejrzanego, jak na przykład dostawczak monterów telefonii. W niedzielę. W ustach mi zasycha.

– Po co Lorderowie mieliby tu przyjeżdżać?

– Nie wiem. Przykro mi, ale są za blisko, żebyś mogła dziś podejść do Bena. Nawet za blisko, żebyśmy tu dłużej sterczeli. Nie podoba mi się to, ani trochę.

Wypełnia mnie zimny niepokój.

– Ale nie mogę tak odjechać, chcę mu coś powiedzieć. Zobaczyć, czy u niego w porządku. Nie mogę. Muszę się z nim spotkać!

„Ostrzec go przed Coulsonem”. Wcześniej czy później, jeśli nie wydam Coulsonowi Nica i jego planów, agent spełni swą groźbę.

– Przykro mi. To zbyt niebezpieczne. Wynosimy się stąd. Migiem.

Aiden tak to urządza, że wymykamy się z domu, kiedy większość biegaczy jest po przeciwnej stronie bieżni, oddzielając nas od Lorderów. Wsiadając na pakę samochodu, walczę z instynktem, który każe mi pobiec na bieżnię. Zobaczyć Bena. Zmagam się z sobą, aby dotrzymać obietnicy danej Aidenowi.

Tym razem jestem z tyłu sama. Aiden siedzi w szoferce z kierowcą, chce jak najlepiej przyjrzeć się sytuacji.

Licząc pokonywane zakręty, uświadamiam sobie, że musieliśmy przejechać tuż obok Lorderów. Robi mi się niedobrze i kulę się jak najdalej od bocznego okienka. Ale nic się nie dzieje. Toczmy się dalej.

Gdy jestem już pewna, że się oddaliliśmy, przeciskam się przez dżungłę sprzętu i zwisających z sufitu przewodów i spoglądam przez okienko. Po drugiej stronie widać skupisko zabudowań, które wyglądają na szkołę. Czy to ta szkoła z internatem, do której chodzi Ben? Za nią drogę przecina kanał. Przejeżdżamy po moście i widzę, że wzdłuż kanału biegnie szlak.

Ben by tędy biegał. Wcześniej rano. Jestem tego pewna.

Po moim ciele rozpełza się rozczarowanie, przyprawiając o dreszcze. Opadam na podłogę, podciągam kolana. Byliśmy tak blisko! Czuję, że zaraz zaleję się łzami, i walczę z nimi, z całych sił. W końcu jednak poddaję się, nie wygram.

Samochód zwalnia, zatrzymuje się.

Chwilę później Aiden otwiera boczne drzwi. Ocieram sobie twarz rękawem.

– Wysadziłem współpracownika na ostatnim skrzyżowaniu. Stałem, żeby zrobić przerwę. Może być? Wyjdź – mówi i wyciąga rękę.

Chwytam jego dłoń, podnoszę się i wysiadam na zeszywniałych nogach. Auto stoi na mijance przy wąskiej jednopasmowej drodze, nad którą drzewa tworzą zielony tunel.

– Rozprostujemy nogi? – proponuje.

Przechodzimy przez drogę i ruszamy odbijającą od niej ścieżką. Przez kilka minut idziemy w milczeniu, skręcamy przy potoku, który wyprowadza nas na polankę. Jest tu prosta ławeczka.

– Porozmawiajmy – mówi Aiden i siada na ławce. Dołączam do niego. – A więc, czy to rzeczywiście Ben? Jesteś pewna?

– Tak.

– Trzymaj się tego. Były wszelkie powody, żeby uważać, że... – Urywa.

– Że nie żyje.

– Tak. Ale jest cały i zdrowy. Musimy teraz cierpliwie rozpracować sytuację. Zobaczyć, co jeszcze da się ustalić o nim i o szkole, do której chodzi. Znaleźć bezpieczne miejsce, w którym moglibyście się spotkać. Gdy tylko się czegoś dowiem, dam ci znać. Okej?

– Kiedy to będzie?

– Nie wiem tego na pewno. Zrobię, co w mojej mocy. Wiesz co, w następny piątek znów będę u Maca. Przyjedź zaraz po szkole i jeżeli zdobędę jakieś wieści, od razu ci powiem.

– Muszę się z nim zobaczyć, porozmawiać. Po prostu muszę – mówię i słyszę w swoim głosie rozpaczliwe błaganie, ale nie mogę nad tym zapanować. Nie chodzi już tylko o to, by go ostrzec. Widząc dziś Bena, poczułam, jak wyrywam się do niego każdą cząstką siebie.

Zaciskam rękę na ramieniu Aiden. Odgina mi palce i zamyka moją dłoń w swoich.

– Wiem – odpowiada łagodnie. – I wiesz, co wiem jeszcze?

– Co?

– Ben to szczęściarz.

Oczy Aiden krzyżują się z moimi. Są intensywnie niebieskie, w kolorze nieba. Ciepłe, poważne, spoglądają na mnie, jak kiedyś patrzył Ben. Wysuwam rękę z uścisku i odwracam wzrok.

– Kyla, posłuchaj. Widzisz teraz, jak ważna jest rola ZWA, prawda? Wiesz, co robimy. Znajdujemy ludzi albo dowiadujemy się, co się z nimi stało, czy to dobre, czy złe wieści. Dla osób takich jak ty, które nie potrafią żyć, jeżeli nie wiedzą.

Kiwam głową.

– Łapię.

– Nie będę dziś na ciebie naciskał, ale pomyśl o tym trochę, dobrze? Pomyśl, żeby zgłosić swoje odnalezienie. Pomóc komuś, jak my pomagamy tobie.

Zalewa mnie fala paniki. Mogłabym to zrobić – zgłosić odnalezienie Lucy Connor. Lecz co by to oznaczało? Ona już nie istnieje, jeśli nie liczyć paru niewyraźnych strzępów snu.

– Chodź – mówi Aiden. – Lepiej wracaj do domu.

Idziemy ścieżką z powrotem. Aiden otwiera boczne drzwi dostawczaka.

– Przepraszam, ale będzie bezpieczniej, jeśli znów usiądziesz na pace.

– Jasne – odpowiadam.

Wsiadam, sadowię się, a gdy drzwi są już zamknięte, przysuwam się bliżej okienka. Chcę znać drogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy otwieram frontowe drzwi, w domu czeka mnie niespodzianka. Na sofie, z nogami wyciągniętymi przed siebie siedzi tato. Amy obok niego rozprawia o wydarzeniach tygodnia. Mama czyta książkę. Trzy pary oczu podnoszą się i wpatrują we mnie.

Mama zamyka książkę. Marszczy brwi.

– To bardzo długi spacer.

– Przepraszam, ja...

– Daj jej szansę, żeby weszła i przywitała się – wtrąca tato. – Nie widziałem jej od tygodnia.

Wyciąga do mnie rękę, podchodzę, bierze moją dłoń, przyciąga mnie bliżej, całuje w policzek.

– Siadaj z nami – mówi.

Więc przysiadam na przeciwnym brzegu sofy, koło Amy.

– Gdzie byłaś? – pyta mama.

Tato potrząsa głową.

– Czy biedna dziewczyna nie może się wybrać na popołudniowy spacer bez maglowania pytaniami?

Mama znów marszczy brwi i atmosfera staje się gęsta: powietrze zakłócają tak wyraźne fale emocji, że niemal mogę ich dotknąć.

– Nie chodziłaś chyba po ścieżkach sama? – wypytuje mama.

– Nie – odpowiadam zgodnie z prawdą. Nie dziś. Byłam dzisiaj tylko na jednej ścieżce, z Aidenem.

– Nie jest bezpiecznie. Jeszcze nie złapali tego, kto napadł na Wayne’a Besta – mówi dalej mama. – Musisz uważać i...

– Daj spokój, Sandra – przerywa jej tato. – Mówi, że nie była na ścieżkach.

Amy i ja patrzymy na niego oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia.

Mama wyraźnie się najeża – wygląda jak jeź ze sterczącymi na wszystkie strony kolcami. Tato po m o j e j stronie? I mama – uosobienie podejrzliwości. Nie ufa mi.

– Szczerze, nie chodziłam po ścieżkach – zapewniam. – Poszłam tylko do ratusza i z powrotem. Drogą. – Obliczyłam sobie odległość i czas, powinno mniej więcej pasować.

– Mówiłaś chyba, że masz zadanie domowe i chcesz sobie tylko rozjaśnić

w głowie krótkim spacerem?

– Nie miałam zamiaru iść tak daleko. Ale jest taki ładny dzień... – Gubię wątek. Nawet dla mnie nie brzmi to przekonująco.

– Nie zaniedbuj pracy domowej – odzywa się tato. Coś czai się w jego oczach.

– No to już pójdę na górę – mówię i chcę wstać.

Wyraz twarzy mamy podpowiada jednak, że to nie koniec.

– Czekaj chwilę – zatrzymuje mnie tato. – Teraz, skoro jesteśmy razem, możemy rodzinnie porozmawiać o DPA. – Patrzę na niego, nie rozumiejąc. – Dniu Pamięci Armstronga – wyjaśnia.

– Wy dwie, jeśli chcecie, możecie wziąć udział w obchodach – dodaje mama. Tato prycha.

– Oczywiście, że wezmą udział. – Zwraca się do mnie i Amy: – W tym roku będzie wielka uroczystość: dwudziesta piąta rocznica zamachu i trzydzieści lat władzy Centralnej Koalicji. Obchody będą w Chequers, wiejskiej rezydencji premiera – tłumaczy, patrząc na mnie.

– Co to za obchody? – pytam.

– Najpierw zwykła ceremonia wewnątrz rezydencji – odpowiada mama. – Jak co roku przekaz na żywo w telewizji. Sama rodzina, a więc tylko my i ekipa telewizyjna. Wyrazy współczucia od narodu, przemowa pogrążonej w żałobie córki, bla, bla, bla.

Tato unosi brew na jej ton. Mama mówi dalej:

– A potem specjalna część w tym roku. Uroczystość na terenie Chequers dokładnie o godzinie podpisania traktatu, który trzydzieści lat temu powołał Centralną Koalicję. W tej części uczestniczą urzędnicy państwowi, obecny premier, różni sławni i bogaci, a wszystko oczywiście będzie w telewizji. Po części oficjalnej długi i nudny obiad.

Urzędnicy państwowi... Lorderowie.

– Tak naprawdę musicie wziąć w tym udział – podsumowuje mama z ubolewaniem.

– To zaszczyt! – poprawia ją tato.

– Ale możecie sobie darować obiad, jeśli chcecie – uściśla mama. Wyraz jej twarzy podpowiada, że tak byłoby mądrzej. Wciąż ściga mnie spojrzeniem, za jej obojętną miną kryje się jakaś niepewność.

– Czy mogę już iść? Odrobić zadanie? – pytam.

– Idź – zgadza się tato.

Ruszam schodami na górę. Co się dzieje z rodzicami? Mama jest pełna

podejrzeń, tato – wyluzowany. Zamienili się ciałami czy co?

I kolejna radość: wielka uroczystość z Lorderami, a ja muszę na nią iść.

Uroczystość z Lorderami. Coś, na co bardzo trudno się dostać, chyba że się należy do rodziny. Tej rodziny. Staję jak wryta u szczytu schodów, sparaliżowana kliknięciem, z jakim kawałki układanki wskakują na swoje miejsca w moim mózgu.

Nico powiedział, że muszę wytrwać w tym moim życiu nieco dłużej, że mam kluczową rolę do odegrania. Czy o to chodzi? Czy to ma coś wspólnego z Dniem Pamięci Armstronga?

Nico mówił o jednoczesnych atakach. Jaki lepszy dzień mógłby wybrać? Lorderowie na pewno wzmożą czujność, ale ja się dostanę do środka. Będę tam!

Zmuszam się do pokonania ostatnich stopni. Wchodzę do pokoju, zamykam drzwi.

Zanim cokolwiek z tych rzeczy się zacznie, muszę ostrzec Bena. Ukryć go gdzieś bezpiecznie, żeby Coulson nie mógł się na nim odegrać, kiedy się na mnie wścieknie. Przed oczami staje mi twarz Bena, jak ją widziałam dzisiaj. Ż y j e. Niepotrzebnie go opłakiwałam. Prawda, nie udało mi się z nim porozmawiać, dotknąć go, poczuć, że oddycha, że krew krąży w jego żyłach. Ale go widziałam. Jest cały. Na razie musi mi to wystarczyć.

Jestem wdzięczna Aidenowi za to, że go odnalazł, ale Aiden tak bardzo się myli, sądząc, że się zaangażuję w sprawę ZwA. Myśli, że jestem rozdarta między zgłoszeniem swojego odnalezienia a biernością. Gdyby tylko wiedział, że znalazłam się w znacznie bardziej niebezpiecznym położeniu: między Lorderami a Wolną Brytanią.

Kto następny?

Aiden powiedział, że trzeba czekać. Aż dowie się czegoś więcej o Benie i jego sytuacji; ustali, jak może mnie z nim bezpiecznie skontaktować.

Lecz ja nie mogę długo czekać. Coulson nadmienił, że Ben żyje, i w tej kwestii miał rację. Wspomniał też, że taki stan nie potrwa, jeśli nie będę współpracować. Ale nie wie, że ja wiem, gdzie jest Ben.

A tymczasem... Nico musi myśleć, że jestem po jego stronie. Coulson musi myśleć, że współpracuję. Żaden z nich nie może odkryć, co robię dla drugiego.

To jak dwa pośpieszne pociągi pędzące naprzeciw siebie, coraz bliżej i bliżej do katastrofy.

Późną nocą pod moim Levo brzęczy komunikator Nica. Budzę się natychmiast, gmeram w ciemności przy przycisku.

- Tak? – szepczę.
- Możesz rozmawiać?
- Spokojnie.
- Atak na OZiT będzie jutro. Pójdiesz, ale pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Rain, musisz dokładnie wypełniać rozkazy Katrana. Przyrzekasz?
Będzie zachwycony. Ale jaki mam wybór? Obiecuję, potem słucham
dokładnych instrukcji Nica.
- Pociąg numer jeden właśnie rusza ze stacji.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Holly opiera rower o drzewo. Podchodzi do drzwi.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – szepczę tuż przy uchu Katrana.

Odchrząkuje, nie odzywa się. Jego mina podpowiada, że też nie jest tego pewien. Plan opracował Nico i gdy Katran wcześniej objaśniał nam szczegóły, łatwo było zauważyć, że nie podoba mu się, jak Nico miesza się do jego grupy. Podobnie przeszkadza mu moja obecność.

Ten budynek Lorderów znajduje się na uboczu, jak się można spodziewać po tym, co dzieje się w środku. Żadnego sąsiedztwa, ale zaledwie kilka kilometrów od głównej szosy, co ułatwia transport. W tej chwili z przodu parkuje jeden czarny furgon. Wywiad doniósł, że poniedziałek to odpowiedni dzień na akcję. W inne dni jest więcej „dostaw” – więcej Zresetowanych przeznaczonych do terminacji.

Zanim Holly dociera do drzwi, naprzeciw niej wychodzi strażnik.

– Cześć! – wita się dziewczyna z szerokim uśmiechem. Zbyt szerokim. Nie powinna się tak szczerzyć na widok Lordera.

– Co tutaj robisz?

– Zabłądziłam. Mógłby mi pan powiedzieć, jak dotrzeć na targ rolniczy?

Głupia gadka. Musiałaby być totalną idiotką, żeby skrócić w tę nieoznakowaną drogę, mijając wszystkie znaki z zakazem wstępu, a nie dostrzegając wcześniej drogowskazu kierującego na targ.

Lorder nie odpowiada, podchodzi bliżej z beznamietną twarzą. Jednym okiem spogląda na Holly, drugim wodzi po okolicznych zaroślach. Instynktownie przywieram niżej do ziemi, choć wiem, że jesteśmy dobrze ukryci w cieniu wśród krzewów. Strażnik sięga do komunikatora, który ma przy pasie.

Holly nagle kopie go z półobrotu, odtrącając mu rękę od urządzenia. Napinam mięśnie, żeby jej skoczyć na pomoc, ale Katran łapie mnie za nadgarstek.

– Czekaj – syczy. – Aż wyjdzie reszta.

Cały teren jest monitorowany kamerami. W tej chwili Lorderowie wewnątrz widzą, że strażnik szamocze się z jedną drobną dziewczyną. Wkrótce unieruchamia ją, zakładając na szyi dźwignię.

Otwierają się drzwi. Wychodzi inny Lorder.

– Melduj.

– Mówi, że zabłądziła, a potem mnie kopie.

– Nie podoba mi się to. Sprawdź teren.

– Mam zajęte ręce.

Tamten wzrusza ramionami.

– No to je opróżnij.

Pierwszy przesuwając jedną rękę do podbródka Holly, drugą do jej ramienia. „Nie!”. Napinam się do skoku, ale Katran trzyma mnie w żelaznym uścisku.

Nagły, gwałtowny skręt. Chrup.

Lorder puszcza Holly, dziewczyna osuwa się na ziemię.

Jej ciało drga przez kilka sekund, potem nieruchomieje. Ma skręcony kark. Czarna zgroza szybko zamienia się we mnie w gniew. Patrzę z wściekłością na Katrana, gotowa na niego naskoczyć, lecz w jego twarzy widzę ból. Kiedy spostrzega mój wzrok, przybiera kamienną minę. Nie zdradza emocji.

Lorder mówi coś do komunikatora – do kogoś wewnątrz? Wychodzi jeszcze dwóch. Jeden idzie prosto na czekającą z nożami Tori, drugi na nas.

Katran rozluźnia uścisk na moim ramieniu. Gestem pokazuje mi, żebym nie brała w tym udziału, na jego twarzy maluje się mroczna zemsta.

Lecz Lorderowie zatrzymują się, cofają. Słysząc, że drogą coś nadjeżdża. Nie. Furgon? Zatrzymuje się przed budynkiem.

Katran lekko potrząsa głową.

– Za dużo celów – szepcze.

Gapię się na niego z niedowierzaniem. Mamy się wycofać? Teraz? Po tym, co się stało z Holly?

Z szoferki furgonu wysiada dwóch Lorderów, naradzają się z pozostałymi. Rzucają okiem na ciało Holly. Jeden otwiera boczne drzwi samochodu.

Wyskakuje jakiś chłopak. Z bladą twarzą próbuje się zamachnąć na Lordera. Zresetowany – słyszę, jak brzęczy jego Levo, zanim on sam osunie się na ziemię. W środku furgonu rozlega się krzyk. Wywlekają dziewczynę, próbuje się dostać do leżącego chłopaka.

– Zrób coś! – syczę.

Twarz Katrana krzywi się w niezdecydowaniu. Moje palce zaciskają się wokół noża.

– Zostań tu – poleca ledwie dosłyszalnym szeptem Katran. – Nie łam obietnicy!

Uderza w swój komunikator, dając sygnał do ataku. On i pozostali pędzą naprzód.

Błyskawiczny ruch, krzyki. Wybuchy. Jakaś część mnie rwie się, by biec za nimi, wziąć udział, uderzyć na Lorderów. Inna część trzyma mnie kurczowo

na miejscu, niedobrze mi od tego, co się dzieje, zaciskam powieki. Jaki ze mnie pożytek? Dlaczego zabrali mnie na akcję i kazali tu sterczeć? Zmuszam się do otwarcia oczu.

Jeden z Lorderów wyrywa się, biegnie na łeb, na szyję w zarośla, prosto na mnie.

Przyczajam się w pozycji do walki, podstawiam mu nogę. Mężczyzna jest bez tchu. Mam w ręce nóż, mogę go dziabnąć, ale mija sekunda, a ja nie atakuję. Lorder wytrąca mi z ręki broń i oto sam trzyma własną. Uśmiecha się.

Wtem rozlega się głośne „łup” – Katran kopnął go w bok głowy. Lorder pada. Nie rusza się, głowę ma zakrwawioną. Katran pędzi z powrotem w stronę domu.

Słaniam się na nogach. Leżący ma c z e r w i e ń we włosach, tyle czerwieni, a w moich uszach łupiący, ryczący dźwięk. Cofam się chwiejnie. Później ktoś woła, że teren oczyszczony, a ja nie wiem, jak długo stałam bez ruchu, niezdolna, żeby otworzyć oczy czy zrobić krok, niemal w transie. W czerwonym jak krew transie.

Coś się jednak przez niego przedziera: czyjś krzyk. Dziewczyna – wciąż krzyczy. Zresetowana? Jej Levo brzęczy głośno, dźwięk wrzyna mi się głęboko w czaszkę.

„Ona potrzebuje pomocy”.

Walczę z mgłą, zmuszam stopy do ruchu, idę między drzewami. Skupiam wzrok na dziewczynie, nie na tym, co leży na ziemi. Otaczam ją ramieniem.

– Już dobrze. Zamknij oczy. Nie rozglądaj się. Wymaż to z pamięci. Oddychaj: wdech, wydech. Uda ci się.

Jej Levo wskazuje 3,4 – za nisko.

Dziewczyna potrząsa głową. Oczy wciąż ma szeroko otwarte. Pojawia się Tori.

– Trzeba jej dać Soku Radości. Powinni go tu mieć! – woła i we dwie pomagamy dziewczynie wejść do budynku.

Katran trzyma w śmiertelnym uścisku lekarza.

– Sok Radości, gdzie go macie? – rzuca Tori.

Katran rozluźnia uścisk. Lekarz z trudem łapie powietrze, wskazuje szafkę. Na znak Katrana wyciąga z szuflady strzykawkę. Podaje ją Katranowi.

– To wbrew prawu, żeby to podać tej tu. Choć pewnie was to nie obchodzi.

Katran odwraca się do dziewczyny, lecz ona wyciąga ręce obronnym gestem.

– Nie, nie można, nie. – Oślania sobie brzuch rękami. – Nie można. Dziecko.

Jest w ciąży? Patrzę pytająco na lekarza.

– Taki zastrzyk zabije dziecko – wyjaśnia.

Jej Levo znów wibruje.

– Trzy i dwa – mówię.

Lekarz wzrusza ramionami.

– Ona i tak umiera. Co za różnica?

Tori wali go pięścią w twarz.

– Podaj jej to! – zwraca się do Katrana.

– Nie możemy jej zmusić. – Katran przyklęka obok dziewczyny, bierze ją za rękę. – Co chcesz, żebyśmy zrobili? – pyta.

Dziewczyna ma szeroko otwarte oczy, pełne paniki. Jak łania, która chętnie skoczyłaby w zarośla, ale nie może, z nogą utkwioną w sidłach.

– Nie. Żadnych prochów – odpowiada wyraźnie.

Katran przekazuje strzykawkę Tori.

– Powiedziała, że nie chce.

I staje się. Poziom opada jeszcze trochę. Ciało wygina się w drgawkach. Dziewczyna krzyczy, wije się z bólu.

– Podaj jej Sok Radości! Dziecko i tak umrze, jeśli jej nie uratujemy – naciska Tori.

– I tak już na to za późno, a nie mamy tu nic mocniejszego – odzywa się doktor. – To bardziej bolesne niż nasz sposób. – Sięga do innej szuflady, wyciąga drugą strzykawkę. – Dajcie jej całą dawkę, a szybko będzie po wszystkim.

– Powiedziała, że nie chce prochów – mówi Katran, ledwie panując nad głosem.

Trzymam ją. Dziewczyna nie wie już, gdzie jest, na twarzy ma śmiertelny grymas. Ciało po raz ostatni wygina się w łuk, sztywnieje, potem wiotczeje.

Odeszła.

Tori patrzy na lekarza, potem na nóż w swojej ręce.

– Pozwolisz? – zwraca się do Katrana. – Zrobię to powoli.

Katran potrząsa głową. Bierze z ręki doktora strzykawkę.

– Nie. Damy mu to, co oni dają innym. – Wręcza strzykawkę Tori.

Trzyma lekarza, do którego wreszcie dociera, co się dzieje. Medyk wyrzywa się.

– Nie możecie tego zrobić. To morderstwo.

– Przecież wy robicie to samo codziennie. Jak to nazwiesz? – mówi do niego Tori.

– Za tym przemawia prawo. Ta tutaj, jeśli miała dziecko, co wtedy? Albo umrze wyłączona podczas porodu, albo damy jej Sok Radości, od którego

dziecko umrze. Złamała warunek kontraktu. Kto po szesnastym roku życia naruszy warunki, zgodnie z prawem podlega terminacji. To właśnie podpisali!

– Jakbyśmy mieli jakiś wybór i mogli nie podpisywać! – wyrzucam z siebie z jadem i pokazuję mu nadgarstek. Oczy mu wychodzą na wierzch, gdy widzi moje Levo. – Można jej było zdjąć czujnik, żeby dziecko przeżyło. Ona by też żyła!

Lekarz potrząsa głową.

– I co wtedy? Każda Zresetowana w kraju specjalnie zachodziłaby w ciążę, żeby uniknąć wyroku.

Tori uśmiecha się do strzykawki, którą trzyma w ręce.

– Mówisz, że cała dawka powoduje szybką śmierć – zwraca się do niego. – A pół?

Groza odbijająca się na jego twarzy wystarcza nam za odpowiedź.

Tori rusza w jego stronę, lecz ja nie mogę tu zostać, nie mogę na to patrzeć. Wszystko znowu wiruje, szarzeje mi przed oczami. Chwiejnie wychodzę z budynku. Mijam ciała, na które staram się nie patrzeć, lecz oczy na obrzeżu wizji rejestrują. Krew. Zwłoki. Nic więcej.

Docieram do drzew, otaczam jedno ramieniem i wymiotuję na ziemię. Z budynku za mną dobiegają krzyki.

Staram się oczyścić umysł, przetworzyć to, czego się dowiedziałam. Levo zabije Zresetowaną podczas porodu; lekarstwa, które mogą temu zapobiec, zabijają dziecko, zanim się urodzi. Czy to właśnie dlatego Amy i Jazz nie powinni zostawać ze sobą sam na sam? A ja tak samo z Benem? Nie wiedziałam.

Czy ta dziewczyna wiedziała?

Lorderowie ją zresetowali, a teraz, choć próbowaliśmy coś zrobić, nie żyje. Wyglądała na starszą od Amy. Ile jej zostało do dwudziestu jeden lat, do wolności? Otwieram dłoń. Leży na niej obrączka, która ześliznęła się z jej palca. Pod spodem wygrawerowano w srebrze: „Emily & David na zawsze”. Czy ten Zresetowany chłopak, który był z nią, to David? Teraz są już na zawsze razem. Mocno zaciskam palce wokół obrączki.

Emily. Zapamiętam ją. Zapamiętam tę chwilę.

Wliczając Holly, troje naszych zginęło w akcji. Nie żyje dwoje Zresetowanych. Pięciu Lorderów i lekarz. Jeden ośrodek terminacji zostaje wyeliminowany: Katran podkłada ogień, zanim się oddalimy. Wtapiamy się w las parami, by dotrzeć do punktów przerzutowych. Ja jestem w parze z Katranem.

– Ty idiotko – syczy po drodze podczas biegu. – Co sobie myślałaś,

wyskakując na tego Lordera z nożem? Mówiłem, żebyś się schowała.

– Kazałeś mi zostać na miejscu! Zostałam. Leciał prosto na mnie.

Potrząsa głową z obrzydzeniem.

– Gdybym cię nie niańczył dla Nica, może nie stracilibyśmy tam trzech osób.

– Co? N i a ń c z y ł e ś mnie?

– Słyszałaś. W co ty się bawisz? Słuchaj. Wiem, że chcesz pomóc, ale jesteś bezużyteczna. Ściągasz na nas zagrożenie.

– A co z Holly?

– Co z nią?

– Nie powinna była iść sama.

– Zgłosiła się na ochotnika. To była najlepsza strategia, żeby ich wywabić na zewnątrz. – Mówi to z zakłopotaną miną.

Po tym, jak naruszyła zasady, musiała Nicowi coś udowodnić. I udowodniła. Raz na zawsze.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu. Co się ze mną stało? Chciałam zabić tego Lordera. Miałam w ręce nóż, była okazja. Ale na samą myśl o tym, że miałabym użyć broni, wbić ostrze w ciało, przeciąć skórę, żyły i mięśnie – zamarłam. Nie mogłam tego zrobić.

Gdyby Katran nie nadbiegł w porę, już bym nie żyła. Pięści mi się zaciskają. Po co było całe to szkolenie z Nikiem i Sowami? Znam tyle różnych sposobów na skrócenie czyjegoś życia.

Zachowuję w pamięci twarz Emily. Odmówiła przyjęcia Soku Radości, który by ją uratował. Dlaczego? Teraz i ona, i dziecko nie żyją. A Holly ma skręcony kark. I jeszcze dwoje innych z jej komórki, których imion nawet nie znam.

To dzieło Lorderów.

Następnym razem, gdy będę miała w ręce broń, a przed sobą Lordera, nie zawiodę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Zrobiłabyś to, co tamta dziewczyna? – pyta Tori. Sprawdza swój nóż, gdy zbliżamy się już piechotą do domu. Na pewno nie miałyby problemu z posłużeniem się bronią.

– To było bez sensu. Nie uratowała dziecka.

– Ale może nie mogłaby żyć, wiedząc, że zabiła je swoją decyzją. Tak samo jak ja, gdybym była przy Benie, kiedy umierał, i nie zrobiłabym nic, co mogłoby go uratować. Nie mogłabym z tym żyć.

Patrzę na nią uważnie kątem oka. Czy wie coś o Benie? Nie. Po prostu odnosi do siebie to, co przydarzyło się tamtej dziewczynie. Do siebie i tego, kogo ratowałyby za wszelką cenę. Wzdycham.

Tori otacza mnie ramieniem.

– Przynajmniej nikogo tam już nie wykończą, i to przez długi czas. Czy nie było dzisiaj cudownie?

– Na tyle, na ile widziałam.

A i tak za dużo.

Tori ogląda się za siebie. Katran, prowadzący grupę, jest teraz prawie poza zasięgiem wzroku. Dziewczyna zniża głos.

– To nie fair. Porozmawiaj z Katranem. Niech zrozumie, że następnym razem musisz być w akcji. Ale i tak byłaś tego częścią i coś zrobiliśmy. – Znowu podnosi głos. – Pokazaliśmy im, nie?

Pozostali wokół nas odpowiadają radosnym okrzykiem.

Gdy się zbliżamy do domu, wychodzi z niego Nico. Zdążył wrócić ze szkoły. Gdzie ja także powinnam dzisiaj być. Patrzy na nas, widzi, kogo brakuje.

– Czy zginęli dobrą śmiercią? – pyta Katrana.

– Tak.

Brat Holly wypada z budynku za Nikiem. Nie był dzisiaj na misji, Nico orzekł, że chłopak nie ma jeszcze wystarczającego przeszkolenia.

– Gdzie jest Holly? – pyta.

Nikt mu nie odpowiada. Chłopak zaczyna się trząść, Katran trzyma go za ramię. Stoimy razem, minuta ciszy ciągnie się długo, sekunda po sekundzie.

Nico podnosi wzrok i daje znak skinieniem. Grupa się rozchodzi. Katran, otaczając ramieniem brata Holly, mówi mu coś cicho do ucha. Zmienionym, łagodnym tonem. Jak Katran z mojego snu, pocieszający mnie, gdy byłam

przeżona. Czy to się zdarzyło naprawdę? Choć to wydaje się szalone, coś w duchu podpowiada mi, że tak.

– Miło widzieć, że wy dwie dobrze się dogadujecie – mówi Nico, wskazując Tori i mnie, gdy tak stoimy ze złączonymi ramionami.

– Czemu miałybyśmy się nie dogadywać? – pyta Tori.

– Nieczęsto dwie dziewczyny, które miały tego samego chłopaka, umieją się przyjaźnić.

Tori wlepia we mnie szeroko otwarte oczy. Odpycha mnie.

– Ben? – szepcze.

Patrzę na nią, bezradnie wzruszam ramionami. Co mogę powiedzieć? Odwraca się do mnie plecami i odmaszerowuje między drzewa.

Nico uśmiecha się.

– Na słowo – mówi, wskazując mnie, i idzie do domu.

Stoję przez chwilę jak ogłuszona, nie mogąc się ruszyć.

– Chodź! – woła.

Idę za nim do pozbawionego okien pokoju, w którym urządził sobie gabinet. Świece rzucają migotliwy blask na zawilgocone ściany.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

– Co?

– Powiedziałeś Tori o mnie i Benie.

– Rain, wiesz, że musimy współpracować w grupie: totalna uczciwość. Nie możemy przed sobą niczego ukrywać. Lorderowie kłamią, my mówimy prawdę.

– Prawda jest wolnością, wolność jest prawdą. – Słowa z przeszłości wytaczają się ze mnie z jakiegoś ukrytego zakamarka.

Nico uśmiecha się.

– Właśnie tak. A teraz powiedz mi, jakie masz odczucia w związku z tym, co musieliśmy zrobić po dzisiejszym ataku. – Jego twarz jest łagodna, lecz oczy patrzą badawczo.

Wypieram z umysłu czerwień krwi, zaciskam w kieszeni zimną obrączkę Emily. Skupiam się na tym, co Lorderowie jej zrobili, co cały czas robią innym, takim jak ona. Musimy ich powstrzymać. Twardnieje we mnie determinacja.

– Jestem po właściwej stronie. Naszej stronie.

– Dobrze. Wkrótce będzie coś następnego do zrobienia. – Uśmiecha się, dotyka mojego policzka dłonią, a mnie zalewa ciepły blask jego uznania.

– Wchodzę w to.

– Nigdy nie miałem wątpliwości – mówi, lecz przecież owszem, MIAŁ. – O co chodzi? – pyta, jak zawsze czujnie wyłapując najmniejsze drgnienia mej

twarzy.

– O to, że... niezupełnie rozumiem. Dlaczego w ogóle mnie w to włączasz. Co mogę robić?

– Jesteś jedną z nas – zapewnia. – Bez względu na to, co ci się przydarzyło, kiedy cię zabrali, i kim byłaś po zresetowaniu, zawsze będziesz jedną z nas. A nawet więcej: jesteś dla mnie ważna.

Nic już nie dodaje, otacza mnie ramieniem. Blask promienieje jeszcze mocniej. Należę do nich, do Wolnej Bytanii. Oto kim jestem. Co muszę zrobić. Ale jakie właściwie mam zadanie?

– Co się zapowiada?

– Niedługo się dowiesz, Rain. Niedługo.

Rozczarowanie zapewne odbija się na mojej twarzy.

– Nie ufasz mi – zauważam.

– Ufam. – Waha się, uśmiecha. – Mogę ci to powiedzieć. Wkrótce będą równoczesne ataki: w Londynie i innych ważnych miejscach.

– Więc co robiliśmy dzisiaj? To nie było z niczym skoordynowane.

Znów się uśmiecha.

– Sprytne, Rain. Nie chcemy teraz powstrzymywać naszej działalności. Muszą myśleć, że wszystko toczy się jak zawsze, nie mogą wiedzieć, że przyczajamy się przed czymś dużym. A zidentyfikowaliśmy też indywidualne cele.

Żołądek mi się skręca.

– Zabójstwa?

– Nie bądź taka wrażliwa. – W jego głosie brzmi chłód. – Wiesz, co władza robiła, co robi cały czas ludziom takim jak ty. Jak Tori. Pomyśl o tym, co się jej przydarzyło. Będą też porwania ważnych osób, równocześnie w różnych sektorach. Przyciągniemy uwagę we właściwych miejscach.

– A co z atakiem na szpital? Jest mocno chroniony i strzeżony. To będzie wymagało środków i... – Urywam, bo właśnie do mnie dociera. – Dywersja?

– Właśnie tak. Puścimy wycieki planów o zamierzonym ataku na szpital, ale tym razem, kiedy będą tam na nas czekali, uderzymy gdzie indziej.

Gdzie indziej... kiedy indziej.

– Dzień Pamięci Armstronga – wypowiadam twierdząco, nie pytająco. – W Chequers. Właśnie tam i w tym dniu wszystko się zacznie, prawda?

Nico milczy.

– Będzie tam moja rodzina.

– My jesteśmy twoją rodziną. – Łagodny wyrzut.

Czuję, że się czerwienię.

– Nico, nie rozumiesz. Mama nie jest za Lorderami. Przynajmniej już nie jest.

– Nie?

– Nie! Zresetowali jej syna.

I opowiadam mu o Robercie, mając świadomość, że złamałam poufność, ale chcę, żeby zrozumiał.

– Próbowала się dowiedzieć, co się z nim stało. Nie jest jedną z nich.

– Jednak jeśli nas nie popiera, jej uczucia względem Lorderów nie mają znaczenia. Może zostać męczennicą dla naszej sprawy. – Bierze mnie pod brodę, przechyla mi twarz. W moich oczach na pewno widać zgrozę. – Rain, wiem, że to trudne. Ale musisz być silna. Trzeba uderzyć w Lorderów tam, gdzie najbardziej zaboli. Ona jest symbolem ich sprawy, ona na to pozwala. Bez względu na to, jakie ma uczucia, jest narzędziem Lorderów.

Zaciskam w kieszeni obrączkę Emily.

„Muszę być silna”.

Nico całuje mnie w czoło.

– Dość już zaspokajania twojej ciekawości. Czas, żebyś wróciła do domu, zanim się zorientują, że cię nie ma.

– Czemu nie mogę tu zostać? – pytam, choć tego nie planowałam. Ale no właśnie: czemu? Ponieważ gdy jestem tutaj, z Nikiem, a nawet z Katranem, czuję, że do nich należę. Wierzę w ich plany, n a s z e p l a n y.

Kładzie ciepłe dłonie na obu moich ramionach.

– Bądź silna jeszcze trochę, dobrze? Potrzebujemy cię po naszej stronie. Nie możesz zniknąć z tamtego życia, jeszcze nie. Idź i wytrzymaj, Rain – mówi, popychając mnie lekko w stronę drzwi.

Wychodzę. Zostawiając go za sobą, czuję, że temperatura wyraźnie spada.

Tori nie ma w zasięgu wzroku, ale wrócił już Katran. Idzie za mną, gdy ruszam między drzewami.

– Wiesz, nie potrzebuję eskorty. Pamiętam, jak wrócić.

Puszcza moje słowa mimo uszu, idzie za mną dalej.

– Słyszałeś? – Odwracam się i staję naprzeciw niego przy motorach.

Uśmiecha się krzywo.

– O, tak, wyjątkowa dziewczyno, ale to rozkaz z góry. Bezpiecznie odstawić cię do domu.

– Nie powiem mu. Idź, zwiń się gdzieś pod kamieniami i zdrzemnij się, zamiast mnie pilnować.

Nie zwraca na mnie uwagi i wyciąga motocykle z kryjówek. Ruszamy, Katran

przodem. Jedzie o wiele za szybko, przez co hałasuje, ale to cały on, prawda? Więcej jaj niż rozumu, jak mawiał dawniej Nico, lecz przestał, kiedy zobaczył, że Katran zawsze umie się zatrzymać i nie przekracza granicy. Balansuje na samej krawędzi, ale nie daje się ponieść. Wkrótce jednak rozpieszcza mnie radość spowodowana prędkością, przypominają mi się dawne czasy i wykorzystuję to, by wyprzeć wspomnienia dnia dzisiejszego, nie dbam o ryzyko.

Przenosi mnie to do przeszłości. Na skraju niebezpieczeństwa. Skrawki pamięci pojawiają się i znikają, sprawiają, że czuję się żywa. Kuszą, po czym już ich nie ma.

I nie rozumiem. Przyglądam się pędzącemu przodem Katranowi. Kim tak naprawdę jest? Kim był dla mnie w tamtych minionych dniach? Pytania kłębią się i palą mnie od środka.

Przed nami kryjówka urządzona kilka kilometrów od mojego domu. Katran zwalnia, zatrzymuje się, odwraca swój motocykl o sto osiemdziesiąt stopni.

– Zaczekaj chwilę – mówię, po czym się waham. – Chcę cię o coś zapytać.

– Co, nie trafisz jednak do domu?

Patrzę gniewnie, zaciskam pięści. Po co zawracać sobie głowę?

– Dlaczego czasem jesteś takim dupkiem?

– Na pewno chcesz wiedzieć? – Pytanie podszyte gniewem.

Odwracam się, wciskam motor pomiędzy drzewa i chowam go w kryjówce. Katran stoi, patrzy; być może sprawdza, czy robię to dobrze. Naciągam na skrytkę plandekę, kładę kamuflaż i ruszam ścieżką w swoją stronę.

– Wróć. Przepraszam.

Katran przeprasza? Jestem taka oszołomiona, że zatrzymuję się i odwracam. Zsiadł z motoru, podchodzę do niego. Ma w oczach wyzwanie, a ja stoję naprzeciw niego bez drgnienia. Lecz pod spojrzeniem jego ciemnych oczu słowa mi umykają.

– No? – odzywa się w końcu.

Przełykam ślinę.

– Moje wspomnienia są trochę... splątane. Mogę cię o coś zapytać? Z dawnych czasów.

– Wal.

Krzyżuję ramiona.

– Miałam takie naprawdę złe sny. Koszmary. Wciąż je mam. – Wzdycham, spuszcza wzrok. Nie chcę wypowiadać tego na głos, ale muszę się dowiedzieć, co on wie. – Jestem ścigana. Biegnę po piasku, przerażona. I... – Podnoszę oczy.

– Budziłeś mnie, trzymałeś, kiedy tak strasznie się bałam – stwierdzam, nie pytam, ponieważ z jakiegoś powodu wiem, że to prawda.

I w jego oczach widzę potwierdzenie. Odwraca się, poszarpana czerwona szrama na prawym policzku znika za profilem. Tak jak teraz, gdy nie jest wściekły niczym jego blizna, widać, że to inna osoba. Człowiek, który otoczył brata Holly ramieniem.

Który trzymał mnie w nocy lata temu.

– Dzięki – mówię.

– Nie ma sprawy. – Wygląda na zakłopotanego. – Ty i ja kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Ale się między nami... zmieniło.

– Czemu?

– Ty się zmieniłaś.

– Nie rozumiem.

– Ja sam właściwie tego nie rozumiem. – Wzdycha. – Kiedy po raz pierwszy przyszedł do naszego obozu, byłaś inna. Prerażona, dużo płakałaś. Nie chciałaś tam być, nie tak jak reszta z nas. Ale zmieniałaś się krok po kroku. W tę wściekłą, szaloną dziewczynę: marionetkę Nica, tańczącą na jego sznurkach. Miało to coś wspólnego z Nikiem i tym doktorem, do którego cię zabierał, czasami na kilka dni. Za każdym razem, kiedy wracałaś, byłaś bardziej zmieniona, aż dziewczyna, którą poznałem na początku, prawie zupełnie znikła.

Doktorem? Przebłysk pamięci: specjalny lekarz, nie taki, co to składa kości i leczy choroby. Bałam się go, tak bardzo się bałam. Próbuję to wspomnienie odepchnąć, ale twarz i nazwisko wyskakują nieproszone. D o k t o r C r a i g. We śnie, który miałam, zapowiedział, że będę chora.

– I Nico kazał nam, żebyśmy kiedy jesteś taka zmieniona, traktowali cię jak jedną z nas, a kiedy będziesz tą poprzednią dziewczyną, nie zwracali na ciebie uwagi. I ta poprzednia stopniowo odeszła, wracała tylko wtedy, gdy miałaś te koszmary.

Głowa mnie boli, pulsuje. Dwie osoby, tak jak powiedział Nico. Lucy i Rain. Rozdzielili mnie na dwie osoby... Ten doktor? Niedobrze mi się robi. Odwracam się, lecz Katran podąża za mną. Mocno chwyta mnie za ramiona, tak że nie mogę odwrócić wzroku.

– Posłuchaj mnie. Nico do czegoś cię przygotowuje, i zaczął lata temu. Nie łapię tego i nie podoba mi się to. Nie pozwól, żeby cię wykorzystał. Nie należysz do nas, nigdy nie byłaś jedną z nas. Uciekaj, póki możesz.

Potrząsam głową.

– Nie – mówię słabo. Potem powtarzam mocniej: – Nie. Chcesz mnie

po prostu odsunąć. Jesteś zazdrosny o mnie i Nica. O to, jaka jestem dla niego ważna, i dla sprawy.

Śmieje się, spod śmiechu przebija gniew.

– Taa, jasne, na pewno o to mi chodzi.

Odwraca się, wsiada na motor.

Ruszam w stronę domu.

– Czekał – mówi i zatrzymuję się. – Posłuchaj, Rain. Wierzę w to, co robimy. Że jest to jedyny sposób, żeby się pozbyć Lorderów, uwolnić kraj. Żeby się w nim lepiej żyło. Ale to nie musi być twoja walka. Nie, jeśli nawet nie wiesz, kim jesteś: jak możesz dokonać wyboru? Postaraj się odzyskać swoje prawdziwe wspomnienia. Nie blokuj ich.

Patrzę, jak odjeżdża ścieżką, i drzę, mając mętlik w głowie. Gniew i strach. Wspomnienia czają się gdzieś na krawędzi, grożą, że mnie przygniotą, lecz ja ich nie chcę. Odpycham je.

Jakoś udaje mi się dowlec do domu. Wchodzę, cicho przemykam do siebie na górę. Zwijam się w kłębek na łóżku.

Jest późne popołudnie, jeszcze przez godzinę oprócz mnie nikogo nie będzie w domu. Zanim ktoś wróci, powinnam wziąć prysznic, przebrać się i wyglądać normalnie, ale w moich myślach panuje zamęt.

Próbować sobie przypomnieć?

Ale ze słów Katrana wynika, że po tym, jaka byłam lata temu, nie został prawie żaden ślad. To jak piosenka, którą na wpuł rozpoznaję, mogę zagwizdać melodię, ale nie znam słów.

Myślałam, że to zamieszanie w głowie, przyplływanie i odpływanie wspomnień bierze się z resetu. Jednak według Katrana zaczęło się znacznie wcześniej, zanim dopadli mnie Lorderowie.

Staram się skupić. Nico twierdzi, że chronił mnie przed resetem i dlatego rozdzielił na dwie osoby. Ale jak to zrobił? Wiem, że siłą przestawił Lucy na praworęczność, a Rain ukryła się, kiedy złapali mnie Lorderowie. Zresetowali mnie, jakbym była praworęczna. Lucy odeszła, ale wspomnienia należące do Rain zostały i przetrwały reset, czekając w ukryciu na właściwy bodziec, który je wyzwoli.

Stało się właśnie tak, jak chciał Nico. Tyle że nie jest to cała historia. Nadal są we mnie jakieś strzępy Lucy i jej wspomnień: sny i lęki. Głęboko pogrzebane. Coś mi podpowiada, że Nico nie byłby zachwycony, gdyby o tym wiedział. Zrobił się ostrożny, kiedy wspomniałam o Lucy; był nawet zaskoczony tym, że w ogóle o niej wiem.

I jestem wściekła, taka wściekła na Katrana. Przed tą rozmową byłam pewna, że należę do Wolnej Brytanii, jestem jedną z nich, że to moja sprawa. Że wreszcie do czegoś należę i wiem, kim jestem. A on to wszystko zepsuł.

Zostały mi niepewność i zamęt.

Stwierdzenie, że coś jest nie tak z moją pamięcią, to niedopowiedzenie.

Czy to tylko kwestia wyboru? Zapomnieć o Kyli i jej życiu, zostać z Wolną Brytanią. Zrobić to całkowicie, nie oglądać się za siebie. Zaciskam w dłoni obrączkę Emily tak mocno, że w skórze odbija mi się kółko.

Ale nie chcę zapomnieć Bena. Skupiam się na jego twarzy, na tym, żeby mieć ją wyraźnie w pamięci, jednak to nie wystarcza. I nigdy nie wystarczy. Sięgam po szkicownik, ołówek i rysuję go, rysuję go raz za razem. Skup się. Koncentruję się na wyglądzie jego oczu, na sylwetce, gdy stoi. Sposobie, w jaki biegnie. Katran przeciwstawia się naturalnemu światu, kiedy się w nim porusza. Ben jest częścią tego świata.

Ben jest częścią mnie.

Tak bardzo pragnę go zobaczyć, dotknąć. Kiedy z nim byłam, zawsze wiedziałam, kim jestem. Razem moglibyśmy wymyślić, co zrobić.

Aiden powiedział, że da mi znać, kiedy znajdzie sposób na bezpieczne spotkanie z Benem, lecz to nie może czekać.

Ja nie mogę czekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Gruby szron błyszczy na trawie w blasku księżyca. Drzę zarówno z zimna, jak i z podekscytowania, gdy wyslizguję się cichaczem z wioski i przemykam na ścieżkę. Obym miała rację, oby Ben tam był. Może jest za zimno, za ciemno o tej porze roku, by biegać tak wcześnie rano?

Gdy docieram do dróżki, żałuję, że nie wzięłam rękawic. Zgrabiętymi z zimna rękami z trudem manipuluję w skrytce, wyciągając z niej motor w ciemności. W końcu wydobywam go i ruszam ścieżką wzdłuż kanału.

Kiedy zostawiam za sobą znany teren, natężam uwagę, szukając drogi na podstawie zapamiętanej mapy. Od czasu do czasu muszę zapalać latarkę, gdy droga jest niepewna – martwię się, żeby nie zabłądzić w mroku.

W pewnym momencie, daleko od domu, zatrzymuję się i wyjmuję z kieszeni obrączkę Emily. Nie mogę jej zatrzymać, to zbyt niebezpieczne. A jeśli ktoś zobaczy? Całuję ją i chcę cisnąć w największą głębię kanału. Pozwolić, by zniknęła w błotnistym dnie. Ale nie umiem się do tego zmusić. Zamiast ją więc wyrzucić, wspinam się na drzewo. Wsuwam obrączkę na niewidoczną z dołu gałązkę. Zapamiętuję miejsce na zakręcie kanału. Pewnego dnia wrócę po nią.

Po przejechaniu kolejnych kilometrów coś mi nie daje spokoju, odciąga moją uwagę. Coś jest nie tak. Słaby, odległy pomruk; zbyt daleki, żeby być pewnym. Ale bardzo podobny do warkotu silnika.

Zatrzymuję się, wciągam motocykl pod drzewa i przekradam się z powrotem po własnych śladach. Powoli, cicho, ukradkiem. Raczej wzdłuż ścieżki niż po niej. I wtem...

„Jest”.

Na ścieżce ktoś czeka. Na motocyklu. Przy kierownicy słaby blask urządzenia śledzącego. Namierzany obiekt nie przemieszcza się. Na twarzy człowieka maluje się niezdecydowanie: utrzymać bezpieczną odległość czy sprawdzić, czemu tamten śledzony się zatrzymał.

Wychodzę prosto na Katrana.

Aż podskakuje. Dostrzegam poczucie winy, które zaraz znika.

– Cześć – mówię.

– Cześć.

– Powiesz mi, czy mam zgadywać? – pytam, a on wzrusza ramionami i nie

odpowiada. – Na motorze jest tracker. Śledziłeś mnie, sprawdzałeś.

Katran czerwienieje tak bardzo, że widać to nawet w tym świetle.

– Tak, na motorze jest tracker. Ale to nie tak. Wszystkie mają namierzacze, ze względów bezpieczeństwa, nie?

– Ale mnie śledziłeś.

– Nico mi kazał.

Nico: od środka zalewa mnie strach.

– Czy on wie?

– Jeszcze nie. Dokąd się wybierasz?

Milczę.

– No, mniejsza z tym, i tak jadę z tobą.

Idę z powrotem do motocykla. Może mogłabym go porzucić, zanim do niego dotrzemy, i zwiać pieszo. Albo może znajdę tracker i wyrzucę go.

Ale Katran, już przyłapany, teraz trzyma się blisko. Kiedy jesteśmy przy mojej terenówce, zwracam się do niego:

– Proszę, nie jedź za mną. Zaczekaj tu, jeśli chcesz. To nie potrwa długo, potem możemy wrócić razem.

– Nie.

– Nie potrzebuję niańki!

– Wręcz przeciwnie.

Wzdycham przyparta do muru. Nie mam innego wyjścia, jak powiedzieć mu, o co chodzi.

– Wiesz, kazałeś mi pamiętać, kim jestem. Nie pozwolić wymknąć się wspomnieniom. – Czeka na ciąg dalszy. – Jadę zobaczyć się z Benem.

– Co? Tym, o którym ciągle marudzi Tori?

– Nie wie wszystkiego. On i ja byliśmy... sobie bliscy.

– Ale myślałem, że nie żyje.

Potrząsam głową.

– Żyje i zamierzam się z nim zobaczyć.

– Skontaktował się z tobą?

– Nie. Nie wie, że się do niego wybieram. Może go nawet dzisiaj nie będzie. To tylko przeczucie.

– Ale jak...

– Nie pytaj, jak go znalazłam, bo ci nie powiem. Ale teraz rozumiesz, dlaczego nie możesz ze mną jechać?

Na twarzy Katrana maluje się tyle emocji – niepokój i żal walczą z gniewem – że zanim zdaję sobie z tego sprawę, stoję przy nim i kładę mu rękę

na ramieniu.

– Katran? W porządku?

– Nie. – Wzdycha, przesuwa sobie dłonią po włosach. – Słuchaj. Pojadę za tobą z tyłu, poza zasięgiem wzroku. Będę cię ubezpieczał, w razie gdyby coś poszło nie tak. To najlepsze, co mogę zaproponować. Może być?

I tak wyraźnie jest to sprzeczne z jego przekonaniem, tak daleko wykracza poza to, czego mogłabym się po nim spodziewać, że się uśmiecham.

– Może być.

Wsiadam na motocykl, pokonuję kilka kolejnych zakrętów i okazuje się, że pamięć mnie nie zawiodła – to właściwa droga. Niebo jest wciąż ciemne, gdy docieramy do odcinka, na którym Ben powinien biegać koło szkoły. Chowamy motory i czekamy wśród drzew, obserwując.

Ciemność powoli ustępuje brzaskowi, niebo stopniowo się rozjaśnia. Ani śladu Bena. Coś ściska mnie za gardło. Już mam się zwrócić do Katrana i powiedzieć: „Przepraszam, pewnie się pomyliłam”, kiedy on chwytą mnie za ramię.

– Patrz – szepcze prawie bezgłośnie. Wskazuje na wzgórze ze ścieżką.

Ze zbrocza zbiega samotna postać, ciemna na tle bledniejącego nieba. Mrużę oczy, niepewna, i... tak. To on! Uśmiecham się szeroko i już wyskakuję z kryjówki. Nogi niosą mnie w jego stronę, pędzę za jego oddalającą się postacią.

Ben umie biegać, jak zawsze. Nabieram prędkości, gnam za nim. Usłyszał mnie, bo lekko przekręca głowę, rzuca okiem za siebie, potem odwraca się z powrotem i biegnie dalej.

Może nie rozpoznał mnie w tym oświetleniu. Pędzę szybciej.

– Zaczekaj! – wołam miękko. – Ben, czekaj.

Zwalnia kroku, przechodzi do marszu. Doganiam go.

– Tak? – mówi.

Uśmiecham się szeroko, patrząc mu w oczy – brązowe ze złotymi refleksami. Biorę go za rękę. Patrzy na nasze dłonie. Uśmiecha się niepewnie.

Zaczyna do mnie docierać. Coś jest nie tak.

– Ben?

– Chyba mnie z kimś pomyliłaś.

– Nie, nie pomyliłam.

Czepiam się jego ręki, lecz on potrząsa głową, uwalnia dłoń.

– Przykro mi, nie jestem Ben. Wybacz mi, mam mało czasu, a muszę skończyć trening.

I rusza w swoją stronę. Odbiega. Zostawia mnie na ścieżce. Stoję, odprowadzając go wzrokiem, i w każdym jego ruchu widzę m o j e g o B e n a. Z oczu zaczynają mi płynąć łzy.

Nie wie, kim jestem.

Nic nie pamięta.

Żołądek mi się skręca. Zresetowali go na nowo. To jedyne wytłumaczenie. Ale ma siedemnaście lat. Nie powinni tego robić komuś, kto skończył szesnaście. Dlaczego mieliby łamać własne zasady dla Bena?

„Nie wie, kim jestem”.

Trzęsę się, wciąż stojąc na ścieżce. Może Ben wróci i znów tędy przebiegnie. Z tą myślą chwiejnie wchodzę między drzewa i czekam. Wkrótce pojawia się w pewnej odległości. Patrzę, jak się zbliża tym swoim pełnym wdzięku krokiem, a potem mija mnie w pędzie i wbiega z powrotem na wzgórze.

W zaroślach za mną coś szeleści, ale ja się nie ruszam, patrzę, jak Ben znika na tle wschodzącego słońca.

– Rain? – Cichy głos: Katran.

Nie odwracam się. Nie chcę, żeby zobaczył łzy na mojej twarzy, a nie potrafię ich powstrzymać. Ciepła dłoń dotyka mojego ramienia, okręca mnie.

– Co jest?

Potrząsam głową, nie mogąc wykrztusić słowa. Katran waha się, wyciąga rękę do mojego ramienia. Przysuwa mnie bliżej, ramiona ma początkowo sztywne, potem mięknią. A ja szlocham, mówię mu, że Ben nie wie już, kim jestem. W końcu Katran odsuwa mnie i patrzy mi w oczy.

– Musisz się wziąć w garść, i to już. Spadamy stąd. Robi się za jasno, może się zjawić więcej ludzi.

Ciągnie mnie przez zarośla do motocykli i ruszamy z powrotem ścieżką nad kanałem. Zimne powietrze chłodzi mnie po twarzy, piecze w oczy, utrudnia patrzenie, podczas gdy w głowie raz za razem obracają się słowa. I wciąż nie wydają się realne.

Ben odszedł.

Ja, choć zostałam Zresetowana, odzyskałam nieco wspomnień dzięki temu, co zrobił Nico. Lecz z Benem tak nie będzie. Tak to nie działa. Stałam się mu obca, jakbym nigdy dla niego nie istniała. Nic, co wydarzyło się między nami, nie wydarzyło się dla niego. On nie wie, że to było.

„Ben odszedł”.

Łzy już obeschły, w środku czuję tylko pustkę. Nie mam nic. Żadnej nadziei. Żadnego wyjścia.

Docieramy do skrytki. Stoję beczynnie, gdy Katran chowa mój motor.

– Co ty sobie wyobrażałaś, jadąc tam? – Potrząsa głową, wrócił stary Katran. Nie odzywam się. Wyzywająco trąca mnie w ramię.

– Mówisz Nicowi i reszcie, że wspierasz Wolną Brytanię, a potem robisz coś takiego. Ryzykujesz, Rain. A gdyby mnie tam nie było, żeby cię odciągnąć, i wpadłabyś? Wydobyliby z ciebie informacje. Mają swoje sposoby. Sprowadziłabyś ich nam na kark.

Coś się we mnie skręca i twardnieje.

– Lorderowie już raz mi go zabrali. Teraz zrobili to znowu. Odszedł. To nieodwracalne. Jestem skończona. Zrobię wszystko, żeby się na nich zemścić.

– Wyglądasz, jakbyś w to wierzyła. Czy to jest twoje coś?

– O co ci chodzi?

– To coś, co w końcu przepycha cię przez granicę. Tak że stajesz się naprawdę zdolna do wszystkiego.

Wzruszam ramionami, ale wszystko we mnie sztywnieje, układa się na nowo. Wystarczyła obrączka Emily, teraz ukryta na nieoznaczonym drzewie. A teraz Ben. „Tak”. Znalazłam się poza granicą, i to tak daleko, że nie ma odwrotu.

– Co przepchnęło cię? – pytam.

Bierze moją rękę, dotyka nią swojego policzka, szrama, potem mnie odsuwa.

– Nie pamiętasz? To. Kiedy miałem dziesięć lat, moja starsza siostra zniknęła. Ukrywała się. Wpadła w kłopoty, niezbyt poważne, ale wiesz, jacy są Lorderowie.

Nagle okręca się, zachodzi mnie od tyłu, zakłada mi dźwignię na szyję.

– Jeden trzymał mnie właśnie tak – szepcze. Unosi drugą rękę do mojego policzka, tuż pod okiem. – Byliśmy koło naszej szopy na łodzi. Wziął nóż nurkowy mojego ojca i wcisnął czubek o tu. – Przesuwa mi palcem po policzku, kreśląc linię swej blizny. – Zanim dotarł do tego punktu, powiedziałem mu, gdzie jest siostra. Nigdy już jej nie widzieliśmy.

Odpycha mnie. Nóż nurkowy, rosyjski model Katran. Imię, które sobie wybrał, by nigdy nie zapomnieć. Nóż, który wciąż teraz z sobą nosi. P a m i ę t a m.

Chwytam się za policzek. Nie jestem ranna, ale wciąż czuję na skórze jego palec śledzący drogę noża. Patrzę na Katrana ze zgrozą.

– To nie twoja wina. Byłeś dzieckiem!

– Może i tak. Ale dlatego prędzej umrę, niż znów kogoś wydam. Nie powiem Nicowi, co dzisiaj robiłaś. I nie powiem Tori o Benie. A teraz idź. Wracaj

do domu, zanim ktoś zauważy, że cię nie ma.

– Katran?

– Tak?

– Dzięki.

Spogląda na mnie uważnie.

– Rozumiem, że chcesz być z nami. Ale musisz znać swoje ograniczenia.

– Co masz na myśli?

Potrząsa głową.

– Innym razem. – Waha się, potem dotyka dłonią mojego policzka. – Przykro mi z powodu Bena.

Gdy wbiegam na naszą ulicę, jest już prawie czas zbierania się do szkoły. Za późno, żeby się wśliznąć niepostrzeżenie tylnym wejściem. Dobrze, że na wszelki wypadek zostawiłam karteczkę: „Poszłam pobiegać”.

Tym razem nie ma sensu zachowywać się cicho. Otwieram frontowe drzwi.

– Cześć, wróciłam! – wołam.

Mama wystawia głowę z kuchni, kiedy się schylam, by rozwiązać buty.

– Nie za zimno dziś na bieganie?

– Zimno jest dobre do biegania! – odpowiadam, siląc się na swobodny ton.

Bezszykownie.

Mama podchodzi do mnie, gdy wrzucam buty do szafy.

– Coś nie tak? – pyta, a w jej oczach maluje się troska, prawdziwa i szczerą.

Tak bardzo chciałabym wierzyć w jej autentyczność. Paść mamie w ramiona i opowiedzieć o Benie. Ale nie mogę. Nie mogę również zaprzeczyć temu, co na pewno widać w mojej twarzy. Wyrzucić się zaczerwienionych oczu.

– Myślałam o Benie. Nie mogłam spać, więc poszłam pobiegać.

Kładzie mi dłoń na ramieniu, ściska serdecznie. Popycha mnie lekko w stronę schodów.

– Idź, weź prysznic i rozgrzej się. Dobrze ci po tym zrobi ciepłe śniadanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Od wczorajszego ranka świat wygląda tak, jakby ze współczucia pogrążył się w głębokim chłdzie – przez cały dzień temperatura utrzymuje się w okolicy zera, w nocy znacznie spada. Przez to i przez sprawę Bena chodzę otepiała, krążę jak automat po szkole, po domu, z domu do szkoły i z powrotem, niemal nie mając świadomości, co się dookoła dzieje. Minuty ciągną się w dziwny sposób, a ja potrafię się zagapić pustym wzrokiem w okno i chwilę potem odkryć, że minęło już kilka godzin. Zrobiłam nawet zadanie z angielskiego o Szekspirze, żeby czymś zająć mózg, cokolwiek. Z marnym skutkiem, ale ubyla jedna rzecz, która mogła mnie wpędzić w kłopoty. Przynajmniej do czasu, gdy nauczyciel przeczyta tę pracę, bo jest fatalnie napisana. Choć Nico czy Coulson mogą sprawić, że moje zadanie domowe przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

A dziś wieczorem jest spotkanie Grupy.

Bieg zazwyczaj sprawia, że czuję się lepiej, bardziej sobą. Kimkolwiek jestem. Lecz teraz, gdy moje stopy dudnią po drodze, nie mam pewności, czy to był dobry pomysł. Bo tylko przypomina mi się, jak biegłam na Grupe z Benem.

Biegaliśmy, żeby oszukać nasze czujniki Levo. Wszystkie te dające radość substancje chemiczne z mózgu – endorfiny – pozwalały pomyśleć, porozmawiać o nieprzyjemnych sprawach bez drastycznego spadku poziomu. Ale chodziło też o coś znacznie więcej: Ben uwielbiał biegać. Jeszcze bardziej niż ja. To była część jego osobowości.

Mylę krok i o mało się nie potykam. Bieganie jest nadal częścią jego osobowości.

Zwalniam do marszu. Co to oznacza? Coś mi nie dawało spokoju, mimo przygnębienia, i oto wiem co. Domyśliłam się, że Ben będzie biegał na tamtym odcinku wcześniej rano, bo tak dobrze go znam. I biega. A to oznacza, że część dawnego Bena wciąż tam jest.

Zmuszam się, żeby sobie przypomnieć każdy moment wczorajszego spotkania, badam je po kolei. Coś, czego próbowałam uniknąć. Nie wiedział, kim jestem, więc założyłam, że go ponownie zresetowali. Nie widziałam nowego Levo, ale miał długie rękawy, które mogły zasłonić czujnik.

Coś jest jednak nie tak. Gdyby zrobili mu to po raz drugi, wyglądałby jak

świeżo Zresetowany, prawda? Z głupkowaną miną, szerokim uśmiechem. Nie minęło przecież zbyt dużo czasu. A on wcale nie sprawiał takiego wrażenia – może nawet jeszcze mniej niż dawniej. Cokolwiek mu się przydarzyło, to nie to. Coś innego.

Idę drogą pogrążona w myślach, ledwie zauważając lodowaty ziąb, który mnie przenika, odkąd przestałam biec. Od czasu do czasu rozbłyskują światła, gdy mijają mnie samochody osobowe, a potem dostawczak.

Pokonuję zakręt i widzę, że ten ostatni stoi zaparkowany z boku drogi.

Jakaś częśćka mojego umysłu rejestruje: biały wóz dostawczy.

Z boku widnieje napis: „Buduj z nami”.

„Uciekaj!”.

Ledwie zaświtała mi ta myśl, gdy z mroku z boku drogi wyciągają się czyjeś ręce i łapią mnie za ramię.

Moja natychmiastowa reakcja to kopnąć z półobrotu, ale z przeciwka coś nadjeżdża, ręce puszczają, zalewa nas światło i potwierdza jedyny możliwy wniosek: to Wayne.

Wayne, ale zmieniony. Nigdy nie był przystojny, lecz teraz wygląda jeszcze gorzej: od oka w górę biegnie wściekła blizna, wokół niej nie ma włosów i najwyraźniej nie odrosną.

– Śliczny jestem, co? – zagaduje, czytając mi z twarzy.

– Czego chcesz? – pytam wymijająco. Przypominam sobie, że stracił pamięć, takie przynajmniej słuchy chodziły tam, gdzie pracuje Amy. Ma amnezję pourazową. Nie pamięta, kto go tak urządził. Chyba że na mój widok odzyskał wspomnienia?

Przejeżdża kolejny samochód.

– Myślę, że wiesz.

Instynkt krzyczy do mnie: „Wyrwij się! Znikaj!”.

– Powiedz mi – mówię.

Unosi brwi, a jedna z nich, przecięta blizną, wygląda, jakby się przy tym rozerwała.

– Tylko tyle: oglądaj się zawsze za siebie, złotko, bo pewnego dnia, kiedy będziesz sama, zobaczysz mnie.

Mruga i uświadamiam sobie, że jedno oko ma sztuczne, patrzy nie w tę stronę.

– Później – zapowiada i rusza do swojego wozu. Wsiada, zapuszcza silnik i odjeżdża drogą. Trąbi jeszcze „tut, tut”, nim zniknie z pola widzenia.

Kolana mi drżą tak mocno, że muszę przystanąć i oprzeć się o drzewo. Patrzę

na swoje ręce – tyle wyrządziły krzywdy. Trening Nica wydobyty pod wpływem zagrożenia. To była samoobrona, owszem, lecz ja widzę tylko krew. Głowę zalaną krwią. Oddycham: wdech, wydech, walczę z mdłościami.

A Wayne pamięta. Wie, że to ja go tak urządziłam, ale nie doniósł władzom. Chce porachować się ze mną sam.

Drzę, ruszając przed siebie. Najpierw idę, potem zaczynam biec. Spójrzmy prawdzie w oczy: Wayne jest przerażający, ale to nie najgorszy z boginów w mojej szafie. Wlecze się za mną tyle zagrożeń, że aby je wciąż mieć na oku, powinnam chyba zainstalować sobie lusterko wsteczne.

Jasne światła i błogie uśmiechy na Grupie nie przeganiają chłodu. Wciąż drzę, kiedy mama odbiera mnie po spotkaniu.

– Widzisz, mówiłam, że jest za zimno na bieganie. Powinnaś słuchać matki.

„Tut, tut!”. Klaksony samochodowe głośno trąbią mi w uszach. Ale ruch jest wstrzymany. Nikt stąd nie odjedzie, a ja wrzeszczę do kierowcy autobusu: „Rusz się, zrób coś!”. Wiem, co się zaraz stanie, ale on mnie nie słyszy.

Rozlega się gwizd, błyska światło, potem potężny wstrząs – BUM – rzuca mnie o ziemię, aż mi grzechoczą kości. Nie ma się jednak jak wydostać. Bok autobusu jest rozdarty, zapada się w sobie.

Z wnętrza dobiegają wrzaski. Skrwawione ręce bębnią w okna. Płomienie liżą tył autobusu.

Przerwa. Kolejny gwizd, błysk, wybuch.

Naprzeciw autobusu, na jednym słupku wisi tablica, na wpół oderwana – odłamkiem szrapnela? Budynek za nią stoi nietknięty.

Na tablicy napis: „Biura Lorderów”.

Serce bije mi w piersi dziko, oczy się wreszcie otwarły. Trzęsę się. Usta mam zasłonięte kocem, żeby powstrzymać krzyk.

Atak Wolnej Brytanii poszedł źle. Przed oczami miga mi twarz: doktor Craig. Dlaczego? Co on ma z tym wspólnego?

Katran zrobiłby wszystko, żeby uderzyć na Lorderów. Ja też! Czuję zaciskającą się we mnie determinację. „Ale nie coś takiego”. Tego bym nie zrobiła.

Coś poszło nie tak i oberwał autobus. To był błąd.

Czy ja tam byłam? Wszystko przemawia za tym, że tak. Szczegóły, dźwięki, zapachy są tak realne, takie wyraziste.

Miałam już ten sen kilka razy. W jednej wersji w autobusie siedział syn

mamy, Robert, ze swoją dziewczyną. Ale to wydarzyło się sześć lat temu. Miałam wtedy dziesięć lat! Nie mogłam tam być, to nie ma sensu. Do Katrana i Sów trafiłam jako czternastolatka.

Ale musiałam w przeszłości robić takie rzeczy. Pewnie dlatego szczegóły wydają się takie realne, wyraźne. Potem, kiedy zostałam jedną z Sów, zrobiłabym wszystko, żeby uderzyć na Lorderów.

Znów będę silna.

Mogę zrobić wszystko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Następnego dnia na przerwie śniadaniowej Nico wciąga mnie do swojego gabinetu. Zamyka za nami drzwi na klucz.

– Mam dla ciebie zadanie – mówi, trzymając małą kopertę. – Połóż to gdzieś u was w domu, żeby znalazła twoja mama, a nikt inny nie widział. Ale dopiero jutro po południu.

Wyciągam rękę, biorę kopertę.

– Nie zapytasz, co to jest?

Waham się, po czym kręcę głową.

– Nie. Bo miałeś rację.

– Zawsze mam rację, ale o co dokładnie chodzi tym razem? – Robi dziwną minę.

– O mamę. Jest narzędziem Lorderów. Bez względu na jej własne poglądy dla nich jest symbolem, a dla nas celem.

Oczy Nica promieniają ciepłem. Uśmiecha się.

– Ale ty też miałaś rację.

– W czym?

– Kiedy mi powiedziałaś o jej synu, Robercie. Jest szansa, że możemy się tym posłużyć. Gdyby udało się ją skłonić, żeby publicznie wystąpiła po naszej stronie, byłoby nawet lepiej.

Spoglądam na kopertę w swojej ręce.

– A to?

– Można powiedzieć, że to zaproszenie.

Opieczętowane zaproszenie, spostrzegam, chowając kopertę w torbie.

Podczas lekcji zastanawiam się nad sytuacją. Zatem po moim zdeterminowanym postanowieniu – po tym, jak zgodziłam się zrobić wszystko – Nico znalazł sposób, by mnie z tego wykluczyć? A więc się przejął. Uwierzył mi, gdy powiedziałam, że mama nie popiera Lorderów. Szuka innego sposobu.

Po szkole Jazz wiezie Amy i mnie do Maca – tę wizytę zaplanowaliśmy już wcześniej w tygodniu. Zapomniałabym o niej przez te wszystkie wydarzenia. Obiecane spotkanie z Aidenem, który ma mnie skontaktować z Benem.

Gdy Jazz zabiera Amy na spacer, znajduję Aidenę w pokoju na tyłach.

Nie odzywa się ani słowem, patrzy tylko na mnie tymi swoimi intensywnie

niebieskimi oczyma, aż zaczynam mrugać i odwracam wzrok.

– O co chodzi? – pytam.

– Nie mogłem z tym czekać. Chciałem ci powiedzieć od razu. Ale teraz, kiedy cię mam przed sobą, trudno mi.

– Czy coś się stało z Benem? – pytam, nagle spanikowana.

– Nie. Na ile mi wiadomo, nie. Szukałem jednak tej szkoły z internatem, do której chodzi. I ona nie istnieje.

– Co przez to rozumiesz? Widzieliśmy ją.

– Fizycznie tam jest. Ale jeżeli zajrzesz w miejsca, gdzie zwykle istnieją placówki edukacyjne, nie ma jej. W żadnym krajowym ani lokalnym rejestrze szkół. Nie ma o niej informacji w żadnej oficjalnej bazie danych.

Kładzie nacisk na „oficjalnej”.

– A co z nieoficjalnymi?

Waha się.

– Więcej tutaj domysłów i plotek niż pewników.

– Dawaj.

– Dobrze. Mogą być jakieś powiązania między tą szkołą a Lorderami. Pamiętasz agentów, których widzieliśmy wokół bieżni? To nie był tylko dziwny zbieg okoliczności. Są w tej szkole stale obecni.

– W mojej szkole też czasami są Lorderowie. Przychodzą na apele i mają tam chyba swój gabinet.

– Nie w taki sposób. Tam są zawsze na miejscu, i to nie tylko kilku. Plotka głosi, że przeprowadza się tam jakieś eksperymenty, odbywają się szkolenia, to coś nowego. No i uczniowie: jest w nich coś szczególnego, kiedy się spojrzy na nich jako na grupę. Nie ma przeciętnej zbieraniny. Wszyscy są sprawni, zdrowi, wysocy. Typy sportowe albo wyróżniające się innymi zdolnościami.

– O czym ty mówisz?

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. Będziemy się dowiadywać w miarę możliwości. Wiem tylko jedno: to zdecydowanie zbyt niebezpieczne, żebyś się zobaczyła z Benem.

Krzyżuję ramiona na piersi i patrzę w przestrzeń. Aiden przyciąga mnie bliżej, obejmuje pocieszającym gestem.

– Nie wydajesz się taka zmartwiona, jak się spodziewałem.

Tyle sekretów. Kiedy i z kim mam się nimi podzielić? Pochylam się, chowam głowę w dłoniach i wzdycham.

– Jest tego powód.

– Jaki?

Prostuję się i patrzę mu prosto w oczy. Zmierz się z prawdą.

– Już się z nim widziałam.

– Co takiego?

– Pamiętasz ten kanał, który przecinaliśmy w pobliżu bieżni? Widziałam go przez okienko. I jakoś tak po prostu wiedziałam, że Ben biega tam codziennie wcześniej rano. I biega.

Aidenowi opada szczęka.

– Zupełnie zwariowałaś?

– Nic mi się nie stało, prawda?

– Nie w tym rzecz. – Aiden jest zły, wyraźnie zły. – Mówiłem ci, żebyś zaczekała, aż się dowiemy więcej.

– Nie jesteś moim szefem – odwarkuję i zaraz tego żałuję. – Przepraszam. Nie mogłam się doczekać.

Milczy przez chwilę, zbiera się w sobie. Przygląda się mojej twarzy.

– Zdaje się, że nie było to szczęśliwe spotkanie starych znajomych? – zauważa.

– Nie. Ben mnie nie rozpoznał. Wcale. Najpierw pomyślałam, że go zresetowali po raz drugi, choć jest na to za stary.

– Najpierw? A co pomyślałaś potem?

– Nie wiem, co myśleć. Coś mi tu nie pasuje. Przede wszystkim wciąż go znam, wiem, co lubi, prawda? Wiedziałam, że będzie biegał rano w tym miejscu. No i nie zachowuje się jak świeżo Zresetowany. Nie uśmiecha się głupkowato. Był bardziej... nieobecny. Zupełnie nie jak po resece.

– Interesujące. Czy ma Levo?

– Trudno powiedzieć, miał długie rękawy. Co o tym myślisz?

– Cóż, kilka wniosków: nie jest tam więźniem, prawda? Może wychodzić i wracać, bo inaczej nie mógłby biegać sam wcześniej rano.

Prawda. Czepiam się tego strzępu dobrych wiadomości.

– I coś tam z nimi robią. Nie resetują albo przynajmniej nie w sposób, który znamy. Tylko po co? – Chwyta mnie za rękę, patrzy mi intensywnie w oczy. – Obiecuj mi, Kyla, że będziesz się trzymać z daleka. Przynajmniej na razie. Zobaczę, czego jeszcze uda się dowiedzieć.

– Ale...

– Żadnych ale. To zdecydowanie zbyt niebezpieczne, skoro kręci się tam tyłu Lorderów. Nie chcę, żeby przydarzyło ci się coś złego. Ben, którego znamy, też by tego nie chciał.

Ben, poddany jakiemuś nieznanemu eksperymentowi Lorderów. Nie pamięta

mnie. Ale przynajmniej zdrowo wygląda. Nie głupio szczęśliwy jak po resecie, ale też nie przygnębiony. Mimo groźby Coulsona raczej nie zanosi się na to, żeby mieli mu coś zrobić z mojego powodu. Lorderowie, choć bywają bardzo okrutni, są racjonalni w działaniu. Nie zrujniają eksperymentu tylko po to, żeby się na mnie odegrać. Coulson nie ma pojęcia, że wiem, gdzie jest Ben. Mógłby po prostu zasunąć mi kolejną historyjkę i spodziewać się, że uwierzę. Ale też nic nie zyskam, jeśli spróbuję się znów zobaczyć z Benem. On wciąż mnie nie zna.

– W porządku – mówię. – Obiecuję.

Ale choć logika podpowiada, że Ben jest bezpieczny, przynajmniej na razie, wszystko we mnie krzyczy z lęku o niego. Kto wie, co się z nim dzieje albo co się z nim stanie wkrótce?

Doktor Lysander może wiedzieć albo mieć możliwości, żeby to ustalić. Jutro się z nią spotykam, nasze zwykłe cotygodniowe spotkanie. Ale czy mi powie?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

W poczekalni przed gabinetem doktor Lysander stoi ten sam strażnik co poprzednio. Patrzy prosto przed siebie z twarzą pozbawioną wyrazu. Cokolwiek sprawiło, że ostatnim razem mrugnął do mnie, najwyraźniej znikło.

– Wejdz! – woła doktor Lysander i uciekam do środka, zamykam za sobą drzwi.

Spogląda na mnie, jak idę przez pokój, siadam. Ręce ma złożone przed sobą, komputer zamknięty. Coś jest na rzeczy. „Niebezpieczeństwo”.

Przełykam ślinę.

– Dzień dobry, Kyla – odzywa się w końcu. – Jak się dzisiaj masz?

– Świetnie. A pani?

Milczy przez chwilę.

– Dziękuję, dobrze. Ale po naszym ostatnim spotkaniu coś sobie uświadomiłam. Bawiłyśmy się w kotka i myszkę.

– Jestem kotkiem czy myszką? – wyrywa mi się żarcik, zanim dociera do mnie sens jej słów.

– Powinnaś być myszką, ale czasami nie jestem tego taka pewna. Chcę kilku odpowiedzi, Kyla.

– Ja też mam pytania.

Rozdrażnienie walczy na jej twarzy z zaciekawieniem.

– W porządku – mówi w końcu. – Ty zadajesz jedno, ja odpowiadam, a potem odwrotnie. Umowa?

– Umowa – potwierdzam, chociaż ostrożność podpowiada, że lepiej, by ona pytała pierwsza. Szukam właściwych słów.

– Więc?

– Pamięta pani Bena, Bena Nixa. Mojego przyjaciela – zaczynam, a ona potwierdza lekkim skinieniem głowy. – Chcę wiedzieć, co się z nim stało. Gdzie teraz jest.

– Już ci mówiłam, że nie wiem.

– Wiedziała pani, że przeciął sobie Levo, to pani słowa. Musiała pani coś słyszeć.

– Ty też wiedziałaś, a nigdy cię o to nie pytałam. Ale w kwestii tego, co się z nim stało potem, sprawdzałam wtedy i takiej informacji nie było w naszym systemie. – Wzdycha. – Zobacz, udowodnię ci to, dobrze?

Otwiera komputer.

– Chodź, stań tutaj koło mnie, żebyś zobaczyła na własne oczy. Nazwisko Nix, tak?

Kiwam głową. Wstukuje „Ben Nix” w wyszukiwarke.

Zero rezultatów.

– Może zapisano go jako Benamina.

Wypróbuj tę opcję: zero rezultatów.

– Nie rozumiem. – Marszczy brwi, potem twarz jej się rozjaśnia. – Będzie w notatkach dotyczących ciebie. Tak. Zapisałam go wśród twoich znajomych i krewnych. – Przełącza coś. – Tak, tutaj jest jego numer. – Znow stuka w ekran.

Zero rezultatów.

W jej minie przebłyskuje gniew i coś jeszcze. Zamyka komputer.

– Dlaczego go nie ma? – pytam.

Doktor prostuje się na swoim krześle, zdejmuje okulary, przeciera oczy. Bez szkielek i masywnych czarnych oprawek wygląda inaczej. Oczy ma zmęczone, bardziej ludzkie. Z powrotem zakłada okulary.

– Musieli go skasować.

– Czy to znaczy, że on...?

– Nie żyje? Nie wiem. Śmierć nie wystarcza do tego, aby człowieka usunąć z tych rejestrów. Nawet ja nie mam uprawnień, żeby skasować jakiś zapis z systemu. Nikt w szpitalu nie może tego zrobić, włącznie z zarządem. Mogę stworzyć teczkę nowego pacjenta, aktualizować dane, edytować je, ale nie kasować. To wbrew wszelkim zasadom. Teraz wygląda to tak, jakby nigdy nie istniał.

– Kto to mógł zrobić?

– Pozbawione imienia twarze z... – Urywa. – Czy jesteś kotkiem, a ja myszką? Dość twoich pytań. Widzisz, że ci odpowiedziałam, na ile mogłam, nawet zdradziłam rzeczy, których nie powinnam. Twoja kolej. Powiedz: czy wróciły jeszcze jakieś wspomnienia? – Nachyla się do przodu z pozornie obojętną twarzą, ale widać, że od wewnątrz rozpiera ją ciekawość.

Cząstka mnie tak bardzo pragnie powiedzieć jej wszystko. Doktor mogłaby stwierdzić, co się ze mną dzieje, wyjaśnić to. Ale... „Niebezpieczeństwo”. Nikt się nie może dowiedzieć. Jestem na radarze Lordów. Kto wie, czy nie podsłuchują?

Przesuwam badawczo wzrokiem po pokoju. Podsłuch może być założony gdziekolwiek.

– O co chodzi?

– Nie tutaj. Nie mogę o tym rozmawiać w tym miejscu. Nie czuję się bezpiecznie.

– Zapewniam cię, że ten gabinet nie jest monitorowany. Byłoby to karygodne naruszenie zasad poufności relacji lekarz-pacjent.

– Większe naruszenie zasad niż usunięcie danych pacjenta?

Lekko otwiera usta i zaraz je zamyka. Rozmyśla przez chwilę. Pisze coś na karteczce, potem mi ją podaje. „Spotkajmy się we wtorek o 9.00”, a pod spodem naszkicowana mapka z zaznaczoną końską ścieżką koło mojej szkoły.

Choć mam tyle powodów, żeby się nie zgodzić, zaciskam karteczkę w dłoni. Potwierdzam skinieniem.

– Umiesz jeździć konno? – pyta.

– Tak – odpowiadam, zanim zdążę się nad tym zastanowić. I oto jest. Przebłysk pamięci, konie biegnące po polu. Przeskakują przez niskie ogrodzenie, jakby leciały!

– Co jest, Kyla?

– Pamiętam – szepczę. – Konia. Czarno-białego. Umieliśmy latać!

W jej oczach błyszczący głód wiedzy, doktor chce się wszystkiego dowiedzieć. Sprawdzić, co poszło nie tak w mojej głowie.

Ale gdy jej ciekawość zostanie zaspokojona, co wtedy?

Po powrocie ze szpitala siedzę w swoim pokoju i wpatruję się w kopertę od Nica, pragnąc, żeby zdradziła mi swoje sekrety.

Mogłabym ją otworzyć, sprawdzić, co jest w środku. Wsuwam ją do kieszeni i schodzę na dół.

– Idę do Cama! – ogłaszam. Wkładam buty, otwieram drzwi. Wychodzę, stoję chwilę, po czym wsuwam głowę z powrotem do korytarza.

– Mamo?! – wołam.

– Co? – Wychodzi z kuchni.

– To było wsadzone w drzwi. Jest napisane twoje imię. – Wręczam jej kopertę od Nica, choć dał mi inne instrukcje. Nie chcę jednak podrzucić liściku, jak kazał. Muszę wiedzieć. Co jest w środku, jak mama zareaguje?

Marszczy brwi, biorąc ode mnie kopertę. Rozrywa ją, wyciąga arkusik papieru. Czyta i oczy się jej rozszerzają. Gwałtownie wciąga powietrze.

– O co chodzi?

– Nic ważnego – kłamie i wsuwa sobie list do kieszeni.

Patrzę na nią niedowierzająco i na sekundę oczy jej łagodnieją, widać w nich niezdecydowanie. Mama może mi zaraz coś powiedzieć: prawdę albo zmyśloną

historyjkę. Jest między nami tyle sekretów. Czy się otworzy przede mną? A jeśli tak, czy zrobię to samo?

„Puk, puk, puk!”.

Obie podskakujemy. Mama otwiera drzwi.

– Cześć, Cam. Wejdz.

Wchodzi, patrzy na nas, jakby wyczuwał, że coś jest na rzeczy.

– Wielkie umysły mają podobne pomysły – mówię. – Właśnie wychodziłam, żeby cię wyciągnąć na spacer.

– Dobra, chodźmy – odpowiada. – Ale najpierw mam pytanie. Co powinienem włożyć na ten cały DPA?

Mama i ja gapimy się na niego zaskoczone, a on spogląda to na jedną, to na drugą.

– O-ou, nie powiedział wam, co?

– Kto? Nie powiedział nam co? – pytam.

– Wasz tato. Zapytał, czy nie chciałbym pojechać z wami na tę ceremonię, żebym was zabrał do domu przed obiadem.

Czuję, że oczy mi się rozszerzają ze zdenerwowania, i z całych sił staram się go nie okazać. Nie, Cam! Nie jedź tam. Kto wie, co się wydarzy?

– Ale jeżeli nie chcecie, żebym jechał...

– Nie, oczywiście, że chcemy – zapewnia pośpiesznie mama. – To dobry pomysł! Tylko o nim nie wiedziałyśmy, po prostu. Obawiam się, że obowiązkowy jest garnitur i krawat.

A ja wydaję odpowiednie dźwięki i staram się, by to zabrzmiało przekonująco. Tymczasem gorączkowo zastanawiam się nad tym, jak za chwilę wybić mu ten pomysł z głowy.

– Jeżeli idziemy, to pora się ruszyć – mówię. – Zaraz będzie ciemno.

– Cam, jeszcze pytanie, zanim pójdziesz – wtrąca mama. – Nie widziałeś, żeby ktoś się kręcił dziś przed naszym domem?

Jego oczy przeskakują na mnie, potem z powrotem na nią.

– Chyba nie. Tylko Kyla wyszła chwilę temu i zaraz wróciła. A co?

– Nic, nic. Idźcie już na ten spacer.

Wspinamy się ścieżką ponad wioską. Zerkam z boku na Cama.

– Nie chcesz jechać na tę głupią ceremonię do Chequers.

– Pewnie, że chcę! To szansa, żeby się wystroić i poobcować z wielkimi i dobrymi tego świata. Dlaczego miałbym nie chcieć?

– Będzie naprawdę nudno.

– Pewnie tak. – Uśmiecha się szelmowsko i mruga do mnie. – Ale ty tam będziesz.

– Oprzytomniej, zakuty łebku. Będą przemowy, politycy, wszędzie pełno Lorderów. Gdybym tylko mogła, na pewno bym się z tego wymigała.

– Dlatego właśnie jadę. Żeby jak najszybciej was stamtąd porwać. Więc żadnych ale.

Docieramy do punktu widokowego i z Camem u boku czuję, że demony zostały wypędzone. Stroi miny Tarzana, zwisając z gałęzi drzewa, a ja śmieję się, stojąc w blasku późnego popołudnia. Słońce wisi teraz nisko na niebie, zaraz zajdzie. Przebiega mnie dreszcz.

– Chodź, lepiej już wracajmy – mówię i ruszam ścieżką w dół.

Cam idzie za mną.

– A więc – zagaduje. – Powiesz mi, co się z tobą dzieje? Wyraźnie coś cię gryzie.

– Nic.

– Nie rób ze mnie idioty.

– Nie robię – odpowiadam. Wzruszam ramionami, waham się. – To co zwykle.

– Zwykle i tajemniczo?

– Mniej więcej.

Bierze mnie za rękę. Przed domem żegna się i dodaje cicho, że gdybym chciała pogadać z przyjacielem, to mam go naprzeciwko.

Lecz ja nie mogę go narazić na takie niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Nico zatrzymuje samochód z tyłu pubu. Wsiadamy, puka do tylnych drzwi. Otwierają się. Idziemy przez kuchnię, potem przez przyległe pomieszczenia. Budynek jest stary, bardzo – ma kryty strzechą dach, nierówne podłogi, dziwne zakamarki i kąty w niesymetrycznych pokojach. Słychać słaby szmer głosów dobiegający gdzieś z przodu pubu. Salka na tyłach, z kilkoma niepasującymi stołami i krzesłami, jest pusta. W głębi są jeszcze jedne drzwi. Nico otwiera je i pokazuje mały składzik.

– Ty do środka – mówi.

– Dzięki, że mi pozwoliłeś przyjść.

Uśmiecha się.

– Ty to zapoczątkowałaś. Cokolwiek się zdarzy podczas spotkania, będzie miało wpływ na ciebie. Pomyślałem, że powinnaś posłuchać. A teraz wskakuj i siedź cicho. – Zerka na zegarek. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to nie potrwa długo.

Zamyka za mną drzwi. Jest w nich szpara, przez którą mogę patrzeć. Może dziesięć minut później wchodzi mężczyzna, który nas wpuścił tylnymi drzwiami. Niesie tacę z herbatą. Za nim idzie mama.

Siada naprzeciw Nica. Jest blada, ręce jej dygocą, musi je spleść razem. Oczy strzelają na boki, nawet na drzwi, za którymi się ukrywam. A ja bezwiednie się kulę, choć wiem, że mnie nie zobaczy w ciemnym pomieszczeniu.

– Herbaty? – proponuje Nico.

– Gdzie on jest? – pyta mama.

Nico nalewa herbatę, stawia jedną filiżankę przed nią. Nie odzywa się i widzę, że mama toczy z sobą walkę, by nie zapytać ponownie. Przegrywa.

– Gdzie jest mój syn?

A... Robert. To była marchewka, którą ją przywabił.

– Powiedział pan, że tu będzie! – Mama zaczyna się podnosić.

– Napisałem: proszę przyjść, jeśli chce pani znowu zobaczyć syna. Nie twierdziłem, że tu będzie.

Mama zatrzymuje się, oczy ma pełne rezerwy. Siada z powrotem na krześle.

– A więc? – pyta.

– Wiemy, gdzie on jest.

– Od lat próbuję go znaleźć.

Nico unosi brew.

– Możemy dysponować źródłami, do których pani nie ma dostępu.

– Kim właściwie jesteście?

– Myślę, że pani wie.

– Domyślam się, ale chcę to usłyszeć od pana.

Nico jest rozbawiony, widać to po drgnieniu ust. Bawi się jej kosztem i jakaś część mnie chce otworzyć z hukiem te drzwi i wrzasnąć na nich oboje, żeby po prostu powiedzieli, co myślą.

I mama właśnie to robi.

– Zabiliście mi rodziców. Zbombardowaliście autobus z synem.

Nico lekko potrząsa na to głową.

– Nie jestem taki stary, by odpowiadać za to pierwsze. A co do drugiego: niezupełnie tak to wyglądało.

– O?

– Wie pani, co się stało z Robertem – pada stwierdzenie, nie pytanie.

– Ja też mam swoje źródła.

– I?

Wzdycha.

– Oficjalna wersja wydarzeń jest taka, że zginął podczas bombardowania autobusu, ale widziano go żywego znacznie później. Zapewne został Zresetowany.

– Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli się zobaczycie, nie będzie nawet wiedział, kim pani jest.

Mama nie odpowiada. Ramiona jej opadają. Oczywiście, że o tym wie.

– Proszę pomyśleć, co pani zrobiono – mówi Nico. – Co zrobiono niezliczonym matkom i ojcom.

– Ich dzieciom – dodaje mama szeptem.

– Ma pani szansę coś z tym zrobić.

– Nie interesują mnie wasze sposoby.

Nico przechyla głowę.

– Nie polecam ich dla pani. Ale jest coś, co m o ż e pani zrobić. Pomóc przyszłym rodzicom i dzieciom, żeby nie przechodzili przez to, przez co pani musiała przejść. Nie ma przecież co do tego złudzeń: to Lorderowie stoją za tym wszystkim. Gdyby nie oni, nie mielibyśmy powodu, by się tu spotykać.

– Słucham.

– Dzień Pamięci Armstronga. Kiedy wygłasza pani mowę w Chequers. Czy telewizja przekazuje to na żywo?

– Tak. Jak co roku. Ale...

– Proszę powiedzieć całemu krajowi o pani synu. O Robercie. Zacząć jak zwykle, od tragicznej straty rodziców. Potem wspomnieć o tym, że Robert też zginął od bomb terrorystów, a następnie wyjawić prawdę, ogłosić co go spotkało. Zaświadczyć, że Lorderowie łamią własne prawa. Jeśli zdejmie pani zasłonę milczenia, jeżeli ludzie dowiedzą się od pani, co się naprawdę dzieje... to ich powstrzyma.

Mama potrząsa głową.

– To się nie uda. Po prostu przerwą transmisję.

– Mam swoje środki. Zapewniam panią, że ta transmisja pójdzie naprawdę na żywo. Bez kilkusekundowej zwłoki. Jeśli pani to sprytnie ujmie, zdąży pani powiedzieć, co trzeba.

– A potem?

– Jest pani kimś, komu ludzie uwierzą. To będzie początek końca Lorderów. A my zabierzemy panią do Roberta.

Żołądek zaciska mi się w węzły. Co mama postanowi? Co zrobi Nico, jeśli nie będzie to po jego myśli?

Ale gdy mama zaczyna już mówić, on powstrzymuje ją ruchem uniesionej ręki.

– Musi to pani przemyśleć. Proszę nie decydować teraz. Proszę iść.

Mama wstaje od stołu, rusza do drzwi. Ogarnia mnie strach – boję się, że on nie pozwoli jej odejść. Że włączy się jego paranoja, będzie przekonany, że mama go sprzeda Lorderom. Oddycham z ulgą, dopiero gdy mamy już nie ma. Nie jestem pewna, po czyjej jest stronie. Równie dobrze to ona mogła mnie wydać Lorderom – o tej możliwości Nico nic nie wie. Skąd może wiedzieć, co mama robi teraz?

Upływa wolno odliczona minuta, zanim Nico wstaje i otwiera składzik.

– Wyjdź. Zabierajmy się stąd.

Wynosimy się przez tylne wyjście, wsiadamy do samochodu. Jedziemy tylną uliczką, potem drugą, robimy kilka szybkich zwrotów. Nico sprawdza, ale nikt za nami nie jedzie.

– Skoczmy do domu. Musimy porozmawiać – mówi.

– Naprawdę wiecie, gdzie jest Robert?

– Jeszcze nie, ale będziemy wiedzieli. – Zerka na boki. – Znasz ją lepiej niż ja. Jak myślisz, co zrobi?

– Szczerze? Nie wiem.

– Ja też nie – przyznaje i jestem zaskoczona: to niezwykle, by Nico zwierzył

się ze swej niepewności. – Ale nie bój się, będzie plan B.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu.

Gdy docieramy do domu w lesie, bierze mnie do swojego gabinetu na oczach zaciekawionych rekrutów. Jest tam także Katran. Tori patrzy na mnie, jakbym była powietrzem.

– Siadaj – rzuca Nico i zamyka drzwi.

Jesteśmy sami. Przysuwa drugie krzesło naprzeciw mojemu, bierze mnie pod brodę i unosi moją twarz, tak by mi patrzeć prosto w oczy.

– Jest coś, o czym musimy porozmawiać. Rain, rozumiem, że wybrałaś się, żeby zobaczyć Bena.

– Co? – Niemal podskakuję na krześle, tak głęboki jest szok doznanej zdrady. Katran, mimo swojej solennej obietnicy, jednak mu powiedział?

– Posłuchaj, Rain, to było bardzo głupie.

Usadza mnie z powrotem na krześle, trzymając za rękę, jakby mnie chciał przygwoździć. Twarz mu zastygła w grymasie, od którego zaczynam się cała trząść ze strachu. Unosi dłoń, zanim zacznę mówić.

– Czekaj. Nie powinnaś była tego robić, to było niebezpieczne. Naraziłaś nas wszystkich, w razie gdyby cię złapali. Wiesz o tym. Ale. Rozumiem.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Wiem, jak to jest, kiedy się kocha, gdy się traci ukochaną osobę. – Spogląda na mnie ze współczuciem. – Powiedz mi, Rain, co się stało, kiedy zagadałaś do Bena? – I jego oczy, tak znane i tak obce zarazem, niosą ukojenie, wyciągają zwierzenia. – Powiedz mi – powtarza.

Przełykam ślinę.

– To było okropne. Nie poznał mnie, w ogóle mnie nie pamięta! Nie wiem, co się z nim stało, i...

– Ja wiem.

Aż mnie zatyka.

– Co takiego?

– Wiem, co się z nim stało. – Robi przerwę. – Bądź silna, Rain. Tak zwana szkoła, do której niby chodzi Ben, nie jest szkołą. Przynajmniej w takim znaczeniu tego słowa, jakie znamy. To ośrodek szkoleniowy Lorderów. Eksperymentowali z różnymi procedurami. Podobnymi do resetu, ale mniej drastycznymi. Są użyteczne, ponieważ poddani tym procedurom ludzie zachowują inicjatywę i zdolności, ale pozostają pod kontrolą. – Bierze obie moje ręce w dłonie. – Uwierz mi, gdy to mówię. Przykro mi, ale Ben jest dla ciebie

stracony na zawsze.

– Nie. – Potrząsam głową, łzy zaraz popłyną mi z oczu.

– Szkolą go na naszego wroga: agenta Lorderów.

Nie umiem tego przyjąć do wiadomości. Uświadamiam sobie, że Aiden też o tym napomknął, choć nie bezpośrednio. Ale Ben Lorderem? Nie. Niemożliwe. Nie mógłby.

Zimno mi się robi, kiedy dociera do mnie prawda. Jeżeli mu wyprali mózg, nie jest już tym, kim był. Nie podejmuje decyzji.

Gdzieś w głębi wzbiera we mnie roztrzęsiony szloch. Walczę, żeby się nie rozkleić przy Nicu, żeby zostawić żal na później, ale Nico przytula mnie do ramienia. Łzy wylewają mi się z oczu.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Zaczekaj – mówi Nico. Wychodzi, zamyka za sobą.

Opieram głowę na dłoniach. Właściwie już wcześniej wiedziałam, tylko unikałam prawdy. A jest jeszcze jedna prawda, z którą się zmierzę: Katran powiedział Nicowi, że się wybrałam do Bena. Na pewno on. Jak inaczej Nico by się dowiedział? Ale zapewniał, że mnie nie wyda!

Ból i łzy zamieniają się w gniew, potem w furję. Katran powiedział, że nie umiem postanowić sama, ale się mylił. To wyłącznie moja decyzja. Lorderów trzeba powstrzymać za wszelką cenę. Choćby to wymagało poświęceń.

Zanim zaczęły mi wracać wspomnienia, nigdy nie przystąpiłabym do Wolnej Brytanii. Jako po prostu Kyla nie umiałabym przystać na ich metody, choć mają szczytne cele. A teraz umiem. Mogę zapomnieć, że Kyla nie cierpi przemocy; zapomnieć o jej strachu, zapomnieć nawet, że kiedykolwiek istniała. Tak jak zapomniałam o Lucy. Lecz nigdy nie zapomnę Bena.

„Tak! Trzymaj w sobie ten ból. Wykorzystaj go, by się skupić”.

Gdy Nico ponownie otwiera drzwi, wściekłość przesłania mi już wszystkie inne uczucia z wyjątkiem pragnienia zemsty. Nico siada.

– Na czym stanęliśmy? A, tak. Musimy omówić coś jeszcze. Dziś rano Katran i ja zamieniliśmy kilka słów. O tobie.

– Co? – Wydał więcej moich sekretów? Zaciskam pięści.

– Położył duży nacisk na to, że jesteś po naszej stronie.

– Bo jestem!

– Ale wyraził też obawy. Czuje, że jesteś zbyt... krucha, żeby być użyteczna.

– To nieprawda! Zrobię wszystko.

– Na pewno, Rain? – Nico odchyła się do tyłu; widać, że ma wątpliwości. Unosi rękę w geście nakazującym milczenie. Przygryzam sobie wargę. – I tu

mam problem. Katran sądzi, że stanowisz obciążenie dla grupy, a ja na ogół zgadzam się z jego zdaniem.

Znów szok: zdrada. Najpierw Katran przypomina mi, że byliśmy przyjaciółmi, że to on mnie przytrzymał, kiedy tak bardzo się bałam. Miło zachował się w sprawie Bena. A potem... tak, „ b y l i ś m y przyjaciółmi” to właściwe określenie.

– Cóż... – Nico wzrusza ramionami. – Chociaż tak bardzo chciałbym w ciebie wierzyć, Rain, jest coś jeszcze. Stanowisz dla nas zagrożenie.

– Co masz na myśli?

– Twoje działania bez zastanowienia nad konsekwencjami.

Jego dłoń znowu wędruje w górę, domagając się milczenia.

– Jak sprawa Tori: ryzyko, które w końcu polubiłem, ale jednak ryzyko. I wyprawa do Bena. A gdyby cię złapano? Czy byłabyś w stanie dotrzymać tajemnic?

– Tak – odpowiadam natychmiast i bez zastanowienia. Nie powiedziałam przecież Coulsonowi niczego, czego by już wcześniej nie wiedział, prawda?

Nico, jak zawsze czujnie wychwytyjący wszelkie niuanse myśli czy uczuć, widzi to.

– Powiedz mi, Rain. Czy jest jeszcze jakieś ryzyko, na które nas wystawiasz?

Ale nie mogę mu powiedzieć o Coulsonie – jest na to za późno.

– Rain? – Niecierpliwość w głosie. Nico nie chce czekać. – Powiedz mi to, czego do tej pory nie mówiłaś. I zrób to już. Co to za ryzyko?

Trafiony, zatopiony.

– Moje wspomnienia wróciły, kiedy zostałam zaatakowana i musiałam się bronić. On... przeżył i wszystko pamięta.

– Nazwisko – rzuca sucho.

– Wayne Best. – Słowa wychodzą powoli i cicho, jakby nie chciały, by je usłyszano. Czy oznaczają wyrok śmierci? Jednak tak wielu traci życie, nie zasługując na to. Wayne, jeżeli o mnie chodzi, zajmuje bardzo niską pozycję na liście ludzkości.

– Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – Nico potrząsa głową. – Jak możemy ci ufać?

– Zrobię wszystko, żeby udowodnić lojalność.

– Naprawdę? – Wzdycha. Nagle odwraca się i przysuwa blisko, kładzie ręce na podłokietnikach mojego krzesła, z determinacją patrzy mi w oczy. – Pomyśl, Rain. Co możesz dla nas zrobić? Jak możesz nam udowodnić, że naprawdę p o t r a f i s z zrobić wszystko. Tak, żebym wiedział, że mogę ci ufać.

Gmeram w pamięci, żeby znaleźć w niej coś, co udowodni mu moją lojalność. Obrazy i twarze przesuwają się błyskawicznie i wtem... oczy mi się rozszerzają, a twarz zastyga.

– Masz coś. Powiedz mi – mówi rozkazującym tonem. Przebłysk pamięci: inny czas, inne miejsce, cegła. Palce. Wzdrygam się w środku. Muszę mu być posłuszna.

Słowa wywlekają się ze mnie wolno, każde zadaje świeżą, nową ranę. Rysuję linię. Dokonuję wyboru.

– Mogę ci dać doktor Lysander.

Kiedy wychodzę, niepewność i strach walczą we mnie z blaskiem radości, bo odzyskałam zaufanie Nica.

„Wystarczyło złożyć w ofierze doktor Lysander”.

Zaciskam zęby. Zasłużyła na to. Wszystko jest przez nią. Reset to jej zły wynalazek, o ile można go tak nazwać. Wszystko to jej wina. W tym los Bena – nie bezpośrednio, ale jednak.

Nico daje znak Katranowi, a ten wstaje, gdy zmierzam do drzwi. Zalewa mnie rumieniec.

– Trafię sama do domu – mówię, lecz Katran idzie za mną.

Na zewnątrz widzę, że z tyłu domu parkuje samochód, a o niego opiera się jakiś mężczyzna z papierosem. Odwraca się, jakby się chciał ukryć. Miga mi przeciętna twarz, przeciętna budowa ciała, ale z jakiegoś powodu wydaje się znajomy. Dlaczego?

Idziemy przez las do motocykli. Ignoruję Katrana, wsiadam na terenówkę, ruszam pędem, jednak im dalej, tym większy wzbiera we mnie gniew. Jesteśmy w połowie drogi, gdy zwalnim, ręką daję znak do zatrzymania. Mało nie rzucam motorem o ziemię.

– Co z tobą? – pyta Katran.

– Powiedziałaś Nicowi!

– O czym?

– Że pojechałam zobaczyć się z Benem.

Jego twarz wyraża zdumienie, potem widać, że go uraziłam.

– Powiedziałem, że cię nie wydam, i nie wydałem.

– Więc jak się dowiedział?

– Nico wie! – odpowiada swym starym powiedzonkiem, ale brakuje przy tym wzruszenia ramion i uśmiechu.

Potrząsam głową, nie rozumiejąc, jak to możliwe. A jednak... ta znajoma

twarz przy samochodzie – teraz to do mnie dociera. Czy to nie kierowca Aiden? Może Nico dowiedział się od niego, może to nie Katran. Lecz jest jeszcze cała reszta.

– Jak mogłeś rozmawiać z Nikiem za moimi plecami, mówić mu, że jestem obciążeniem? – wyrzucam z siebie przez zęby, zaciskając pięści. – Strzelam lepiej od ciebie! Jestem tak samo dobra z nożami i...

– Jesteś, Rain. Nikt nie wątpi w twoje umiejętności. W mierzeniu do nieruchomych celów jesteś najlepsza.

– Co to ma znaczyć?

– Nie pamiętasz?

– Czego?

Przewraca oczami ku niebu.

– Pokażę ci.

Wyciąga z pochwy nóż, który nosi schowany u boku, i trzyma go uniesionego, tak że srebrzyste ostrze lśni w późnopołudniowym świetle. Nie jest to jakiś nóż, tylko t e n n ó ż. Nóż nurkowy, którym Lorder rozciął mu twarz wiele lat temu. Katran podwija sobie rękaw, dotyka ostrzem wewnętrznej części ramienia.

– Co robisz? Przestań!

Lecz jest za późno: przeciąga sobie krawędzią po skórze. Ostrze wgryza się w nią, pojawia się czerwień. Nie krople, tylko strużka, linia czerwieni płynąca po ręce w dół, na dłoń. Nie cierpię krwi. Nienawidzę. Jej woni, dotyku, smaku. Zaczynam się dławić, cofać, ale nie mogę oderwać wzroku od czerwieni. Kilka kropli spada z jego ramienia. Widzę, jak zawisają w powietrzu, zanim skapną na ziemię, i już mi się dźwiga w żołądku. Oddycham intensywnie, głęboko, zgięta w pół, świat pływa mi przed oczami, staram się powstrzymać mdłości.

Katran wyciąga do mnie rękę i wzdrygam się. Wzdycha, bierze chusteczkę, ociera sobie ramię i pokazuje mi je.

– To tylko małe zadrapanie. Nic mi nie jest. Widzisz?

Odwracam się do niego, a kiedy ślady krwi zniknęły, gdy jej nie widzę, oddech zaczyna wracać do normy.

– Rozumiesz teraz, Rain? – mówi cicho. – Dlatego nie możesz być z nami. Stanowisz zagrożenie, ryzyko dla nas wszystkich. Jeśli reagujesz w ten sposób na kilka kropli krwi, co będzie, gdy polecą bomby i kule? W jednej chwili załamiesz się, stracisz głowę. Jeśli będę musiał cię niańczyć, inni znajdą się w niebezpieczeństwie.

– Nie rozumiem. Pamiętam ataki i krew. – Przełykam ślinę i zmuszam się

do wewnętrznego skupienia. Hałasy. Krzyki, ludzie biegają. Ale szczegóły są zamazane: nie pamiętam, co tam robiłam. Pewnie raniłam ludzi, po czym zmusiłam się do zapomnienia, dlatego szczegóły nie są wyraźne. W duchu cofam się, wzbraniam. Czy naprawdę mogłam kogoś zabić? Ja?

– Nico właśnie na tym gra – mruży Katran prawie jakby do siebie. – Na pewno widzi, że to niemożliwe. Dlaczego cię wciąga? Czemu to dla niego takie ważne?

Potem, jakby sobie przypomniał, że wciąż tu jestem, odwraca się do mnie. Bierze moje dłonie w swoje.

– Rain, obiecaj mi. Pomyśl o tym. Przemyśl, co się dzisiaj zdarzyło i co było przedtem, za każdym razem, kiedy zobaczyłaś krew. Przemyśl to i zapamiętaj.

Przerywa, patrzy mi głęboko w oczy. Niewzruszenie. A ja chcę odwrócić wzrok, ale nie mogę. Bezwiednie wyciągam rękę, przesuwam palcami po bliźnie na jego twarzy i mam wrażenie, że już to robiłam.

Odsuwa się raptownie, jakby moje palce parzyły. Wsiada na motor, rusza, a ja za nim. Przez resztę drogi do domu wiruje mi w głowie: czy powiedział prawdę? Czy jako terrorystka będę totalną porażką?

Wszystko we mnie krzyczy: „Nie!”. Przecież jestem w tym dobra – w tym, czego uczył nas Nico. Z całych sił starałam się być we wszystkim najlepsza, i często byłam.

To nie ma sensu. Jeżeli Katran mówi prawdę, dlaczego Nico w ogóle brałby mnie pod uwagę? Namierzenie mnie po resecie pewnie nie było łatwe. Zawsze się zastanawiałam, jak mnie w ogóle znalazł. Jeśli tamten kierowca jest jego wtyczką w ZWA, to może coś wyjaśniać. I pewnie z tego źródła Nico wie, że byłam się zobaczyć z Benem. Pamięć może mnie zawodzić w pewnych sprawach, ale to wiem na pewno: Katran nigdy nie kłamie. Gdyby na mnie doniósł, toby się przyznał.

Dlaczego Nico włożył taki wysiłek w odszukanie mnie, skoro jestem bezużyteczna? Nie mógł z wyprzedzeniem wiedzieć, że zaadoptowała mnie właśnie mama. Ani że się spotykam z doktor Lysander, choć tej możliwości mógł się domyślić.

Zaciskam zęby. Okej, krew jest ohydna, zgadza się, ale pokonam to samą siłą woli. Jeżeli Nico we mnie wierzy, dam radę.

Muszę.

Tak czy inaczej, wydanie pani doktor w ręce Wolnej Brytanii to będzie coś. Coś niesamowitego.

Późną nocą zamierzam spróbować. Ostry kuchenny nóż, drżenie rąk – tylko jedna kropla krwi. Ale nie mogę tego zrobić, nie mogę. Rzucam nożem przez pokój, aż wbija się w ścianę naprzeciwko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

– Kyla! Czekaj. – Słyszę za sobą głos Cama, akurat w absolutnie najmniej odpowiednim momencie.

Zastanawiam się, czy go nie zlekceważyć, ale Cam najprawdopodobniej nie odpuści i popędzi za mną. Odwracam się na pięcie.

– Tak?

– Nie idziesz na lekcję?

– Idę, oczywiście.

– Ale to nie w tę stronę.

Uczniowie suną we wszystkich kierunkach, śpiesząc się na pierwszą wtorkową lekcję. Użyteczna zasłona z ludzi, która zaraz zniknie.

Skupiam się. Uśmiecham.

– Najpierw muszę podrzucić pracę domową. Projekt plastyczny – wyjaśniam, wybierając przedmiot, którego on nie ma. – Zobaczymy się później – kłamię i ruszam w swoją stronę, ale on idzie ze mną. Przeklinam w duchu.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– U mnie świetnie – odpowiadam z uśmiechem. – A u ciebie?

Wzrusza ramionami. Jego twarz nie jest już spuchnięta po ciosie Lordera, fioletowe sińce zbrązowiły i wyblakły, ale i tak nie wygląda to dobrze. Oberwał, wstawiając się za mną. Mięknę odrobinę. Biedny Cam. Czy Lorderowie dopadną go, kiedy się okaże, że zignorowałam ich umowę? Powinam go ostrzec.

„Nie tu i nie teraz”.

Zatrzymuję się. Uśmiecham.

– Przepraszam, ale muszę pobiec, bo inaczej nie zdążę. Spotkamy się później?

– Dobra – godzi się.

Zostawiam ścieżkę i pędzę przez trawnik prosto do budynku zajęć plastycznych na wypadek, gdyby mnie śledził. Potem otrząsam się wewnętrznie. Czemu miałby mnie śledzić? Ale i tak nie skręcam, dopiero przed samym wejściem odbijam i okrążam budynek. Jestem przy bocznej furtce akurat na czas, żeby dołączyć do uczniów rolnictwa zmierzających na szkolne działki. Dla zwykłego obserwatora doganiam swoją klasę. Ale kiedy tereny szkolne są już poza zasięgiem wzroku, zostaję w tyle, skręcam na ścieżkę i zaraz biegnę drogą.

Powinnam się śpieszyć, ale moje stopy zwalniają. Ona chce dziś ze mną porozmawiać, poznać moje sekrety. I pozna największy z nich, prawda? Czuję, że mi niedobrze. Nerwy?

„Albo poczucie winy”.

Nie! Doktor Lysander jest częścią całego systemu Lorderów, resetowania i wszystkiego, co się z tym wiąże. Losu Emily. I Bena. Nie mogę mieć dla niej współczucia. Nie mogę.

I nie mam. Muszę pokazać im wszystkim: Katranowi, Nicowi, Tori i pozostałym. Że jestem częścią ich walki z Lorderami. To również moja walka.

Błoto i koleiny na ścieżce końskiej spowalniają mój bieg. Doktor czeka już na mnie – widzę ją, zanim ona dostrzeże mnie. Jej koń jest piękny, ale to nie wszystko: obok stoi drugi, a na nim siedzi ten sam Lorder, który pilnuje jej w szpitalu.

Jęczę w duchu. Nico mówił, że prawdopodobnie ktoś z nią będzie. Mam się postarać rozdzielić ich, po czym dać znak tamtym.

Macham, zbliżając się ścieżką. Oczy Lordera rozszerzają się na mój widok. Jestem dla niego niespodzianką? To dobrze. Doktor Lysander zamienia z nim kilka słów, on chyba się z nią spiera, potem godzi się ze skinieniem. Zsiada z konia, kiedy podchodzę.

– Cudowny dzień, prawda? – Pani doktor uśmiecha się szeroko i wygląda inaczej niż zwykle. Ciemne włosy z pasemkami siwizny opadają luźno na plecy. Strój do jazdy konnej pasuje jej lepiej niż biały kitel, bez którego dotąd jej nie widziałam. Nie ma okularów w masywnej oprawce. Nosi soczewki kontaktowe, czy te okulary to tylko rekwizyt?

– Naprawdę umiesz jeździć konno?

– Tak.

– Agent Lewinski uprzejmie zaproponował, że pożyczy ci swojego konia, ale mówi, że mamy pozostać w stępie i trzymać się w zasięgu jego wzroku. Potrzebujesz pomocy?

Potrząsam głową. Stopą ledwie dosięgam strzemienia, ale udaje mi się podciągnąć na siodło. Koń przestępuje z nogi na nogę, gdy się sadowię. Mrugam, nawiedzona szybkimi, wyraźnymi wspomnieniami. Konie, ale gdzie, kiedy? Zamykam oczy i jestem w innym miejscu i czasie. Nie ma szczegółów, to bardziej uczucie niż coś innego. Radości! Prędkości. Pewności, że jestem bezpieczna, że nie może mi się przydarzyć nic złego, dopóki... Co? Przeświadczenie dziecka, które nic nie wie o świecie.

– W porządku, Kyla?

Z drgnieniem otwieram oczy, rozglądam się, wracam do tu i teraz.

– Tak, świetnie. Jak ma na imię? – pytam, gładząc końską grzywę.

– Jericho – mówi pani doktor. – A to jest mój Heathcliff. – Klepie po karku swego konia, a on przebiera kopytami i parska.

Ruszamy stępa. Strażnik trzyma się z tyłu, jak obiecał, lecz nie wygląda na zadowolonego. Zdaje się, że niedługo wysmaży na mój temat długi raport i jestem pewna, że poleci on prosto do rąk Coulsona. Otrząsam się wewnętrznie. Właściwie jakie to będzie miało znaczenie po dzisiejszym dniu?

Stopniowo nabieramy tempa. Ponaglam wierzchowca kolanami, by zwiększyć dystans dzielący nas od Lordera, zanim wezwę Katrana.

Doktor Lysander zerka na mnie z boku.

– Ten brakujący plik w szpitalnym rejestrze, akta twojego przyjaciela Bena. Nie tylko ich brakuje – mówi przyciszonym głosem. – Sprawdzalam trochę i okazuje się, że jest więcej braków. Luki w archiwach. Nawet gorzej.

– Co?

– Znikają też lekarze – dodaje ze zgrozą.

Prycham w duchu. Założę się, że jeden zaginiony doktor to większe zmartwienie niż stu zlikwidowanych Zresetowanych.

– Co to oznacza? – pytam i zastanawiam się, czy zaginionym personelem medycznym nie obsadzono tej tak zwanej szkoły Bena.

Doktor waha się.

– W tej chwili mogę się tylko domyślać, a wszystkie moje domysły są nieprzyjemne.

Patrzę na nią i w końcu zadaję pytania, które mnie dręczą od jakiegoś czasu.

– Dlaczego mi pani o tym mówi? Czemu mnie pani nie wydała, kiedy zaczęła pani podejrzewać, że wraca mi pamięć? Dlaczego pani spotyka się tu ze mną? Nie rozumiem.

– Po części z ciekawości. Chcę się dowiedzieć, co poszło z tobą nie tak, żeby zapobiec kolejnym takim przypadkom.

– I?

Waha się, potrząsa głową.

– Taki sentymentalny gest z mojej strony. Przypominasz mi dziewczynę, którą znałam w szkole, dawno temu – mówi z posmutniałą twarzą.

– Co się z nią stało?

– Złapano ją podczas zamieszek. Nie było wtedy innych opcji, spotkała ją egzekucja. – Zerka za siebie. – Dość twoich pytań i przeszłości. Agent został

w tyle. Twoja kolej, Kyla. Odpowiedz mi teraz na pytania, tak jak obiecałaś. Co pamiętasz? Dlaczego pamiętasz?

Mogłabym wcisnąć guzik komunikatora na nadgarstku, żeby dać znak Katranowi i zakończyć rozmowę, zanim się zaczęła. Ale... jej oczy. Takie zaciekawione. Jedyne, co mogę dla niej zrobić, to szczerze odpowiedzieć na jej pytania. Może ona znajdzie sens tam, gdzie ja go nie widzę. A może częśćka mnie jest tak zaprogramowana, że muszę jej odpowiadać, nie mogę się od tego wymigać? Nico byłby wściekły, ale go tu nie ma.

– Pamiętam dziwne rzeczy: widoki, dźwięki, uczucia. Ludzi i miejsca. Połączone i niepołączone. Trudno to nawet wyjaśnić. Na przykład gdy wsiadłam teraz na konia. Poczułam, jak się pode mną porusza, i napłynęły wrażenia, skojarzenia z innego czasu, ale nie wiem, kiedy to było ani gdzie.

– Fascynujące. Badania i testy, jakie ci robiono przed wyjściem ze szpitala, wskazywały, że wszystko jest, jak należy.

– Wtedy się jeszcze nie zaczęło, niezupełnie. Było tylko kilka snów. Wspomnienia zaczęły wracać dopiero po wyjściu ze szpitala. Najpierw po odrobinie, jakby w odłamkach.

– A potem?

Waham się. A potem: Wayne.

– Miałam straszne przeżycie. I przyplłynęły wielką falą. A to? – Pokazuję Levo. – Jest już bezużyteczne. – Okręcam sobie bransoletę na nadgarstku.

– Nie rozumiem, jak to w ogóle możliwe.

– Ja też tego kompletnie nie rozumiem. Ale wiem kilka rzeczy. Urodziłam się leworęczna. Przeszłam jakieś szkolenie czy trening w Wolnej Brytanii. Nie wiem dokładnie, co to było. Prawie tak, jakby ze mnie zrobili dwie osoby i rozdzielili między nie moje wspomnienia. Jedna została leworęczna, drugą zmuszono do praworęczności. Zresetowano mnie jako praworęczną, bo byłam wtedy tą osobą. Druga ukrywała się w środku.

– Interesujące. Pod ekstremalną presją warunków czasami może wystąpić dysocjacyjne zaburzenie tożsamości. Zasadniczo: rozszczepienie jaźni na warstwy. – Zastanawia się, jej oczy spoglądają gdzieś w głąb. – Teoretycznie jest możliwe wywołanie takiego rozszczepienia tożsamości, aby jedna osobowość zatrzymała wspomnienia, które druga odrzuca. Ale do tego potrzebne byłyby skrajnie drastyczne metody: celowo wprowadzona trauma albo tak silne maltretowanie, że rozszczepienie jaźni staje się dla jednostki jedynym sposobem na przetrwanie.

Jej słowa sprawiają, że po plecach wędruje mi zimny dreszcz. Jaka trauma

byłaby na tyle silna, żeby to osiągnąć? Czym była cegła, którą trzymał Nico, że mi to zrobiła?

– Ale Kyla, nie rozumiem. Dlaczego ktoś miałby to komuś zrobić?

– Żeby część mnie przetrwała Zresetowanie.

Jej spojrzenie krzyżuje się z moim. Jest zszokowana, oczy ma okrągłe jak spodki. Niemal widzę, jak pracują za nimi maleńkie trybiki, przetwarzają aluzje, implikacje.

– Od dawna były na ten temat spory, ale zdawało się to niemożliwe. – Coś jeszcze maluje się na jej twarzy, w jej oczach. – Kyla, czemu zostałam Zresetowana? – pyta łagodnie.

– Lorderowie mnie złapali. Nie ma tego w rejestrze?

– W rejestrze jest napisane, że pojmano cię podczas ataku terrorystycznego. I wpisano jako Jane Doe, czyli osobę płci żeńskiej o niezidentyfikowanej tożsamości. – Gdy wypowiada te słowa, jedna brew sceptycznie wędruje jej w górę.

– Jane Doe? – powtarzam zdumiona. – Czy nie jest tak, że każdemu po urodzeniu szczytują i rejestrują DNA?

– Zgodnie z prawem tak. Ale czasami dzieci przychodzą na świat na uboczu, gdy ich rodzice wolą ominąć to prawo.

Mój umysł wiruje po tej informacji. Czy to naprawdę możliwe, że Lorderowie nie wiedzieli, kim jestem? Mimo że moje zaginięcie zgłoszono na ZWA? Nie wierzę, że nie monitorują tej nielegalnej strony. Ale może to wyjaśnia coś jeszcze.

– Jeżeli nie wiedzieli, kim jestem, skąd mogli znać mój wiek, żeby stwierdzić, czy mogę być Zresetowana, czy nie?

– Prosty test komórkowy bardzo dokładnie ujawnia wiek organizmu, Kyla, i przeprowadzono go u ciebie zgodnie z procedurą. W momencie resetu nie miałam szesnastu lat.

– Ale miałam. Skończone szesnaście. Wiem o tym, pamiętam dzień swoich urodzin.

– Więc może jesteś w błędzie. Te testy są niezawodne. Ale dość już uników, wróćmy do mojego pytania. Kyla, d l a c z e g o zostałam Zresetowana? – pyta znów, wprawiając mnie tym w zakłopotanie.

– Nie wiem. Nie pamiętam, co się wydarzyło.

Jej oczy przenoszą się gdzieś dalej, skupiają na czymś odległym i rozszerzają. Odwracam się akurat na czas, żeby zobaczyć Lordera walczącego na ziemi z Katranem. Ale jeszcze ich nie wzywałam. Chciałam zostawić ochroniarza

daleko za nami. Co się dzieje?

Wtem doktor ucieka w drugą stronę, ponagla konia do galopu, a ja przeklinam. Zagapiłam się przez jej pytania! Powinnam była ją złapać, zrobić coś, cokolwiek. Lecz zanim zdążę ruszyć w pogoń, doktor Lysander zatrzymuje konia. Ostro ściąga wodze. Podnosi ręce w geście poddania się. Dlaczego? I wtedy dostrzegam z przodu dwóch ludzi z Wolnej Brytanii z bronią wymierzoną w Heathcliffa. Doktor nie narazi swojego konia.

Z tyłu dobiega dźwięk: krztuszenia się, rżenie. Odwracam się. Katran unieruchamia Lordera, jedną rękę wykręca mu za plecami, ale zaraz go puszcza, odpycha. Wyciera nóż o trawę, a strażnik wolno osuwa się na ziemię.

C z e r w i e ń.

Nie tylko kropla, jaką próbowałam utoczyć sobie w nocy. Kurtyna czerwieni. Z jego gardła bucha kaskada krwi pulsującej w rytmie bicia serca. Ciało drga na ścieżce, po czym nieruchomieje, akurat w momencie, gdy spadam z konia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Mam w ustach kwaśny posmak, pełno żwiru, a dokoła panuje ciemność. Leżę na czymś miękkim. Głowa jakby wypełniona watą. Gdzie... co? Otwieram oczy. Wszystko jest zamazane, ale gdy mrugam, wizja się wyostrza.

Małe pomieszczenie, zamknięte drzwi. Jedno kwadratowe okno, okratowane. I nie jestem sama: dwa kroki ode mnie stoi doktor Lysander, wygląda przez kraty.

Siadam. Odwraca się na mój ruch.

– W porządku, Kyla? – pyta cicho, spokojnie.

Jestem potężnie skołowana.

– Co się stało? – pytam, a mój głos brzmi obco.

– Pewnie wiesz lepiej niż ja. Choć może nie. Zdaje się, że zamknęli cię tu razem ze mną.

Patrzę po sobie. Ubrania mam w strasznym stanie. Błoto i coś gorszego. Wymiociny? To stąd ten obrzydliwy posmak?

Od smrodu skręca mi się żołądek. Oddycham: wdech, wydech, aż nudności mijają.

– Jest tu jakaś woda? – pytam.

– Nie. – Wali w drzwi. – Halo, hej tam! Potrzebujemy wody – mówi jak zwykle z nutką autorytetu, która tu może jednak nie pasować.

Za drzwiami słychać jakiś pomruk. Mija czas. Potem odzywa się czyjś głos:

– Odsunąć się od drzwi.

Uchylają się, zagląda Tori.

– Śmierdzi tu. – Marszczy swój idealny nosek, patrzy na mnie. – To ty śmierdzisz!

Za nią na krześle siedzi Katran – czujny, z bronią w rękach. Rozpoznaję gabinet Nica. Więc jesteśmy tu, gdzie myślałam, ale dlaczego ja...? Zalewa mnie fala strachu. Może Nico dowiedział się o Coulsonie i uznał mnie za zdrajczynię.

Tori podaje doktor Lysander butelkę wody, a Katran w tym momencie lekko potrząsa głową. Jego oczy mówią: „Bądź cicho. Czekaj”.

– Wypuście mnie – próbuję. Ale zamiast żądania wychodzi mi słaby, żalony jęk.

Tori się śmieje.

– Nic z tego – mówi. Zostawia nas, zamyka za sobą drzwi i wygląda przy tym na strasznie zadowoloną z sytuacji.

Doktor Lysander upija łyżeczkę, po czym podaje mi butelkę.

– Reszta dla ciebie. Będziesz po tym odwodniona. – Wskazuje ślady wymiocin.

Wypijam trochę, potem moczę najczystszy skrawek rękawa, by sobie otrzeć twarz. Nie ma nadziei, żeby oczyścić coś więcej. Wzdycham. W głowie mi pulsuje. Co się stało? Próbuję się skupić, zastanowić, ale mam w myślach tylko niewyraźny mętnik.

– Kiedyś myślałam, że byłby z ciebie dobry lekarz, Kyla. Teraz widzę, że się myliłam. Zawsze miałaś hemofobię, lęk przed widokiem krwi?

– Wcale nie! Ja... – I urywam. Kiedy to powiedziała, wszystko wraca. Widzę tylko strażnika i c z e r w i e ń, c z e r w i e ń, c z e r w i e ń...

Kurtyna krwi. Łzy wzbierają mi w oczach, cała drzę. Tyle krwi. Zapomnieć, odepchnąć, zakazać...

Ale Katran mówił, że mi nie wolno zapomnieć, że mam pamiętać, że...

Katran. To on go zabił. Przeciął mu gardło i zrobił to na moich oczach, prawie jakby wołał: „Patrz na to!”. Czemu go zabił? Dlaczego w taki okropny sposób?

Jeśli mam hemofobię, jestem stracona jako terrorystka.

– Czy fobię można pokonać? – pytam.

– Oczywiście. Choć nie jest łatwo. Najlepszy sposób to systematyczne odwrażliwianie: stawianie człowieka wobec jego lęku w kontrolowanym otoczeniu, aż czynnik wywołujący strach zacznie tracić swą moc. Na przykład kogoś z arachnofobią zostawia się z pajakami, aż stopniowo nauczy się być w ich towarzystwie rozluźniony. Popatrzyś jeszcze na kilkadziesiąt morderstw i powinno ci przejść.

O d w r a ż l i w i a n i e. Słowo odbija się echem gdzieś w głębi, aż świat zaczyna wirować i w r a c a m. Przebłyśki obrazów, jak w starodawnym horrorze w 3D, w którym przerażające rzeczy raz po raz wyskakują z ekranu na widzów. Nie dadzą mi spokoju. Wybuchy, krzyki, krew. Otaczam głowę rękami, zwijam się w kulkę, jakaś odległa częśćka mnie jest świadoma, że doktor Lysander woła mnie po imieniu, że jej ręka dotyka mojego ramienia. Trzęsę się i walczę z tym, zaciskam mocno powieki, ale to wciąż tam jest. Gwizd; błysk; wybuch. Autobus pełen dzieciaków. Krzyki, skrwawione ręce bębniące o szyby. A potem wszystko zaczyna się od nowa. I jeszcze raz, i jeszcze.

Jak w pętli powtórek. Jak... replay? Gdy sobie to uświadamiam, obrazy

zwijają się i rozplaszczają. Film na ekranie. A ja na krześle, unieruchomiona. To nie rzeczywistość. Wszystkie te okropne rzeczy. Nie było mnie tam, tylko zmusili mnie do oglądania: próba o d w r a ż l i w i e n i a. Która się nie powiodła.

Prostuję się, otwieram oczy. Może... nigdy nikogo nie zabiłam. Może nie mogłam.

Mija czas. Unikam wzroku pani doktor. Pewnie wie, że to wszystko moja wina. Lecz nic nie robi ani nie mówi. Jest spokojna, opanowana, ostrożna. Czeka pełna czujności.

A potem słysząc samochód.

Wkrótce po drugiej stronie drzwi rozlegają się głosy. Skóra mi cierpnie. Głos Nica. Tylko on mógł kazać mnie zamknąć. Czemu?

Mijają minuty, w końcu drzwi się otwierają i wchodzi Nico. Wesół jak szczygiełek.

– A, dzień dobry! Doktor Lysander, jak sądzę? Zechciałaby pani wstąpić? Pora na popołudniową herbatę.

Przytrzymuje drzwi, uśmiecha się, jakby zapraszał gościa. Pani doktor zastanawia się chwilę, potem wychodzi, a Nico odwraca się, żeby wrzucić klucze do szuflady biurka. Już myślę, że nie zwrócił na mnie uwagi, ale on zachęca gościa, by usiadł, po czym kieruje wzrok na mnie.

– A co my tu mamy? – Marszczy nos. – O, drogie dziecko. Może... tak. Myślę, że zanim dołączysz do nas, musisz się trochę umyć. – Zwraca się do Tori: – Weź ją, żeby się umyła, i znajdź dla niej jakieś czyste ubranie, proszę, a potem przyprowadź z powrotem.

Tori wyszarpuje mnie przez drzwi i ciągnie wokół budynku, a ja się zastanawiam: „Wiać?”. Ale są jeszcze inni. Uzbrojeni strażnicy. Na zewnątrz jest także Katran i jeszcze dwóch. Zapewne zawdzięczamy to obecności doktor Lysander.

– Stój tu – przykazuje Tori.

Idzie na tył i słyszę dźwięk nalewanej wody. Wraca z pełnym wiadrem, po czym opróżnia je nad moją głową: kubeł lodowato zimnej wody. Kaszle i pluję. Tori cofa się, ocenia.

– Nie, jeszcze za mało.

Wylewa na mnie kolejną porcję wody. Potem zostawia mnie, drżącą, i idzie z powrotem do domu. Wraca chwilę później.

– Włóż to. – Rzuca mi dzinsy i bluzę z kapturem.

Podnoszę wzrok, strażnicy się gapią. Wtem Katran kaszle, patrząc na nich znacząco i odwracają się. Pośpiesznie ściągam przemoczone ciuchy. Drżąca, zdrętwiała z zimna. Kiedy się schylam, żeby włożyć dzinsy, w głowie mi tak wiruje, że o mało nie padam na ziemię. Wkładam bluzę przez głowę, trzęsąc się gwałtownie. Walczę z rękawami, aż Tori szarpie mnie niecierpliwie. Dwaj strażnicy wciąż mają odwrócony wzrok, ale nie Katran. Krzyżuje spojrzenie z moim – spokojne, wyważone, coś mi przekazuje. Co?

– Chodź – mówi Tori i z obrzydzeniem kopie moje ubrania na bok. – Nico czeka.

Uśmiecha się, a we mnie wszystko cierpnie, gdy idę za nią do domu. W środku jest tylko odrobinę cieplej niż na zewnątrz. Wciąż drzę z zimna i strachu.

W gabinecie Nica stoi teraz trzecie krzesło.

– A, jesteś – odzywa się gospodarz. – Siadaj, Kyla.

Tori ociąga się przy drzwiach.

– Idź już! – rozkazuje jej Nico.

Dziewczyna wyskakuje przez drzwi i zamyka je za sobą, ale mimo pośpiechu, widzę na jej twarzy mocne rozdrażnienie.

– Herbaty, Kyla? – pyta Nico z czajnikiem w ręce.

– T-t-t-tak, proszę – odpowiadam. Zęby mi szcękają, choć bardzo się staram nad nimi zapanować.

– A, biedactwo. Nie mamy tu ciepłej wody, niestety – zwraca się do doktor Lysander. – Ale radzimy sobie, jak umiemy.

Nalewa napój do kubka i podaje mi go, a ja owijam wokół niego zziębnięte dłonie, skupiam się na promieniującym z herbaty ciepłe, chłonę je.

Nico wychodzi z pokoju, ale zaraz wraca z kocem i zakłada mi go na ramionach.

– Nie możesz zamarznąć na śmierć, póki nie zdecydujemy, co z tobą zrobić.

Doktor Lysander siedzi ze skrzyżowanymi nogami, z kubkiem herbaty w ręce. Oczywiście wciąż jest w stroju do jazdy konnej, ale przybrała swoją szpitalną pozę, jakby była ubrana w kitel. Spokojnie obserwuje.

– Może czas, żeby mi pan wyjaśnił, co się tutaj dzieje? – odzywa się do Nica z jedną brwią uniesioną, jakby łagodnie przepytowała niesfornego pacjenta.

– Proszę się przedtem poczęstować herbatnikiem. – Otwiera pudełko, podaje je najpierw mnie, ale odmawiam ruchem głowy. Żołądek mam pusty, jednak nie jestem w stanie przyjąć nic ponad zaciśnięty w dłoniach kubek z herbatą.

Wreszcie Nico kończy swoją herbatę i garść czekoladowych herbatników.

Rozsiada się na krześle.

– Może słyszała pani o Wolnej Brytanii. Pewnie zna nas pani pod nazwą, którą nadali nam Lorderowie: ART – mówi.

Doktor potwierdza skinieniem.

– Coś słyszałam.

– Została dziś pani zaszczycona zaproszeniem do wspomnienia naszej sprawy. Do zrucenia zła, jakie pęta i dusi naszą młodzież i wszystkich innych w tym wspaniałym kraju.

Doktor unosi brew. Nico patrzy na mnie.

– Weźmy na przykład to biedne dziecko. Proszę na nią spojrzeć: drży. Samotna i zagubiona. Władza ją zresetowała, uczyniła niezdolną do odróżniania przyjaciół od wrogów. Dziewczyna nie umie sama myśleć. Tak łatwo ją zmanipulować do jakiegokolwiek celu. Z założenia do celów Lorderów, ale my możemy to zrobić tak samo. Co ją czeka? Jaką przyszłość ofiarowuje jej ten kraj?

Jakaś część mnie, jakiś maleńki strzęp wewnętrznej przekory podskakuje we mnie, miota się i krzyczy. Czy uważa, że to właśnie ze mną zrobił? Nagiał mnie do swoich celów, a teraz postrzega jako bezużyteczny odpad do wyrzucenia? Ale większa część mnie jest otępiała, zimna. Mam świadomość, że czegoś jak czegoś, ale przerywać mu na pewno nie chcę.

– Dziwne pytania mi pan zadaje – odpowiada doktor Lysander. – Jej przyszłość? Wplątując ją w dzisiejsze wydarzenie, zdmuchnął ją pan jak wypaloną zapałkę.

– Równie dobrze mogę więc to zakończyć – mówi Nico i otwiera szufladę swego biurka. Wyciąga rewolwer. Sprawdza magazynek. Uśmiecha się. Unosi broń od niechcienia, odbezpiecza. Mierzy w moją głowę.

Wypełnia mnie przerażenie – gorąco i poczucie realności. Ale... nie. Nico nigdy by mnie tu nie zastrzelił. Nie lubi bałaganu. Wywłókłby mnie do lasu i tam wykończył, gdyby miał taki plan.

– Nie. – Doktor Lysander gwałtownie wciąga powietrze. – Proszę.

On unosi brew w zaskoczeniu, lekko marszczy czoło.

– Czemu nie?

Ona wydaje się zbита z tropu tym pytaniem.

– Jestem lekarzem, przysięgłam chronić jej życie. Jest moją pacjentką.

Nico uśmiecha się półgębkiem.

– Nie. Nie o to chodzi, pani doktor. Ma to pani wymalowane na twarzy. Zależy pani na niej. Widzę wyraźnie. Ta łajza – mówi i uśmiecha się do mnie

jak do ulubionego szczeniaka, który rozrabia, ale wciąż może liczyć na miłość – jest jak dziecko, którego nigdy pani nie miała. Zależy pani tak samo jak mnie. I o to właśnie w tym wszystkim chodzi, pani doktor. – Opuszcza broń. – Możesz iść, Kyla.

– Co...?

Znowu otwiera szufladę, chowa rewolwer, wyjmując coś innego.

– Proszę. – Rzuci mi moją legitymację szkolną. – Dopilnowałem, żebyś była obecna na wszystkich lekcjach. Idź już, żebyś się nie spóźniła do domu i nie potrzebowała wyjaśnień.

Stoję oszołomiona i niepewna, spoglądając to na Nica, to na doktor Lysander. Jej opanowanie na chwilę znika, tak jak wtedy, gdy on wyjął broń. A przecież ona nie ma lęku krwi. Na pewno widziała gorsze rzeczy niż rany postrzałowe, choć może niekoniecznie zadane w takiej bliskości, tuż przed nią.

Robię krok w stronę drzwi wstrząśnięta odkryciem: zależy jej na mnie.

– Dlaczego, Kyla? Zadaj sobie pytanie dlaczego – mówi miękko doktor Lysander, gdy wychodzę za próg i zamykam drzwi.

Wszystko, co wydarzyło się dzisiaj, było grą, którą Nico zaplanował dla niej. Właśnie o to w tym chodzi.

Nico i jego gry, gierki wewnątrz gier. Ukryte znaczenia i manipulacje. Jest w tym mistrzem i czegoś chce od doktor Lysander, przynajmniej na ile mogę zrozumieć.

Ale wydaje mi się, że spotkał równego sobie gracza.

Tori leży na jednym z posłań na podłodze z rękami założonymi za głowę. Śmieje się.

– Co z tobą? – pytam.

– Żebyś się widziała! „Wypuście mnie” – naśladuje błagalny, tragiczny szept.

– Bawiłaś się o wiele za dobrze.

Siada na legowisku.

– Może. Miałam rachunek do wyrównania. Za ciebie i Bena – wyjaśnia. – Teraz jesteśmy kwita. Znowu przyjaźń? – Wyciąga rękę, ale ignoruję ją i wychodzę z budynku. Goniona jej śmiechem.

Idę w las, nagle bojąc się, że scena z wypuszczeniem mnie była tylko na pokaz. Że Nico naprawdę chce mnie wykończyć, tylko bez bałaganu. Że zaraz za mną kogoś wyśle. Lecz idzie jak zwykle Katran, bez broni na widoku. Nie żeby jej

potrzebował, gdyby dostał takie instrukcje.

– Rain? – odzywa się, ale nie odpowiadam. – Mamy ciche dni? – pyta chwilę później.

Wzruszam ramionami.

– O co dokładnie się wściekasz?

– Jestem zbyt zmarznięta, zmęczona i pusta, żeby próbować cię dziabnąć – mówię i aż się wzdrygam na swój dobór słów. Opieram się ciężko o drzewo.

– Nie mogłem cię uprzedzić – wyjaśnia. – Przykro mi.

– O czym nie mogłeś uprzedzić? Że to będzie zasadzka i że nie zaczekacie na mój sygnał? Że zostanę też potraktowana jak jeniec? Że weźmiecie mnie do niewoli tylko dla jaj? Która z tych rzeczy musiała być tajemnicą?

– Wszystkie. Gdybyś wiedziała cokolwiek, Nico zaraz by się domyślił. Wiesz, jaki on jest.

Wzruszam ramionami, ale faktycznie, wiem. Każdego przejrzy na wylot.

– Musisz wiedzieć, że nigdy bym na to nie poszedł, gdyby to miało być naprawdę.

– Serio? Po tym, co zrobiłeś dzisiaj, myślę, że jesteś zdolny do wszystkiego.

Ból w jego oczach jest prawdziwy. Katran wyciąga rękę, ale wzdrygam się, cofam dłoń. Jego ręka trzymała nóż, przesunęła nim po czyimś gardle. Skróciła komuś życie.

– Musiałeś go zabić? – pytam.

– Rain, to był Lorder. Wróg. Widział nas i mógł cię zidentyfikować, a poza tym tak: musiałem go zabić. Toczymy wojnę. Ludzie na niej giną. – Wzrusza ramionami i nic w jego oczach nie świadczy o tym, żeby żałował tego, co zrobił, ani żeby czuł, że odebrał życie. Po prostu kiedy krew wytrysnęła na ziemię, odepchnął tamtego jak śmiecia.

W gardle znów mi się coś skręca.

– Zabierz mnie do domu – szepczę.

– Chodź.

Musimy wsiąść oboje na jego motor, bo mój został w skrytce. Siedzimy blisko i zachłannie chłonę bijące od niego ciepło, ale odległość między nami równie dobrze mogłaby być jak stąd do księżycy.

Gdy docieramy do skrzyżowania dróżki ze ścieżką prowadzącą do mojego domu, zatrzymujemy się, zsiadam i bez słowa odchodzę.

Wieczorem, mimo gorącej kąpieli i kolacji, nie mogę się pozbyć wypełniającego mnie od środka zimna. Grzejnik w pokoju jest nastawiony na pełną moc,

poowijałam się szczelnie pościelą, ale i tak drzę. Przez głowę przelatują mi wydarzenia dnia, we właściwej kolejności i zupełnie bez ładu, znów i znów. Chciałabym je odegnąć, wrócić, zapomnieć, ale...

Jeżeli zapomnę, jak będę mogła iść naprzód? Muszę pamiętać, muszę wydedukować dlaczego. Muszę się przyjrzeć swojemu lękowi i sprawdzić, co właściwie zobaczę.

Tak wiele rzeczy walczy o moją uwagę, ale jedna powraca najbardziej uparcie – pytanie doktor Lysander: „dlaczego?”. Ona nigdy nie marnuje słów ani myśli, mówi tylko to, co jest ważne. Odpowiedź kołuje gdzieś w mojej głowie, szukając miejsca na wylądowanie. Zaczynam odczuwać senność, zmęczenie, ciało i umysł kołyszą się w jednym rytmie, jak podczas biegu albo galopu na końskim grzbiecie przez pola, z przeskakiwaniem przez płoty.

Dlaczego...?

Krzyczę znowu i znowu.

Aż otwierają się drzwi i do pokoju wpada światło z korytarza.

– Kochanie, co się dzieje? – Tatuś siada na brzegu mojego łóżka.

Początkowo tylko płaczę. A potem wskazuję. W dół.

– O co chodzi?

– Słyszałam coś. Coś tam jest – szepczę.

– Gdzie?

– Pod łóżkiem.

– O, kochanie. Lepiej tam zajrzę.

– Uważaj!

– Nie martw się, będę ostrożny. – Wyjmuje z mojej szafki latarkę do tropienia potworów, zapala ją. Schyla się, kieruje snop światła pod łóżko, przesuwa w prawo i w lewo. Podnosi wzrok. – Sprawdziłem bardzo dokładnie. Nie ma potworów.

– Ale słyszałam! Naprawdę.

– Nic nie ma pod łóżkiem, daję słowo. – Przykuca z zamyśleniem na twarzy. – Wiesz, najlepszy sposób, żeby się upewnić, to sprawdzić samemu.

Potrząsam głową, ale stopniowo przekonuje mnie, żebym zeszła z posłania.

– Zajrzyj sama, Lucy. Wtedy będziesz wiedziała na pewno. Zmierz się ze swoim strachem, a nie będzie już taki straszny.

Drzę, klękam koło łóżka i świecę latarką pod spodem. Kilka butów, zapodzielana książka.

Żadnych potworów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Budzę się, gdy jeszcze jest ciemno. Tulę do siebie ten sen, staram się przeciągnąć uczucie, którym Lucy darzyła swojego tatę. Wiem, kim on jest, choć jego twarz nigdy nie pojawia się zbyt wyraźnie w tych snach. Dla Lucy, dziecka, którym byłam dawno temu, nie istniały potwory, z jakimi tatuś nie mógłby się rozprawić. Wspomnienie czy tylko wymyślona fantazja? Nie. Wszystko mi podpowiada, że to było naprawdę. Ale im bardziej jestem rozbudzona, tym mocniej mi się to wymyka.

Jeżeli celowo staram się przypomnieć sobie cokolwiek o Lucy, nie mogę. Wiem parę rzeczy, faktów. Przede wszystkim znam jej datę urodzenia. Bez względu na to, co doktor Lysander mówi o komórkowym teście wieku, wiem, że musieli się pomylić, moje urodziny wypadają trzeciego listopada, były zaledwie kilka tygodni temu. Ale uczucia, twarze? Nic.

Lucy miała odejść na zawsze. Zgodnie z terminologią użytą przez panią doktor została rozszczepiona na warstwy – Lucy i Rain – a Rain ukryła się, gdy Lucy została Zresetowana. Więc co z tymi snami?

I jeszcze pytanie doktor Lysander: „dlaczego?”. Zmuszam się do przemyślenia wczorajszego dnia i wszystkiego, o czym rozmawialiśmy. Przedtem, na koniach, zdradziłam jej swoje sekrety. Na ile je sama znam. Podchwyciła wtedy kwestię, dlaczego zostałam Zresetowana.

Czy to samo „dlaczego” powtórzyła potem, gdy wychodziłam?

Natężam pamięć, usiłuję śledzić jej wątki, ale są jak splątana włóczka, cała w zagmatwanych węzłach. Lorderowie zresetowali mnie, ponieważ mnie złapali – to proste. W ogóle nie mam z tego wspomnień. Zostały wymazane albo zapędzone w zakamarek mózgu, do którego nie uzyskam dostępu. Tak czy siak, nie ma zbytniej różnicy. Nie wiem, co się wtedy zdarzyło.

Ale może doktor, zadając swoje pytanie, nie miała na myśli konkretnych wydarzeń. Może chodziło jej o to, co doprowadziło do resetu.

Cóż, doprowadził Nico, to oczywiste. Gdybym nie należała do Wolnej Brytanii, nigdy nie trafiłabym do zresetowania. Ale wszyscy podejmujemy to ryzyko. Obojętne, co wydarzyło się w moim życiu kiedyś, teraz sama wybrałam tę stronę. Postanowiłam zignorować umowę z Coulsonem i przeciwstawić się Lorderom.

Jednak w pytaniu pani doktor jest coś, co boli mnie od środka jak zepsuty ząb.

Wiadomo, że trzeba go wyrwać, ale trudno się przemóc i iść do dentysty.

I jeszcze gorzej. Nawet tam, zatrzymana przez Nica, w obliczu najgorszego możliwego zagrożenia, niebezpieczeństwa, w które wpadła z mojego powodu, wciąż próbowała mi pomóc?

Na dole czeka mnie niespodzianka: mama i tato jedzą razem śniadanie.

– Wcześniej dziś wstałaś – zauważa mama.

– Fakt. Obudziłam się i nie mogłam z powrotem zasnąć.

Nalewam sobie herbaty, siadam. Amy przychodzi później, piszczy z radości i wita tatę uściskiem. Jest jak Lucy ze swoim tatusiem i w duchu odczuwam zawirowanie zazdrości. Amy po zresetowaniu znalazła w przypisanych jej rodzicach prawdziwą rodzinę. Tato jest jej szczególnie bliski, w stosunku do mnie zaś zawsze zachowuje się dziwnie. Czasami taki miły, a czasem zimny, rzucający groźby.

Czuję, że coś mnie nagle tknęło, coś związanego z tatą i Amy. Mama krząta się po kuchni, jej wzrok kieruje się w różne strony, ale nie na tatę. On z kolei słucha szczebiotania Amy i wydaje wszelkie właściwe „ochy” i pomruki, lecz nie spuszcza mnie z oczu. Przygląda się, ocenia. Jest chyba nawet zaciekawiony, ale się powstrzymuje i to do niego niepodobne.

Wtem w mojej głowie coś zaskakuje z pstryknięciem. Może się pomyliłam.

Na górze pukam do drzwi Amy i wchodzę, podczas gdy ona miota się po pokoju, pakując się do szkoły.

– Amy, pamiętasz ten dzień, kiedy znalazłaś moje rysunki? Ze szpitala i nie tylko. Czy powiedziałaś o nich tacie?

Przez jej twarz przemyka poczucie winy.

– Sorki. Zadzwoił i rzeczywiście, wspomniałam mu. Wcześniej prosił, żebym miała na ciebie oko i pilnowała, żebyś nie wpadła w kłopoty. Naskoczył na ciebie za to?

– Nie, nie, w porządku – mówię, nie chcąc, żeby zaraz do niego pobiegła. – A co z mamą? Jej też mówiłaś?

Marszczy brwi.

– Nie, chyba nie. Czemu?

– Nic, nic. Nie przejmuj się.

Idę do swojego pokoju, po czym szcnotkuję sobie włosy, patrząc w lustro niewidzącym wzrokiem.

Cóż. Pomyliłam się. Nie brałam go pod uwagę, nawet go tu nie było. Nie

przyszło mi do głowy, że Amy wygadała się przez telefon.

A więc to tato doniósł Lorderom. To przez niego tamtego dnia zgarnęli Cama i mnie.

Biedna mama. Chciałabym zbiec na dół i uściskać ją, przeprosić za to, że zamykałam się przed nią. Ale jest na to za późno. Narysowałam linie. Doktor Lysander została jeńcem z mojego powodu, a jej ochroniarz nie żyje. Nie mogę wpuścić mamy do swego życia, już nie. Wybrałam drogę z Wolną Brytanią i nie ma odwrotu.

Jeżeli mogłam tak bardzo pomylić się co do mamy, kogo jeszcze źle oceniłam?

Dlaczego zostałam Zresetowana?

– Amy, Kyla! – woła mama od schodów. – Jazz przyjechał.

Wyjeżdżając z wioski, wpadamy w korek. Suniemy powoli, aż w końcu docieramy do centrum zatoru. Ambulans, kilku Lorderów. Droga jest zablokowana w jedną stronę, funkcjonariusz kieruje ruchem wahadłowym i czekamy na swoją kolej. Na ziemi leży coś przykrytego prześcieradłem. A obok drogi wbity w drzewo dopala się biały wóz dostawczy.

Od środka zalewa mnie zimno. Bo wiem, co to oznacza. Dostrzegam nawet resztki napisu na samochodzie: „Buduj z nami”.

Na przerwie śniadaniowej wślizguję się do gabinetu Nica. Zamyka za mną drzwi na klucz.

– Rain! – Uśmiecha się ekstatycznie na mój widok i z miejsca bierze mnie w objęcia.

Nie odwzajemniam uścisku. Wypuszcza mnie z ramion.

– A. Jesteś na mnie zła za wczorajsze małe przedstawienie? Przepraszam za to, Rain. Wszystko dla sprawy, nie? Siadaj. – Usadza mnie na krześle. – To mój ostatni dzień w tym miejscu.

– W szkole? – pytam zaskoczona.

– Zbyt wiele mam przed sobą planów, by spędzić tu czas. – Mruga porozumiewawczo. – Tak między nami, dzisiaj wieczorem wyjadę z powodu pilnej sprawy rodzinnej.

– Jak tam doktor Lysander? – Nie mogę się powstrzymać od pytania. – Co z nią będzie?

– Fascynująca kobieta – zachwyca się Nico. – Taki silny charakter.

Nie zdradza nic więcej. Może nie udało mu się nakłonić jej do tego, czego

od niej chce. Czy coś jej zrobił?

Pewnie odczytuje to w mojej twarzy.

– Rain, pamiętaj: ona jest wrogiem. Choć póki co nic jej nie grozi. Ale dość o niej. Musimy porozmawiać o tym, co będzie w Chequers. Jeśli twoja przybrana matka nie zrobi tego, co trzeba, i nie powie prawdy, co wtedy?

– Mówiłeś, że jest inny plan. Jaki?

– Tak, moja droga, plan B.

– Co masz na myśli?

– Albo ogłosi światu prawdę, albo umrze. I to musi pójść w telewizji na żywo w całym kraju.

Gapię się na niego oszołomiona.

– Ja jestem planem B, tak? Ja mam to zrobić?

– Nie ma innego sposobu. Na tej ceremonii będziecie tylko ty i twoja rodzina. Pojedziecie razem w rządowym samochodzie, jak premier. Nikt was nie sprawdzi. Tylko ty możesz wnieść tam broń.

Zaczynam panikować. Ja mam kogoś zabić? I to nie byle kogo... mamę!

– Nico, ja...

– Wyłącznie ty możesz to zrobić, Rain. Jesteś jedyną osobą, która może powstrzymać Lorderów. Oto jest wolność, w twoich rękach, bierz ją!

– Ale ja...

– Nie martw się. Nie zawiedziesz mnie. – Mówi to z taką pewnością siebie, jego oczy wwiercają się w moje. Oczy, którym muszę być posłuszna i już. Jeżeli Nico mówi, że mam to zrobić, że umiem, to tak jest.

Wciąż jednak czai się we mnie ukryte za zgrozą pytanie: co mnie tu dziś przyprowadziło? Stojące za wszystkim „dlaczego?”.

– Mogę cię o coś zapytać? – Trudno mi się zdobyć na odwagę, ale słowa wychodzą same. – Czy odpowiesz zgodnie z prawdą?

Nico nieruchomieje na chwilę.

– Sugerujesz, że nie zawsze odpowiadam zgodnie z prawdą – mówię z niebezpieczną nutką w głosie. – Powinnaś już chyba wiedzieć. Może nie za każdym razem zaspokajam niemądrą ciekawość, ale gdy odpowiadam, zawsze jest to prawda.

Tylko że prawdy Nica niekoniecznie pokrywają się z tym, co inni ludzie rozumieją przez to słowo.

Lecz zaraz się uśmiecha.

– Ty, drogie dziewczę, po wczorajszym popisie zasługujesz na ekstra nagrodę. Pytaj o cokolwiek, a ja odpowiem. – Siada czujnie na brzegu krzesła. –

Dawaj.

Przełykam ślinę.

– Czemu zostałam Zresetowana?

– Wiesz czemu.

– Serio?

– Albo przynajmniej wiedziałaś. Pomyśl. Sprawdźmy, czy umiesz wydedukować. Ochroniliśmy część ciebie przed resetem, prawda? Wraca coraz więcej twoich wspomnień.

Nasuwa mi się kolejne pytanie, właściwie jakby czekało od dawna: skoro przygotowywano mnie do zresetowania, to znaczy, że zawsze byłam do tego przeznaczona. Czy właśnie to doktor Lysander miała na myśli w swoim „dlaczego”? Oczy mi się rozszerzają, kiedy dociera do mnie szok.

– O co chodzi? – pyta Nico.

– Od początku miałam być Zresetowana. Nie chodziło tylko o zwykłe ryzyko czy pecha w razie, gdyby mnie złapali albo coś z tych rzeczy.

Pochyla lekko głowę.

– Brawo, Rain. Pamiętasz.

Wzdrygam się, szok i zgroza okazują się silniejsze niż strach i nie umiem usunąć ich z twarzy.

– Ale dlaczego?

– Chcieliśmy pokazać Lorderom, że mogą ponieść porażkę, że umiemy obejść ich sposoby. Że gdzieś, kiedyś, kiedy najmniej się będą tego spodziewali, otrzymają cios.

– Ale jak mogłeś mi to zrobić?

– Rain, zgodziłaś się na ten plan. Tak jak twoi rodzice. Przekazali cię nam dla sprawy właśnie w tym celu.

– Nie – szepczę. – Nie zrobiliby tego.

– Zrobili. Twój prawdziwy tato należał do Wolnej Brytanii. Wiedział, że w kraju rządzonym przez Lorderów nie ma przyszłości dla jego dziecka, podobnie jak dla żadnego innego. – Na jego twarzy maluje się współczucie. – Tak właśnie przedstawia się prawda, o którą mnie dziś prosiłaś.

Zamykam oczy, odcinam się od twarzy i słów Nica i czepiam wczorajszego snu. Tamten człowiek nie zrobiłby czegoś takiego. Nie oddałby swojej córki Nicowi. Nigdy.

Otwieram oczy, tym razem pilnując, by ukryć niedowierzanie. Nico kładzie mi ręce na ramionach.

– To ty dokonałaś tego wyboru. I jest to właściwy wybór. Wiesz, i to

z pierwszej ręki, że Lorderom i ich resetowaniu trzeba położyć kres.

– Trzeba temu położyć kres – powtarzam i nie muszę udawać przekonania. Prawda jest wolnością, wolność jest prawdą.

– Nie zawiedziesz mnie. – Pochyla się, całuje mnie w czoło. – I nie zapominaj, co zrobili Benowi.

Na dźwięk jego imienia przetacza się przeze mnie świeża fala bólu. Tyle się tego we mnie nagromadziło, że ostatnio odsunęłam Bena na drugi plan.

– Ben też był po naszej stronie, wiesz – dodaje Nico. – Chciałby, żebyś podjęła tę walkę za niego.

Nico wyprowadza mnie ze swojego gabinetu. Sens jego słów dociera do mnie, dopiero kiedy wychodzę z budynku w szary listopadowy dzień.

Ben był po stronie Wolnej Brytanii? Nico mógłby o tym wiedzieć, tylko gdyby go osobiście zwerbował.

Moje dłonie zamieniają się w twarde, zaciśnięte pięści. Zawsze się zastanawiałam dlaczego. Dlaczego Ben nagle postanowił przeciąć sobie Levo i chciał wstąpić do Wolnej Brytanii. Może być na to tylko jedna odpowiedź: Nico.

Zwerbował innych z naszej szkoły, ale dlaczego Bena? Zresetowany nie jest idealnym rekrutem – nie potrafi dotrzymywać tajemnic i, nie licząc Tori, nie jest zdolny do aktów przemocy. Ben mógł się stać celem wyłącznie z mojego powodu.

Późną nocą sen wciąż nie przychodzi. Nie do mnie. W moim sercu pulsuje stopiony metal, płynie w żyłach. Przez ciało przetaczają się fale gniewu na to wszystko, co Nico zrobił ze mną. Z Benem. Gniew nie znajduje dla siebie ujścia, więc rośnie.

Ale w końcu za tym wszystkim i tak stoją Lorderowie. Oni i ich resetowanie to wciąż najważniejszy wróg. To oni doprowadzili mnie do tego punktu. Zresetowali Bena, a potem go zabrali. Oni są celem. Nico tego dopilnuje.

Podskakuję, gdy na moim nadgarstku rozlega się brzęczenie – komunikator Nica, jakby podsłuchiwał moje myśli i czekał na właściwy moment. Zastanawiam się, czy odbierać, ale w końcu przyciskam guzik.

– Tak? – odzywam się cicho.

– Tu Katran. Spotkajmy się za godzinę przy twoim motorze.

I wyłącza się.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Wymykam się w mroczne cienie za domem, potem idę ścieżką. Nagromadzone tajemnice sprawiają, że kilometry śmigają szybko, gdy maszeruję z głową pełną pytań i półodpowiedzi.

O co chodzi z tym spotkaniem? Może Nico orzekł, że stanowią za duże zagrożenie, i wysłał Katrana, żeby mnie wyeliminował razem z ryzykiem. Żołądek mi się skręca na myśl o tym, co Katran zrobił – tak po prostu przelał krew. I stał się zwyczajnym mordercą.

Lecz lata temu to Katran przytrzymał mnie w nocy, gdy pod wpływem koszmarów płakałam ze strachu. Katran całym sobą wierzy, że robi to wszystko, aby obalić Lorderów i sprawić, że świat będzie lepszy.

Jestem tak zagubiona w myślach, że omal na niego nie wpadam.

– Cześć – mówię.

– Uważaj, jak idziesz – syczy. – I postaraj się chodzić ciszej, słysząc cię na kilometr.

– Kłamiesz. Co tam?

– Nico mnie przysłał.

Na dźwięk jego imienia znowu rozpala się we mnie gniew, mocno zaciskam pięści.

– Czemu?

– Chce, żebym ci to dał, ale ja nie chcę ci tego dawać.

Sięga do kieszeni i w jego dłoni w poświacie księżycy błyska mały rewolwer. Przyszedł, żeby mnie zabić. Cofam się. Katran wybuchają śmiechem.

– Powinnaś się widzieć. Głuptasie. To jest jego plan B: masz zabić swoją matkę. Ale kogo ty chcesz oszukać? Nigdy nie będziesz w stanie tego zrobić. Daj sobie spokój. Zwiewaj, póki jeszcze masz szansę.

Wyciągam rękę, starając się, żeby nie drżała. Katran trzyma broń, jakby miał pociągnąć za spust.

– Popatrz tu, Rain. Pociągasz to. Bliski zasięg. Jeden strzał. A może narobić tyle szkody: zniszczyć tkanki, mięśnie. Krew, Rain: deszcz czerwonej, ciepłej krwi. Opryska cię całą.

Żołądek mi się skręca, staram się nie wyobrażać sobie tego, co Katran opisuje. Trzymać rękę stabilnie.

Przeklina pod nosem i gniew na jego twarzy ustępuje łagodniejszej minie.

– Rain, proszę. Przemyśl to. Jeśli ci się uda nacisnąć spust, co się stanie z tobą? Sekunda, dwie i nie żyjesz.

– Daj mi to w końcu. Już.

Upuszcza rewolwer w moją dłoń. Potrząsa głową. Pokazuje mi, jak działa broń, tym razem właściwie – mała pojedyncza lufa, kabura z paskiem, pozwalająca ukryć rewolwer pod ramieniem. Specjalna plastikowa obudowa, która sprawi, że bez problemu przejdę przez wykrywacz metali. Tylko bliski zasięg. Żaden problem, skoro będę stać tuż obok mamy, gotowa na wypadek, gdyby wygłosiła przemowę nie po myśli Nica.

– Nico chce też, żebym sprawdził, czy jesteś po naszej stronie. Co go zaniepokoiło?

– Domyśliłam się paru rzeczy i głupio się przed nim wygadałam.

– O? Czego na przykład?

– Mogę ci najpierw zadać pytanie?

– Pytać możesz. Nie obiecuję, że odpowiem.

– Jak Lorderowie mnie złapali? Jak to się stało, że trafiłam do resetu?

Katran nie odzywa się i zaczynam myśleć, że nie odpowie. Potem wzdycha, przeczesuje sobie włosy palcami jak zawsze, gdy jest w kłopotach. Jak mogę pamiętać takie drobiazgi, a mieć luki w poważnych sprawach?

– Szczerze? Nie wiem. Był napad na skład broni Lorderów, ale mnie tam nie było. Miałem być, jednak w ostatniej chwili Nico wysłał mnie gdzie indziej z jakąś głupotą. Byłem taki zły! Potem, kiedy wróciłem... – Potrząsa głową. – Słyszałem, że to była zasadzka. Jakoś się dowiedzieli, że tam będziemy. Troje naszych poległo. Ty z paroma innymi poniżej szesnastu lat dostaliście się do niewoli. Uznaliśmy was za Zresetowanych. Nie było mnie tam, żebym cię obronił! Do czasu, kiedy cię niedawno spotkałem, nie miałem pojęcia, co się z tobą stało.

Patrzę na niego zszokowana. Tyle niepotrzebnych śmierci i resetów.

– To nie twoja wina. Poza tym, gdybyś tam był, co byś zrobił? Też zginął.

– Może. Nie wiem – mówi.

Ale Katran zawsze wydawał się niepokonany. Może gdyby tam był, sprawy potoczyłyby się inaczej. Czy właśnie dlatego został wysłany gdzieś indziej?

– Nie twoja wina, ale wiem czyja.

– Lorderów.

– Im przypadła brudna robota, ale kto to ustawił?

– Co masz na myśli?

– Posłuchaj. Dziś wreszcie do mnie dotarło, że zawsze byłam przeznaczona

do zresetowania. Nie był to jakiś przypadek ani pech, że mnie złapali. Przygotowano mnie do tego zgodnie z planami Nica.

– Nie. Niemożliwe. Nawet gdyby to była prawda, nie przy tych wszystkich rekrutach. Nie!

– No, nie mógł mnie przecież podać Lorderom na tacy i powiedzieć: „Proszę bardzo, zresetujcie tę dziewczynę, bo na niej eksperymentowaliśmy”, no nie?

Katran zaciska pięści.

– Jeżeli to prawda, zabiję go.

– Prawda. Sam ją potwierdził. Ale co z Wolną Brytanią i tym, o co walczysz?

W oczach ma dziki gniew.

– Jak mógłbym ciągnąć to dalej i udawać, że nie wiem? Jak mógłbym mu znów zaufać?

– Po prostu nie ufaj. Ja już mu nie ufam. Ale to nie zmienia tego, do czego dążymy. A Nico ma ten sam cel: obalić Lorderów.

Słyszę własne słowa i nienawidzę się za to, że bronię Nica, chociaż wiem, że ukartował wszystko, co się ze mną stało, co przydarzyło się Benowi. I pomyśleć, że winiał Aideną, podczas gdy za działaniem Bena od początku stał Nico. Ale to Lorderowie zresetowali Bena i zrobili na nim kolejny eksperyment.

– Jednak kiedy Lorderów już nie będzie... – mówię i wzruszam ramionami. „Potem będzie inny czas”. Nico się nie wywinie. Nie, jeśli Katran wie.

– Gdy ich nie będzie... – Katran nie kończy. W jego oczach widzę śmierć Nica.

– Myślisz, że to naprawdę nastąpi? Że pokonamy Lorderów?

– Tak. Tym razem nam się uda. Zorganizowaliśmy to jak nigdy dotąd.

– Naprawdę?

– Wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Będą skoordynowane ataki w całym kraju. W tym kluczowe zabójstwa, a wszystko to dokładnie w momencie, kiedy był podpisany traktat, który powołał do życia Centralną Koalicję i zaczęły się ich rządy. Ale potrzebujemy powszechnego poparcia. Bez tego... – Wzrusza ramionami.

„Bez tego ostatecznie będzie porażka”.

– Potrzebujemy przemowy mamy, musi publicznie ogłosić prawdę. A jeśli tego nie zrobi? Co wtedy?

Katran kładzie mi ręce na ramionach, okręca mnie w swoją stronę. Z determinacją patrzy mi w oczy.

– Nico mówi: plan B. Wyrwać Lorderom serce, zabijając córkę ich bohatera. Pokazać, że nikt nie jest bezpieczny, że wszędzie są wystawieni na ciosy. Ale

nie rób tego, Rain. Ratuuj się.

Przełykam ślinę.

– Muszę. Lorderowie muszą ustąpić. To, co zrobił Nico, niczego nie zmienia.

Ciemne oczy Katrana błagają, żebym zmieniła zdanie. Bezwiednie wyciągam rękę tak jak poprzednio i lekko dotykam szramy na jego twarzy. Jego „dlaczego”. Tym razem się nie odsuwa.

– Katran, miałeś rację, kiedy mówiłeś, że powinnam pamiętać. Muszę się dowiedzieć, co mi się przydarzyło i dlaczego. Wszystkiego.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak. Nico powiedział, że moi rodzice oddali mu mnie. Że zgodzili się, żeby mi to zrobił. Chcę wiedzieć. Muszę znać prawdę.

– Mam coś dla ciebie. Ale tylko jeśli jesteś pewna. Czy chcesz pamiętać bez względu na wszystko?

– Tak. Jestem pewna.

Sięga sobie pod koszulę, pociąga za rzemyk, który ma na szyi. Wyjmuje spod ubrania i widzę, że coś tam wisi.

– Co to jest?

Zdejmuje rzemyk przez głowę i wręcza mi go.

– Coś, co mi kiedyś dałaś, lata temu.

Światło jest słabe i wymacuję to coś palcami: wciąż ciepły od jego skóry rzeźbiony kawałek drewna kilkucentymetrowej długości. Wieża szachowa. Moje palce ją pamiętają – nie jest to jakaś wieża, tylko TA wieża. Moja wieża. Tatusia. Aż mnie zatyka.

– Pamiętasz to?

– Chyba tak. Rzecz z mojego dzieciństwa. Nie rozumiem. Dlaczego ci ją dałam?

– Miałaś takie straszne koszmary. Powiedziałaś, że chociaż nie chcesz tracić już więcej żadnych kawałków siebie, tego nie możesz zatrzymać. Musiałaś się pozbyć dawnej siebie, zapomnieć o niej. W jakiś sposób jest to związane z tą wieżą. Poprosiłaś, żebym ją za ciebie wyrzucił, bo sama nie umiałaś. Ale ją zatrzymałem, Rain. Żeby mieć część tej ciebie, którą kiedyś byłaś. Może ci to pomoże w budzeniu wspomnień.

Wpatruję się w Katrana zdumiona. Jakaś część mnie tuż na jego sercu?

– Dzięki – mówię i wieszam sobie rzemyk na szyi, pod ubraniem. Dotyk figury na skórze sprawia, że pełźnie po mnie niezidentyfikowane przerażenie.

– Czas się zbierać – stwierdza Katran, ale się nie rusza, ja też ani drgnę.

– Uważaj jutro na siebie – mówię. – Stocz dobrą walkę.

W uszach odbija się szeptane echo słów Nica: „Umrzyj dobrą śmiercią”. Po plecach przebiega mi dreszcz.

– Nic nam nie będzie, tobie i mnie – zapewnia Katran. Powoli, niepewnym ruchem wyciąga ręce. Niosące przemoc ręce zabójcy; łagodne ręce przynoszące pociechę i ochronę. Przysuwam się do niego, ściskamy się. Serce bije mu jak oszalałe.

– Idź – mówi mi do ucha i odpycha mnie lekko. – Postaraj się tym razem nie robić hałasu.

Ruszam w swoją stronę i chwilę później słyszę cichy warkot jego motocykla.

Leżąc z powrotem w łóżku, mocno trzymam wieżę w dłoni. Czy moje ręce to też ręce zabójcy? Dlaczego wieża jest tak ważna? Wszystko, co o niej wiem, to szczęśliwy sen-wspomnienie, gra w szachy z moim tatą.

Biegniemy. On trzyma mnie za rękę, mocno, jakby jej nigdy nie chciał puścić.

Zawodzą mnie nogi, oddech jest tak wytężony, że klatka piersiowa zaraz na pewno wybuchnie, ale wciąż nie wystarcza mi powietrza. Piasek osypuje mi się spod stóp i wciąż biegnę.

Aż padam. Potykam się, lecę jak długa i ląduję twardo na plaży, bez tchu. Bez sił, bez niczego.

– Lec! – Odpycham go, ale on się odwraca, trzyma mnie.

– Nigdy nie zapomnij – mówi. – Nigdy nie zapomnij, kim jesteś!

A strach jest bliżej. Słyszę go, ale nie mogę patrzeć. On mnie osłania, ale wykręcam się i teraz ja osłaniam jego, powieki mam mocno zaciśnięte. Nie mogę patrzeć, nie mogę.

Wewnętrzne echo innego czasu, innego miejsca. Strach w środku nocy i łagodny głos: „Zajrzyj sama, Lucy. Wtedy będziesz wiedziała na pewno. Zmierz się ze swoim strachem, a nie będzie już taki straszny”.

Otwieram oczy. Jednak tym razem nie jest jak pod łóżkiem. Ten strach jest realny.

Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi, bladoniebieskimi oczami, w których lśnią śmierć i triumf.

Zrywam się i siadam na łóżku, serce obija mi się boleśnie o żebra. Strach był tak realny i silny, że muszę zapalić światło, podciągnąć sobie koce pod brodę, ale i tak drzę. Nigdy w żadnej z powtórek tego koszmaru nie odważyłam się otworzyć oczu, żeby zobaczyć, co mnie ściga.

Tylko jeden człowiek ma takie oczy.

„Nico”.

Przeklinam, że zbudziłam się ze strachu, byłam już tak blisko, mogłam się dowiedzieć... Czego?

Kto ze mną był? Co się zdarzyło potem?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

– I co myślisz?

Cam obraca się jak model w swoim garniturze. Pan Zwyczajny wygląda zaskakująco dobrze w marynarce i pod krawatem, lecz ja mam w głowie co innego. Marszczę brwi.

– Krawat ci się przekrzywił. Zostań w domu, Cam. Nie chcesz dziś z nami jechać.

Błagam go wzrokiem, ale on staje przed lustrem w korytarzu, poprawia sobie krawat i odwraca się do mnie.

– O co ci chodzi, Kyla? Powiedz mi.

– O nic. Będzie piekielnie nudno. Nie musisz jechać. Uciekaj, póki możesz.

Patrzy z namysłem, jakby dostrzegał coś, co próbuję ukryć. Już otwiera usta, żeby to skwitować, kiedy z salonu wychodzi tato.

– Oboje świetnie wyglądacie – stwierdza.

Włożyłam, co mi kazano, bez komentarza. Długą zieloną suknię – jedwabną, powabną – na szczęście z długim rękawem. Pasuje dobrze. Tych głupich butów na wysokim obcasie nie włożyłabym w żaden dzień, a co dopiero dziś, gdy być może przyda się prędkość. Cóż, w takim wypadku pójdą w odstawkę. Zimny dotyk czegoś okrągłego i śmiertelnego na skórze, przypiętego paskami pod ramieniem.

– Mama nie jest jeszcze gotowa?

– Pójdę sprawdzić – mówię i idę na górę. Pukam do drzwi ich sypialni. – Mamo?

– Wejdz – odpowiada.

– W porządku?

Wzrusza ramionami, pudrując sobie twarz.

– Nie cierpię tych ceremonii.

– Dlaczego? Przecież to ku czci twoich rodziców, wielka strata dla ciebie i dla kraju – przytaczam oficjalny tekst dotyczący Dnia Pamięci Armstronga. Przyglądam się jej uważnie.

– Brakuje mi ich obydwójga, tak bardzo. Ale dziś, tutaj, jestem marionetką na sznurkach. To nie dotyczy moich rodziców ani mnie. Tylko ich.

– Lorderów?

Przytakuje z drgnieniem brwi.

– Może czas przeciąć sznurki.

Wpatruje się we mnie.

– Może – mówi w końcu i wzdycha. – Gdyby to tylko było takie proste.

– Nie możesz zwyczajnie powiedzieć, jak to odczuwasz? Wyznać prawdy? Czy to nie jest zawsze słuszne postępowanie?

– Kyla, odróżnianie dobra od zła to nie wszystko. Całe życie przeżyłam w ten sposób: odciąć się od szamba, odciąć się od polityki, trzymać się z daleka. Troszczyć się o ludzi, na których mi zależy, którzy są obok mnie tu i teraz. Jak ty. – Dotyka mojego policzka, a we mnie, w głębi, obraca się nóż bólu. – Gdyby wszyscy tak żyli...

– Może czasami „tu i teraz” nie jest takie ważne, jak zrobienie tego, co słuszne. Może ludzie, na których ci zależy, zrozumieją.

Wiem, że przeciągam strunę, że zaczniesz się zastanawiać, ale nie mogę tego nie powiedzieć.

Patrzy na mnie z namysłem.

– Może.

– Podjechali! – woła tato z dołu.

– Chodź – mówi mama. – Pora wyjść na scenę.

Cam odprowadza nas do naszego samochodu.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zdanie – mówię do niego.

– Nie ma szans! Widzimy się na miejscu.

Nasza limuzyna to auto rządowe, jak zapowiedział Nico: na masce ma przyczepione chorągiewki. Z przodu i z tyłu eskortują nas Lorderowie na motorach. Kiedy ruszamy, tato jest w radosnym nastroju, gawędzi z Amy. Mama milczy, oczy ma zmęczone, zapadnięte. Jej twarz zdradza, że długo nie spała. I że się zмага z podjęciem decyzji.

W duchu błagam ją żarliwie: „Powiedz prawdę. Zrób to! Nie każ mi cię zabić”.

Jesteśmy już prawie przy bramie posiadłości Chequers. Obok wejścia stoi czarny furgon. Ochrona Lorderów. Ogarnia mnie fala strachu – może wszystko się tutaj skończy. Wywloką mnie, obszukają, znajdą broń i zabiorą do aresztu. Na pewno Coulson nigdy by mi nie pozwolił przejść przez te drzwi, póki by się nie upewnił, zwłaszcza że podejrzewa prawdę. Nie wie przecież, czy trzymam się naszego układu.

Okazuje się jednak, że – jak przewidział Nico – nasza limuzyna z eskortą przejeżdża gładko przez strzeżoną bramę i zmierza prosto do rezydencji.

Suniemy żwirową aleją Victory Drive, okrążając trawnik z rozbitym posągiem.

– Widzisz to? – odzywa się tato. – Posąg greckiej bogini zdrowia. Zniszczony przez wandalów w zamieszkach. Znaleziono ich, przywieziono tu i stracono na miejscu, w którym zbeczcili dzieło sztuki. Pozostawiono je w takim stanie ku pamięci tego, o co walczyliśmy.

Straceni tutaj, na trawie. Za to, że zniszczyli figurę? Lorderowie robią takie rzeczy. Determinacja rośnie we mnie i utwierdza się.

Zatrzymujemy się przed głównymi drzwiami. Strażnicy otwierają je i wchodzimy do kamiennego holu. Idziemy za funkcjonariuszem do znajdującej się w głębi Wielkiej Sali i aż mi dech zapiera. Sufit jest tak wysoko nade mną, a przestrzeń taka ogromna, że wydajemy się w tym pomieszczeniu karzełkami. Na ścianach wiszą potężne obrazy, spoglądają portrety od dawna nieżyjących ludzi. W białym kominku buzuje ogień, z boku stoją dwa fotele. Kamery i zestaw mikrofonów świadczą o tym, że tu będzie wygłaszane przemówienie.

Funkcjonariusz przypomina porządek dnia. Punkt pierwszy: o pierwszej dziesiątej, czyli w momencie, gdy bomba dosięgnęła samochodu premiera, mama wygłosi mowę, nadawaną na żywo w telewizji. Obecna przy tym będzie tylko najbliższa rodzina: tato, Amy i ja. Potem będą mogli wejść nasi przyjaciele i krewni – w tym Cam – i razem wypijemy herbatę. Punkt drugi, nowość w tym roku: dla upamiętnienia dwudziestej piątej rocznicy śmierci Armstrongów obecny premier wygłosi orędzie do narodu, przy czym będą obecni wybrani dygnitarze. To odbędzie się w naszej obecności na terenie Chequers dokładnie o czwartej, w godzinie podpisania traktatu, który trzydzieści lat temu zakończył w kraju zamieszki. Potem ja z Camem wyjeżdżam, a mama i tato zostają na niekończące się przyjęcie obiadowe. Amy, szalona istota, postanowiła zostać z nimi.

Ale przecież nie wyjdziemy poza pierwszy punkt programu, prawda? Czy tak, czy inaczej, na nim się skończy.

Gapię się w sufit wiszący wysoko nad głowami. Czy strzał odbije się echem?

– Imponujące, prawda? – odzywa się mama. – Jednak ja czuję się w tej rezydencji jak w domu. Uwielbiałam tutaj przyjeżdżać. Mają tu bibliotekę tak długą, że można w niej grać w krykieta.

– Grałaś?

Mruga do mnie szelmowsko.

– Wtedy nie byłam tak zapaloną czytelniczką jak teraz.

Wzywają nas na miejsca. Mama na jednym fotelu, tato na drugim. Amy i ja staniemy za mamą, z dłonią opartą na jej fotelu. Ekipa sprawdza światło,

dźwięk, ja sprawdzam własne sprawy.

Lorderowie. Są wszędzie dokoła, lecz w pewnej odległości – nie mogą się znaleźć w kadrze. Nie stoją tak blisko, żeby ją mogli od razu powstrzymać, gdy powie coś nie tak, ale będzie miała tylko sekundy, zanim przerwą transmisję. Badawczo patrzę w ich twarze, przekonana, że będzie gdzieś tutaj Coulson, że zatrzyma to, zanim cokolwiek się zacznie. Ale go nie ma.

Podbiega dziewczyna od makijażu i oprósza mamie twarz pudrem.

Lecz jeśli mama nie powie tego, czego chcemy, co potem?

W głowie odczuwam dziwną lekkość. Podnoszę wzrok i mam wrażenie, jakbym się unosiła w pokoju; wszystko się wlecze, każda sekunda – tik-tak – ciągnie się niemożliwie.

Jeżeli mama nie powie tego, czego chcemy, muszę wsunąć rękę do drugiego rękawa i wyjąć rewolwer? Nie. Stoję tuż za nią, nie ma potrzeby, żebym celowała. Wsadzę rękę do rękawa, chwycę broń. Wystrzelę przez rękaw, niczego nie zobaczą, nie powstrzymają mnie.

Nie. Powie prawdę. Powie.

A jeśli tak... co wtedy? Lorderowie czuwają. Transmisja zostanie przerwana. Aresztują ją? Zastrzelą? Mrugam.

Nico mówił, że nie. Że się nie ośmielą, że tym razem będą musieli zrobić to zgodnie z prawem, tak aby wszyscy zobaczyli, co ją spotka. Dlatego trzeba będzie znaleźć dowód na to, że nie dopuściła się zdrady. Nico znajdzie Roberta i udowodni, że mówiła prawdę.

Chyba że zareagują bez zastanowienia, zastrzelą ją na miejscu, żeby nie powiedziała nic więcej, zanim przerwą transmisję. Żołądek mi się skręca. Kraj zobaczy ich działanie, zobaczy, do czego są naprawdę zdolni.

Ale jeżeli nie powie prawdy... Staram się sięgnąć po zimną determinację, którą zbudowałam w sobie wcześniej, utrzymać ją w gotowości. Skup się. Dłoń do rękawa; rewolwer; strzał. Mogę to zrobić. Będzie krew. Ale dopiero kiedy wystrzelę, i co to zresztą za różnica, że zemdleję? Ci wszyscy Lorderowie i tak mnie zaraz wykończą. Obie będziemy martwe.

– Kyla? – Amy dźga mnie palcem w bok. – Uśmiechnij się.

Przybieram odpowiednią minę. Trwa odliczanie. Na kamerze zapala się światełko i...

Mama zaczyna.

– Dwadzieścia pięć lat temu wydarzyła się okropna tragedia: z rąk terrorystów zginęli William Adam M. Armstrong i jego żona Linea Jane Armstrong. Nasz naród stracił premiera i jego małżonkę. Ja straciłam oboje

rodziców. Zamachowcy nieprzypadkowo wybrali taki czas. Dwudziestego szóstego listopada. Trzydzieści lat temu w tym właśnie pokoju podpisano traktat powołujący do życia rząd naszej Centralnej Koalicji. Rząd, na którego czele stał mój ojciec, położył kres zamieszkom i przywrócił pokój w tym kraju. Jestem tu dzisiaj przed wami z moją rodziną i zadaję sobie pytanie, co by mój tato powiedział, gdyby tutaj był. Co by zrobił.

Przerywa. W dłoniach trzyma zaciśnięte białe kartki. Nie otworzyła ich.

Widzę, że funkcjonariusz za kamerą wymienia czujne spojrzenie z drugim. Mama zeszła z przygotowanej przemowy! Narasta we mnie nadzieja.

– Tato był człowiekiem zasad. Wierzył w to, co prawe, i walczył, aby ten kraj stał się bezpiecznym miejscem dla jego dzieci i wnuków, a w czasach chaosu wydawało się to marzeniem niemożliwym do zrealizowania. Nigdy jednak nie poznał swojego wnuka. Syna, którego również straciłam.

Naprawdę to robi. Bezwiednie wyciągam rękę do jej ramienia. Mama sięga do niej i bierze moją dłoń w swoją.

Funkcjonariusz szepcze do technika, słuchają, zachowują czujność.

– Jedna z moich pięknych córek przypomniała mi dzisiaj, co jest w życiu ważne: postępować słusznie. Mówić prawdę. A prawda dla mnie jest taka: pora przestać się skupiać na minionych tragediach. Nie możemy się cofać, musimy iść naprzód. Czas, aby nasz kraj skupił się na tym, co dobre: na tym, co możemy zrobić dla naszych dzieci i wnuków.

Lorderowie są zaalarmowani, słowa mamy zbliżają się do granicy. Jej wzrok przeskakuje na nich. Mama odwraca się do Amy i do mnie, uśmiecha się.

Jeden z Lorderów przesuwa się w stronę techników przy kamerze.

Czas ucieka! „Powiedz to teraz! – błagam w duchu. – Powiedz, co się stało z Robertem”.

Mama odwraca się przodem do kamery.

– Dziękuję – mówi.

Zamieram. I tyle? Miała to w oczach w chwili, gdy się obejrzała na Amy i mnie. Nie zamierzała powiedzieć ani zrobić nic, co by nas naraziło na niebezpieczeństwo. Właśnie tak. Wciąż trzyma mnie za rękę – rękę, która powinna się wśliznąć do drugiego rękawa teraz, już, i skrócić jej życie. Moje też.

Rusza ku nam funkcjonariusz. Staje obok nas przed kamerami wciąż transmitującymi to na żywo. Dziękuję mamie, zaczyna wyjaśniać porządek dnia. W każdej chwili mogę puścić jej rękę. Sięgnąć do rękawa. Jest na to czas. Sekundy się wloką, każde tyknięcie zegara wydaje się oddalone od poprzedniego, każde to cała wieczność na podjęcie decyzji.

„Myśl”.

Wyrwać Lorderom serce. Tak powiedział Katran, niewątpliwie powtarzając za Nikiem. Rozpoznaję jego słowa.

Potrzebujemy powszechnego poparcia – znów słowa Katrana. Ale jak zabicie mamy, córki bohatera Lorderów, miałyby nam zapewnić poparcie narodu? Luka w tym rozumowaniu jest tak wielka, że ziele przede mną jak przepaść. Efekt będzie przeciwny, ludzie się od nas odwrócą. Nico na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

Nico mówił, że musimy uderzać w Lorderów, gdzie i kiedy się da, pokazać, że są wystawieni na ciosy...?

„Nie”.

Odpycham ich słowa. W tej chwili jestem tylko ja sama.

Tu i teraz to ja decyduję. Nie jestem tym, kim byłam, ani tym, kogo chciał ze mnie zrobić Nico. O mało nie wyrывa mi się okrzyk, gdy to do mnie dociera:

„O tym, kim jestem, przesądzą moje wybory”.

Tak samo mama. To, kim jest w sercu, zależy od tego, jakie podejmuje decyzje. Zrobiła, co uznała za słuszne – przesunęła granice swego przemówienia, ale nie za daleko. Aby nas chronić.

Nie mogę tego zrobić.

„Nie zrobię”.

Światelko kamery gaśnie. Za późno. Za późno, żeby powiedziała, co miała powiedzieć.

Za późno, żebym zrobiła to, czego i tak nie mogłabym zrobić.

– W porządku, Kyla? – pyta mama. – Wyglądasz na wykończoną.

– Głowa mnie boli – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Do Wielkiej Sali wlewa się potok ludzi zaproszonych na herbatę i ciasto. Kilka znajomych twarzy, ale wiele zupełnie obcych. I wszędzie Lorderowie: czujne oczy, które teraz tym bardziej skupiają się na mamie i na mnie.

Wszystko się przesuwa, drzę w środku. Mama nie zrobiłaby nic, co by nas naraziło na niebezpieczeństwo, bez względu na jej poglądy. Ja też nie mogłabym jej skrzywdzić. Wszystkie te uczucia: czy to pułapka? Więzi, które wypaczają lojalność, jak by powiedział Nico. Mylił się co do mnie: ja nie mogłabym tego zrobić.

– Idź już, jeśli chcesz – proponuje mama. – Nie musisz zostawać na ceremonii. Potrzebna byłaś tylko w pierwszej części, do zdjęcia rodzinnego. – Przewraca oczami. Daje znak Camowi. – Może już pojeździecie?

– Jasne – godzi się Cam. – Ten garnitur drapie. Chodź, Kyla.

Mamy iść za funkcjonariuszem, który prowadzi nas korytarzami na zewnątrz i na drugą stronę trawnika, gdzie stoi zaparkowany wóz Cama.

Gdy tak idziemy, w głowie kłębią mi się myśli. Co teraz będzie? Nico powiedział, że ataki Wolnej Brytanii zaplanowano tak, by się zbiegły w czasie z przemową i wyznaniem mamy, że Lorderowie zresetowali jej syna, albo z jej śmiercią. Nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Czy cały plan runął?

Nico wścieknie się na mnie. Wzdycham. Nie będzie po prostu zły, raczej śmiertelnie niebezpieczny. Już jestem martwa.

Może Katran spróbuje go powstrzymać. Ale...

Katran. Powiedział, że ataki zostały zaplanowane na godzinę podpisania traktatu, czyli podczas drugiego punktu ceremonii. Nico twierdził, że pierwszego. Czy źle usłyszałam jednego albo drugiego? Marszczę brwi. Nie, jestem pewna, że nie. Co powiedział Katran? Ataki i zabójstwa skoordynowane w czasie w momencie drugiego punktu ceremonii, czyli o czwartej po południu.

Zabójstwa... czy obejmują doktor Lysander? Ból skręca mnie od środka.

Dotarliśmy już do samochodu Cama, wsiadamy. Funkcjonariusz daje znak, żebyśmy zaczekali.

Podjazdem zbliża się kolejna rządowa limuzyna w eskorcie motocykli. Zatrzymuje się przed drzwiami Chequers. Mamy okazję dostrzec zmierzwioną jasną czuprynę premiera, zanim przesłonią go ochroniarze. Razem wchodzą po schodach do rezydencji. Gdy zamykają się za nimi drzwi, dostajemy sygnał do odjazdu.

– Straciłaś szansę na spotkanie z premierem – zauważa Cam, gdy toczymy się aleją do bramy i wyjeżdżamy.

Nie odpowiadam.

– Coś nie tak? – pyta.

Potrząsam głową, zamykam oczy i opieram głowę o siedzenie. Wyparłam z myśli doktor Lysander, kiedy zajęłam się czym innym. Albo może unikałam myślenia o tym, co z nią będzie.

Przez cały czas, nawet kiedy nie rozumiałam, co robi, ona mnie chroniła. Posunęła się nawet do tego, że sfałszowała szpitalne rejestry. Łamała zasady jedną po drugiej, żeby mi odpowiedzieć na pytania. A największym wykroczeniem było spotkanie ze mną poza szpitalem. Nico powiedział, że jestem dla niej jak dziecko, którego nigdy nie miała. Tak, pani doktor należy do reżimu Lorderów, którego nienawidzę. Ale przeze mnie jej ochroniarz nie żyje, a ona siedzi w niewoli.

Doktor Lysander jest częścią mojej rodziny, liczy się dla mnie. Podobnie jak mama, chroniłaby mnie, gdyby mogła. Wcześniejsze słowa mamy, wypowiedziane w domu: „Troszczyć się o ludzi, na których mi zależy, którzy są obok mnie tu i teraz”.

Zerkam na zegarek: druga dwadzieścia.

– Kyla?

– Cam? Pamiętasz, jak powiedziałaś, że jeżeli jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić, żeby pomóc, to byś to zrobił?

– Oczywiście.

– Czy możesz mnie zabrać do domu jak najszybciej, żebym się przebrała? A potem podrzucić w jedno miejsce. Ale najważniejsze, żebyś nie zadawał pytań.

Uśmiecha się szeroko i wciska gaz.

W domu pędzę na górę, ściągam buty na obcasie i po drodze rozpinam sobie sukienkę. Rzucam ją na podłogę w swoim pokoju, wskakuję w dżinsy i czarną bluzkę. Dotyk rewolweru na skórze jest okropny, ale zostawiam broń przypiętą do ramienia. Mogę jej potrzebować. Biegnę do drzwi, ale się zatrzymuję.

Komunikator Nica. Możliwe, że ma też w sobie tracker, a ja nie chcę, żeby Nico wiedział, gdzie jestem. Gmeram pod bransoletą, próbując odczepić gadżet. Przeklinam, już mam się poddać, gdy wreszcie natrafiam paznokciem na krawędź. Przyciskam we właściwym miejscu i komunikator się wysuwa. Wrzucam go do szuflady z ubraniami i lecę na dół.

Cam czeka przy samochodzie, też już przebrany.

– Szybko ci poszło – mówi. – Czy to jakiś nagły wypadek?

– Żadnych pytań, pamiętasz? – ucinam, ale zaraz mięknię. – Można powiedzieć, że muszę pomóc przyjacielowi.

Daję mu wskazówki i ruszamy. Po drodze zastanawiam się: co ja robię? Czy się odważę? Czy będę się umiała postawić Nicowi?

„Tak”.

Przez zbyt długi czas dawałam się ciągnąć to w jedną, to w drugą stronę. Miotalam się między tym, kim byłam, a tym, kim jestem. Lecz kim chcę być?

O tym, kim jestem teraz i kim chcę być, zadecyduję ja i tylko ja. Postanowione.

Jest tyle wielkich pytań: politycznych. Dotyczących Katrana i Nica. Owszem, Lorderowie są źli, bardzo źli, ale czy odpowiedzią jest podrzynanie im gardel? Wmówiłam sobie, że Nico ma rację, twierdząc, że jako Rain już dokonałam

wyboru dawno temu; że powinniśmy sięgać po wszelkie dostępne środki. Ale się myliłam. To nie jest moja odpowiedź.

Kieruję Cama na jednopasmową drogę, którą pierwszego razu przywiózł mnie Nico, i nagle czuję ucisk silnego strachu: a co, jeśli Nico przyjedzie tędy także dziś? Jednak za późno już, żeby wrócić.

– Zatrzymaj się tu – mówię w końcu. – Będziesz musiał trochę przejechać na wstecznym, zanim się da zawrócić.

– Tutaj? Jesteś pewna? – Cam patrzy po otaczających nas drzewach.

– Tak. To tutaj. Dzięki.

– Czy nie pora, żebyś mi powiedziała, co się naprawdę dzieje? – Przerzywa, przygląda się bliżej mojej twarzy. – Alleluja! Zaraz rzeczywiście mi coś powiesz, prawda?

– Jedną rzecz – odpowiadam. – Pamiętasz tych Lorderów, którym zostaliśmy niedawno przedstawieni? Mogą być na mnie wkurzeni i naprawdę mam nadzieję, że nie rozciągną tego na ciebie. Chciałam cię tylko ostrzec. Przykro mi.

– Lubię wkurzonych Lorderów, ale nie z bliska. Jednak jeśli się gdzieś tu płaczą, pozwól mi iść z tobą. Może będę mógł pomóc.

– Nie.

Wzdycha.

– Na pewno dasz sobie radę sama?

– Zdecydowanie – kłamię z ręką na kłamce, gotowa uciec biegiem, jeśli będzie próbował iść za mną.

– No to powodzenia – rzuca na pożegnanie.

– Na razie, Cam.

Wysiadam, wślizguję się między drzewa. Czekam w ukryciu, by się upewnić, że odjedzie. Samochód cofa drózką, znika z zasięgu wzroku.

Coś tu jest n i e t a k. Tylko co? Czy rzeczywiście Cam tak łatwo odpuścił? Nasłuchuję, aż dźwięk silnika oddali się i zamilknie.

Cam to jeden z największych moich wyrzutów sumienia w tym wszystkim. To nie jego wina, że dostał się pod lupę Lorderów – to stało się tylko i wyłącznie przeze mnie. Mam ogromną nadzieję, że nic mu nie odbije i nie będzie próbował wrócić. Jeżeli mi się uda, jeśli doktor Lysander ucieknie, Coulson szybko się dowie, jak bardzo byłam w to zamieszana. Nie wyobrażam sobie, żeby się w związku z tym ucieszył.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

W skrytce Katrana, gdzie kiedyś były schowane motory, plandeka zwisa luźno. Podnoszę ją, żeby się upewnić, i wzdycham: wbrew moim nadziejom nie ma tu dziś motocykli. Pewnie są wszystkie przy domu. Będę musiała iść, i to szybko.

Powietrze jest wilgotne i ciężkie, zimne i zastałe. Niebo ciemnieje. Wyobraźnia podsuwa stłumione dźwięki, jakby ktoś albo coś kryło się w zaroślach. Nakręcona nerwami, odwracam się raz po raz, pewna, że słyszałam trzaskającą gdzieś z tyłu gałązkę albo szelest liści. Ale gdy ostrożnie wracam po własnych śladach, nie ma tam nic podejrzanego.

Idąc, zastanawiam się nad słabym punktem swojego planu: kto pilnuje doktor Lysander? Jeśli Katran mnie nie nabierał z tymi atakami o czwartej, najprawdopodobniej wszyscy są w nie zaangażowani. Możliwe, że tylko jedna osoba siedzi pod zamkniętymi na klucz drzwiami. Jak wywabię strażnika z domu i odciągnę jego uwagę na tyle, żeby uwolnić więźnia? Nie mam złudzeń co do ewentualnej walki. Zranić kogoś mogłabym tylko w samoobronie. Jak Wayne'a. Krzywię się w duchu. Właściwie nie powinnam żałować, że nie żyje. Ale choć zginął z ręki Nica, jest to kolejna śmierć z mojej winy.

„Skup się”.

Jeżeli Nico jest w domu, będę w poważnym kłopotcie. Raczej jednak powinien być gdzieś w terenie, koordynować ataki.

O ile to nie on ma zabić doktor Lysander o czwartej.

„Możesz też zawrócić i uciec. Ukryć się”.

Nie. Pora, żebym stawiała czoło problemom, których narobiłam. Śpieszę się, pół idę, pół biegnę. Rzucam okiem na zegarek: trzecia piętnaście. Przyśpieszam, po drodze analizując i odrzucając plany. Zbyt wiele jest niewiadomych.

Docieram do skrytki, w której trzymane są motocykle w pobliżu domu. Prawie jestem na miejscu. Znów mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi – tak mocne, że staję, wstrzymuję oddech i nasłuchuję, ale niczego nie słyszę. Jedyne ruch to kołująca pod niebem, wypatrująca ofiary kania ruda. Strach i wyobraźnia płatają mi figle.

Cicho przemykam między drzewami wokół domu, osłonięta, niewidoczna. Żadnych samochodów – Nica tu nie ma! Czuję tak wielką ulgę, że muszę się oprzeć o drzewo. Choć bardzo staram się udawać sama przed sobą, że umiałabym się mu postawić, mam wątpliwości. Naprawdę umiałabym? Nie

licząc już zwyczajnego wpływu, jaki ma Nico na wszystkich, jest jeszcze jedna rzecz, do niedawna pogrzebana tak głęboko, że nie zdawałam sobie z niej sprawy. To on jest moim strachem. Czarnym przerażeniem z koszmarów.

Przy drzwiach widzę jakiś ruch, przykucam. Wychodzi ciemnowłosa postać, wylewa z rozmachem resztki z kubka na ziemię i wraca do środka. Tori. To ona jest strażnikiem? A może też katem wykonującym wyrok.

Poza tym dom wygląda na opuszczony. Moje oczy wiedzą, na co patrzeć, i szukają szczegółów, które świadczyłyby o czyjejś obecności. Widzę więc otaczający polanę cienki potykacz ukryty wśród roślin – system ostrzegający mieszkańców domu.

Ale i tak czuję, że coś jest nie tak.

Cisza – nie od strony domu, lecz wokół mnie, jakby drzewa wstrzymały oddech. Ptaki milczą. Tylko wiatr i...

Cofam się, idę po własnych śladach. Lekkie trzaśnięcie po lewej. Odwracam się gwałtownie gotowa do kopnięcia z półobrotu i... wstrzymuję się w ostatnim momencie.

– Cam? Co ty tutaj, u diabła, robisz? – pytam wściekłym szeptem i wciągam go głębiej między drzewa.

Uśmiecha się szeroko.

– Nie mogłem cię zostawić i nie upewnić się, że wszystko w porządku. Co się dzieje?

– Nie bądź z siebie taki zadowolony. To nie zabawa w podchody!

I jestem wściekła: na siebie za to, że poszłam na łatwiznę i kazałam mu się podwieźć; na niego za to, że mnie śledził; na siebie za to, że nie przyłapałam go wcześniej.

Cam przestaje się uśmiechać, ale dalej ma radość w oczach.

– Przepraszam.

– Wracaj tam, skąd przyszedłeś, i to już.

– Nie ma mowy. Zostaję. Mogłabyś raz pozwolić, żebym ci pomógł. O co chodzi? Mówiłaś, że pomagasz przyjacielowi. Ale jeśli jest tam jakiś przyjaciel, czemu ostrożnie obchodzisz dom, sprawdzasz, zachowujesz się cicho? Mam zapukać do drzwi i zobaczyć, czy ktoś jest w domu? – Robi krok w tamtą stronę, więc łapię go za ramię, przyciągam z powrotem.

– Naprawdę nie zamierzasz odejść spokojnie, co?

– Nie – potwierdza i tym razem w jego oczach błyszczy poważna determinacja, która do tej pory ukrywała się skutecznie za żartami.

– Cam, nie wiesz, w co się pakujesz.

– A więc mi powiedz.

Wzdycham, ciągnę go głębiej między drzewa. Jestem w pułapce.

– Chodzi o to, że tam, w tym domu, ktoś jest zamknięty, a ja chcę go uwolnić.

– Ucieczka z więzienia. Świetnie, podoba mi się.

– Mam nadzieję, że pilnuje dziś tylko jeden strażnik.

– Dobra. – Cam staje w pozycji boksera. – Chcesz, żebym go dla ciebie unieszkodliwił?

Przewracam oczami.

– Przede wszystkim to nie on, tylko ona. Zamknij się i daj mi pomyśleć.

Stoi więc cicho. Muszę całkowicie odwrócić uwagę Tori. Walka to jeden sposób, ale jest także drugi: Ben. Wzdycham w duchu. Na drodze do tego, co słuszne, mam tyle wyrzutów sumienia. Muszę powiedzieć Tori, że Ben żyje. To powinno oderwać jej uwagę od strażniczych obowiązków.

– Okej, więc może tak – mówię. – Wejdę, wezmę ją na rozmowę. Zabiorę za dom. Ty wślizniesz się do środka, otworzysz drzwi i wypuścisz więźnia. – Objasniam mu rozkład pomieszczeń i tłumaczę, gdzie w szufladzie biurka znajdzie klucze. Mam nadzieję, że Tori nie weźmie ich z sobą, wychodząc.

– Dobra, kumam – zapewnia Cam. – No problemo.

Kręcę głową. Problemów może być całe mnóstwo.

Chowam Cama w zaroślach z boku budynku, tak aby Tori nie mogła go dostrzec, gdy wyjdziemy.

– Obejdę dom z powrotem, żebym wyszła z lasu we właściwym miejscu, w razie gdyby obserwowwała ścieżki. Daj mi na to kilka minut.

Ostrożnie, bezgłośnie przecinam zarośla i czuję, że coś mi nie daje spokoju. Wciąż coś jest nie tak. Nie powinno go tutaj być, to jedno. Ale jak się tu dostał?

Staję jak wryta i rozważam narastające wątpliwości. Tak się dałam ować gniewem, tak się zajęłam tym, jak go spławić, a potem wymyślaniem dla niego roli, że nie skupiłam się na najważniejszej rzeczy.

„Jak mnie wyśledził?”. Powinien być daleko za mną. Wycofał samochód na tyle, że nie słyszałam silnika. Musiał tę samą drogę pokonać pieszo, a potem jeszcze przez las. Skąd wiedział, którądy iść? Śpieszyłam się – jak mnie w ogóle dogonił?

Krzyżuję ramiona, kiedy to do mnie dociera. Albo jest mistrzem tropienia i bezszelestnego śledzenia, albo – co znacznie bardziej prawdopodobne – namierzył mnie, bo mam gdzieś na sobie tracker. Nie rozumiem tego, nie pasuje mi. Cam?

Chyłkiem przemykam z powrotem na jego pozycję. Może po prostu dopisał

mu szczęście, poszedł we właściwą stronę i trafił na ścieżkę motocyklową. Jeśli się w nią wystarczająco daleko zapuścił, mógł tutaj dotrzeć bez większego trudu.

„Mało prawdopodobne”.

Wciąż jest tam, gdzie go zostawiłam. Czeka według instrukcji. Podkradam się bliżej. Stoi odwrócony do mnie plecami, pochylony, manipuluje rękami. Słychać słaby metaliczny brzęk. Odwraca się lekko i widzę, że w ręce ma pistolet, a na twarzy śmiertelne zacięcie.

Cam? Z bronią?

Szok jest tak wielki, że głupieję i cofam się nieostrożnie. On odwraca się, słysząc hałas, widzi mnie i nie mam innego wyboru, jak zaatakować. Kopię go z półobrotu w nadgarstek. Pistolet leci w powietrze.

– Kim jesteś? – udaje mi się wykrztusić.

Nie odpowiada. Teraz jednak ma w ręce nóż. Robi unik, zmyłkę. Przetaczam się, ale nie dość szybko. Czuję nacisk i cięcie w ramię. Przypominam sobie o rewolwerze, który mam na ramieniu, gmeram przy nim, żeby go wyjąć, lecz Cam nurkuje znowu i teraz czuję gorące chłaiście w boku, głębsze. Do diabła z odwracaniem uwagi, potrzebuję pomocy. Cofam się na ukryty potykacz i osuwam na ziemię.

Cam podchodzi z uśmiechem, ale tym razem uśmiechu nie ma w jego oczach i w ogóle nie jest to Cam, którego myślałam, że znam.

– Kim jesteś? Kim jesteś? – powtarzam szeptem, przyciskając sobie dłoń do boku. Na palcach mam czerwoną, lepłą ciecz. Świat wiruje mi przed oczami. Postać przede mną rozdwa się, widzę już czterech, pięciu Camów, nagle zmienionych, brzydkich.

Stojąc do mnie przodem, jest zwrócony plecami do domu. Nie widzi, jak zza rogu wypada Tori z rewolwerem w dłoni. Na twarzy ma niezdecydowanie, sama wie, jaki kiepski z niej strzelec. Podkrada się bliżej i ciężko wali Cama bronią w tył głowy.

Nieprzyjemne łupnięcie. Cam odwraca się, po czym pada twarzą do ziemi. Tori podchodzi, przewraca go nogą, lecz on leży nieruchomo.

– Kto to jest? – pyta mnie, ale w końcu zauważa, że krwawię i się nie ruszam. Podbiega.

Jakaś część mnie zauważa, że Nico nie byłby z niej zadowolony. Nie sprawdziła, czy nie ma innych napastników, nie upewniła się, czy Cam faktycznie nie wstanie, nic z tych rzeczy.

Jęczę, w mojej głowie zaczyna powstawać plan.

– Umieram – szepczę, choć raczej w to wątpię. Krwawię, ale

to powierzchowne rozcięcia; krew jak zwykle o mało nie przyprawiła mnie o omdlenie, jednakże same rany nie są groźne. Lecz Tori o tym nie wie.

Wygląda na wystraszoną. Nie mam złudzeń – nie należę do jej ulubionych osób, ale pamięta, że Nico mnie potrzebuje z jemu tylko znanych powodów.

– Tori – szepczę. – Doktora, potrzebuję doktora. Teraz, to jedyny sposób... – Głos mi zacicha, oczy się zamykają. Opadam, starając się jak najlepiej udąć utratę przytomności, a potem zerkam spod rzęs. Trzeba jej przyznać na plus, że najpierw daje Camowi eksperymentalnego kopniaka, żeby sprawdzić, czy jest unieszkodliwiony, a dopiero potem biegnie do domu.

Oddycham: wdech, wydech i siłą zmuszam się, by nie zwracać uwagi na czerwień sączącą mi się z ramienia i boku. Sprawdzam kończyny, ale nawet lekki ruch powoduje nudności i wirowanie w głowie. Nie za dobrze. Przeklinam w duchu.

Chwilę później w drzwiach pojawia się doktor Lysander. Podbiega do mnie, Tori śpieszy tuż za nią z bronią przypiętą do pasa.

Doktor przykuca, sprawdza, odsuwa mi ubranie. Pewnie się połapała, że nie zemdlałam od ran. Oddziela mnie teraz od Tori, zasłania przed jej wzrokiem. Uchylam powieki i mrugam porozumiewawczo. Oczy się jej rozszerzają.

– Potrzebna mi opaska uciskowa, natychmiast – stwierdza. – Proszę o apteczkę, zestaw pierwszej pomocy!

Tori waha się.

– Już! Proszę, bo ona umrze.

Tori pędzi do domu. Siadam.

– Niech pani ucieka – mówię i pokazuję kierunek. – W tamtą stronę jest ścieżka. Na rozwidleniu trzeba skręcić w lewo.

– Nie bez ciebie.

– Niech pani ucieka! Szybko. Ja nie mogę, o mało nie zesłam na widok krwi.

– Nie.

Podciąga mnie, pomaga wstać. Nogi się pode mną uginają, lecz ona z determinacją otacza mnie ręką w pasie i zaczynamy się wlec do lasu.

Tori wypada z domu. Rzuca apteczkę i sięga po rewolwer.

Lecz zanim zdąży wymierzyć, rozlega się głośne „bang!” i nad naszymi głowami z drzewa lecą drzazgi.

– Następny nie będzie w drzewo – mówi czyjś głos. Głos, od którego sztywnieję i drżę.

Zatrzymujemy się. Odwracamy.

A tam stoi Nico z bronią wycelowaną w moją głowę.

– Czy ktoś zechciałby mi wyjaśnić, co się tutaj, do diabła, dzieje?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

– Muszę powiedzieć, że jestem zły – stwierdza Nico. W oczach i głosie ma lód, nie są po prostu zimne, tylko lodowate. – Ktoś za to zapłaci. Ty. – Spogląda na Tori, ale pistolet trzyma wymierzony we mnie. – Jedno przynajmniej zrobiłaś jak trzeba. Zawiadomiłaś mnie. I tak byłem już blisko, podszedłem więc cicho, żeby sprawdzić, co to za nagły wypadek. I co zastaję? Wypuściłaś więźnia – mówi do Tori. Odwraca się i kieruje na nią rewolwer.

Dziewczyna blednie.

– Nie, Nico, nie. Ja...

– Zaprzeczasz, że otworzyłaś drzwi kluczem?

– Nie, ale...

– To moja wina – wtrącam się.

Nico odwraca się błyskawicznie do mnie.

– A kto to jest? – Wskazuje Cama, leżącego nieruchomo na ziemi i krwawiącego.

– Po prostu ktoś ze szkoły, ale nie wiem. Może też ktoś jeszcze. Szedł za mną. Nie miałam pojęcia, że może mnie śledzić.

– Pozwoliłaś, żeby ktoś się za tobą przywłókł? – Potrząsa głową z niesmakiem. – Jaką jestem otoczony głupotą! Kto za to zapłaci? – Wzdycha. Celuje bronią we mnie. Doktor Lysander robi krok do przodu, unosi rękę i chce coś powiedzieć, ale ją odciągam.

Nico naciska spust, wystrzał rozbrzmiewa głośno w lesie. Znów nad naszymi głowami.

Stoję zamarła. Strach. Szok. Oczy kieruję jak najdalej od Cama, od krwi na jego potylicy, od mojej własnej krwi też. Nie mogę teraz zemdleć. Nie mogę. Oddycham głęboko, usuwam czerwień z umysłu. Odpycham myśl o niej na bok, by stawić czoło temu, co jest teraz.

– A ty, Rain. Co za nieuczciwość, to mnie rani. Dlaczego nie jesteś teraz w Chequers, gdzie miałaś być?

– Nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam jej skrzywdzić, właśnie jej z wszystkich ludzi. Nie zasłużyła na to, żeby ją zastrzelić.

Nico potrząsa głową.

– Głupia dziewczyno. Gdyby wygłosiła taką mowę, jak chcieliśmy, byłaby to wisienka na torcie. Ale miałaś tam być o czwartej! Ty idiotko. – Trzęsie się

z wściekłości.

Jak to... Dlaczego miałam tam być o czwartej? Sekundy tykają. Jest za dziesięć czwarta. Co miało się wydarzyć o czwartej? Czuję się zdezorientowana. Miałam przecież zastrzelić mamę na początku ceremonii, w rezydencji.

Chyba że on od razu wiedział, że nie dam rady tego zrobić. Furia w oczach Nica jest absolutna.

– Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. – Potrząsa głową. Znów mierzy we mnie z rewolweru. – Powinienem to zrobić teraz, właśnie teraz, ale nie zrobię. Jest powód i ty go znasz – mówi swobodnym tonem. – Musisz żyć, żeby umrzeć innego dnia. Twoja śmierć i tak zrobi ogromne wrażenie! Dziś była do tego doskonała okazja. Ale nie szkodzi. Innym razem. Choćbyśmy cię mieli zawlec i podeprzeć, dopilnujemy, żebyś została sfilmowana i uwieczniona na zawsze: mała jasnowłosa Zresetowana dziewczyna o anielskim wyglądzie, która zabija ludzi i odbiera sobie życie.

Potrząsam głową, nie rozumiejąc. Zbyt przerażona, żeby się ruszyć, zbyt spanikowana, by się odezwać.

– Oczywiście. Teraz to ma sens – odzywa się doktor Lysander. – Chce pan publicznie udowodnić, że Zresetowana może być zdolna do przemocy, do uderzenia we wszystkich Lorderów. Ale co z innymi Zresetowanymi? Co z nimi będzie?

Uświadomienie przebija się przez mój otępiały strach.

– Lorderowie wszystkich nas uznają za zagrożenie. Nie będą wiedzieli, kto może się okazać wybrakiem. I co z tym zrobią?

– Okrucieństwa, jakich się dopuszczają, służą naszej sprawie. Dają nam większe poparcie. Tori – Nico zwraca się do dziewczyny – zamknij je obie razem.

Lecz ona tylko stoi, gapiąc się na niego. Na jej twarzy maluje się osłupienie.

– Ale co będzie z wszystkimi Zresetowanymi?

Nico przewraca oczami. Unosi rewolwer i mierzy w nią. Nagle jej spojrzenie skupia się na czymś za nim. Nico widzi ten ruch źrenic tak samo jak ja. Przez ułamek sekundy zastanawia się, czy to nie podstęp z jej strony, ale zanim się zdecyduje, jego broń leci w powietrze. Wytrącona kopniakiem. Katrana.

– Ty draniu! – warczy Katran.

Nico robi zmyłkę i kopniakiem zwała Katrana z nóg.

– Tori! – woła. – Wybierz, po czyjej jesteś stronie.

A ona kopie jego rewolwer i patrzy na ten, który sama trzyma w dłoni.

Spogląda na mnie i znowu na broń. Podchodzę do niej. Nogi mi się wciąż chwieją, ale czuję się już mocniejsza.

– Daj mi to – mówię i wyciągam rękę.

Nico i Katran walczą ze sobą na ziemi. Widać błysk ostrza i Katran krzyczy. Nico przeciął mu rękę ukrytym nożem. Nico gramoli się na nogi gotowy do walki. Dyszy. Katran przetacza się i wyjmuję swój nóż. Wstaje.

– Ben żyje! – wrzeszczy Nico. – I ona o tym wie.

Twarz Tori wykrzywia się. Nurkuję i kula odbija się rykoszetem gdzieś za mną. Doktor Lysander stoi jak sparaliżowana.

– Niech pani ucieka! – krzyczę do niej i tym razem z dobrym skutkiem.

Pani doktor rusza biegiem w stronę drzew, a ja za nią. Moje mięśnie znowu działają, pozwalają kuśtykać, choć niezbyt szybko. Przy każdym kroku skręca mnie strach o Katrana. Nico nie może wygrać tej walki. Czyżby?

Wtem rozlegają się nowe dźwięki: krzyki. Tupot stóp.

Oglądam się za siebie i widzę pędzących wśród drzew Lorderów. Jest ich kilku, zbliżają się do domu z różnych stron.

W NOGI.

– Stać! – odzywa się głos przed nami. Głos, który znam.

I zatrzymuję się posłusznie. Zamiast nurkować, atakować, cokolwiek – po prostu stoję.

Przed sobą mam Coulsona.

– Mogłaś znacznie ułatwić sprawę, gdybyś mi po prostu powiedziała, co się tutaj dzieje. Na szczęście młody Cam wezwał nas i namierzyliśmy cię.

– Namierzyliście mnie...? Jak?

Z półśmiechem stuka się palcem w czoło. Nienaturalne drgnienie jego mięśni twarzy. W dłoni agenta pojawia się rewolwer, wycelowany w moją głowę.

Po tym wszystkim coś takiego? Strzały, odgłosy walki i hałasy za mną stopniowo cichną, aż pozostaje tylko tu i teraz. Moje oczy i jego. Nogi mam jak z galarety. Prawie osuwam się na kolana.

– Wypuście mnie – szepczę.

– Nie mogę tego zrobić.

– Proszę.

Potrząsa głową. Wszystko, co dzieje się tam z tyłu, jest wciąż niewyraźne, jak w odległym innym miejscu, niepołączonym z tym momentem. Wdziera się w to jednak jakiś uparty dźwięk, zbliża się. Aż...

Coulson pewnym ruchem bierze rewolwer w obie ręce i naciska spust.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Zamiast oberwać kulą, polecieć w tył, zatoczyć się, słyszę łupnięcie i krzyk za sobą. Odwracam się gwałtownie.

– Katran?

Przyciska sobie ręce do piersi. Czerwień, czerwień, czerwień rozlewa się, a on pada na ziemię. Wszystko we mnie wiruje, szarzeje, chce zniknąć i zabrać mnie z tego nowego horroru, i...

„Nie”. Walczę sama z sobą tak bardzo, tak mocno, z całych sił. NIE. Pełnę do niego, biorę go za rękę, otaczam ramionami. Jego ciałem wstrząsają drgawki i ta czerwień, czerwień, czerwień...

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzam bez końca, a w jego oczach odbija się szok, który zapewne widać w moich.

Katran jest niezwykły, nie możemy w to uwierzyć. I wtem lekkie potrząśnięcie głową, jego oczy zmieniają się, próbuje coś powiedzieć, lecz tylko kaszle i jest więcej krwi, więcej sączącej się czerwieni. Słowa się nie wydobędą, ale przemawiają oczy. Oczy pełne miłości.

– Nie, Katran, nie. Nie odchódź! – mówię w szoku, ale jednocześnie wiem, co on czuje. Co zawsze czuł, ale ukrywał swoje uczucia za gniewem. Gniewem, którym próbował mnie odepchnąć od Nica i Wolnej Brytanii. Żebym była bezpieczna.

Jego oczy stają się puste, ciało przestaje drgać.

Nie.

– NIE, NIE, NIE! – krzyczę wewnątrz i na zewnątrz równocześnie i nagle, niespodziewanie przypominam sobie. Inne miejsce i czas, zbyt podobne do tego tu, bym ukrywała to dłużej. Miejsce, do którego nigdy nie chciałam iść, ale byłam włączona z powrotem i znowu, i znów.

WTEDY

Początkowo go nie rozpoznałam. Nie oczami.

W jego twarzy zaznaczyły się zmiany i była już tak bardzo zapomniana. Przynajmniej wyparta ze świadomości. Jednak coś niemal dzwoniło, tam w środku. Zamęt: groza i tęsknota przemieszane, splątane. Nie rozumiałam, ale się na niego gapiłam, ilekroć mogłam.

Był tam, w tamtym miejscu, dostarczał żywność i inne zapasy. Ale nie był tylko dostarczycielem, tylko jednym z nich, to zdawało się oczywiste. Widziałam go przez kraty w moim oknie, jak rozmawiał ze strażnikami. Patrzyłam na niego z pokoju, który był mój już od dwóch lat.

Przyjeżdżał raz w tygodniu, zostawał na noc w sąsiednim budynku, a potem ruszał dalej. Pewnego dnia zobaczył, że wyglądam przez okno, i coś przemknęło przez jego twarz. Jakaś desperacja, w mgnieniu oka zastąpiona łagodnością, która do niego nie pasowała. Cofnęłam się w głąb pokoju zmieszana i wstrząśnięta.

Za każdym razem, kiedy przybywał, miał dla mnie specjalne spojrzenie, jeśli napotkał mój wzrok. Miłe spojrzenie w miejscu, gdzie nic takiego nie istniało.

Zaczął przynosić strażnikom a to butelkę, a to coś innego. Wyjmował te rzeczy dyskretnie spod płaszcza i wsuwał im do kieszeni. Pewnego tygodnia większość strażników się pochorowała. Zatrucie pokarmowe, ale nikt inny się nie zatrzał. On został wtedy na cały tydzień, żeby ich zastępować. Widywałam go wtedy więcej, nie tylko przez okno. Był tam, kiedy wychodziłam na sesje z doktorem Craigiem i na treningi z bronią pod nadzorem zimnego człowieka o dziwnych oczach, który dowodził strażnikami.

Jednego dnia wsunął mi coś w rękę. O mało nie krzyknęłam. Skrawek papieru. Liścik. Schowałam go głęboko, żeby przeczytać później. „Lucy, wiem, że wyglądam inaczej. Jestem w przebraniu. Ale to ja, tatuś. Wydostaniemy cię stąd i zabierzemy do domu, gdy tylko wymyślimy jak. Kocham cię”.

Podarłam karteczkę na tyle maleńkich kawałków, że zamieniła się w proch. Nie mam już rodziny. Tak mówił doktor Craig, powtarzał to w kółko. A nawet jeżeli to jest mój tato – moje myśli potknęły się nawet na tym słowie – to przecież właśnie on mnie oddał. Nie chciał mnie.

Nie uwierzyłam mu umysłem, ale coś we mnie uwierzyło i przyłapałam się na nadziei, uczuciach. Doktorowi Craigowi by się to nie spodobało, podobnie

jak pamiętanie rzeczy, które miałam zapomnieć.

Pewnej nocy, gdy spałam, w moim pokoju w jakiś sposób znalazł się ten, kto mi dał karteczkę. Mówił przyciszonym głosem z takim smutkiem o innych czasach, innych miejscach. Zachciało mi się od tego płakać, krzyczeć. Zawołać strażników, żeby go uciszyli, zabrali, żebym go więcej nie słyszała. Lecz nie zrobiłam tego.

Snuł plany. Wyjdziemy w przyszłym tygodniu. Ale ja potrząsałam głową: nie. Bałam się, nie wiem czego. Opuścić miejsce, którego nienawidziłam? Dezorientacja i tęsknota mieszały się ze sobą. Potem on wyciągnął rękę. Na jego dłoni leżał mały rzeźbiony kawałek drewna wyglądający jak zamek.

Zamknęłam figurę w lewej dłoni i pojawiło się coś, wspomnienie. Nagle napłynęły tłumnie kolejne.

– Tatuś? – wyszeptałam, a on uśmiechnął się z taką radością.

Wziął ode mnie wieżę.

– Lepiej przechowam ją bezpiecznie, żeby nikt jej nie zobaczył. Ale jeśli ją znajdziesz wciśniętą w kącik na parapecie swojego okna, będzie to znak, że tej nocy idziemy. Bądź gotowa.

Sprawdzałam co wieczór. I wreszcie była – ukryta między brzegiem okna a kratą, żeby nikt jej nie widział. Mogły ją wyczuć i wyłuskać tylko drobne palce.

Tej nocy, kiedy przyszedł i wziął mnie za rękę, w domu panowała cisza.

– Ciii – szepnął prawie bezgłośnie i przekradliśmy się korytarzem na zewnątrz.

Ale co ze strażnikami? Żadnego nie było na warcie, jednak gdy sunęliśmy wzdłuż ściany domu, zobaczyłam wystające zza żywopłotu stopy.

Tatuś szepnął mi do ucha, że na plaży czeka łódź i musimy szybko tam dotrzeć, żeby złapać odpływ. Przeszliśmy już przez zewnętrzne wydmy prowadzące nad morze, kiedy to się stało. Odległe hałasy. Głosy.

– Musimy biec, Lucy.

I pobiegliśmy. Trzymał mnie za rękę, gdy biegliśmy, biegliśmy. Głosy, dźwięki ścigały nas, były coraz bliżej.

– Szybciej! – ponaglał tatuś i biegliśmy.

Moje stopy raz za razem dudniły po piasku, który osypywał się, nie dawał oparcia. Potem potknęłam się, upadłam. Próbował mnie podnieść na nogi, ale wyczerpanie i strach przygwoździły mnie na miejscu.

– Nie mogę! – krzyknęłam.

– Nigdy nie zapomnij – przykazał. – Nigdy nie zapomnij, kim jesteś.

I już nas dopadają. Chwytają mnie, odciągają. Tatusia popychają na piasek. Ten z zimnym spojrzeniem uśmiecha się, podnosi rewolwer.

– Lucy, zamknij oczy – mówi tatuś. – Nie patrz.

Głos ma spokojny, dodający otuchy.

Wpatruję się w pistolet. Nie. On tylko tak straszy tatusia, jak cały czas straszy mnie. Nie robi tego, nie robi.

A może jednak?

– Nie patrz, Lucy – powtarza tatuś, lecz moje oczy są szeroko otwarte, jakby kierowało nimi coś innego, nie ja. Utknęły, a ja drzę, nie jestem w stanie odwrócić wzroku ani zrobić niczego innego.

Wszystko to łączy się i rozciąga, a jednocześnie błyskawicznie następuje jedno po drugim. Ogłuszający huk. Wieża zaciśnięta mocno w mojej dłoni. Czerwień rozlewająca się z jednego miejsca – jest jej coraz więcej i więcej, a ja nie umiem oderwać od niej wzroku. Ręce, które mnie trzymały, puszczają i podbiegam do niego akurat na czas, żeby mu spojrzeć w oczy, zanim się zamkną na zawsze.

Jeśli się odważysz i popatrzysz, żeby sprawdzić, co cię przeraża, nie umniejszy to strachu. Nadal będzie miał moc, żeby ci złamać serce, robić to wciąż i wciąż od nowa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Ruch. Ledwie dostrzegalny, lecz ignorowany. Aż się zatrzymuje i łupnięcie głowy o coś twardego zmusza mnie, żebym wróciła do tu i teraz, do swojego ciała, do świadomości. Otwieram oczy, z trudem siadam. Niepewna, ile minęło czasu.

Siedzę na ziemi koło domu. Macam się po rękę – rewolwer, który miałam do niej przypięty, zniknął. Obok mnie stoi Lorder z własną bronią. Odwrócił się w moją stronę, gdy się poruszyłam, patrzy czujnie.

Coulson pokrzykuje do innych Lorderów, którzy znikają w lesie – ścigają kogoś. Kogo?

Jeden z nich trzyma Tori, wykręcając jej rękę za plecami, co sugeruje, że stawiała opór. Cam siedzi na ziemi odwrócony do mnie tyłem. Lekarz opatruje mu głowę. Jest także doktor Lysander, rozmawia z Coulsonem. Katran – przełykam ślinę – nie żyje. Wciągam go na listę, ponieważ muszę ustalić, kto gdzie jest, ale odpędzam od siebie zięjące pustką poczucie straty. Odsuwam udział, jaki miałam w jego śmierci. Jedyny nieobecny to Nico. Uciekł?

Nico biegnie, oni go ścigają. Jeżeli złapią, czy będzie strzał w lesie, taki jaki mój ociec dostał na plaży? Jaki zabił Katrana. Obie bolesne straty są teraz tak wielkie, że zaraz mogą mnie pochłonąć, o władnąć mną tak, że zostanie już tylko ból. Jedna dzisiejsza, druga sprzed lat, długo zapomniana. Obie świeże.

„Później”.

Doktor Lysander dostrzega, gdzie mnie zawleczono. Zostawia Coulsona w połowie zdania i śpieszy do mnie.

Przyklęka, obmacuje mnie, sprawdza, odchyła ubrania.

– Gdzie jesteś ranna?

A ja nie mogę odpowiedzieć, nie mogę mówić. Gdzie nie jestem ranna? Wtem uświadamiam sobie, że mam na ubraniu pełno świeżej krwi i to ona przyciągnęła uwagę pani doktor. Krew Katrana.

– To nie moja krew – udaje mi się wykrztusić szeptem.

Idzie do nas Coulson, omijając leżące na ziemi ciała. Ubrane w czerni Lorderów.

– Powiedziałam im, że mnie wyciągnęłaś, że nie wzywałaś ich dla mojego bezpieczeństwa – mówi pośpiesznie i cicho doktor Lysander.

Wszystko jest odległe. Cam należy do Lorderów, choć twierdził, że ich

nienawidzi? „Zdradził cię” – szepcze wewnętrzny głos, lecz nawet to powinnam zostawić na później. Nie mogę w tej chwili zająć myśli niczym innym jak tym, że mój ojciec nie żyje.

I Katran. Coulson go zabił. Gdyby Katran dostał szansę, bez mrugnięcia okiem położyłby trupem wszystkich tych Lorderów. I im podobnych. Nico zabija nawet własnych ludzi, żeby był powód do zabijania Lorderów.

– Co to wszystko znaczy? Po co to?

– Ciii – podpowiada doktor Lysander i uświadamiam sobie, że te ostatnie słowa wymówiłam głośno.

– A oto ona – odzywa się Coulson. – Przeżyje? – kieruje pytanie do pani doktor.

– Spodziewam się, że tak. Potrzebuje paru szwów.

Jego zimne oczy omiatają mnie, oceniają.

– Rozumiem, że twojemu działaniu zawdzięczamy bezpieczeństwo doktor Lysander. Przeprowadzimy dochodzenie w tej sprawie i zobaczymy, co się tu wydarzyło. Ale powiedz mi teraz. Kim jest ten, który się nam wymknął?

Jaka lojalność obowiązuje mnie wobec człowieka, który zamordował mi ojca? „Żadna”.

– Nico. Nicholas. Nazwisko nieznane.

Coulson milczy przez chwilę, widać błysk w jego oku.

– Nam jest znany.

Daje znak Lorderowi, który mierzy do mnie z broni.

– Jest wolna. Na razie. – Zwraca się do mnie: – Będziemy w kontakcie.

Twarz Tori wykrzywia się z wściekłości. Dziewczyna rzuca się nagłym ruchem, zaskakując strażnika. Wyrywa się i o mało mnie nie dopada, gdy ją odciągają.

– Zdrajca! – krzyczy. – Kyla czy Rain, czy kim tam jesteś, dorwę cię. Upoluję i wypruję ci flaki nożem.

Włoką ją na bok, wrzucają do furgonu Lorderów. Jednak zanim zniknie, widzę nienawiść w jej oczach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Coulson kazał jednemu z Lorderów odwiedzić mnie do domu po wizycie w lokalnym szpitalu, gdzie założono mi kilka szwów. Jadę w czarnym furgonie, jednak tym razem siedzę z przodu. Na twarzy kierowcy maluje się niesmak z powodu mojego stanu, ale mi na tym nie zależy.

Zbyt wiele jest innych rzeczy, na których mi teraz bardzo zależy.

Jest późny wieczór. Ciemno. Jadąc główną ulicą naszej wsi, zastanawiam się od niechcienia: czy zasłony w oknach od kuchni lub sypialni drgają tu i tam, ponieważ przejeżdża czarny furgon?

Zatrzymujemy się przed naszym domem. Stoi przed nim samochód taty. Drzwi wejściowe otwierają się na oścież: mama.

– Wsiadaj – rzuca chłodno Lorder.

Otwieram drzwi, wychodzę. Ruszam sztywno w stronę domu, furgon odjeżdża.

– O, mój Boże – mówi mama. – Co ci się przydarzyło? Co ci zrobili?

Chwieję się na nogach, mama próbuje mnie złapać, ale ją odtrącam.

– Nic mi nie jest – kłamię na potęgę i wchodzę do domu.

Z kuchni wygląda zszokowana twarz Amy.

Cisza.

Z salonu wychodzi na korytarz tato i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Uśmiecha się. Klaszcze w dłonie: raz, dwa, trzy razy – wolno i ostentacyjnie. Wie, z jakiegoś powodu wie. „To Lorder” – mój mózg przetwarza dane. Nie tylko informator, ale jeden z nich.

Mama spogląda to na niego, to na mnie.

– Kyla? – odzywa się niepewnie. – Co się stało?

Ale ja wpatruję się w tatę.

– Nie tylko doniosłeś na mnie Lorderom. Jesteś jednym z nich.

Nie odpowiada. Jego wzrok przenosi się z zażenowaniem na mamę i z powrotem na mnie.

– Zresztą nieważne – mówię, bo właśnie to do mnie dotarło. Cam był przy mnie, wwiertł się w moje życie, zanim jeszcze zrobiłam ten rysunek szpitala. Tak czy inaczej, mieli na mnie oko, jak powiedział Coulson. Przez to, że tato na mnie doniósł i zatrzymano nas, dowiedziałam się, że mnie obserwują, co było nie po myśli Coulsona. – Jesteś tylko płotką, prawda? Nie powiedzieli ci nawet,

co się tak naprawdę dzieje w twoim własnym domu. A kiedy wreszcie coś zauważyłeś, kazali ci się zamknąć i trzymać od tego z daleka.

Zaczyna otwierać usta, ale je zaraz zamyka.

– Kyla? – pyta znów mama, jednak nie mogę już więcej mówić, nie teraz.

– Przepraszam – udaje mi się wykrztusić. – Muszę się umyć.

Idę na górę. Zamykam za sobą drzwi łazienki na klucz. Wrzucam do kosza na śmieci skrwawione ubrania – z odrobiną mojej krwi i mnóstwem krwi Katrana. Poruszam się sztywno, powoli, jak kukła. Nie potrafię do końca zapanować nad własnym ciałem, kiedy tyle opanowania zużywam na co innego. Żeby się nie zwinąć w kulkę gdzieś w kącie i krzyczeć, krzyczeć bez końca.

Krew łatwo się zmywa, wiem o tym. Wkrótce jestem już czysta, z miękką, gładką skórą. Parę nowych blizn zawdzięczam Camowi. Kilka szwów na ramieniu, więcej z boku. Wciąż jestem na środkach przeciwbólowych, ale nie pomagają na prawdziwe rany, które odniosłam w duchu.

Nie zapominam jednak niczego, nigdy więcej. Bez względu na to, co to jest ani jak bardzo rani. Nico i tamten lekarz – doktor Craig – w tamtym miejscu, którego nawet za dobrze nie pamiętałam aż do dzisiejszego popołudnia, nauczyli mnie, jak zapominać, ukrywać wspomnienia. A moje stracone lata pomiędzy zniknięciem dziesięcioletniej Lucy a pojawieniem się czternastoletniej Rain? Właśnie tam byłam. Z nimi, zmuszana do rozszczepiania się na pół, tak żeby połowa mnie ukryła się za zbudowanym w umyśle murem i przetrwała reset. I cegła, na tyle duża, żeby mnie rozwalić na dwie części – teraz wiem, co to było. Widziałam, jak Nico zabija mojego ojca. Wspomnienie wróciło, gdy Katran umarł w moich ramionach.

W swoim pokoju ubieram się w piżamę i ciasno owijam kocem. Ktoś lekko puka do drzwi. Amy wsuwa głowę.

– Potrzebujesz towarzystwa? – pyta z wahaniem.

Wzruszam ramionami. Wchodzi, za nią wślizguje się Sebastian. Kot wskakuje na łóżko, mości się na moich kolanach. Amy siada obok mnie. Otacza mnie ramieniem. Krzywię się i zsuwam jej rękę, bo natrafiła na szwy, po czym opieram się o siostrę.

Z dołu dobiegają echa podniesionych głosów.

– Wysłali mnie na górę – mówi Amy.

– O?

– Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że powiedziałam tacie o twoim rysunku. Mama naskoczyła na niego

i przyznał, że doniósł. Nie mogę uwierzyć. – Na twarzy Amy maluje się szok.

– Co jeszcze powiedział? – pytam, a własny głos brzmi w moich uszach odległy i niewyraźny, jakbym mówiła pod wodą.

– Zupełnie nie do wiary. Że byłaś jakąś podwójną agentką Lorderów. Chore.

– Taak, chore – przytakuję szeptem.

– Chcesz o tym pogadać?

Potrząsam głową i Amy, zamiast zadać dwadzieścia pytań, których się spodziewam, nic już nie mówi, wygląda, jakby jej ulżyło. Ale zostaje ze mną, pełna ciepła, dająca oparcie.

Na dole trzaskają drzwi. Przed domem ktoś uruchamia samochód, odjeżdża z piskiem opon. Długa przerwa, a potem kroki na schodach. Drzwi się otwierają i staje w nich mama. Spokojnie patrzy na nas dwie i kota.

– Jaki to dobry pomysł – mówi i jakoś udaje się jej zmieścić z mojej drugiej strony. Mocny uścisk.

Musiałam odpłynąć w sen. Kiedy się budzę kilka godzin później, w pokoju jest ciemno, obok mnie leży tylko kot.

Odrętwiała obojętność odsuwa się, zostawiając po sobie sam ból. Opłakuję małą dziewczynkę, którą byłam i której nawet nie pamiętam z wyjątkiem tego, że kochała swojego tatę. Płaczę też za nim, bo po tym wszystkim, co zrobił, żeby ją ratować, ona i tak wylądowała w tym samym miejscu. Płaczę, bo go zawiodłam, na całej linii. Powiedział, że mam nie zapomnieć, kim jestem, a ja zapomniałam. Opłakuję Katrana, bo chociaż nie był bez skazy, umiał się troszczyć o tych, na których mu zależało. Mógł uciec, wydostać się tak jak Nico, ale wrócił po mnie. Zginął, próbując mnie ratować.

Opłakuję też siebie, bo kim jestem teraz? Gdzie jest moje miejsce w tym świecie?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Kilka dni później przyjeżdża po mnie Lorder. Czarny furgon zatrzymuje się przed domem wcześniej rano, a ja powstrzymuję chęć ucieczki, ukrycia się. Dokąd mnie zabierze? Zastanawiam się też, czy dzisiaj pojedę z tyłu, czy z przodu. Czy domyślili się, że doktor Lysander została więźniem z mojego powodu?

Ale kierowca wysiada i otwiera dla mnie drzwi od strony pasażera. Ruszamy. „Zabierz mnie do swojego szefa” – przychodzi mi do głowy pierwsza z brzegu myśl i o mało nie wypowiadam tego na głos. Muszę powstrzymać histeryczny śmiech, który mi wzbiera w gardle. Jedziemy przez dłuższą chwilę.

– Dokąd się wybieramy? – próbuję zagadnąć, ale Lorder milczy.

Na obrzeżach Londynu przejeżdżamy przez strzeżoną bramę i stajemy przy brzydkim betonowym budynku o grubych ścianach. Jakby samym wyglądem miał powstrzymać rozgniewanych obywateli.

Wysiadam z wozu i idę za kierowcą do drzwi jakiegoś gabinetu. Zachęca mnie gestem, bym weszła. Słyszę, jak drzwi zamykają się za mną na klucz.

Duże drewniane biurko, obite pluszem krzesła. Stoję niepewna, a potem myślę: „O, do diabła” i poddaję się chętnie – siadam na masywnym krześle przy biurku. Oparcie odgina się do tyłu, można się też okręcić i kiedy robię eksperymentalny obrót, drzwi się otwierają.

Coulson.

Zabójca Katrana. Wbija we mnie wzrok, ja wpatruję się w niego – na zewnątrz ani drgnę, nie chcę, żeby zobaczył mój ból, strach. W duchu widzę tylko jego ręce, a w nich rewolwer, Katrana i...

Agent mruży oczy i wyskakuję z krzesła jak na sprężynie.

– Masz szczęście, że jestem dziś w dobrym humorze – mówi, chociaż zapewne wystarczająco świadczy o tym fakt, że wciąż żyję. Twarz ma tak samo pozbawioną wyrazu i zimną jak zawsze. – Siadaj tu. – Z warknięciem wskazuje mi krzesło naprzeciw swojego biurka.

Posłusznie siadam.

– Mieliśmy układ – przypomina. – Nie postąpiłaś dokładnie tak, jakbym sobie życzył, ale rezultat jest satysfakcjonujący. Wkrótce zabierzemy cię do szpitala, żeby ci usunąć Levo.

Patrzę na bezużyteczną bransoletę na swoim nadgarstku. Wow. Jaka cudowna

nagroda. Rzecz jasna, Coulson nie wie, że moje Levo nie działa. Pewnie myśli, że cały czas jestem na Pigułkach Radości i tylko dzięki nim jakoś się trzymam.

– Ale jest jeszcze jedna rzecz, którą musisz dla nas zrobić.

Wszystko się we mnie skręca i kotłuje.

– Co to ma być?

– Jeżeli zobaczysz Nica albo dowiesz się czegoś o nim, daj nam znać.

Jeżeli kogoś z radością wydałabym Lorderom, na pewno tym kimś jest Nico, ale ogarnia mnie niedowierzanie.

– Jeszcze go nie złapaliście?

Przez twarz agenta przebiega drgnienie rozdrażnienia.

– Nie. Ale udaremniliśmy większość jego zbrodniczych planów. – Usta Coulsona wyginają się w grymasie ponurej satysfakcji. – Wiele dzięki tobie.

Wzdrygam się w duchu. Kiedy przejrzałam na oczy, nie chciałam należeć do Wolnej Brytanii, być częścią wybuchów i siania śmierci. Ale udaremnienie planów organizacji oznacza aresztowania, więzienie. Resety i wyroki śmierci. Z mojego powodu Lorderowie jeszcze mocniej zacisnęli pętlę.

Moja wina. A Nico wciąż jest na wolności, jego plany legły w gruzach i będzie winił za to mnie.

– Przyjdzie po mnie – mówię cicho i nienawidzę się za to, bo brzmi jak niewypowiedziana prośba: „chronicie mnie”. Nie chcę pomocy od Lorderów.

– Będziemy mieć sprawy na oku.

Ale dlaczego do tej pory nie zawsze mieli sprawy na oku?

– Czegoś tu nie rozumiem – zaczynam mówić, waham się. Agent się nie odzywa, czyżby to było pozwolenie? – Jeśli mnie pilnowaliście, czemu nie w Dniu Pamięci Armstronga? Dlaczego tak po prostu dostałam się do środka? Bez pytań, bez sprawdzania. Bez niczego.

Czy w jego oczach dostrzegłam błysk gniewu? Zniknął szybko, nie mogę być pewna.

– Nie twoja sprawa.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Czas jechać do szpitala – oznajmia Coulson.

– Jeszcze jedno – ośmielam się wspomnieć, już wstając. – Mówił pan, że mi powie, co się stało z moim przyjacielem. Benem Nixem.

Podnosi wzrok.

– O, tak, Ben. Umarł, niestety – odpowiada, ale w jego twarzy nic nie wskazuje na „niestety”. W najlepszym wypadku na brak zainteresowania, niesmak.

Ziemia się pode mną chwieje, kolana się uginają. Nie. Niemożliwe. Czyżby? Zatrzymuję się przy drzwiach, oglądam za siebie.

– Co mu się przydarzyło? – udaje mi się wykrztusić.

– Powikłanie po przecięciu Levo. Nie martw się, tobie się to dziś nie przydarzy, nie w szpitalu.

Idę chwiejnie za kierowcą, a uczucie ulgi o mało mnie nie przewraca. Przez jeden straszliwy moment pomyślałam, że coś się przytrafiło Benowi w ciągu tych kilku dni, odkąd widziałam go biegającego koło tamtej szkoły. Ale nie, Coulson stwierdził, że to z powodu przecięcia Levo. Kłamie.

Wkrótce już jestem w gabinecie doktor Lysander w Nowym Londyńskim Szpitalu.

– Przepraszam... – zaczynam, ale ona unosi dłoń, owija ją sobie wokół ucha i bezgłośnie daje ustami znać: „później”. Pewnie odkryła, że jej pokój jest zapluskwiony.

– Dziś zdejmujemy ci Levo. Nie ma znaczącego ryzyka, które wiązałoby się z tym w szpitalu. – Daje mi o tym nudny wykład, a tymczasem moje myśli wędrują.

Chwytam swoją bransoletę. Noszę ją od długiego czasu. Od samego początku rządziła moim życiem: za duży smutek czy złość i powodowała bolesne wyłączenia; jeszcze trochę, a by mnie zabiła.

Ale... jakaś część mnie wciąż tęskni za tamtą kontrolą. Levo sprawiało, że na pewnym poziomie nie dało się już odczuwać bólu. Kiedy mi zdejmą czujnik, co wtedy? Nagle dociera do mnie uświadomienie.

– Chodź, Kyla – mówi doktor Lysander, stojąc już koło drzwi.

Wychodzimy z gabinetu.

– Nie chcę tego zdejmować. Muszę?

– Nie. Przynajmniej nie sądzę. Mogłabym sprawdzić, czy polecenie Lorderów to nakaz. Ale dlaczego chcesz zatrzymać Levo?

– Wszyscy się dowiedzą. Nigdy już nie będę mogła być tą samą osobą, co poprzednio.

– Po tym, co się zdarzyło... czy umiałabyś znów być nią? – pyta doktor łagodnie.

Wchodzimy do windy i lekarka znowu przykłada rękę do ucha, potrząsa głową. W windzie też są pluskwy?

Zjeżdżamy kilka kondygnacji na piętro zabiegów. Uwijają się tu pielęgniarki, pacjentów wozi się na wózkach albo nieprzytomnych na łózkach.

Doktor Lysander zaprasza mnie do małego gabinetu. Jakiś mężczyzna pracuje tu przy komputerze. Podnosi wzrok i na znak pani doktor wychodzi.

– Teraz możemy porozmawiać swobodnie – oznajmia doktor i siada. – Co cię martwi z powodu Levo?

– Jedyne sposoby, żeby się go pozbyć i nie wpaść w ręce Lorderów, to współpracować z nimi, tak aby oni je zdjęli. Wszyscy się dowiedzą. Pomyślą, że jestem szpiegiem.

– To przypuszczalnie prawda. Ale nie sądzisz, że i tak to już podejrzewają?

Przypominam sobie czarne furgony podjeżdżające pod nasz dom i wszystkich tych ludzi, których zniknięcie powiązywano ze mną, choć niesłusznie. Czujne oczy i szepczące głosy połączyły wszystko razem. Wzdycham.

– Chyba ma pani rację.

– Jest jeszcze jedna rzecz do rozważenia – zauważa pani doktor.

– Co takiego?

– Nico. Powiadomiono mnie, że nie został schwytany. Dopóki masz na nadgarstku widoczny czujnik, jesteś dla świata Zresetowana. On może odnowić swoje plany, znów zechce wykorzystać cię do ataku, do pokazania, że Zresetowana może być zdolna do przemocy. Bez Levo nie ma takiej możliwości.

– Nie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Mógłby mnie wykorzystać tylko wtedy, gdybym zapomniała o tym, co się wydarzyło, ale mam w pamięci każdy szczegół.

Lata temu zostałam zmuszona do zapomnienia bólu, który wywołał u mnie Nico, zabijając mi ojca. Pomyśleć, jak inaczej by się wszystko potoczyło, gdybym jednak pamiętała. Nigdy nie dałabym się mu zauroczyć.

– Zatem idziemy zdjąć Levo? – pyta pani doktor.

– Jeszcze jedno pytanie.

– Słucham.

– Mam fragmenty wspomnień z dawniejszych czasów, zanim porwali mnie ART. Ale nie pamiętam nic z mojego poprzedniego domu, nie przypominam sobie mamy, niczego. Czy mogę odzyskać tamte wspomnienia?

– Jest kilka możliwości. Wspomnienia, które świadomie stłumiłaś jako część życia Rain, mogą być dostępne, ale by je przywołać, potrzebujesz właściwych bodźców. Jednak rozszczepienie jaźni, którego się dopuścili? Nie wiem, jak jest głębokie, jak daleko zaszło. Jeśli druga połowa została Zresetowana, powinny być stracone, lecz... – Zawiesza głos, spogląda gdzieś w głąb siebie, rozmyśla. A ja zmuszam się do milczenia, by jej nie przerywać. – Może być sposób na odzyskanie również tych wspomnień – mówi w końcu. – Chirurgiczne

ponowne połączenie odciętych ścieżek dostępu. To teoretycznie możliwe, chociaż na ile mi wiadomo, nigdy tego nie próbowano.

– Co? Myślałam, że zresetowanie jest raz na zawsze. – W głowie mi wiruje. – Co z Benem? Czy mogłaby pani odtworzyć połączenia w jego mózgu?

– Z Benem? Mówiłam ci, Kyla, że nie wiemy, gdzie się znajduje. Trudno się z tym pogodzić, ale nawet jeśli żyje, jest dla ciebie stracony.

Powiedzieć jej? Mimo że tyle rzeczy w moim życiu okazało się inne, niż się wydawały, po wszystkim, co przeszłam, i wbrew logice akurat tej osobie mogę zaufać.

– Wcale nie.

– Co: wcale nie?

– Ben nie zaginął ani nie umarł. Wiem, gdzie jest.

Doktor Lysander ma zszokowaną minę, kiedy wyjaśniam, gdzie przebywa Ben i w jakim jest stanie: nie rozpoznaje mnie, ale nie wygląda na świeżo Zresetowanego.

– To bardzo niepokojące – stwierdza w końcu. – Cokolwiek tam robią, nie jest to uprawomocnione przez Radę Medyczną. Nieetyczne.

– Reset jest etyczny?

Podnosi szybko wzrok.

– Tak – mówi oschle, ale w jej twarzy widzę ślad zwątpienia. – Wolałabyś wyrok śmierci? Zginąć, jak moja przyjaciółka dawno temu?

– Skąd mogę wiedzieć? Nie pamiętam! – Gorzkie słowa. Ale skupiam się na tym, co usłyszałam poprzednio. – Więc mogłaby pani przywrócić Benowi pamięć.

Potrząsa głową.

– Nie. Nie wiem, co mu zrobiono. Byłoby zbyt ryzykowne, żeby próbować tego dociec.

– Ryzykowne, ale możliwe?

– Teoretycznie może. Chodź, za długo już tu siedzimy. Zdejmijmy bransoletę.

Kilka minut później czujnika nie ma. Wolny nadgarstek, odsłonięta skóra wydają się jakoś nie na miejscu. Sprawiają wrażenie nagości. Szpitalne usunięcie to prosta procedura: wciśnięcie kilku guzików i po chwili bransoleta odpada, rozpięta. Czuję się inna, jakbym teraz zwracała na siebie uwagę.

Jakby nad moją głową wisiał błyskający neon: „Patrzcie, to szpieg Lorderów!”.

Po powrocie do gabinetu doktor Lysander otwiera swój komputer, przywołuje

mnie gestem, żebym patrzyła na ekran, a przez cały czas mówi o wszystkim i o niczym.

Przeogląda mój rejestr. Numer mojego Levo: 19418.

Zatrzymuje się, sprawdza na ekranie listę numerów nieaktywnych. Zmienia mój na 18736.

Potrząsam głową, nie rozumiejąc.

Na kawałku papieru pisze jedno słowo: „Niewykrywalna”.

Dopiero kiedy jestem w połowie drogi do domu w furgonie Lorderów, dociera do mnie sens. Skoro jestem teraz niewykrywalna, to znaczy, że wcześniej nie byłam. Wystarczyło zmienić mój numer w komputerze – liczbę, która widniała na bransolecie. Jak mogłam być wykrywalna, jeżeli Levo nie działało?

Lecz jest coś jeszcze. Coś we mnie: chip w mózgu, który współpracował z czujnikiem. Wciąż tam siedzi.

Aż mi niedobrze, gdy sobie to uświadamiam: Coulson stuknął się w głowę, kiedy go zapytałam, jak Cam mnie namierzył. Chip w mojej głowie. Wszczepiony podczas resetu. Jest jednocześnie trackerem, jak u psów.

Teraz, gdy doktor Lysander zmieniła mój numer w rejestrze, nie będą już mogli mnie namierzyć.

Niewykrywalna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

– Nie możesz do końca życia ukrywać się w domu – przekonuje mama.

– Wiem.

Całuje mnie w czoło, potem wychodzi w mżawkę i ziąb, wsiada do samochodu i rusza do pracy. Amy już pojechała z Jazzem do szkoły i cierpliwość mamy co do mojego migania się jest na wyczerpaniu.

Wracam do łóżka z kubkiem herbaty. Ostatnio spędzam w tym miejscu dużo czasu. Wiem, że mama ma rację, ale czuję się jak w stanie zawieszenia. Szwy już mi zdjęto, rany się prawie zagoiły, lecz w duchu wciąż przetwarzam zdarzenia, uczę się żyć ze stratą, z bólem. Ze wspomnieniami. Nowe doświadczenie dla kogoś, kogo zmuszano, by je wyparł.

Nie dają mi też spokoju pytania. Kiedyś sądziłam, że złapano mnie podczas akcji Wolnej Brytanii i potem zresetowano, bo wpadłam. Myślałam, że to była kwestia pecha. Byłam w błędzie. Nico to ukartował. Przestałam wierzyć w zbiegi okoliczności – za dużo ich było w moim życiu. Czy to przypadek, że po zresetowaniu umieszczono mnie u rodziny Sandry Davis, córki bohatera Lorderów? Czy przypadek, że byłam Jane Doe, kimś, kto dziwnym trafem nie miał zarejestrowanego DNA i nie mógł być po nim namierzony? Czy to przypadek, że pomylili się podczas testu komórkowego i zresetowali mnie, choć miałam skończone szesnaście lat? A Lorderowie przypadkowo nie wysłedzili na stronie ZwA dziewczyny, która wygląda dokładnie jak ja, i nie dowiedzieli się, kim jestem?

I jeszcze wszystko to, co się wydarzyło w Dniu Pamięci Armstronga. To niepodobne do Nica, żeby tak wiele pozostawił przypadkowi. A Coulson po prostu zapomniał mnie zrewidować, przeszukać akurat tego dnia?

Za wszystkimi moimi pytaniami bez odpowiedzi formują się w tle pomysły i plany oraz konieczność mająca postać Bena. Ale jest prawie tak, jakbym zbierała siły, na coś czekała. Na co? Nie mam pojęcia.

I wtedy to się dzieje.

„Bzzzz... bzzzz...”

Cichutki dźwięk, bardziej wibracja. Bez namysłu, automatycznie sięgam do nadgarstka, gdzie jeszcze niedawno nosiłam Levo.

„Bzzzz... bzzzz...”

Oczy mi się rozszerzają z wrażenia. Komunikator Nica – to on naśladuje

brzęczenie Levo. Schowałam go w pokoju, wrzuciłam do szuflady, kiedy pędziłam, żeby ratować doktor Lysander. Na wypadek, gdyby w komunikatorze był tracker.

„Bzzzz... bzzzz...”.

Co robić? Przełykam ślinę. Lepiej wiedzieć.

Wyławiam gadżet z dna szuflady, gdzie przez cały ten czas leżał ukryty i zapomniany. Wciskam guzik.

– Co?

– Witaj, Rain! – odzywa się głos, którego nigdy nie zapomnę.

Nico.

– To nie jest moje imię. Już nie.

– „Róża nazwana inaczej pachniałaby równie słodko...”

– Nie chrzań. Pamiętam, że zabiłeś mojego ojca.

– A. Czy to było powodem zdrady, Rain? – Teraz jego głos brzmi zimno. – Nie szkodzi. Możemy zacząć od nowa! O wszystkim zapomnieć.

– Nigdy. Poza tym Lorderowie zdjęli mi Levo, więc jestem już dla ciebie bezużyteczna. Wymyśl sobie coś innego.

Rozłączam się, zanim zdąży odpowiedzieć. Drzę. Czy przyjmie moje słowa? Opuści?

Nie ten Nico, którego znam i nienawidzę.

I nagle nie mogę znieść tego, że mam coś, co od niego dostałam, że trzymam to w swoim pokoju, w tym domu – nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Podbiegam do otwartego okna i wyrzucam komunikator jak najdalej. I zaraz uświadamiam sobie, że będę musiała go odszukać i zniszczyć. Głupia. Patrzę, jak błyska w świetle poranka, zatacza w powietrzu łuk i ląduje na trawniku tuż koło dębu.

Zamykam okno, odwracam się i...

BANG!

Fala dźwięku i czegoś jeszcze popycha mnie w plecy. Lecę przez pokój, padam na podłogę. Bez tchu. W bólu. Jęczę. Podnoszę się, dostrzegam, że jestem zasypana szkłem. Stłuczoną na małe kawałki szybą okienną. Oszołomiona, ogłuszona. Gdzieś obok kłębi się dym. Kaszlę. Co się stało?

Chwiejnie podchodzę do okna. Drzewo stoi w ogniu. A raczej to, co z niego zostało.

To samo drzewo, obok którego kilka sekund wcześniej wylądował komunikator Nica.

Gapię się w niedowierzaniu. Więc komunikator nie zawierał trackera, tylko

bombę?

Szok wywołany uświadomieniem o mało nie zwała mnie z nóg. Nico uparcie twierdził, że go nie zawiodę, a potem się wściekł, że nie zostałam na drugi punkt obchodów w Chequers. Na ceremonii, która odbywała się pod gołym niebem, tak że nic nie zablokowałyby sygnału, żadne ściany budynku. Ceremonii, podczas której stałabym ze swoją rodziną i z obecnym premierem. Otoczona wielkimi i dobrymi, jak ich określił Cam. Nico miał więc nie tylko plan B, lecz także plan C. Nieświadoma niczego, byłam jego samobójczym zamachowcem. Kiedy po wybuchu przekopaliby się przez pobojuwisko i znaleźli moje szczątki z bronią od ART przypiętą do ramienia, nie mieliby wątpliwości: Zresetowana, która dopuściła się czegoś znacznie więcej niż przemoc. Uderzyłoby to we wszystko, co robią Lorderowie. Sprawiłoby, że wszyscy Zresetowani staliby się zbyt dużym ryzykiem, by Lorderowie mogli je ponosić.

Nico zamierzał podczas tej ceremonii zabić nas wszystkich, a ja zrujnowałam to, uciekając, by ratować doktor Lysander. Nic dziwnego, że był taki wściekły!

A teraz użył zdalnego detonatora, żeby mnie zabić. Albo mi uwierzył, kiedy powiedziałam, że zdjęli mi Levo, albo uznał, że zemsta to najlepsze, co może ze mną zrobić.

Albo może po prostu najpierw zadzwonił, by się upewnić, że mam komunikator przy sobie.

W gardle zaczyna mi wzbierać chichot.

„Uspokój się!”

Ale nie mogę się opanować i wkrótce zwijam się ze śmiechu na podłodze, krzywiąc się z bólu, jaki mi sprawia potrząśnięcie przeciętego boku.

Nico myśli, że mnie zabił. Śmieję się jeszcze mocniej.

I jestem niewykrywalna dla Lorderów. Dzięki doktor Lysander.

Zanim myśl jeszcze w pełni uformuje się w mojej głowie, stoję już na nogach i wpycham niezbędne rzeczy do torby. Pośpiesznie sprawdzam plecy w lustrze – tylko zadrażnienia. Trochę krwi, ale jej widok nie ma już na mnie takiego wpływu jak dawniej. Wkładam ubrania i zaciskam zęby, wciągając sweter przez głowę. Fizyczny ból umiem ignorować. A teraz szybko.

W drzwiach sypialni pojawia się Sebastian. Futro na grzbiecie i ogonie sterczy mu niczym szczotka. A więc poważnie wystraszył się tylko kot. Czuję w sercu ukłucie, gdy go biorę na ręce i żegnaję pośpieszną pieśczętą.

– Chciałabym cię z sobą zabrać, ale nie mogę. Opiekuj się mamą i Amy.

Kolejne ukłucie: wiadomość dla mamy? Nie. Nie mogę. Ktoś inny mógłby znaleźć liścik. Skontaktuję się z nią później.

Kiedy przeciskam się z tyłu przez żywopłot i oddalam ścieżką wzdłuż kanału, słyszę już wycie syren.

Wszystkie te na wpół uformowane plany w mojej głowie, te, które mogłabym zrealizować któregoś dnia...?

„Któryś dzień” jest teraz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Mam do pokonania długą drogę po ciemku, i to bez motoru Katrana. Jadę na starym rowerze, podskakując na wybojach wzdłuż kanału w środku nocy. Dałam sobie na tę podróż mnóstwo czasu, tak aby gdy dojadę na miejsce, było nadal ciemno.

Miałam poczucie winy, wymykając się bez słowa od Maca po wszystkim, co dla mnie zrobił: pozwolił mi się ukrywać w swoim domu do czasu, gdy wymyślę, co zrobić. Miałam także poczucie winy, biorąc bez pytania jego rozklekotany rower. Ale coraz mocniej uświadamiałam sobie jedno: nie mogę robić dalszych kroków naprzód, jeśli nie zrobię jednego wstecz.

Ukrywam rower w zaroślach.

Tym razem będzie inaczej. Ja się zachowam inaczej, ponieważ starannie to przemyślałam.

A jeśli go nie będzie?

Będzie na pewno. Musi być. Nie mogę przyjąć innej możliwości, choć od środka zżera mnie strach.

Chowam ciemne kamuflażowe ubranie, w którym przyjechałam. Zdejmuję czapkę, szcztokuję sobie włosy, aż lśnią. Bładozielona bluzka do biegania, ciepła, chociaż dopasowana – Ben kiedyś powiedział, że mi pasuje do oczu.

Niebo dopiero zaczyna jaśnieć, gdy się rozgrzewam. Na grzbiecie wzgórza pojawia się odległa postać. Ben! O mało nie rozpływam się z ulgi. Trzęsąc się od wielu emocji, które ledwie umiałabym nazwać, biegnę ścieżką w tę samą stronę, co on. Szybko. Tak prędko, że kiedy zbiega ze wzgórza, widać mnie bardzo wyraźnie.

Nie oprze się, żeby mnie wyprzedzić. Chyba żeby...?

Ale się nie oprze.

Słyszę, jak się zbliża od tyłu, lecz stopniowo przyśpieszam, tak żeby prawie, jednak nie całkiem się ze mną zrównał. Czuję napięcie, wysiłek. Radość pełnego pędu. Leciutko zwalniam i oto się dzieje. Biegniemy obok siebie. Znajoma muzyka dudniących stóp: jego „tup, tup” i nieco szybszy rytm wybijany przez moje krótsze nogi. Zerkam na jego twarz akurat w tym momencie, gdy on patrzy na moją. Uśmiecha się szeroko i tak bardzo jest tym Benem, którego znam, że tracę pewność kroku i daję się wyprzedzić. Lecz wtedy on zwalnia, żebym mogła nadążyć.

W końcu oboje wytracamy prędkość, przechodzimy do marszu. Ben się śmieje.

– Wspaniały bieg! – stwierdza, a ja odpowiadam uśmiechem.

Czuję się rozświetlona od środka i wszystkie moje emocje na pewno widać na twarzy. Jak dawniej. Tak łatwo jest zapomnieć, udawać, że nic się nie stało. Że jesteśmy po prostu Benem i Kylą. Przyjaciółmi, a potem kimś więcej, mamy nieskomplikowane życie, rodziny. Możliwą wspólną przyszłość. Tak bardzo chcę wyciągnąć rękę, chwycić jego dłoń. Zatrzymać się, przysunąć go bliżej i...

Ale nie jesteście tamtymi duchami. Już nie.

– Jesteś tą dziewczyną – mówi, a ja nieruchomieję.

Czy jakąś częścią umysłu rozpoznał mnie albo wyczuł, kim jestem? „Ta dziewczyna” – nie. Pewnie mnie pamięta z poprzedniego spotkania na tej ścieżce.

– Tą, która powiedziała, że mnie zna. – Tymi słowami potwierdza moje przypuszczenie. – Ale bym cię zapamiętał.

– Naprawdę? – odzywam się ze śmiechem.

Słońce zaczęło już wschodzić. W ten zimny poranek na twarze pada nam ciepłe światło.

– Spóźnię się. Zbiegliśmy za daleko. – Ben zawraca. – Biegniemy z powrotem?

– Jeszcze nie. Musimy porozmawiać.

– My? O czym?

– Kim jesteś?

– Na to nie mogę odpowiedzieć. Jestem na tajnej misji. – Wymawia te słowa, jak gdyby żartował, bawił się w jakąś grę, ale coś w nich jest. – A ty kim jesteś?

– Też jestem na tajnej misji. Ale mogę ci opowiedzieć historię. Prawdziwą.

– Dawaj – zgadza się. A w jego oczach widać, że to cały Ben: zadowolony, zainteresowany wszystkim, co mam w środku, jak dawniej.

– Pewnego razu był sobie Zresetowany chłopak imieniem Ben, który uwielbiał biegać. Poznał Zresetowaną dziewczynę z kilkoma problemami. Nazwijmy ją Kyla. Ona też uwielbiała biegać. Zostali... przyjaciółmi. Więcej niż przyjaciółmi. – Rumienię się.

– Ben. Tak właśnie powiedziałaś na mnie ostatnio.

– Tak.

Widzę po jego oczach, że sobie uświadomił.

– Mam dobry gust, jeśli chodzi o dziewczyny, nawet w baśniach – mówi wciąż lekkim tonem, przekomarzając się. Z zaciekawieniem.

– Ale tu pojawiają się trudności. – Mój uśmiech gaśnie. – Posłuchaj, Ben czy kimkolwiek teraz jesteś. Zostałeś Zresetowany ponownie albo potraktowany w inny sposób, by zapomnieć. Nie wiem jak ani dlaczego. Nie wierz w to, co ci mówią. W swoim dawnym życiu walczyłeś o to, żeby móc myśleć samodzielnie. Wierzyłeś, że jest lepsza droga niż ta z Lorderami.

Patrzy mi w oczy. Widać, że rozmyśla, rozważa. Trwa to kilka uderzeń serca. Potem ten wyraz twarzy znika wraz z uśmiechem.

– To rzeczywiście bajeczka – mówi. – Czas na mnie, dziewczyno ze snów.

I rusza biegiem, wracając po swoich śladach. Mam ochotę biec za nim, ale się powstrzymuję. Wślizguję się w cień pod drzewami. Z całych sił staram się nie rozpłakać wobec zimnej pustki spowodowanej jego nieobecnością.

Zrobiłam, co mogłam. Czy coś osiągnęłam?

Przez chwilę w jego oczach błyszczał jakiś ślad przemyśleń. Nie wyobraziłam sobie tego! Czy zasiałam ziarno wątpliwości, które wyrośnie w coś na tyle silnego, aby wytrzymać to, co mu tam robią, czym karmią go Lorderowie?

Wciągam z powrotem ciemne ubrania na strój do biegu i wsiadam na rower, żeby ruszyć w długą drogę do Maca. Myślę o tym, co powiedziałam, o tym, co mogłam powiedzieć, żeby było lepiej, i...

O mało nie spadam z roweru, gdy to do mnie dociera.

Nazwał mnie „dziewczyną ze snów”. A więc śni o mnie? Jak ja śniłam o przeszłości i o straconych wspomnieniach? Czy wciąż tam jestem, ukryta w jego podświadomości?

Gdzieś w środku migocze jakiś promyk, uczucie. Ciepłe i nieznane mi, ale czepiam się go i tulę mocno.

„To nadzieja”.

Tego samego dnia wieczorem siedzę u Maca przed jego komputerem. Ekran wypełnia twarz Lucy – moja twarz sprzed tak wielu lat. Była Zaginiona w Akcji, zgłoszona na nielegalnej stronie internetowej, lecz zaraz się to zmieni.

Obok mnie siedzi Aiden.

– Na pewno chcesz to zrobić? – pyta. Jego ciemnoniebieskie oczy patrzą w skupieniu, życzliwie. Nie naciska, choć wiem, jak bardzo tego pragnie.

– Tak – odpowiadam.

I rzeczywiście, jestem bardzo pewna. Tato kazał mi nigdy nie zapomnieć, kim jestem, ale go zawiodłam. Żeby to naprawić, mogę zrobić tylko jedno: jestem mu to winna, dzięki niemu wiem, kim była Lucy. Kim byłam ja. I nie ma innej drogi do odnalezienia zgubionych fragmentów samej siebie.

Kto umieścił raport o moim zaginięciu? Skoro tato nie żyje, czy zrobiła to moja mama, której nie pamiętam, czy może ktoś inny? Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Sięgam po myszkę i klikam pole: Lucy Connor została znaleziona.

TERI TERRY ODPOWIADA NA PYTANIA CZYTELNIKÓW

Coś, co uwielbiam jako autorka, to interakcje z czytelnikami na Facebooku, Twitterze i za pośrednictwem mojej strony internetowej: teriterry.com. W 2012 roku ogłosiłam konkurs na imię jednego z bohaterów pojawiającego się w drugiej części trylogii i Cynthia zaproponowała „Katran”. DZIĘKUJĘ! Wspaniałe imię. Powieściowy Katran doskonale dopasował się do swojego imienia.

Potem poprosiłam moich kochanych czytelników, żeby podsunęli pytania, na które chcieliby dostać odpowiedzi. Wszyscy, których pytania widnieją poniżej, dostali ode mnie po świeżo wydanym egzemplarzu tego tomu z moim podpisem. Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy nadesłali pytania. Były niesamowite, żałuję, że nie mogłam zamieścić tu wszystkich.

Alex: Kto jest Pani ulubioną postacią w tej książce?

Kyla, nie mam co do tego wątpliwości – jest zwodniczo silna, wielopłaszczyznowa i zmienia się, dojrzewa w każdym kolejnym tomie trylogii. Drugie miejsce zajmuje przypisana jej mama – uwielbiam postacie, które każą nam snuć domysły i okazują się nie takie, jakie się wydawały na początku.

Hayley: Gdyby znalazła się Pani na miejscu Kyli, czy zrobiłaby Pani wszystko, co w jej mocy, żeby się dowiedzieć, kim była na początku i dlaczego?

Nie jestem szczególnie dzielna. Ale za to nieznośnie ciekawa! Nawet gdyby zadawanie pytań było niebezpieczne, nie sądzę, żebym się umiała powstrzymać: chciałabym wiedzieć.

Ashley: Czy wyobraża sobie Pani, że resetowanie ludzi mogłoby się stać rzeczywistością w naszym świecie?

Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ale jednocześnie dostrzegam atrakcyjność tego pomysłu – nieletni przestępcy nie idą do więzienia, tylko dostają drugą szansę i nowe życie. Ale okrucieństwo tej procedury w świecie mojej trylogii polega na tym, że nie mają wyboru.

Kristan: Gdyby była Pani nastolatką w tym dystopijnym świecie, czy

istniałoby ryzyko, że zostanie Pani Zresetowana?

Na pewno nie z oficjalnie uznawanych powodów: nie byłabym kryminalistką, nie stosowałabym przemocy. Ale jeśli chodzi o nieoficjalne zaginięcia – o tak! Z pewnością podpadłabym Lorderom. Przede wszystkim dlatego, że nie umiem trzymać języka za zębami. Nadmierna ciekawość i zadawanie niewygodnych pytań – w tych dwóch sprawach zawsze byłam dobra.

Kate: Kiedy czytałam Zresetowaną, cały czas denerwowała mnie idea czujnika Levo. To skrajnie okrutne urządzenie i jego obecność przez całą historię ma ogromny wpływ na Kyle. Chciałabym się dowiedzieć, skąd wziął się ten pomysł.

Chodzi o odwieczny spór naukowców o to, co nas naprawdę kształtuje: czy wyjściowy materiał, z którym przychodzimy na świat, czy też to, jak nas wychowano? Jeżeli morderca został ukształtowany przez swoje doświadczenia i dlatego popełnia zbrodnie, to wystarczy mu wymazać umysł, zresetować i pozwolić zacząć od nowa, a wtedy czujnik w ogóle nie będzie potrzebny. Ale jeśli coś było z tym człowiekiem nie tak od samego urodzenia, reset tego nie usunie. Czujnik Levo to falsyfikat, ma dopilnować, żeby Zresetowany nie popełnił po raz drugi przestępstwa. Ale stosowanie czujników jest bez sensu, prawie jak powiedzenie Lorderów, którzy twierdzą, że Zresetowani dostają drugą szansę, choć na to nie zasługują. W środku są wciąż źli.

Ellen: Co sprawiło, że postanowiła Pani osadzić akcję powieści tak blisko teraźniejszości?

Chciałam czuć bliskość z naszym światem, jakby to było coś, co mogłoby się wydarzyć naprawdę. Aby czytelnicy ujrzeli świat, który rozpoznają i mogą sobie wyobrazić w nim siebie.

Michelle: Czy od początku wiedziała Pani, że będzie więcej niż jedna książka, czy też historia rozwijała się podczas pisania?

Początkowo myślałam, że Zresetowana będzie jednotomową powieścią, ale historia nie zmieściłaby się w jednej książce. Trochę się z tym męczyłam, jednak opowieść uparcie rozciągnęła się na trzy tomy.

Cordelia: Czy fabuła albo któraś postać sprawiła Pani jako autorce niespodziankę i jej losy potoczyły się w nieoczekiwanym kierunku?

Wciąż mi się to przydarza podczas pisania! Dobrym przykładem może być Phoebe ze Zresetowanej. Nie miałam pojęcia, jak ważna okaże się ostatecznie

dla fabuły – sama nalegała, żeby mocniej zaznaczyć swą rolę.

Kieran: Co się stało z Phoebe po tym, jak Kyla zobaczyła ją w szpitalu?

Nie wiem! Czy jej historia będzie kontynuowana, czy pozostanie tajemnicą? Jeszcze nie zdecydowałam.

Thea: Czy miała Pani więcej niż jedno zakończenie, na które mogła się Pani zdecydować?

Kiedy postanowiłam, że Zresetowana będzie trylogią, wiedziałam dokładnie, jak zakończyć tom pierwszy, i miałam dość jasną wizję tomu drugiego. Jeszcze nie wiem, jakie okaże się zakończenie tomu trzeciego! Dla mnie samej będzie to niespodzianka.

Sophia: Dlaczego postanowiła Pani pisać powieści dla młodych dorosłych czytelników? Czy kolejne Pani dzieła też będą przeznaczone dla tego kręgu odbiorców, czy też chciałaby się Pani zmierzyć z innym gatunkiem?

Uwielbiam pisać dla tego kręgu odbiorców z wielu powodów. Po części jest to osobisty wybór. Cała sprawa obracająca się wokół pytań: „Kim jestem?” i „Gdzie jest moje miejsce w świecie?”, tak bardzo istotna dla młodych dorosłych, w tym dla Kyli ze Zresetowanej, jest również ważna w moim życiu. Gdy dorastałam, przeprowadzałam się raz po raz i naprawdę znam to uczucie, kiedy człowiek nie wie za bardzo, do jakiego miejsca przynależy. Bardzo lubię też styl i bezpośredniość nastoletnich głosów. Ale uwielbiam pisać i kropka. Więc niewykluczone, że kiedyś spróbuję sił na innych polach.

Hannah: Czy łatwiej było pisać drugi tom, mając już ugruntowaną pozycję po opublikowaniu pierwszego, czy raczej było trudniej ze świadomością większego oczekiwania od fanów?

Myślałam, że będzie łatwiej, ale się myliłam! Było znacznie trudniej. Dużo czasu zajęło mi wymyślenie, jak Kyla będzie się zachowywać po wydarzeniach z pierwszego tomu. A miałam fanów? SUPER. Ale staram się nie rozpamiętywać tego podczas pisania, byłoby to zbyt rozprasające. Jedyne, co mogę zrobić, to napisać historię najlepiej, jak umiem.

Jacki: Jaką radę dałaby Pani trzynastolatce, która chciałaby zostać pisarką?

Jak najwięcej czytać: umiejętność opowiadania historii przyswajamy z każdej książki wkraczającej w nasz świat. A pisanie to jedna z tych rzeczy, których się uczymy, ćwicząc. Nie ma drogi na skróty, trzeba więc pisać, pisać i jeszcze raz

pisać... Każda nowa historia czegoś nas uczy. I powinniśmy pisać, ponieważ to uwielbiamy. Nie jest łatwo, żaden inny powód nie wystarczy.

Callum: Czy napisze Pani coś jeszcze? Jakież pomysły?

Nigdy nie przestanę pisać. Za bardzo to kocham! Po tomie drugim będzie trzeci i zarazem ostatni w tej historii. Wciąż nie mam do niego tytułu! Jest kilka pomysłów, które mogę zrealizować w następnej kolejności. Chyba chcę napisać coś bardzo, bardzo przerażającego...

Liveotherwise: Gdyby mogła pani wrócić w czasie i przekazać coś sobie samej z czasów, kiedy nic Pani jeszcze nie opublikowała, jaką dałaby Pani sobie radę?

Będzie trudniej, niż myślisz. Ale nie poddawaj się. NAPRAWDĘ warto.

-
- ¹ Dzień Gya Fawkesa – rocznica spisku prochowego z 1605 roku, który miał pozbawić życia króla Anglii i Szkocji Jakuba I. Zamachowcy podłożyli proch w Londynie pod Izbą Lordów (ładunku pilnował Guy Fawkes), ale spisek został wykryty, do zamachu nie doszło, a z pojmanymi spiskowcami władza rozprawiła się okrutnie. Rocznicą tych wydarzeń z czasem przerodziła się w ludowe święto połączone z pokazami sztucznych ogni i paleniem kukły Fawkesa, warto mieć jednak w pamięci, że spisek prochowy to przykład tradycji terrorystycznych na Wyspach Brytyjskich i tego, jak władza radziła sobie z opozycją (przyp. tłum.).
- ² Dzień Pamięci – w Wielkiej Brytanii pod taką nazwą obchodzi się rocznicę podpisania rozejmu kończącego I wojnę światową (11 listopada 1918 roku).